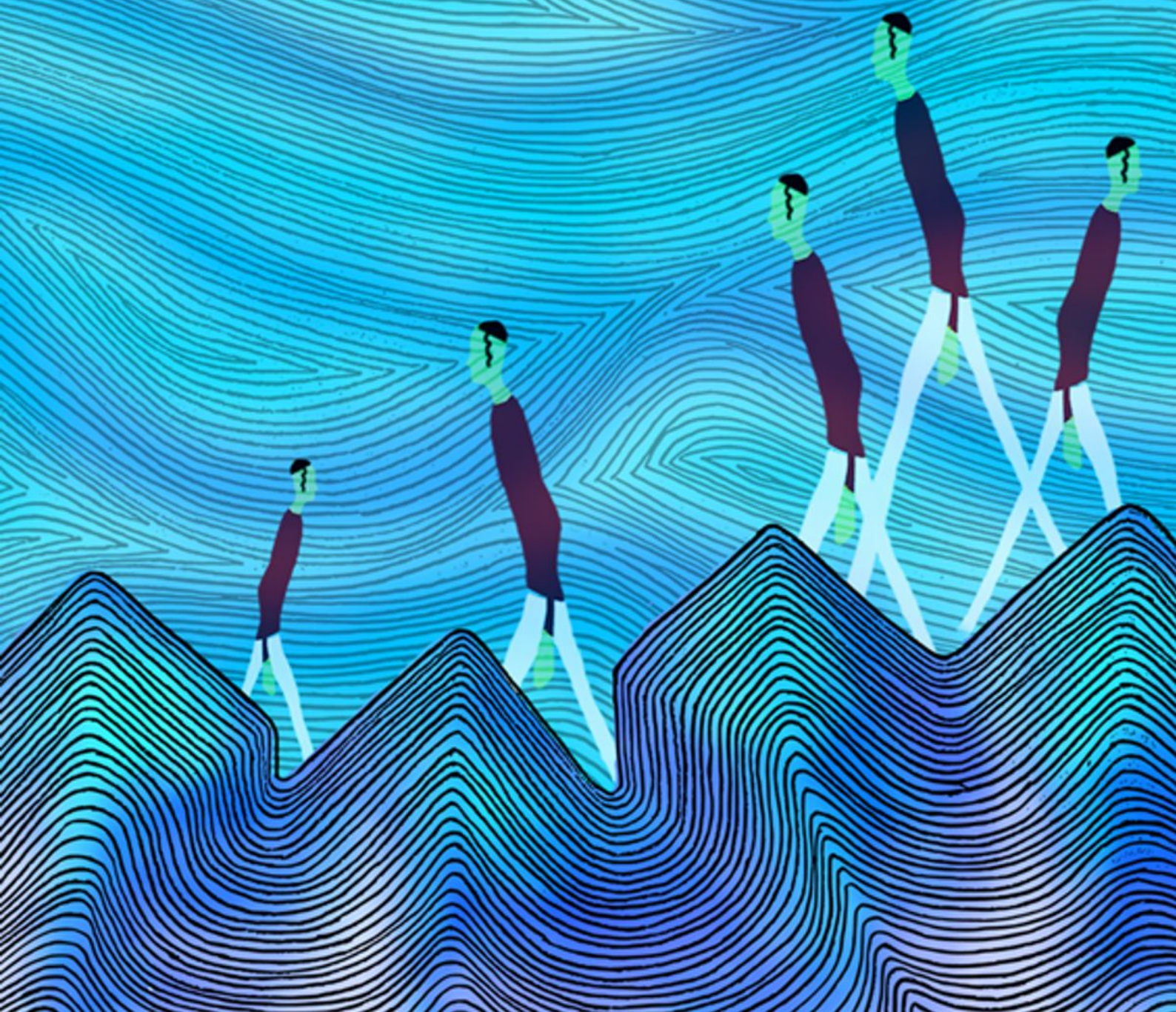


BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA ִמְ

JEHOSZUA PERLE

**Żydzi dnia
powszedniego**

tłumaczenie Michał Friedman



JEHOSZUA PERLE

Żydzi dnia powszedniego

TEŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

ROZDZIAŁ I

Płacz kotów za oknem wyrwał mnie ze snu. Leżałem zwrócony twarzą do pleców ojca i wdychałem kwaśny zapach jego ciężkiego, owłosionego ciała. Ojciec głośno chrapał. Chwilami zachłystywał się, bo w gardle zaczynało mu coś bulgotać. Widocznie większy kawałek flegmy dawał o sobie znać. Uniosłem powoli głowę ponad kościste ramię ojca i spróbowałem rozejrzeć się po pokoju. Na komodzie, ciemniejącej między łózkami rodziców, stała mała lampa naftowa, która rzucała słabe zakopcone światło. Szkiełko lampy wykreśliło na nisko osadzonej belce pod sufitem małe świetlne kółko, które, drgając, rozcinało obszary ciemności izby.

Oba miedziane ciężarki ciemnego wiszącego zegara widocznie zatrzymały się podczas nocy. Jeden zatrzymał się nad blatem komody, drugi w połowie drogi, wyglądał teraz jak noga, która została odpiłowana.

Rozległo się pianie koguta. Wdarło się głęboko w płacz kotów. Na dworze, widać, zaczynało jaśnieć.

Zauważyłem, że łóżko, na którym matka miała jeszcze spać, jest puste. Nawet zaścielone. Na jego środku widniała czarna plama ubrania. Chyba jakaś jej suknia naprędce rzucona.

Wywnioskowałem, że matka nie zdążyła jeszcze wrócić z wizyty w szpitalu. Wieczorem poprzedniego dnia wybierała się do szpitala. Podała ojcu kolację. Ten, zmęczony siedział przy stole i po cichu pod nosem odmówił błogosławieństwo, a ja dopiero co, w nie najlepszym nastroju, wróciłem z chederu¹. Matka szybko postawiła przede mną kolację i okutawszy się w szarą grubą, wełnianą chustę, w te pędy pobiegła do szpitala, do swego najmłodszego syna z pierwszego małżeństwa.

Syn jej był ze wszech miar udanym młodzieńcem. Nazywał się Mojsze. Ojcowie, mający córki na wydaniu, badawczym wzrokiem przyglądali mu się i raz po raz podsyłali swatów. Mojsze był przystojnym chłopcem. Pełna, okrągła niczym księżyc twarz, ozdobiona była dołeczkami pełnymi czaru. Policzki jędrne, gładkie, piękne. Były nieraz z miłością szczypane. Znany był z pięknego, kaligraficznego charakteru pisma. Miał już osiemnaście lat i posadę subiekta w sklepie papierniczym Izraela Ajnbintera. Przez cały dzień rozwijał przed klientami długie pasy papieru zamalowanego ptakami i kwiatami.

Nasz niski długi pokój z oknem o czterech szybach, Mojsze zamierzał wytapetować pasami papieru, na których on sam namalował ptaki i kwiaty.

Ale Mojsze lubił chodzić na spacerzy z dziewczętami. Zwykle wkładał wtedy na siebie wiatrem podszyty płaszcz. Wracał z tych spacerów późno. Nawet bardzo późno w nocy.

Józia, córka bednarza, mieszkała u nas w kuchni. Za to pomagała matce w gospodarstwie domowym. To ona otwierała mu w nocy drzwi.

Ale kto mógł wiedzieć? Komu mogło to wpaść do głowy?

Pewnego dnia Mojsze nie mógł się podnieść z łóżka. Cicho wzdychając oświadczył, że coś kłuje go w boku.

¹cheder — dawna elementarna szkoła religijna dla chłopców od piątego roku życia. [przypis tłumacza]

W naszym niskim, długim pokoju zaczęli się zjawiać obcy ludzie w okularach. Józia, córka bednarza, dzień po dniu musiała myć podłogę. Obcym ludziom zdejmować i nakładać płaszcz.

Ci obcy ludzie kazali choremu Mojsze głęboko oddychać. Opukiwali go wciąż po żebrach, po czym zostawiali po sobie jakieś zapisane karteczki, z którymi biegano się do apteki i przynosiło do domu buteleczki z płynem o dziwnych kolorach.

Szyby w oknie wyhaftowane były białymi szpilkowymi drzewami. Czasami z tych szpilkowych drzew wyłaniał się zarys niby okrętu na morzu, a czasami jakiś stary Żydek ze szpiczastą bródką i z kołpakiem na głowie.

Mojsze wpatrywał się w szyby oczami pełnymi łez. Twarz mu się ściągnęła, pozieleśniała, a wokół oczu pojawiły się brązowe bruzdy.

W pokoju osiadł na stałe gęsty słodkawo-kwaśny zapach lekarstw i potu chorego. Matka zapomniała uczesać swoją perukę. W czasie, kiedy Mojsze wpatrywał się w zamrożone szyby, twarz matki wydłużyła się; stała się niemal szpiczasta. Na jej rękach wyraźnie zaznaczyły się żyły. Józia z rozwichrzoną czarną czupryną, na bosaka, dreptała po podłodze i raz po raz klękała przed swoim żelaznym łóżkiem w kuchni, żeby się pomodlić.

Ojciec, wróciwszy w nocy, obrzucił zaspanym wzrokiem obecnych i zapytał, pod nosem:

— No, jak się ma Mojsze?

Ale Mojsze już w domu nie było. Trzeba go było zawieźć do szpitala.

Ojciec odmówił modlitwę *Mincha*² w zasnutym cieniu kącie. Na czterech zamrożonych szybkach osiadł jakiś daleki błękit, który przywodził na myśl zatopione okręty.

Chorego opasano poduszką, opatulono matczyną wełnianą derką i na to wszystko wciągnięto płaszcz, w którym się przeziębił.

Nieznany goj³, w żółtym kożuchu, razem z matką i Józją wyprowadził Mojsze z domu. Prowadzili go powolutku, raczej posuwano go tak, jak posuwa się kredens czy szafę.

Na dworze było niebiesko. Niebieski był śnieg, niebieskie były domy, niebieskie były dachy.

Chorego ułożono na szerokich, niskich saniach. Leżał jak chuda martwa ryba. Okutana derką twarz spoglądała w niebo. Matka usiadła u jego stóp, zwrócona twarzą ku jego głowie. Nogi zwisały jej z sań i robiły w śniegu bruzdy. Kilka kobiet ze zmarzniętymi nosami westchnęło i na pożegnanie rzuciło:

— Wyzdrowienia! Pełnego wyzdrowienia...

Sanie zaczęły się ślizgać po miękkim, niebieskim śniegu, zostawiając po sobie szerokie koleiny, jak dwa cięcia na żywym ciele. Im dalej się posuwały, tym stawały się mniejsze. A wieczór coraz bardziej nabierał koloru niebieskiego.

W domu zostało po Mojsze żelazne składane łóżko z wygniecioną i ogrzaną pościelą. Na podłodze wałały się wilgotne żdźbła słomy. Buteleczki z lekarstwami na parapecie zbiły się w kupę, bratersko tuląc się szyjkami jedna do drugiej. Pod stołem leżała jego spinka z perłowej masy i spoglądała na nas jak białe martwe oko.

*

W szpitalu wypompowano choremu wodę z boku. Z tego samego boku usunięto dwa żebra. Leżał w separacie z dwoma długimi oknami. Drzewo z pokręconymi u góry gałęziami огоłocone i nagie zaglądało do niego przez jasnoniebieskie szyby.

Do tego właśnie szpitala matka udawała się codziennie na noc. W domu Józia narąbała już wcześniej trochę drzewa i zapaliwszy pod płytą kuchenną rozniecała dmuchaniem ogień. Na ścianach leżał jeszcze ciężki, ciemny chłód. Ojciec przy słabym świetle małej lampy odmawiał kilka psalmów. Wtedy to właśnie matka wracała ze szpitala. Wchodziła cicha, milcząca. Oczy miała czerwone od niewyspania. Z miejsca podchodziła do kuchni i nachylała głowę pod okap, który przypominał chłopski kapelusz. Tu gotowała śniadanie dla ojca i tu pod okapem, nad garnkami po cichu i w ukryciu wypłakiwała się.

²*Mincha* — modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

³*goj* — nie-Żyd. [przypis edytorski]

Ojciec, zjadając kromkę chleba umaczaną w soli, zapytał:

— A więc jak tam, Frumet?

Matka nieco zgarbiła się, schowała głowę w ramiona i mówiąc jakby do garnków, odpowiedziała:

— On potrzebuje miłosierdzia!

Dzisiaj matka nie stała pod blaszanym okapem kuchennym. Koty za oknem widocznie zmęczyły się płaczem. Gdzieś w pustej ciemności pokoju słychać było krzątanie myszki. Łóżko w kuchni, na którym spała Józia, córka bednarza, trzeszczało. Myszka nie przestawała myszkować. Józki musiało coś spaść w pustą ciemność, bo rozległ się trzask glinianego garnka. Skurczyłem nogi i przysunąłem się bliżej do spoconych pleców ojca.

I nagle rozległo się gwałtowne, na trwogę bijące, pukanie do drzwi. Józka pobiegła otworzyć. Z impetem korka wysadzonego z beczki, wdarł się do pokoju rozedrgany krzyk:

— Lejzorku, Lejzorku, ty moja pociecho!

Chrapanie ojca natychmiast się urwało. Po prostu coś go zatkało. Otworzyłem oczy i zauważyłem matkę stojącą na środku pokoju. Kiwając się, raz po raz, chwyciła się rękami za głowę. Po chwili opuszczała ze zmęczenia ręce. Jakby chciała się pozbyć bólu, przed którym nie mogła się ukryć.

— Takie młode drzewo! Taka ministerialna głowa!

Teraz dopiero ojciec podniósł się z łóżka.

— Co się stało?

Zachrypnięty głos zaspanego ojca odbił się głuchym echem w pokoju.

— Nie ma go! Umarł!

I rozwarłszy ramiona na kształt krzyża, dodała:

— Umarł, Lejzorze kochany! Umarł mi syn!

Obok matki stała Józka w nocnej koszuli. Zwichrzone włosy jak runo czarnej owcy. Palcami obu rąk szczypała swoje policzki, jakby chciała z nich wyrwać żywe kawałki.

Podeszła do lampy i podkręciła knot. Drgające czerwone świetlne kółko na belce powiększyło się. Wyglądało jak potworne, wyrwane z orbity, oko. W pokoju hulał wiatr. Wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się szybko ubierać. Ojciec postawił na podłodze zimnego pokoju sine nogi i zaczął szukać onuc⁴. Za czterema małymi szybkami niebieszczało. I nagle w tej niebieskości pojawiły się obce twarze. Przegięta wpół kobieta w czerwonym, pierzem pokrytym, czepku nocnym. Przysunęła się do matki i schyliwszy głowę jak kurczę podczas drzemki wbiła wzrok w twarz matki. Sąsiadka z pierwszego piętra, kobieta krzykliwa, przybiegła w rozsznurowanych bucikach. Potem zjawił się rudy Fajwel ze swoim blaszanym dzbanem. Ten sam Fajwel, który codziennie napełniał nam garnek kwartą mleka prosto od krowy. Dzisiaj nikt nie wyszedł mu z garnkiem na spotkanie. Razem z nim wpakowały się do pokoju dwie zupełnie obce kobiety. Jedna wysoka rozglądała się po wszystkich kątach jakby coś lub kogoś zgubiła. Druga, w drucianych okularach, z zawiązanymi za uszami białymi wstążkami jak u dziewcząt, dreptała po pokoju niczym stara domownica. Jej wąskie, zapadnięte wargi szeptały coś do ojca.

Drzemiące oczy ojca patrzyły na nie z boku. Jego duża czarna broda powoli unosiła się w górę.

— Tak, tak — mówiła broda — syn Frumet, Mojsze, mój pasierb.

Tymczasem w pokoju zrobiło się już jasno. Lampki na komodzie nikt nie zgasił. Obca kobieta w okularach odezwała się, wskazując palcem na wiszący na ścianie zegar:

— Zegar stoi. Zatrzymał się...

W tej samej chwili drzwi się nagle rozwarły i do pokoju wpadła ciotka Miriam. Usta miała ściągnięte przez małe zmarszczki podobne do głębokich żyłek. Ostry, wąski nosek czerwieniał. Wszystko wydawało się dziwne. Ciotka Miriam przez całe życie mówiła cicho. Posługiwała się bardziej gestem, mimiką niż ustami. Uważała, że głośnie mówienie przystoi gojom. Żydzi — powiadała — powinni mówić cicho i spokojnie. Dowodem tego jest pramatka Rachela, która też była spokojna i z całą pewnością nie rozmawiała głośnie.

Tymczasem ciotka Miriam wpadła z hukiem do pokoju. Na jej ustach leżał już przerażliwy krzyk. Dostrzegłem go zawczasu w rozwartych żrenicach jej oczu.

⁴onuca — tkanina lniana (późn. bawelniana) w kształcie kwadratu a. prostokąta, którą owijano stopy, by chronić je przed zimnem i otarciami od obuwia; dziś onuce zastąpione zostały przez skarpety. [przypis edytorski]

Pogrążona w bólu matka siedziała na ławeczce z głową objętą rękami i widać było, że wyczuła w izbie obecność bliskiej osoby. I chociaż wzrokiem nie dostrzegła swojej siostry, to jednak zerwała się z ławeczki i wyciągnąwszy przed sobą ręce zarzuciła głowę do tyłu i lamentującym głosem zawołała:

— Siostró kochana, ratuj moje dziecko!

I ciotka Miriam jakby tylko czekała na zawołanie matki, wybuchła straszliwym, do szpiku kości przejmującym płaczem.

Ojciec stanął twarzą do okna. Szloch matki zdawał się teraz wydobywać nie z gardła, ale z jej ciężkich zamarzniętych szat. Nagle jakby ogluchła, zatrzymała się w środku pokoju. Zrobiło się cicho. Oczyma pełnymi łez rozglądała się dookoła.

— Frumet! Frumet! — zerwała się ciotka Miriam i jednym susem podbiegła do niej.

Matka widocznie jednak dobrze nie słyszała. W jednej chwili jakby urosła, stała się większa, nie do poznania. Nie ta sama kobieta, która przed chwilą była zupełnie załamana.

Zgromadzeni w pokoju ludzie zwarli się w kupę. Nad ich głowami unosiła się milcząca, z trudem hamowana zgroza.

Wśród tej ciszy matka zerwała się z miejsca i przypadłszy do szafy z ubraniami, jednym mocnym pociągnięciem otworzyła drzwi tak, jak, nie przymierzając, otwiera się w czasie próby drzwiczki Arki Przymierza w bóżnicy. I dopiero teraz rozpląkała się na nowo i na dobre.

— Do czego mi to wszystko jest teraz potrzebne, kiedy moje dziecko umiera? Ludzie kochani, bierzcie to!

I zaczęła szybko wyrzucać z szafy ubrania syna.

— Módlcie się za moje nieszczęśliwe dziecko! Proście Boga, żeby unieważnił wydany na nie wyrok śmierci!

Ojciec przybliżył twarz do zamarzniętych szyb okna. „Kochani ludzie” zaczęli brać pozostałe po Mojsze rzeczy. Szafa była już prawie pusta. I wtedy matka z podniesionymi rękami, jakby niosła w nich chłopca do uroczystości obrzezania, wybiegła z domu. Z otwartej szafy wiała opróżniona ciemność. Ojciec odstąpił od okna i przykręcił knot w lampie. Józia, córka bednarza, nagle przystąpiła do mnie. Objęła mnie swoimi dużymi ciepłymi rękami i cichym głosem powiedziała:

— Biedny, biedny chłopczyku...

Obcy ludzie jeden za drugim zaczęli po cichu wychodzić z domu. W pokoju czuć było zapach czczych żołądków. Ojciec jak zwykle rano zasiadł do odmówienia psalmów. Z tą tylko różnicą, że dzisiaj szybciej się rozkołysał i rozkiwał. Później kilka razy powtarzał jedno i to samo słowo. Jego głos przypominał muchę bzyczącą na szybie. Na niskiej belce głowa ojca w świetlanym kółku od lampy miotła się to w górę to w dół. Przypominał rozmazaną plamę jakiegoś dziwnego stwora.

Strasznego jednak wyroku śmierci Bóg nie odwołał. Mojsze niestety umarł.

Kiedy przybiegłem do szpitala czarna brama była zamknięta. Dwaj wysocy Żydzi z gęstymi brodami przemawiali jakiemuś gojowi do rozumu. Kilka kobiet tupąło nogami na śniegu. Kudłaty, liniejący pies obwąchiwał poły płaszczy Żydów.

Po chwili zjawił się Szmuel, mąż ciotki Miriam. Z rozłożonymi jakby od niemocy rękami, podszedł prosto do rozmawiających z gojem Żydów i swoim donośnym głosem pijaka i obżartucha zawołał:

— Umarł! no, macie pojęcie?

Obaj wysocy Żydzi odwrócili ku niemu swoje brody i oczyma pełnymi zdumienia zmierzili go od stóp do głów. Mnie nagle zachciało się kopnąć liniejącego psa. Wuj Szmuel wydał grube, wyblakłe wargi, cmoknął i raptem, jakby zupełnie zaskoczony, zauważył mnie:

— I ty także tu jesteś? Kto cię tu przysłał?

A kto jego przysłał? Do czego był tu potrzebny ze swoim pijackim głosem? I zaczął biegać tam i z powrotem pod czarną bramą, spluwał na śnieg, zatrzymywał przejeżdżające furmanki chłopów, macał worki ze zbożem, pytał o cenę, chociaż nigdy ziarnem nie handlował. Nie wiedział nawet, czy zboże rośnie na polu, czy też na drzewach w lesie. Tymczasem nadszedł ojciec. Zbliżał się powolnym ciężkim krokiem. Zaraz po nim nadjechała dorożką ciotka Noemi z wujem Ben-Cijonem. Wuj Ben-Cijon był mały i okrągły

jak wypchana poszwa. Nie mógł wykaraskać się z dorożki. Dlatego ciotka Noemi, kobieta o delikatnych wargach i zachowaniu wskazującym na osobę wykształconą, podała mu ramię. On oparł się o nie i dopiero w ten sposób zlał z dorożki.

Na chwilę zatrzymał się. Wypiął okrągły brzuch, rozejrzał dookoła i przez syte, czerwone wargi wydymał słowa:

— Zimno... masz pojęcie, co za mróz! Ile też stopni może być dziś?...

Nikt mu nie odpowiedział. Kudłaty pies zaczął obwąchiwać kalosze Ben-Cijona. Ten odsunął się od psa i zawołał:

— A pójdziesz!

Pies pokornie spuścił łeb i przylaź do mnie. Wystawił na pokaz wilgotne ciepłe oczy, pokręcił smutno ogonem i gdyby mógł mówić, to zapytałby:

— Twój brat umarł. Dlaczego więc wujowi Ben-Cijonowi jest zimno?

Nim się spostrzegłem, zaczęło zmierzchać. Stado wron uniosło się w górę i uleciało w chmury. Po obu stronach szosy leżał śnieg. W jednym miejscu widniały czarne pasy, w drugim niebieskie, a gdzieś tam białe-czerwone. Naprzeciw szpitala, na ganku karczmy stały dwie tęgie, ubrane w kożuchy dziewoje i głośno przekomarzały się z dwoma pochylonymi cieniami mężczyzn.

I oto otworzyła się czarna brama szpitala. Dwa zmęczone, kołyszące się końskie łby wystawiły dwie pary czarnych uszu. Za długimi, zapuszczonymi ogonami koni kołysała się wąska fura, którą ojciec obejmował swoimi długimi ramionami. I raptem rozkołysał się tłum mężczyzn czarnych, ruchliwych, w rozchełstanych kapotach. Jak ptaki nagle wyrwane ze snu biegly rozproszone kobiety. Popędzały się i bez przerwy poprawiały szale na ramionach. Matka i ciotka Miriam szły tuż za mężczyznami. Obie z głowami odrzucenymi do tyłu. Obie ledwie żywe. Obie z otwartymi ustami. Wuj Ben-Cijon z ciotką Noemi jechali w dorożce do samego końca. Pies szedł obok mnie, patrzył na swoje łapy. Raz po raz z wilgotnego pyska wydobywało się głośnie warczenie.

Pogrzeb, Obyczaj

Jakaś kobieta nachyliła się nade mną i miłym głosem powiedziała mi, że chłopcy, których rodzice żyją, nie powinni chodzić na cmentarz.

Dziecko, Obyczaj

Toteż doszedłem w kondukcje tylko do „trzech drzew”. Stanowiło to połowę drogi. Karawan, który zlał się z tłumem w jedną wielką czerń, posuwał się dalej po szosie na miejsce wiecznego spoczynku.

W drodze powrotnej do domu nikt mi nie towarzyszył. Tylko ten obcy kudłaty pies kołysał się u moich nóg i warczał.

Przy drzwiach naszego domu on pierwszy się zatrzymał i nastawił uszy. Czyżby wiedział, że ja tu mieszkam?

Ja również zatrzymałem się i w nastawione uszy psa rzuciłem pytanie:

— Jak się nazywasz? Burek?

Pies odrzucał łeb raz w jedną, raz w drugą stronę. Wyglądało na to, że odżegnuje się od takiego pospolitego imienia jak „Burek”. Rzuciłem wtedy jeszcze kilka psich imion jak „Łapa”, „Bukiet”.

— Nie! — pies ruchem łba znowu zaprzeczył. Zrobiło mi się zimno.

Ciężki płaszcz ściągnął mi ramiona w dół. Po raz ostatni krzyknąłem do ucha psa:

— Dobranoc, psie!

Pies parsknął, położył się na śniegu i wystawił dwie łapy w stronę naszego domu.

*

Kiedy wszedłem do domu, Józia siedziała w kuchni. Była sama. Na małym stoliku, na którym stała lampa naftowa, oparła objętą rękami twarz i zmęczonymi oczyma wpatrywała się w czerwono-niebieski płomycek.

Na mój widok ręce jej opadły i wyprostowawszy się na cały wzrost zawołała:

— Już po pogrzebie?

— Nie. Jeszcze nie.

— Nie poszedłeś razem z konduktem?

— Nie. Doszedłem tylko do „trzech drzew”.

— Jesteś głodny? Tak?

— Nie. Nie jestem głodny.

— A nie zimno ci? Podejdz tu. Usiądz!

Wzięła mnie tak jak się bierze worek z watą albo z pierzem i posadziła obok siebie. Objęła mnie swoimi dużymi wygrzаныmi rękami i prosto w twarz mi szepnęła:

— Ogrzej się! Dobrze się ogrzej!

Ciepłym oddechem dmuchała w moje zeszywniałe od zimna ręce.

Przytknęła je potem do swoich ust, po czym nie przestała ocierać moich rąk o własne.

— Możesz się położyć?

Nie wiem, czy odpowiedziałem coś na jej pytanie. Zostawiła mnie siedzącego przy stoliku i sama weszła do pokoju, aby pościelić łóżko ojca. Potem rozebrała mnie i położywszy do łóżka nakryła pierzyną po samą szyję. Usiadła u moich nóg, tak jak to niegdyś czyniła moja matka, kiedy byłem chory na szkarlatynę.

— Wkrótce chyba przyjdą. Nie wiesz, kiedy? — raptem zapytała mnie Józia.

— Po pogrzebie przyjdą.

— Kiedy będzie po pogrzebie?

— Nie wiem.

Józia weszła na chwilę do kuchni. Słyszałem, jak majstruje przy zamku do drzwi. W pokoju było już dość ciemno. Tylko od kuchni ciągnęło się pasemko światła, które przełamywało się w środku izby.

Józia wróciła z kuchni i usiadła na łóżku, ale już nie u moich nóg. Buchało od niej zapachem gorącego potu. Czułem jego słodkość pod podniebieniem i w nosie. Takiego ludzkiego zapachu jeszcze nigdy nie odczułem.

— Jest ci ciepło? — zapytała, przybliżając do mnie swoją dużą twarz.

— Trochę — odpowiedziałem, czując jak zapach Józii wdziera się w moje gardło, a z niego powoli przenika do moich trzewi.

— Zaraz. Wnet ci będzie całkiem ciepło.

Usłyszałem jak od podłogi odbiły się echem dwa głuche stuknięcia. To Józia, widocznie, zrzuciła jeden pantofel za drugim.

— Zaraz... wnet... — zaskrzeczał jej zachrypnięty głos.

Na pół zaspanymi, zmarniętymi i zmęczonymi oczyma widziałem, jak Józia zdejmując z siebie czerwony kaftan, jak rozsznurowuje barchankę. Widocznie wstążki wokół barchanki poplątały się. Oddech Józii stawał się ciężki. Zaczynała sapać. I sapiącym głosem rzuciła w przestrzeń:

— Psia krew, cholera...

Nie trwało to jednak długo. Pierzyna nade mną nagle się podniosła i za chwilę poczułem obok siebie ogromne, wygrzane ciało Józii. Zrobiło mi się ciasno w gardle. Ze strachu zapewne albo wskutek zaskoczenia przysunąłem się do ściany.

— Przysuń się tu, bliżej mnie...

I przyciągnąwszy mnie do siebie, dodała:

— Tu będzie ci ciepło. Podaj ręce. No? Prawda, że ciepło?

— Ciepło...

— Przytul głowę tu,... prawda, że ciepło?

— Ciepło...

— Wargi masz takie zimne, mój chłopczyku, odmroziłeś je sobie, biedaczysko!

Skurczyłem nogi. W łóżku zrobiło się ciasno. Nie rozumiałem dlaczego. Przecież zawsze śpię z ojcem i nigdy nie było mi ciasno. Dlaczego raptem zrobiło się ciasno? Dlaczego ciało ojca tak nie parzy? I dlaczego ja się stałem jakiś inny? Czy dlatego, że jej wargi nie przestają ogrzewać moich?

Jak i kiedy zasnąłem — nie wiem. Nie słyszałem, jak Józia wyszła z łóżka. Nie słyszałem też, jak i kiedy wrócili rodzice.

Kiedy otworzyłem oczy, ojciec już siedział na łóżku i wciągał na nogi buty z cholewami. Matka opatulona w gruby szal przycupnęła na małej ławeczce i zaczęła się kiwać na wszystkie strony. W kuchni Józia porąbała kilka drewniek. Uderzenia siekierą były szybkie. Tak jak gdyby Józia chciała wyładować na kimś swój gniew.

Ano właśnie Józia. Co było z Józią? Skąd naraz się wzięła do rąbania drzewa? Przecież dopiero co ogrzewała moje wargi. A tu siedzi ojciec na łóżku odwrócony do mnie plecami. Matka kołysze się na dziecięcej ławeczce, a Józia jest właśnie w kuchni. Już dnieje. Na szarych, od lat niebielonych ścianach osiadła zielona, zaspana jasność.

Z grubego szkła w oknie ciągnie się mały niebieskawy płomyk. Tymczasem ojciec zdążył wciągnąć oba buty. Żółty mały tałes-kuten⁵ marszczył się na jego plecach jak świstek papieru ze świętych ksiąg. Obrócił ku mnie brodę i powiedział:

— Wstań. Czas przystąpić do modlitwy.

Sam zaś wsadził ręce do rękawów starego cajgowego chałata i wyszedł z domu.

Niedługo kazał na siebie czekać. Wrócił razem z dwoma małymi Żydami, którzy ze zdziwieniem rozglądali się po obcym mieszkaniu. Ojciec zostawił ich w środku i znowu wyszedł z domu. I tak kilka razy postąpił, aż nasze mieszkanie wypełniło się ludźmi, odzianymi w powszednie, zimne kapoty i ze zmierzwionymi, nieuczesanymi brodami.

Od okna do ściany i od ściany do okna rozchodziło się szybkie mruczenie. Na komo-dzie i na szafie załamywały się spłaszczone kontury cieni, które przesuwają się również w górę aż pod belkę sufitową. Jakby im za ciasno było w izbie.

Matka ze swoją ławeczką przysunęła się do pieca. Józia od czasu do czasu stawała w otwartych drzwiach z wiązką drewna w rękach. Wcisnąłem się między zimne kapoty obcych Żydów i bałem się patrzeć tam, gdzie stała Józia. Frędzle od tałesów ciągnęły się i wiły po podłodze niczym białe robaki. Żyd o głodnym głosie rozkołysał się nad stołem i głośno połykał słowa.

Ojciec, który stał u mego wezglowia położył na moim ramieniu pięć palców i pokazywał mi oczami tekst w modlitewniku:

— No, tu...

Po modlitwie Żydzi zaczęli powoli się rozchodzić. Mocno zabłocone buty nieprzyjemnie człapały po podłodze. Przechodzili obok ławeczki matki i coś tam jej do ucha pomrukiwali.

W pokoju unosił się zatęchły zapach starej waty i zużytych ubrań. Na stole wały się dwa rozrzucone tałesy z poźółklymi frędzlami. Ojciec spokojnie odwiązał tefilinowe⁶ wytłuszczone, twarde rzemyki z sonej zimnej ręki.

Ścisła żaloba zwana sziwa⁷, trwała siedem dni. Mama prawie nie wstawała z ławeczki. Józia skoro tylko uporowała się z rąbaniem drzewa i zapaleniem pod fajerkami, również przycupnęła na podnóżku i tak samo jak matka kołysała się i kiwała.

Ciotki, które wieczorem przychodziły pocieszać żałobników, przynosiły ze sobą milczenie śniegu na dworze. Zatrzymywały się w domu jakby na „tymczasem”, na pół sennie. Nie zdejmowały płaszczy. Nie odzywały się słowem. Posiedziały i nie pożegnawszy się ścigały ramiona i szybko opuszczały pokój, wracały do swoich domów, w których nikt nie umarł i w których nikt nie odsiaduje żaloby.

Tylko dwaj wujowie dali o sobie znać. Wuj Szmuel z rozbieganymi rękami nie mógł wybaczyć Mojsze, że ten „wziął i umarł”. Drugi, Ben-Cijon, ciągle wycierał swoje pulchne rączki i nie przestawał wnosić pretensji do Pana Boga:

— Masz pojęcie jaki mróz mamy... Węgiel w cenie złota już jest! Powiadam ja do mojej żony...

Ale w tym miejscu ciotka Noemi przymknęła swoje ciche oczy i trochę pod nosem, modulując głos w sposób charakterystyczny dla osoby zamożnej oświadczyła:

— Ben-Cijonie, a może byśmy już sobie poszli? Co Ben-Cijonie?

ROZDZIAŁ II

Skończyły się wizyty ludzi, którzy przychodzili pocieszać nas w żalobie. Na komo-dzie pojawiała się fotografia Mojsze, oprawiona w ramkę. Na tej fotografii Mojsze nie miał już okrągłej twarzy ani wyszczypanych policzków. Na martwym papierze stał chudy młodzieniec o bladej i przerażonej twarzy. Jedna ręka biała, druga czarna. Jakby ją trzymał w gumowej rękawiczce. Patrzył na bok, sztywnym obcym wzrokiem jakby nikogo w tym pokoju nie poznawał.

Portret

⁵tałes — modlitewny szal; wełniana, biała chusta w czarne lub niebieskie pasy, nakładana przy odmawianiu porannej modlitwy oraz podczas niektórych świąt [przyp. WL: tałes-kuten to rodzaj koszuli noszonej na co dzień pod ubraniem, podobnie jak tałes zaopatrzonej we frędzle *cicit.*]. [przypis tłumacza]

⁶tefilin a. filakterie — dwa skórzane pudełka zawierające pergaminowe kartki, na których napisane są cytaty z Biblii; jedno pudełko nakłada się podczas porannej modlitwy na lewe przedramię, drugie przytwierdza się do czoła. [przypis tłumacza]

⁷sziwa — siedem dni ścisłej żaloby po zmarłym. [przypis tłumacza]

W owych dniach pokazała się w naszym domu jeszcze jedna fotografia. Nadeszła z Jekatierynosławia, miasta, w którym odbywał służbę w carskim wojsku Lejbke, syn ojca z pierwszego małżeństwa.

Lejbke to człowiek w niczym niepodobny do Mojsze. Zupełnie inny wygląd, zupełnie inna postawa. Wysoki, z ostro przyciętymi wąsikami. Na głowie czapka bez daszka. Szlify i guziki. Siedzi obok stolika. Zacięta twarz. Oczy rozwarte. Wnikliwy wzrok. Jakby z daleka zobaczył nadciągającego w pełnym uzbrojeniu nieprzyjaciela.

Ojciec przysunął bliżej lampkę i zaczął wpatrywać się w fotografię Lejbke. W trakcie oglądania zdjęcia czarna broda ojca rozciągnęła się na dwie części. Na jasną część i na ciemną część. Między jasnością a ciemnością migał koniuszek języka, który ojciec z zdjęcia wystawił.

— I co powiesz o moim Lejbke? — przemawiał ojciec do fotografii.

Przesunął zdjęcie trochę do tyłu, potem znowu do siebie:

— Oficer pełną gębą. Dosłużył się za Iwana.

Chciał, żeby jego słowa usłyszała mama, żeby się odezwała i podzieliła jego zdanie, że Lejbke wyrósł na wielkiego człowieka. Mama jednak fotografię zdążyła już obejrzeć wcześniej. Zdążyła się już wypłakać patrząc na zdjęcie swego syna Mojsze. Wytarła nos i westchnęła:

— A mój Mojsze leży w ziemi. Biedaczysko.

Teraz, kiedy tato zapytał, co sądzi o Lejbke, pochyliła tylko głowę, pociągnęła nosem i nic nie powiedziała.

Ojciec nie należał do osób gadatliwych. W jego na pół zaspanych oczach zawsze tkwiła głucha cisza. Nigdy człowiekowi w oczy nie patrzył. Patrzył tylko na usta, jakby nie miał zbyt dużego zaufania do jego słów. Mama uważała, że jest nieco głuchawy i dlatego mówiła do niego głośniejszym głosem niż do innych osób. Ojciec lubił przechadzać się po pokoju w ciepłym trykotowym swetrze. Lubił zawsze coś robić w domu. Coś tam naprawiać. To reperował ławeczkę, to nakręcał zegar. Wtem zatrzymał się w środku pokoju, popatrzył na mamę swoimi na pół drzemającymi oczyma i zawołał:

— Czego krzyczysz? Czym głuchy?

— A co? Nie głuchy jesteś?

Zdecydowanym głosem mama zawyrokowała, że tato jest głuchy i koniec.

Tato podszedł bliżej do mamy, która siedziała na moim łóżku. W jego oczach tliła się niepewność, jaką odczuwamy, kiedy spotykamy człowieka i nie wiemy, czy go znamy czy nie.

— Jakoś dzisiaj mówisz całkiem cicho — powiedział do niej.

— Nic nie mówię, kto twierdzi, że coś mówię?

— Ale przecież coś powiedziałaś.

— Nic nie powiedziałam. Daj spokój!

Tato patrzył na usta mamy. Głucha cisza tłąca się w jej oczach pokryła się cieniem. Mama wyglądała teraz na obcą, nietutejszą osobę.

Wtedy tato popatrzył na mnie i powiedział:

— Trzeba do niego napisać list. Do Lejbke, ma się rozumieć. Do Jekatierynosławia trzeba napisać.

Chciał przez to powiedzieć, że gdyby sam umiał pisać, to by jeszcze dzisiaj napisał liścik do Lejbke. Ale z napisaniem listu trzeba się zwrócić do mamy, bo nie ma innego wyjścia, jak tylko zaczekać, aż mama będzie skłonna to uczynić.

Tymczasem ojciec włożył fotografię do szuflady komody, gdzie leżała czysta pościel. Od czasu do czasu, zwłaszcza w wieczory pożegnania soboty, wyjmował z szuflady fotografię — na nowo ją oglądał i na nowo sobie przypominał, że trzeba napisać list do Jekatierynosławia. Ale mama nadal nie była w nastroju do pisania, nadal jeszcze nie miała głowy ani do męża, ani do jego syna Lejbke.

Zima owego roku była długa i ostra. Studnia głębinowa na podwórzu obwieszona była nabrzmiałymi sopłami lodu, przypominającymi ciężkie kawałki odlanego szkła. W rynsztokach zamarzyły wylane podczas nocy pomyje i inne nieczystości. Kłódka na drzwiach domu srebrzyła się bielą i śliskością. Ściany kuchni, w której spała Józia, błyszczwały wieczorem niebieskawo-zieloną wilgocią. Taka sama wilgoć obsiadła ścianę, przy której

stało łóżko ojca. Nie pomógł piecyk z zardzewiałymi, ciągnącymi się aż do belki pod sufitem rurami, który stał w środku pokoju. Nie pomogła glina, którą zapchano wszystkie szpary przy oknie. Nie pomogła nawet wata, która przez całą zimę leżała wilgotna między podwójnymi szybami.

Ojcu to jednak nie przeszkadzało. Spał mocnym snem zmęczonego człowieka. O czwartej nad ranem zaczynał się ruszać, gotów do wstawania. A wstawał tej zimy tak wcześnie, bo zawarł spółkę z pewnym Żydem, który nazywał się Motl Sztroj. Był ów Motl mężczyzną wysokiego wzrostu, z ruchliwym jabłkiem Adama, szpiczastą, rzadką bródką i długimi, cienkimi, ruchliwymi rękami.

W ciągu całego swego życia Motl Sztroj obracał się wśród chłopskich furmanek, obmacywał worki zboża, żuł słomę, wpadał od czasu do czasu do garkuchni Mordechaja na ćwiartkę gęsi i układał w długim, skórzanym portfelu banknoty. Tak długo je układał, aż przyszedł do ojca z propozycją utworzenia wspólnego interesu.

— Tak się składa, że jest do nabycia — oświadczył — duży magazyn słomy. Dobrej słomy.

Motl włożył w interes pieniądze, a mój ojciec doświadczenie i znanstwo przedmiotu. Pieniądzy, jak wiadomo, ojciec nie posiadał. W Nowym Młynie, w tamtej wsi, z której ojciec przybył do miasta, rozciągały się duże rozgrzane pola, otoczone niebieskimi, zaciemnionymi lasami. Chatki w Nowym Młynie były drewniane, prymitywne, złożone z nieheblowanych desek. Dachy kryła słoma, a podłogi ulepione były z gliny. Pożywienie chłopów to zazwyczaj zsiadłe mleko, przechowywane w glinianych garnkach. Płaskie bochenki chleba, wypieczone we własnych piecach, uzupełniały posiłek. Latem wieśniacy kąpali się w rzece, sypiali pod stogiem siana i wpatrywali się w polną dal. Być może właśnie w tej wsi ojciec poznał się na sianie.

I zaczęło się po śmierci Mojsze nowe życie w naszym domu. Życie według nowego porządku.

Noc leżała jeszcze senna na zamrzniętych szybach, kiedy ojciec się budził. Przez zimny, ciemny pokój raz po raz przedzierało się głośnie ziewnięcie obudzonego ojca. Obróciłem się twarzą do migocącej błękitem ściany i czekałem z niecierpliwością, aż ojciec postawi nogę na podłodze, bo wtedy stanę się panem całego łóżka. Ojciec jednak czekał na jakiś sygnał, na znak, który by go wyciągnął spod ciepłej pierzyny.

I sygnał się rozległ. Codziennie rano, o tej samej porze, dało się słyszeć stukanie palców w szyby i zachrypnięty od zimna głos:

— Panie kupiec! Panie kupiec?

To wołał stary Mateusz, furman, z którym ojciec jeździł po wsiach, żeby skupować siano u dziedziców. Rozstękał się ojciec ciężko, nim opuścił nogi z łóżka na zimną podłogę. Przekręcił knot w lampie. W czerwonym blasku płomyka, który mrugał jak obudzone nagle oko, ojciec zmagął się z nogą, która od wielu lat przysparzała mu cierpienie z powodu niezagojonej rany. Ojciec przykładł do rany szczypior z cebuli, która rosła w glinianym garnku na parapecie naszego okna.

Uporawszy się z nogą, ojciec kilka razy westchnął, ziewnął i dopiero wtedy przypomniał sobie, że na dworze czeka stary Mateusz. Podeszedł do drzwi, otworzył je i wpuścił starego do pokoju.

Chłop wszedł do izby. Wysoki, siny na twarzy, odziany w poźółtki, śmierzdzący kożuch, z batem w ręku. Wyglądał jak strach na wróble.

Stanął i czekał, aż „pan kupiec” będzie gotów do wyjazdu.

„Pan kupiec” tymczasem umył się nad wiadrem z pomyjami, po czym zaczął się głośno modlić.

Matka wila się i kręciła na łóżku, niczym robak w piasku.

Wcisnęła głowę w poduszkę i wzdychała:

— Cholerne interesy mojego męża. Nie można zmrużyć oka.

Ojciec jednak nie słyszał tego. Józia, córka bednarza, wystawiła swoją czarną, owczą głowę spod koldry. Wyciągnęła nagie ręce i leniwym wypoczętym głosem zapytała chłopca:

— Ojczulku, masz syna?

— Jasne, że mam — odpowiedział Mateusz, odwracając twarz ku łóżku Józii.

— A młody ten twój syn?

— Młody. Pewnie, że młody.

— To pošlij go tu ojczulku. Nie zapomnij!
— On już ma żonę. Nie potrzebuje drugiej.
— I co z tego, że ma żonę? Ja też mogę nią być.
Ojciec krążył po izbie i głośno odmawiał modlitwę.

Rozmowa Józki z chłopcem nakładała się na modlitwę. Łóżko mamy zaczęło głośno skrzypieć:

— Lejzorze! Lejzorze! A może by trochę ciszej?

Ale i tego ojciec nie usłyszał. Zanim zamknął za sobą drzwi, matka nieraz obróciła się w łóżku i nieraz wspominała pierwszego męża, u którego w domu klamki przy drzwiach były z mosiądzu.

Po wyjściu ojca z domu, zaległa uspokajająca cisza. Taka jaka nastaje po przejeździe wozu po kocich łbach. Lampka dalej się paliła. Matka po raz ostatni westchnęła z ulgą. Ja zaś w półśnie słyszałem:

— Młody? Przyslij go tu ojczulku...

Domyśliłem się, o co Józki chodzi. Stał mi przed oczami ów wieczór, kiedy Józka zaczęła mnie ogrzewać. Od tego wieczoru minęło już sporo czasu. Wyglądało na to, że Józka całkiem zapomniała o mnie. Wiele razy wracałem do domu, zeszywniały niemal od chłodu. Wracałem, kiedy w domu nie było ani ojca, ani matki, a Józka siedziała sama przy stole w kuchni i nieruchomymi oczyma wpatrywała się w drżący płomynek lampy. Musiałem sam wykaraskać się z szarego, żołnierskiego baszłyku⁸. Sam musiałem poszukać sobie na płycie cośkolwiek do jedzenia. Nawet łóżko musiałem sam ścielić, Józka nie zauważała mnie.

Pewnego razu jednak i chyba był to ostatni raz, Józka przywołała mnie do siebie:

— Podejdz no, mały — powiedziała i odwracając oczy od lampki, ustawiła mnie wśród fałdów swojej barchanowej sukni. Przechyliła swoją twarz do mojej i otarłszy swój nos o mój, ochrypłym głosem zapytała:

— Opowiedziałeś matce?

— Nie. Nic nie powiedziałem.

— Na pewno?

— Na pewno!

— Przysięgnij!

— Żebym tak żył!

Moja twarz znalazła się w jej obu rękach.

— Chcesz, żebym cię pocałowała?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Znowu zrobiło mi się ciasno.

— Chcesz tak jak wtedy? Tak?

Nie czekając na moją odpowiedź raptem przykręciła knot w lampie. W ciemności szybko ściągnęła ze mnie ubranie. Zrozumiałem, że mam się cicho zachowywać.

— Tu, u mnie będzie ci ciepło.

Głos Józki stał się bardziej ochrypły i ręce jej bardziej ciepłe.

— Chodź tu mały. Dzisiaj po raz ostatni. Wyprowadzam się bowiem od was. Nie opowiedziałeś matce?

— Nie... — powiedziałem zdławionym głosem, z twarzą przytuloną do jej ciała.

— Twoja matka kazała mi się wyprowadzić. Na pewno jej nic nie powiedziałeś?

— Na pewno!

— To dlaczego matka każe mi się wyprowadzić?

— Nie wiem.

Więcej nie mogłem mówić. Moje ciało płonęło. Ostry ból przenikał mnie od głowy do nóg.

— Nie gryź — krzyknęła. I śmiejąc się, przysunęła wargi do moich:

— Cha, cha... jesteś już duży. Całkiem duży...

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje, ale pragnąłem, żeby ból, który odczuwałem trwał jak najdłużej.

⁸baszłyk — kaptur z długimi końcami do wiązania. [przypis tłumacza]

I nagle powstała we mnie pustka. Taka próżnia. Coś ze mnie odeszło. Coś zostało ode mnie odejęte. W sercu czułem żar. Wydawało mi się, że wycięto mi z ciała kawałek żywego mięsa.

— Czemu płaczesz, głupi cielaku? Taki duży chłopak już nie płacze. Ano, podejdz, chodź tu, psiaku jeden...

Zacisnąłem zęby. Wyrwałem się z jej rąk i stoczyłem się z łóżka na podłogę. Dopiero wtedy rozplakałem się na dobre.

Józia z powrotem odkręciła knot w lampie i zrobiło się jaśniej. Jej owcza głowa stała się dwa razy większa niż zwykle. Rozwichrzona, rozchelstana i zmieszana stała nade mną i szybko wciągała na siebie barchanową kieckę. Niecierpliwie wiązała wstążki sukni i rzuciła w ciemną przestrzeń pokoju:

— Więcej nie będę się z tobą bawiła. Jesteś jeszcze głupi szczylek. Ale uważaj, jeśli komuś powiesz... — pogroziła pięścią.

Drżałem ze strachu i kiwnąłem głową na znak, że nikomu nie powiem. Mama późno wróciła do domu. Nie byłem w stanie zjeść kolacji. Matka widocznie miała własne kłopoty, bo nie zapytała nawet, dlaczego nie chcę jeść. Prawie, że mnie nie dostrzegła. Na fajerkach kuchni stały zimne, puste garnki.

Ojciec wrócił jeszcze później. W połach płaszcz przyniósł do domu zacinający wiatr. Długo mocował się ze ściąganiem butów. Miał przy tym wykrzywioną twarz i głośno wzdychał.

We mnie płacz jeszcze nie przebrzmiał. Matka, zdaje się, coś zauważyła. Przysiadła się do mnie na łóżku. W półśnie, w jakim już trwałem, usłyszałem, jak powiedziała do ojca:

— Zdaje się, że Mendel ma gorączkę.

— Gorączkę? — powtórzył ojciec, nie przestając się mocować z butami.

— Kiedy ma się gorączkę, to znak, że chory... Podaj mi szczypior.

Więcej już nie słyszałem, ale kiedy ojciec włożył do łóżka, obudziłem się i obróciłem twarzą do ściany. Bałem się, że ojciec odczuje zmianę, jaka zaszła w moim ciele.

ROZDZIAŁ III

To, że mama owego wieczoru niczego nie zauważyła i nawet nie zapytała mnie, dlaczego nie chcę jeść, miało widocznie swoją przyczynę. Pomyślałem, że mama była zaabsorbowana poważnym kłopotem. Mówiły o tym wyraźnie jej zamknięte usta i oczy, w których tlił się niepokój i niepewność.

Miałem rację, później kłopot mamy wypłynął na powierzchnię, tak jak oliwa na wodę.

Na dworze padał śnieg. Tego wieczoru ojciec przyszedł do domu wcześniej niż zwykle. Wszedł do mieszkania obrosły pulchną bielą śniegu. Wyglądał jak pierzyna. Na brodzie, na wąsach, na zmarszczkach pluszowej czapki i na obu ramionach leżały grudki śniegu.

Matki nie było w domu. Od śmierci Mojsze nie mogła usiedzieć w domu. Dniami i wieczorami przesiadywała u sąsiadki albo u cioci Miriam, którym bez przerwy opowiadała o cudownych zaletach syna.

Otóż owego zimowego wieczora, kiedy ojciec wrócił wcześniej do domu i zastał w kuchni puste, zimne garnki i mnie, który dopiero co przyszedłem z chederu i nie zdążyłem jeszcze uwolnić się od żołnierskiego baszłyka, powiódł oczami po ciemnych i wilgotnych ścianach, po Józi, która klęczała przy otwartym kuferku. Mimo zmęczenia jakby otrzeźwiał i suchym głosem zapytał:

— A gdzie się podziała moja żona?

— Pani Frymet nie ma w domu — odpowiedziała Józia.

— Że jej nie ma, sam widzę. Dokąd jednak poszła?

— Nie powiedziała mi.

— A może jednak jest tu gdzieś?

— Nie, jeszcze rano wyszła z domu.

— Jeszcze rano? Dokąd mogła pójść?

— Skąd mogę wiedzieć — odpowiedziała ze złością Józia.

Ojciec machnął ręką i zaczął zdejmować płaszcz.

— A ty, Mendel, dopiero co wróciłeś z chederu?

— Tak.

- Jadłeś już coś?
- Nie. Jeszcze nie.
- Jesteś głodny?
- Niespecjalnie.
- A gdzie mama?
- Zapewne u ciotki Miriam.
- A może byś tam pobiegł?

Drobnostka. Ciotka Miriam mieszka na drugim krańcu miasta, przy koszernych jatkach. Żeby się tam dostać, trzeba było najpierw przejść przez okrągły rynek, przez uliczkę Szewców, ulicę Warszawską i dopiero przy gojowskim szpitalu wyjść naprzeciw domu ciotki.

Ale do ciotki Miriam zawsze chodziłem chętnie.

Mieszkała w samotnie stojącym drewnianym domku, objętym z czterech stron światem wiatrem i niebem. Podłoga w domku ciotki była żółta, myła ją bowiem trzy razy na tydzień. Na ścianach błyszcząły miedziane brytfanny. Szklany kredens zawsze pełen był czterofuntowych bochenków chleba, suszonych farfelków⁹ i starego pińczowskiego sera. Stał otworem dla wszystkich, którzy przychodzili do ciotki w odwiedzinach.

Nic dziwnego więc, że znowu zawiązałem żołnierski baszłyk i wyruszyłem w drogę do ciotki Miriam.

Na dworze leżały zasypane śniegiem. Szedłem krokiem cichym i spokojnym. Jak człowiek, który boi się obudzić ciężko chorego.

Miałem pójść przez uliczkę Szewców. Tam jednak chodnik był wąski i kręty. Po jednej stronie niskie daszki nad pochylonymi, pojedynczymi domkami, po drugiej stronie ogołocone kamienie z ogromnymi kawałkami wapna.

W tej kamienicy, w małym mieszkaniu z czerwonymi drzwiami, mieszkała Dobrele, kobieta, która wróciła z Buenos Aires. Miała twarz okrągłą, żeby tak rzec, koszerną, mleczną. Zawsze nosiła czarny, z szerokim rondem kapelusz. O Dobrele opowiadano, że po powrocie z Argentyny stała się kobietą pobożną. Myje ręce i odmawia błogosławieństwo nad każdym piorunem. Panowie dziedzicowie zjeżdżają do niej w karetach, a kiedy idzie z nimi do łóżka, to odmawia *Krias Szma*¹⁰. Dobrele jednak miała oko na chłopców z chederu. Kiedy nastaje wieczór, a karety z dziedzicami nie zajeżdżają pod jej dom, Dobrele wychodzi z domu, staje w drzwiach i wciąga chłopców chederowych do mieszkania, gdzie odmawia z nimi *Krias Szma*.

Uznałem za stosowne ominąć dziś uliczkę Szewców i pójść dłuższą ulicą: Spacerową. Tu śnieg padał ciszej i tu był bardziej niebieski niż na okrągłym rynku. Przy wąskim, strzelistym niemieckim zborze, który stanął właśnie tu wśród sadów i ogrodów, zobaczyłem człowieka, który klęcząc z pochyloną twarzą ku śnieżnej ziemi, nieustannie się żegnał znakiem krzyża.

Do ciotki Miriam było jeszcze daleko. Przed moimi oczyma wyrósł nagle budynek ogrodzony wysokim, murowanym parkanem. Było to więzienie. Przed parkanem paradował tam i z powrotem żołnierz w kozuchu, z karabinem na ramieniu. Nie wolno przechodzić blisko niego. Trzeba przejść na drugą stronę. Stąd droga wiedzie przez ulicę Więzienną, a za nią dopiero ciągnie się ulica Warszawska.

Idę dobrze. Droga do ciotki Miriam jest mi dobrze znana. Oto jest już szynk Szym-szona-Szlomy. Dalej pod górę wznosi się szeroka cerkiew. Tam powinna się znajdować czerwona, drewniana budka, w której strażnicy grzeją sobie przemarznięte ręce.

Jakoś tej budki nie widzę. Czy dlatego, że śnieg prószy w twarz? Ale oto zauważyłem, jak prosto na mnie wali jakaś wysoka, rozrosła postać, która śpiewa. Czy to nie dziwne? Jak można śpiewać, kiedy śnieg smaga twarz? Okazuje się, że nikt nie śpiewa. To tylko ja stoję przed długą obłupaną kamienicą. Nic innego tylko to, że wlałem w uliczkę Szewców i posuwam się wzdłuż muru. W tej kamienicy znajduje się mieszkanie Dobrele, która ma mleczną, okrągłą twarz.

Wtem spostrzegam, że to wcale nie ten mur. To parkan gojskiego szpitala. Stąd już blisko do mieszkania ciotki Miriam. To chyba już w tym domku. To te dwa znane mi

⁹farfelki — rodzaj cienko krojonego makaronu. [przypis tłumacza]

¹⁰*Krias Szma* — modlitwa odmawiana rano i przed snem; jej treścią jest wyznanie wiary w jednego Boga. [przypis tłumacza]

jasne okna. Ale nie widzę wcale drewnianego ganku, który normalnie przylepiony jest do jej domu, jak dziecko do fartucha matki. Nie widzę też okrągłej studni głębinowej.

Słyszę dźwięk dzwonka i przed moją twarzą przemykają sny.

— Chłopczyku, chłopczyku, dokąd idziesz? Chłopczyku, chłopczyku, gdzie ty stoisz?

Nie wiem, kto mnie woła. Nie wiem, skąd dochodzi mnie głos. Czy z sań, czy z domu ciotki Miriam. A może — przychodzi mi na myśl — to Mordechaj Wariat, zwany Hoke, który ma zwyczaj łapać za ucho i wyśpiewywać:

— Chłopczyku, chłopczyku, dokąd idziesz? Chłopczyku, chłopczyku, gdzie ty stoisz?

A ja właśnie stoję... nie, chyba jednak leżę... jest miękko, ciepło, swędzi w nosie, powieki zrobiły się takie ciężkie. Tak, leżę twarzą do pleców ojca i wcale nie czuję teraz zapachu jego owłosionego ciała. Czuję zupełnie inny. Jest to zapach dolatujący od koszernych jatek w piątek. Ale dzisiaj nie jest przecież piątek. To ja dobrze wiem. Wiem też, że ojciec jest głodny... dziwi to mnie... przecież śpi, nie może we śnie odczuwać głodu.

Końca już nie potrafiłem się domyślić. Wokół mnie było niebiesko i gorąco. Leżałem zakopany na wysokim łóżku, opatulony w pierzynę i w poduszki. W mieszkaniu unosił się mocny zapach żelazek do prasowania. Nade mną pochyliła się głowa w nocnym czepku.

— Zażyj — powiedział „czepek” i wepchnął mi w usta drewnianą łyżkę z mlekiem migdałowym wraz z magnezją — to ci pomoże. Gorączka spadnie.

U moich nóg na łóżku mającyla podobna do krzyża postać chudego Żyda z małą białą bródką. Miał na sobie rozpiętą kamizelkę. W ustach trzymał białą nitkę podobną do cienkiego żywego robaczka. Z ramienia zwisał mu centymetr krawiecki, zielony z czarnymi kropkami. Wyglądał jak wąż wynurzający się z rękawa. Żyd z przeciągniętej między zębami nitki odgryzał małe kawaleczki i wypływając je mruczał:

— Zażyj, zażyj! Masz pojęcie... w taką zawieruchę wysyłać dziecko!

Okazuje się, że jestem nie u ciotki Miriam, ale u dziadków. Stara zapadła twarz, która wpycha mi w usta drewnianą łyżkę, to właśnie babcia Rachel. Ta sama babcia, która wyrzucała mojej mamie, że nie dba o własne dzieci.

Pracowita babcia w dzień, a i często w nocy, siedziała na drewnianym kuferku i zerka-
jąc przez jedno szkiełko swoich drucianych okularów, wyszywała czepki z białego twar-
dego muslinu dla starych pobożnych kobiet. Stojący u moich stóp przy łóżku Żyd, to
właśnie mój dziadek, Dawid Frojke, krawiec. Nosił długą czarną pelerynę, sztywny złoty
kapelusz i lubił zaglądać do kieliszka, a w sobotnie wieczory wpadać do „koleżki” na ca-
lonocną grę w karty. Co by jednak nie powiedzieć, dziadkiem był dobrym. Odwiedziny
u niego należały do wielkich przyjemności. Był co prawda tylko krawcem, ale zupełnie
innym niż pozostali ludzie jego profesji. Nie przyjmował do szycia ani kapot, ani mary-
narek, ani spodni. Szył wyłącznie mundurki dla uczniów rosyjskiego gimnazjum. Takie
krótkie mundurki granatowe ze srebrnymi guzikami.

Nitkę fastrygową¹¹ przeciągał przez złote kawałki wosku. Siedział zwykle na wysokim
taborecie. Jedną nogę zakładał na drugą i szyjąc podśpiewywał sobie:

W sosze leży błogosławieństwo
Prawdziwe szczęście życia.

A kiedy „socha” obrzydła mu, zdejmował prawą nogę z lewej, brał nową nitkę, prze-
ciągał przez wosk i rozśpiewywał się na nową nutę z nowymi słowami:

Piękne jesteś moje życie jak to szczerze złoto.
Kogom rzucił, tegom rzucił, ale ciebie zawsze chciałem.

Na to babcia Rachel siedząca na kuferku spoglądała na niego przez szkiełko drucia-
nych okularów i gniewnym, nieprzyjaznym głosem wołała:

— A może byś przestał śpiewać te swoje piosenki?

¹¹nitka fastrygowa — nitka do szycia ścięciem fastrygowym, tj. rzadkim ścięciem prowizorycznie zszywającym materiał. [przypis edytorski]

— A czemu to moja połowica jest taka ostra?

— Przestań już trajlować, głupcze!

Dziadek jednak nie przestawał śpiewać. Rozśpiewywał się jeszcze bardziej i szybciej zaczął manipulować igłą i ze śpiewem, jaki towarzyszy zwykle czytaniu *Gemary*¹², zaciągał:

— Skoro ja jestem głupcem, to wyobrażam sobie, jaka z ciebie jest idiotka!

I po to, żeby babcia nie zdążyła mu odpowiedzieć, jeszcze bardziej się rozkrzyczał, zmarszczył twarz i po kantorsku wyśpiewywał werset z modlitwy na Straszne Dni¹³.

W mieszkaniu dziadków panowała teraz cisza. Między szybami podwójnych okien leżały kawałki ciemnej waty. Znad wąskiego warsztaciku spoglądał na mnie leżącego w łóżku car Aleksander III, goj z rudą, dużą brodą. Obraz był upstrzony śladami po muchach.

Dziadek siedział teraz pochylony na swoim wysokim taborecie. Nie śpiewał i nie dowcipkował. Z zacięciem przyszywał srebrne guziki do mundurków i od czasu do czasu wtrącał:

— A może jednak wezwać doktora Pompera?

— Co tu doktor Pomper pomoże?

— Powiadają, że to wielki specjalista.

— Daj spokój z twoimi specjalistami. Kazałam kupić słoninę. Przy bożej pomocy wyzdrowieje.

Ale okazało się, że słonina nie pomogła. Trzeba było posłać po doktora Pompera. Ten zaczął bić laską o podłogę i krzyczeć na babcie. Mnie zaś parzono ciałem wrzątkiem, puszczano krew z palców i wlewano w usta rozmaite lekarstwa — gorzkie, słodkie, słone. Długo to trwało, aż wreszcie przyszło wyzdrowienie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak zmarszczki na twarzy babci znikają i biała bródka dziadka kołysze się miarowo.

Mamy jednak w mieszkaniu nie było. Owej nocy, kiedy udałem się do ciotki Miriam w poszukiwaniu matki, zasnąłem w śniegu. Tak opowiedziała mi babcia. Stróż gojskiego szpitala zauważył leżący w śniegu jakiś tłumok. Podniósł alarm. Zbiegli się ludzie. Kobieta, dla której babcia szyła czepkę, poznała w tłumoku mnie. Poleciała więc zanieść mnie do babci Racheli. A dokąd miano mnie zanieść? Przecież matki nie było ani w domu, ani u ciotki Miriam.

Matka właśnie pojechała, i to do samej Warszawy.

Musiała tam pojechać. Dostała telegram. Jej jedyna córka, Cypele, z pierwszego małżeństwa, miała się zaręczyć.

Przez wiele lat mama posyłała tejsze Cypele paczki z żółtymi, dużymi jak dzwony, gruszkami, tabliczkami czekolady, kołaczami, plecionymi ciastami i od czasu do czasu posyłała jej papierowe ruble.

Od tych darów policzki Cypele nabrały rumieńców, ciało stało się kształtne i nie dziwota, że znalazł się młodzieniec skory do żeniaczki bez posagu. No to mama miała nie pojechać? A że nie pożegnała się z nikim? Czas po prostu jej nie pozwolili.

Dlaczego więc ojciec żywił urazę do mamy, babci Racheli i nawet do mnie?

Przecież wiedział, że leżę chory w domu babci. Mimo to nie przyszedł mnie odwiedzić. Przysłał jakiegoś chłopca, żeby się dowiedzieć, jak się czuję.

Babcia powiedziała, że wypchnęła chłopca za drzwi, krzycząc:

— Co on sobie myśli, że jego syn to bękart? A samemu przyjść to nie łaska? Nie przystoi mu?

Dziadek ukrył głowę w ramionach i donośnym głosem, skierowanym do mundurków, oświadczył, że ojciec ma rację, żywiąc urazę do mamy.

— Nie wolno wyjechać bez pożegnania.

— A to, że córka ma zaręczyny to pies?

— W takim przypadku należy przelożyć zaręczyny.

¹²*Gemara* — druga część *Talmudu*, który składa się z *Miszny* i *Gemary*. [przypis tłumacza]

¹³*Straszne Dni* (hebr. *Jomin Noraim*) — tak nazywają Żydzi święta Nowego Roku i Sądneho Dnia, bowiem wówczas, według ich wierzeń religijnych, Bóg sędzi ludzi i wyznacza im los, zgodny z ich dotychczasowymi postępkami. [przypis edytorski]

- Głupi jesteś!
- Idiotka z ciebie!

ROZDZIAŁ IV

Tak czy owak mama zatrzymała się w Warszawie na dłużej. Mrozy nie ustępowały. Wyso-
kie miękkie łóżko babci, w którym doktor Pomper co drugi dzień opukiwał moje plecy,
stało teraz zaścielone.

Człapałem już powoli po pokoju. Mały, wychudzony, z pozieleniałą twarzą, pijałem
kozie mleko, które babcia przynosiła aż z ulicy Mariańskiej.

Dziadek podczas mojej choroby bardziej osiwał. Policzki mu poczerwieniały, a nos
się wyostrzył. A zachowywał się dziadek tak, że kiedy ja wypijałem swoje kozie mleko, on
pociągał z buteleczki, którą ukrywał w jakimś ciemnym kącie mieszkania. Zarzucał przy
tym, wzorem goja, głowę do tyłu, otwierał usta na całą szerokość i łykał zawartość aż do
dna.

Mnie raziło to, że dziadek pił wprost z butelki. Do czego służą szlifowane kieliszki,
które stoją w kredensie?

Miał na to dziadek odpowiedź, że gdy się pije z butelki to jest tak, jakby człowiek
w czasie wielkiego upału chodził spragniony po polu i nagle ujrzał przed sobą źródło
wody. Kto wtedy szuka szklanki? Przypadnie natychmiast do wody i zacznie pić, aż opije
się jak cap.

— Wskaż mi, bardzo o to proszę — powiedział dziadek — jakąkolwiek roślinę, ja-
kikolwiek kwiatek lub jakiegokolwiek zwierzę, które by używało do picia szklanki. Chyba
nie uważasz, że człowiek nie jest zwierzęciem?

No cóż. Trochę to dziadek ma rację. Niewątpliwie dobrze jest pić prosto ze źródła, ale
mimo to czegoś nie zrozumiałem, albo trudno mi było zrozumieć. Dziadek twierdził, że
po wypiciu takiej buteleczki przejaśnia mu się w głowie. Pracuje mu się zupełnie inaczej.
Ma na to dowód: gdyby Mojsze-Rabejnu nie lubił wódki, to by nie mógł wyprowadzić
Żydów z Egiptu.

Tę samą rację przedstawił memu melamedowi¹⁴ Szyme-Josefowi, który przyszedł
mnie odwiedzić podczas choroby.

Szyme-Josef był człowiekiem niskiego wzrostu. Miał dużą, gęsto zarośniętą twarz
i małe świdrujące oczka. Usłyszawszy wywód dziadka, skrzywił się z niesmakiem. Mojsze-
-Rabejnu w przedstawieniu dziadka nie przypadł mu do gustu. Stwierdził, że za czasów
Mojsze-Rabejnu nie było jeszcze wódki na świecie.

— Co znaczy, że nie było wódki? — dziadek nie posiadał się ze zdumienia.

— Jak to mogło być? A jak Żydzi mogli wyjść z Egiptu nie łyknąwszy na drogę
wódki?

— Przecież powiadam panu wyraźnie, że wódki wtedy nie było.

— A co zatem było wtedy?

— Bo ja wiem. Chyba wino. Na pewno wino.

— A wino to nie alkohol? — ucieszył się dziadek. — Obym ja i moja Rachela byli
tak szczęśliwi, jak dobra jest szklanka wina.

— Przestań wreszcie paplać — wtrąciła się babcia. — Musiałeś już zdrowo sobie
łyknąć.

— Broń Boże, Rachelciu, przysięgam, że wódki do ust dzisiaj nie wziął.

I obróciwszy swoją małą, białą bródkę ku zarośniętej twarzy melameda powiedział:

— Ona, ta moja Rachela, oby długo żyła, także lubi pokrzepić się szklaneczką likieru.

— Niechaj już za ciebie wrogowie mówią. Patrzcie tylko, jak się dziś rozgadał. Rebe
Szymie-Josefie, niech go pan nie słucha. Przecież to wariat.

— Ale ona to robi po cichutku — powiedział dziadek — ona sobie popija w nocy.
Ja bynajmniej nie uważam tego za grzech. Człowiek stary dlaczego ma sobie odmówić?

I oto dziadek mój od chwili, kiedy zszedł z wysokiego ciepłego łóżka, a doktor
Pomper przestał opukiwać moje plecy, stał się zupełnie nowym człowiekiem.

¹⁴melamed — nauczyciel w chederze, elementarnej szkole religijnej dla chłopców. [przypis tłumacza]

Babcia szyła muślinowe czepki. Od czasu do czasu przerywała pracę i pochylała się nad kuchnią, zaglądając do małych garnków na fajerkach. Dziadek zaś za każdym wbijaniem igły w materiał rozkołysywał się i nucił swoim ciekim głosem:

A kiedy Bóg mnie uraduje
To i tyłkiem se pokręcę.

Wtedy babcia zdjęła druciane okulary z wpatrzonych w czepek oczu i z pogardą kiwając głową oświadczyła:

— Stary Żydzie, jak tobie nie wstyd!

Dziadek jednak nie przejął się babciną pogardą. Wyśpiewał piosenkę do końca i zaraz rozpoczął nową z ciepłym, płaczącym westchnieniem.

Kocham cię, możesz mi wierzyć.
Jak życie jesteś mi droga.
Ale ożenić się z tobą nie mogę.

— Oczywiście — powiedziała babcia do czepek — kochać to ją kocha, ale ożenić się nie może. A idź ty do wszystkich diabłów! Kto chce, żebyś mnie kochał?

— Głupia Rachelo! To przecież tylko piosenka. Taka przypowieśćka.

— Znam te twoje przypowieści...

Wiele razy dziadek stał przy pokrytym czarno-brązowymi plamami od żelazka stole i zaczynał przykrawać mundurek. Wtedy w izbie zalegała kompletna cisza. Wyraźnie słycać było kipienie wody w garnkach i głuchy powiew niepokoju.

Dziadek stał w rozpiętej kamizelce, z zarzuconym na ramiona centymetrem. Patrzył na płachtę, która pokrywała stół. Wyprostował materiał i kredą zaznaczył miejsca do krojenia. Jeszcze raz rozciągnął materiał, po czym zmasał poprzedni ślad kredy i na nowo wykreślił linie kroju. Mruczał przy tym coś pod nosem. Miało to w sobie coś smutnego. Powoli ciche mruczenie stawało się głośniejsze, aż biedny krawczyk, którym był mój dziadek, zaczął wzdychać:

— Oj, oj, jam biedny...

Ruch głową. Bródka w szpic. Kreda sama przesuwiała się po suknie. Ciche westchnienie przeszło w głośniejszą, wyższą tonację, płaczącą.

— „Ani — ani”... Ojczye w Niebie... — modlitewny werset hebrajski dziadek zaczął tłumaczyć na żydowski — „ja biedny człowiek, który pada do Twoich stóp, przyszedłem modlić się za Twój naród, Izrael...”

Babcia pochylała głowę tak, jak to często robi kura. Biały kawałek muślinu zawisł bez ruchu między jej palcami. Igła nieruchomo zawisała. Zdaje się, że kipienie wody w garnkach również przycichło. Bezwolnie pociągnęła nosem i wydobyła z serca słabiotkie kobiece westchnienie:

— Oj, Ojczye serdeczny w niebie, zmiłuj się nad Twoimi nieszczęsnymi sierotami...

Kogo babcia Rachelo zaliczała do sierot, nie bardzo wiedziałem, ale kiedy dziadek zaciągnął na smutną melodię werset modlitewny „jam biedny”, babcia zaczęła snuć opowieść od środka:

— Kiedy matka miała urodzić Rywkę, zabrakło w domu wody. Wtedy ojciec, pokój jego duszy, wziął wiadro...

— Już tysiąc razy słycałem tę historię — przerwał jej dziadek i energicznym ruchem wciął się nożyczkami w żywe sukno.

— Popatrzcie tylko, jak ten Haman nie pozwala słowa powiedzieć!

— Ile razy twoja matka rodziła Rywkę?

— Żeby ci język kołkiem stanął!

— Tra-la-la, tri-li-li... — rozśpiewał się dziadek na nową nutę.

Babcia nie mogła sobie podarować, że dziadek nie dał jej skończyć. Szukała sposobności, żeby się na nim odkuć. Szukała i znalazła. Dziadek bowiem miał pewną słabostkę. Lubił mianowicie przekomarzać się z głupim Władkiem, który u dziadka uchodził za swojaka, za niemal domownika. Zostawał nawet na noc.

Późnym wieczorem, około godziny dziesiątej, kiedy dziadek kończył już robotę, otwierały się drzwi i do mieszkania wpakowywał się Władek. Niskiego wzrostu chłop z rozwichrzoną, rudą brodą i z obwisłymi wargami.

Nogi miał obwinęte płachtami starych worków. Na sobie kurtkę pełną dziur, z których wystawała wata. Opasany był zwyczajnym sznurem. Zalaływało od niego naftą i kurzem łajnem. Na ramieniu nosił długą, ciężką torbę podobną do tych, które wiszą u boku listonoszy.

Zachowywał się zawsze cicho i łagodnie. Zdejmował torbę i kładł ją w kącie, po czym brał puste wiadra i szedł po wodę do studni przy kościele bernardynów. Przyniósłszy wodę, wylewał ją do beczki. Powtarzał to kilka razy, aż beczka wypełniła się po brzegi.

Dopiero wtedy dziadek, nie odwracając głowy od warsztaciku, pytał go:

— Już jesteś, Władku?

— Hm, hm — mrucał Władek i kiwał głową jak koń idący w zaprzęgu między dyszlami.

— A co tam słyszał Władku? Dużo wody nalaleś do beczek w domach bogaczy?

Władek siadał na podłodze, w pobliżu ciepłej kuchni, zwił nogi pod siebie jak Turrek, otwierał torbę i z jej ciemnej czeluści wyciągał półokrągłe, twarde skórki chleba. Wyglądały jak podkowy.

Do chleba wyjmował z torby parę dużych kości, na których tu i ówdzie pozostawały kawałki mięsa i zaczynał je obgryzać. Czasami Władek urozmaicał swoją kolację przejrzałą cebulą, połówką jabłka lub miękkim przekwaszonym ogórkiem. Jadł powoli, tak jak żuje krowa.

Babcia znała już nawyki Władka. Wiedziała, że dopóki nie opróżni całej torby, można do niego gadać i gadać, i nic z tego nie będzie.

Czekała więc, aż torba stanie się płaska i aż Władek swobodnie odetchnie. Wtedy dopiero babcia pozwoliła sobie zapytać go:

— Napijesz się herbaty, Władku?

— Hm, hm... — mruknął przez usta pełne jeszcze jada.

Babcia podała mu herbatę w ciemnym garnku. Trzymał garnek mocno w rękach i głośno siorbał. Na wąsach osiadły mu krople herbaty. Władek zlizywał je językiem, a resztki jada rozmazywał na brodzie.

— A jednak co tam słyszał w świecie, Władku? Dużo wody wyżłopali ci przekłeci bogacze? — zapytał jeszcze raz dziadek.

— Oho, oho — odezwał się Władek — Pan krawiec stroi sobie żarty. Pan krawiec skory do śmiechu...

— Wcale się nie śmieję, uchowaj Bóg. Jestem tylko ciekaw, ile wody wlałeś dzisiaj do beczek bogaczy.

— Oho, dużo, panie krawiec. Bardzo dużo.

— Powinieneś więc mieć trzos pełen forsy.

— Skąd bym miał mieć dużo forsy, kiedy za całą beczkę dają dwójaka.

— Nie więcej?

— Oczywiście, że nie. A u pani Dancygerowej beczka jest duża. Taka duża!

I mówiąc to, pokazał palcem na szeroki brązowy kredens stojący między łózkami babci i dziadka.

— A co słyszał poza tym?

— U Dancygerowej jest duża beczka. Taka beczka! — Władek widocznie nie usłyszał pytania dziadka.

— Przecież już wiem, że Dancygerowa posiada dużą beczkę.

— Taką dużą, wielgachną beczkę.

Beczka Dancygerowej stała się ogromnym problemem Władka.

Nie mógł z jej powodu spokojnie spać. Kiedy nawet udawało mu się po kolacji zdrzemnąć, nie przestawał mruzczyć:

— U Dancygerowej beczka duża. Taka duża beczka!

Przez pół dnia wlewał do niej dziesięć wiader wody. Wchodził po schodach na górę. Wchodził i schodził. Ale nie dostawał więcej niż dwa grosze.

— Niechby się spalili ci bogacze, prawda, Władku? — zapytał go dziadek, stuknąwszy żelazkiem w poły mundurka.

— Hm, hm...

— Nie bój się Władku. Przyjdzie na nich czas. Jeszcze będą wlewać wodę do twoich beczek.

— Oho, oho...

— Przyszykuj sobie dużą beczkę, większą od tej, co jest u Dancygerowej. Teraz nadszedł moment wzięcia odwetu na dziadku. Babcia otworzyła usta:

— A może byś już przestał gadać z tym gojem?

— A co? Goj nie człowiek?

— Pewnie, że goj jest także człowiekiem, ale ty z twoimi mądrościami gorszy jesteś od goja.

— A ty, czy nie opowiadasz mi swoich głupich historyjek?

— Opowiadam. I ten, któremu się to nie podoba, może sobie uszy zatkać.

Władek wciąż jeszcze przeżuwał jadło. Patrzył wprost na babci usta i potakiwał głową.

— Tak, tak. U Dancygerowej duża beczka.

— Zostaw już tę swoją Dancygerową — powiedziała babcia, zdejmując okulary. — Idź, połóż się, głupi chłopie.

— Nie pędź go. Co ci szkodzi, że sobie trochę pogadamy.

— Popatrz no, z kim to zaczął gadać!

— Jak się ma głupią żonę, to trzeba rozmawiać z Władkiem.

Babcia machnęła ręką. Jakby chciała powiedzieć: „Stracony człowiek”. I dziadek zamilkł.

W pokoju zalegała cisza. Babcia zdjęła z łóżka poduszki i położyła je na ławkach. Zza pieca odezwało się cykanie świerszcza.

— Powiedz mi tylko, Władku — dziadek długo milczeć nie potrafił — co ty wyprawiasz? Czego chcesz od dziewczek? Powiedz!

Władek, który przed chwilą potężnie ziewnął, mrugnął oczami, po czym wbił cielęcy wzrok w dziadka.

— Czy to prawda, Władku, że podnosisz dziewczętom na ulicy suknie?

— To dobra rzecz, panie krawiec.

— Taka dobra?

— Panie krawiec — chłopska twarz Władka wykrzywiła się — te dziewczki to dobra rzecz...

— Przestań trajkotać! — zawołała babcia, gwałtownie wstając z łóżka. — Zaraz cię zrzucę ze schodów, razem ze swoim głupim mężem!

— Pani Rachelo, co ja mogę zrobić, kiedy te dziewczki...

— A więc ta dziewczka — dziadek odwrócił twarz od krawieckiego stołu — tobie się aż tak podoba? Uwa...

— Tak, panie krawiec. Podoba mi się. Z dziewczkami dobrze jest spać.

— Przystaniesz?

Babcia zerwała się i przyskoczyła do Władka z podniesioną pięścią.

— Natychmiast wynoś się stąd, ty bydlaku! A ty, krawczyku, przestań i to zaraz.

Władek z trudem podniósł się z podłogi, wziął pustą torbę i mruczając pod nosem, wyniósł się do komórki, w której pozostał całą noc.

— Rozgadali się! — mruczała babcia i ze złością uderzyła pięścią w poduszki.

— Chciałem tylko się dowiedzieć, czy to prawda — powiedział dziadek głosem poczuwającym się do winy.

— Tylko to masz w głowie! Nie jesteś lepszy od niego. A ty, przepuszczasz dziewczkę na ulicy?

— Jak się ma taką żonę...

— Nie podoba ci się? Możesz się rozwieść.

Tym razem dziadek nie replikował już. Babcia gniewnie jeszcze mruczała, że gdyby nie zima, to by stąd uciekła gdzie oczy poniosą i gdyby nie to, że Władek przynosi do domu wodę do picia ze studni obok kościoła bernardynów, to by go zrzuciła ze wszystkich schodów. Komórka, do której wszedł Władek, była zamknięta. Nie spuszczałem oka z pomalowanych na żółto niskich drzwi, które zawierały w sobie jakąś niedostępność. Miałem ochotę wejść do komórki i spytać Władka, czy podniósł również Józsi sukienkę.

ROZDZIAŁ V

Za oknem dziadków stał ogrodzony żelaznymi sztachetami kościół bernardynów. Był to czerwony budynek o długich, ciemnych oknach i wysokich, szpiczastych drzwiach. Wokół wysokich murów kościoła rosły szeroko rozgałęzione drzewa kasztanowe, które swą chłodną ciszą chroniły ciemne oblicze Świętej Madonny z Dzieciątkiem.

Teraz, zimą, gałęzie kasztanów obsypane były śniegiem, niby rozkruszoną solą. Mury odsłonięte, zimne. Ciemna twarz Matki Boskiej pochylona była ku półobnażonej piersi, jakby ze wstydu przed otaczającą pustką.

Pewnego wieczoru siedziałem sobie przy oknie i patrzyłem na to, co dzieje się na zewnątrz. Słońce zachodziło za drugą stronę krzyża. Było to zachodzące słońce duże, nawet bardzo duże.

Wyglądało jak płaski złoty talerz. Nad dachem i krzyżem błyszczało drżące, jasne, ogniste światło, które odbijało się w szybach stojących po przeciwnej stronie domów.

W moim pokoju lampa jeszcze nie była zapalona. Widocznie pod wpływem ciszy babcia zapadła w drzemkę na swoim kufunku.

Dziadek poszedł do bóżnicy odmówić *Kadisz*¹⁵. Patrzyłem więc na płonący krzyż i myślałem o tym, że już jutro będę musiał znów pójść do chederu. I na myśl o tym zrobiło mi się ciężko na duszy. Przed oczyma stanęła mi niska, zapuszczona izba chederu Szyme-Josefa.

Izba ta była nawet dość duża, ale sufit jej leżał prawie na naszych ramionach. Ściany ciemnozielone, stare, opstrzone plamami po przestawianych kredensach i zdjętych zegarach. Przy ścianach długie, wytłuszczone, chwiejące się ławki, które opierały się na podstawionych nóżkach. Ja, wspólnie z moimi kolegami, wykrzykujemy tam przez cały dzień przerabiane teksty, smarkamy w dłonie, które potem wycieramy o klapy naszych kapotek.

Szyme-Josef chce uchodzić w oczach ludzi za łagodnego melameda i niezbyt surowego rebeego. Nie krzyczy i nie bije. Kiedy jednak nie wytrzymuje i zaczyna krzyczeć, od razu krztusi się i kaszle. Usta wypełniają mu się flegmą. Jeśli zaś postanawia kogoś zbić, przeszkadza mu w tym ogromny tyłek ciągnący go w dół. Nie pozwala mu unieść rąk tak wysoko, by bić chłopców po głowie. Ale skoro jest już melamedem, to leżą u niego na stole: czerwona chusta, tabakierka i owłosiona owcza nóżka, z której jakby wyrastają skórzane, okrągłe, mięsiste rzemyki, świadczące o tym, że mogą z nich posypać się na głowy i na gołe tyłki chłopców dotkliwe razy.

Taka kara nie zdarza się jednak często. Szyme-Josef ma inny nawyk. Lubi wciągać w nos sporą porcję tabaki, wywołać ot tak sobie jakiegoś chłopca z kąta i uszczyplnąć go solidnie w tyłek. Otwiera przy tym usta, rozszerza nozdrza i głęboko oddycha. Słychać wtedy jego przeciągłe: aaaaaaaaaa.

I oto już jutro muszę iść do jego chederu. Melamedowa, wysoka, długa Szyme-Josefowa z pewnością będzie siedziała jak zwykle przy drzwiach tam, gdzie stoi wiadro z pomyjami i wyliniała miotła. Prawdopodobnie będzie trzymała między nogami wyszczerbioną blaszaną miskę, do której wrzucać będzie obierane kartofle i wołać:

— Szyme-Josef! Szyme-Josef!

Zadrzy wtedy rebe, szybko sięgnie po czerwoną chustę i zapyta:

— Aha, powiedziałaś coś?

— Powiedziałaś, żebyś już zasnął na wieki, ty mój Szyme-Josef najdroższy.

Kiedy przestąpię próg chederu, opuści obierany kartofel na podłogę i swoim ostrym, piskliwym głosem zawoła:

— Popatrzcie, zjawił się wreszcie nasz gagatek.

Już ona nie pozwoli mi zdjąć paletka i nie da rozwiązać baszłyka. Tak jak stoję, będę musiał wziąć wiadra i iść po wodę do pompy.

To wszystko, o czym mówię, zdarzy się dopiero jutro. Do jutra pozostało jeszcze sporo godzin. Gdyby tak policzyć, to będzie ich mnóstwo. Można powiedzieć, że bez liku.

Tymczasem siedzę sobie przy oknie w pokoju dziadków. Kościół ciemnieje coraz głębiej i coraz błękitniej. Nad krzyżem niebo nadal jest czerwone. Nic tylko smażą w tym

Nauczyciel, Dziecko,
Szkoła, Przemoc,
Okrucieństwo

¹⁵*Kadisz* — modlitwa za zmarłych. [przypis tłumacza]

miejscu grzeszników. I gdy tak siedzę, wydaje mi się, że słyszę głos dziadka. Taki niewyraźny, przytłumiony. Jakby dochodził z tamtej strony drzwi. Po chwili drzwi się otwierają i do pokoju wpada głos. Obcy, nietutejszy:

— Dlaczego tak ciemno?

Odrywam się od okna. Przysiągłbym, że to głos mojej matki.

— Naprawdę przyjechałaś? — słyszę w ciemnościach głos dziadka.

Wydaje mi się, że ten głos również w tej chwili ściemniał.

— Przed chwilą właśnie wysiadłam z omnibusu. A dlaczego tu tak ciemno?

Babcia ocknęła się ze snu.

— Zdaje się, że Frumet przyjechała? Co?

W głosie babci wyczuwa się ciepło snu.

— Tak, właśnie przyjechała — odpowiada dziadek. — Ale zapal światło. Można sobie oko wykoleć¹⁶.

— A gdzie jest mój Mendel? — pyta matka.

— Tu jestem, mamusiu!

Zeskakuję z warsztatiku dziadka i biegnę do drzwi, w których rysuje się ciemna postać mamy.

Z płaszcza mamy bije zapach mrozu.

— Mendele? — Zimna ręka głaszczę moją twarz. — Pokaż no się.

Przysuwam do niej twarz jeszcze bliżej. Ona pochyla swoją głowę ku mojej. Między nami stoi ciemność. Babcia krząta się przy lampie, która nie chce się zapalić. Mimo ciemności mama widzi moją twarz.

— Biedne moje dziecko! Zmizerniałeś i wychudłeś! Biada mi!

— Dziękuj Bogu i za to! — odzywa się babcia.

— Dlaczego nie napisałaś mi, że biedaczysko jest tak chory.

— Po pierwsze właśnie, że napisałam — powiada babcia z wyrzutem.

— Napisałaś, że lekko niedomaga.

— A co chciałaś, żebyś napisała?

— Przyjechałabym natychmiast.

— Uzdrowiłabyś go? Babcia też, dzięki Bogu, wiedziała, co robi, nie Mendel?

Po pokoju rozchodzi się ciepłe, czerwonawe światło zapalanej lampy. Dziadek zawiesza na drzwiach swój zimowy płaszcz z dwoma guzikami na bokach. Babcia nazywa ten płaszcz „chłopskim kożuchem”. Wyraźnie go nie lubi. Dziadek jednak przesuwą rękę po żółtawej, starej owczej skórze tak, jakby głaskał główkę ukochanego wnuka i z dumą powiada:

— To nie chłopski strój, tylko żupan.

— Żupan, żupan — kpi babcia. — Jak to wygląda, żeby Żyd chciał chodzić w gojskich szatach!

Mama zachowuje się tak, jakby była obcą w domu. Wróciła z Warszawy w długim czarnym płaszczu z czarnym futrzanym kołnierzem. Długość płaszcza albo jego czern czyni matkę wyższą, niż była przed wyjazdem.

Zdażyła już wycalować mnie z wszystkich stron. Teraz mnie obejmuje.

— Biedne moje dziecko! Tak ciężko chorowałeś!

— Ciężko, nie ciężko... — odzywa się dziadek, który już zasiada do warsztatu. — Zdejm płaszcz, rozbierz się. Czego tak stoisz?

Mama zdejmuje wełniany szal z głowy, ściąga długi czarny płaszcz i rzuca go na łóżko. Babcia bierze płaszcz i zawiesza na drzwiach, koło gojskiego żupana dziadka.

— Sprawiałaś sobie nowy płaszcz?

Mówiąc to babcia delikatnie głaszczę kołnierz płaszcza.

— Gitl-Hudl podarowała mi go.

— Aha! A jak się oni mają?

— Dobrze. Obyśmy się, bez ich szkody, tak mieli.

— A co porabia Hersz-Wolf?

— Tak jak to on.

— Co z jego ręką? Już nią rusza?

— Tak, dzięki Bogu.

¹⁶wykoleć — dziś popr.: wykluć. [przypis edytorski]

Teraz dopiero przyglądam się mamie dokładnie. Bez płaszcza wygląda tak, jak przed wyjazdem. Na głowie ma jednak inną perukę. Bardzo czarną, błyszczącą, splecioną z przodu w gruby węzeł, podobny do ptaka. Być może, że z powodu tej peruki twarz matki wydaje mi się pełniejsza, gładsza, młodsza.

— A jak się mają dzieci Gitl-Hudl, oby zdrowe były?

— Jak najlepiej, Piniek pracuje już w aptece.

— A Pola?

— Ona już ukończyła...

— A Szlemke?

— Wkrótce ma się żenić.

Zdaję sobie sprawę, że mama opowiada o swojej siostrze a mojej ciotce z Warszawy, Gitl-Hadasie, która ma obszerne, wieloizbowe mieszkanie z licznymi balkonami. Jej dzieci nazywają się nie Mendel, ale Piniek i Pola. Powinna tam być również Edzia i mały chłopczyk, który nie posiada w ogóle imienia, bo wszyscy wołają na niego Mały. Nigdy tych dzieci nie widziałem. Wiem tylko, że od czasu do czasu noszę krótkie spodnie z mosiężnymi guzikami na bokach, które pochodzą od tego właśnie Małego.

— A co porabia Mały? — zapytałem ja z kolei.

— On — uśmiechnęła się matka — nie jest już mały. Wyrósł, na psa urok. Uczęszcza do gimnazjum.

Dziadek, który siedział pochylony nad warsztatem, odwrócił się i zapytał:

— Co? Co powiadasz?

— Już jest w trzeciej klasie.

— Gimnazjalnej?

— Tak. Trzeciej gimnazjalnej.

— Nosi już mundurek?

— Oczywiście. Taki sam jak ty szyjesz.

— Coś takiego!

Dziadek nie mógł się nadziwić.

— Szkoda, że nie przywiozłaś jakiegoś starego jego mundurka.

— Do czego ci potrzebny?

— Tak sobie. Żeby tylko popatrzeć, jak szyją mundurki w Warszawie.

— Nie lepiej od ciebie, tato.

— Również granatowe ze srebrnymi guzikami?

— Tak. Takie same, jak ten tu.

— Hmmmm... wszędzie ten sam świat.

Dziadkowi sprawiało przyjemność, że w Warszawie szyją takie same mundurki. Przerwał pracę ciekawy dalszych nowin z Warszawy.

— A kto szyje mu mundurki?

— Kto ma szyć? Krawiec.

— To znaczy, że w Warszawie jest również taki Dawid Frojke?

— On myśli, że jest jedynym mężczyzną w Moskwie... — wtrąciła się babcia.

— Przestań już, kobieto. Przecież rozmawiamy poważnie.

Stałem oparty o kolano mamy. Nie przestawała mnie głaskać po głowie, obejmować moją twarz i cicho wzdychać.

— I co jeszcze słyhać? — przerwała babcia ciszę. — Odbyły się zaręczyny Cypele?

— Tak, mammo. Należą mi się gratulacje.

— Oby szczęście dopisało. Jakiś porządny człowiek z tego narzeczonego?

— Szczotkarz.

— Szczotkarz? — Dziadek zmarszczył czoło. — Dlaczego właśnie szczotkarz, a nie krawiec?

— W czym lepszy krawiec od szczotkarza?

— Krawiec to człowiek, zaś szczotkarz to tylko szczotkarz.

— Nie przystoi ci? — babcia gniewnie nastroszyła swoje druciane okulary.

— Pewnie, że nie przystoi.

— Posłuchajcie, Dawidowi-Frojce nie odpowiada spowinowacenie się ze szczotkarzem!

— Wziął ją bez grosza posagu — wtrąciła mama.

— Łaskę mi uczynił? Jeszcze pieniądze mu dać!
 — Nie słuchaj, co ten głupiec wygaduje — oświadczyła gniewnie babcia. — Gdzie odbyły się zaręczyny?
 — U Abrahama-Ajzyka.
 — Dlaczego nie u Gitl-Hadasy?
 — Nie wiem, jak to jest. Bogacze... widocznie jej nie pasowało.
 — Ma się rozumieć. Jak można wpuścić do domu szczotkarza! — odciął się dziadek. Babcia powoli spuściła głowę, a dziadek zaczął szybko manipulować igłą.
 — Abraham-Ajzyk nadal ma parnose¹⁷?
 — Boryka się. Zadłużył się.
 — A Sime-Lea?
 — Piękna jak złoto.
 — Dlaczego nie wydają jej za mąż?
 — Nie trafia się okazja.

Babcia głęboko odetchnęła. W pokoju zapadła cisza. Jakby wszyscy drzemali.

Z wujkiem Abramem-Ajzykiem jest wesoło. To rodzony brat mojej mamy, ciotki Miriam i bogatej ciotki Gitl-Hadasy z Warszawy. Znam go dobrze. Przed rokiem, w święto Rosz Haszana¹⁸ był u nas w domu. Miał rzadką jasnoblonde brodę i okulary. Na głowie ośmiokątną czapkę. Takiej nikt przed nim, a pewnie i nikt po nim nigdy nie nosił. Głos miał donośny i wymowę śpiewną. Toteż w święto Jom Kipur¹⁹ przewodził modlitwie *musaf*²⁰ w naszej krawieckiej bóżniczce.

Mówiono, że śpiewał znakomicie. Że każde jego słowo zasługiwało na pochwałę. Jak to się stało, że biedak nie ma parnose, a jego córka, piękna Sime-Lea powinna już wyjść za mąż, ale syn z Londynu, który miał wysłać pieniądze na jej posag, jakoś się z tym nie spieszy?

Nic dziwnego, że w domu wujka Abrama-Ajzyka nie jest wesoło.

To wszystko opowiedziała mama przy rozpakowywaniu paczki, którą dała jej ciocia Gitl-Hadasa. Wypadły z niej: para butów ze sznurowadłami, marynarka z przydługimi rękawami, czapka z gojskim daszkiem, spodnie, kamizelka, słowem cały skarb.

Wszystko to jednak tym razem nie uradowało mnie. Szczególnie nie spodobała mi się ośmiokątna czapka.

— Nie włożę jej! — oświadczyłem energicznie.

— Dlaczego? To przecież piękna czapka.

— U nas w chederze nikt takich nie nosi.

— A ty ją będziesz nosił.

— Nie. Nie będę.

Zegar zaczął bić. Naliczyłem dziesięć uderzeń. Wskazówki zegara wskazywały jednak godzinę dziewiątą.

— Widziałas się już z Lejzorem? — nagle odezwał się dziadek.

— Nie — odpowiedziała mama niechętnie.

— Dziwiłem się właśnie, dlaczego nie zajechałaś prosto do domu.

— Już nigdy tam nie zajadę.

Dwie nieme zatroskane twarze jednocześnie skierowały się ku mamie. Ja również tego nie zrozumiałem.

— Do swego domu nie zajedziesz?

— Nie. Już dosyć mam swego zaprzęgu.

Obie twarze wyglądają teraz jak głuche.

— Co tobie znowu jest, Frumet?

— Co ma być? Tylko jego straszne przekleństwa, które miota na mnie, oby spadły na...

— Sza. Cicho. Nie bluźnij — zawołała babcia, zrywając się z kufierka.

— Wstydziliby się Żyd. Żaden goj by tak nie klął na swoją żonę.

— Kiedy to on miał czas przeklinać ciebie? Przecież ciebie tu nie było.

¹⁷*parnose* — stały zarobek, środki utrzymania. [przypis tłumacza]

¹⁸*Rosz Haszana* — Nowy Rok żydowski przypadający zwykle na wrzesień. [przypis tłumacza]

¹⁹*Jom Kipur* — Dzień Przebaczenia, zwany też Sądny Dniem. [przypis tłumacza]

²⁰*musaf* — modlitwa dodatkowa po porannej. [przypis tłumacza]

— W liście mnie skłął. Co z tego, że wyjechałam? Mam jedyną córkę. Miałam nie być na zaręczynach?

— Trzeba było powiedzieć, że się jedzie — wtrącił się dziadek.

— A komu miałam powiedzieć? Czy on kiedyś przebywa w domu?

— A co chciałabyś? Żeby sterczał w domu i cackał się z tobą?

— Kto mówi o cackaniu? Nie może mi przecież zabronić wyjazdu na zaręczyny.

— Ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Jak można nie mieć w sobie krzty żydowskiej troski, żeby zostawić męża i dzieciaki na pastwę losu?

— Co się stało? Nie miał mu kto ugotować jedzenia?

— A co byś chciała? Żeby sam sobie gotował?

— Wszystko mi jedno, czy sobie ugotuje, czy sobie nie ugotuje. Mam tego dosyć!

— Masz już drugiego na jego miejscu? Co ty sobie myślisz — zawołał dziadek, mrużąc okiem — że jesteś młodą kobietą?

— Przestań już, stary głupcze! — wtrąciła się babcia. — A ty Frumet nie rób głupstwa i idź do domu.

— Wyrzucasz mnie, mammo?

— Nie wyrzucam. Uchowaj Bóg, ale żona powinna iść do męża.

— Nie chcę go więcej znać! Co ja u niego miałam? Najlepsze moje młode lata straciłam. Przed ślubem opowiadał mi, że jest dziedzicem, że ma folwark. Pożal się Boże, co to za folwark!

Oczy matki poczerwieniały i jakby się zmniejszyły. Stały się nieładne. Nos jej również poczerwieniał i zaostrzył się.

— No. Wystarczy. — Babcia chciała jakoś załagodzić grzechy mego ojca. — Myślisz, że nie dopytywał się o ciebie?

— Łaskę mi sprawił!

— Kilka razy dziennie przychodził na nasze podwórze.

— Na podwórze... a wstąpić do domu nie wypadało mu?

— Wiesz przecież — powiedziała babcia, jakby mamie na ucho — że my oboje nie bardzo jesteśmy w zgodzie.

— A z kim jest w zgodzie?

— No, dobrze. Jeszcze nie należy do najgorszych... Teraz jest rzeczywiście późno, ale jutro, jak Bóg da, wrócisz do domu.

— Nie, mammo. Żebym miała podłogi myć, nie będę z nim razem mieszkała.

— Co się z tobą stało w Warszawie? — zawołał dziadek, który nie mógł już usiedzieć na miejscu.

— W Warszawie ludzie żyją jak należy. Gitl-Hadasa jest prawdziwą panią, pełną gębą światową damą! U pierwszego mego męża, Berła, mieszkałam w pokojach. Na drzwiach były mosiężne klamki.

— No, cóż. Berła! Nie zawsze przecież — powiedziała babcia — jest tak, jak sobie człowiek wymarzy.

I tak wyklócali się do późna w nocy. O mnie zupełnie zapomnieli. Pilnie słuchałem wszystkich i wszystkiego i w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, dlaczego mama wróciła z Warszawy rozgniewana na ojca. Ja raczej uważałem, że to ojciec powinien gniewać się na mamę. Przecież to ona, nie mówiąc nikomu, wyjechała.

Prawdę mówiąc, ja nie gniewałem się na mamę. Bolało mnie tylko to, że wspominała swego pierwszego męża, u którego miała „pokoje” i mosiężne klamki na drzwiach. Co to za porównanie? Jej pierwszy mąż był felczerem w Końskiej Woli, a mój ojciec handlował sianem. Co tu mają do rzeczy „pokoje” i mosiężne klamki?

ROZDZIAŁ VI

Nazajutrz z rana szykowałem się do pójścia do chederu. Wstałem wcześniej, umyłem się, włożyłem spodnie, które mama przywiozła z Warszawy i wziąłem do ręki dwa obwarzanki nasmarowane przez babcię masłem.

Nie chciało mi się opuszczać ciepłego mieszkania, rozstawać z piosenkami dziadka i dopiero przybyła matka.

Mama to widocznie wyczuła, bo kiedy wciągałem na siebie paletko, zawołała z łóżka:

— Niech jeszcze dzisiaj nie idzie. *Tora*²¹ mu nie ucieknie.

Innymi oczyma spojrziałem przez okno.

Było niebiesko i jasno. Dziadek widocznie zdążył już pokrzepić się łykiem okowity. Chodził teraz po pokoju różnym krokiem, wyśpiewując swoje powszednie i świąteczne piosenki.

Babcia w czerwonym czepku nocnym, mała i pochylona jak przewrócony krzak, cicho poczłapała do kuchni, żeby rozpałcić ogień i ugotować śniadanie.

Mama wstała później od wszystkich. Przy niebiesko-białym świetle wpadającym przez szyby okna twarz matki była jaśniejsza i młodsza. Zdaje się, że aż do dzisiejszego poranka nie zauważyłem, żeby mama miała taki ciepły podbródek i takie czystoniebieskie oczy.

Chodziła po pokoju w czarnej, cienkiej, jedwabnej spódnicy.

— Kupiłaś ją? — zapytała babcia obmacując spódnicę.

— Skąd ja do takich drogich rzeczy? Gitl-Hadasa mi podarowała — oświadczyła mama z goryczą nie przystającą do jej czystej, klarownej twarzy.

— To jedwab?

— A co? Barchan?

Babcia dwoma palcami wytarła kąciki ust. Dziadek spojrział z boku i z głupia frant zapytał:

— Ile na przykład taka spódnica jest warta?

Nikt mu nie odpowiedział.

Matka odwróciła się plecami do nas i zaczęła palcami rozczesywać perukę.

Nie wiem dlaczego, ale mnie ta czarna spódnica warszawskiej ciotki nie przypadła do gustu. Mnie się zdawało, że mama w tej spódnicy jest jakaś inna. Nie ta, która kiedyś rano wpadła do pokoju z rozpaczliwym okrzykiem:

— Mojsze umarł!

U nas w domu nigdy nie widziałem mamy w takiej spódnicy.

Nigdy też nie miała obnażonych ramion. Nigdy nie używała pachnącego mydła. Nie stawała przed lustrem i nie stroiła się tak, jak to teraz czyni.

— Dlaczego to tak długo trwa? — zapytała babcia. — Śniadanie jest już na stole.

— Nie szkodzi — odpowiedziała mama głaszcząc perukę. — W Warszawie tak się ludzie prowadzą.

— Ale tu nie jest Warszawa.

Upłynęło jednak sporo czasu, zanim mama uporowała się z toaletą i podeszła do stołu. Podchodziła zaś sztywna i napuszona jak paw.

Przy stole już wszyscy siedzieli. Mama usiadła naprzeciw mnie. Jej ciepły, mały podbródek lekko się kołysał. Dopiero teraz zauważyłem, że mama przywiozła z Warszawy dwa czarujące dołeczki na policzkach. Zrobiła sobie małe kanapeczki i powoli małymi łyżkami piła kawę. Nagle powiedziała do mnie:

— Mendelku, jak ty jesz?

— A jak ma jeść? — wtrącił się dziadek.

— W Warszawie je się inaczej.

— Daj mu już spokój z tą twoją Warszawą! Przeżyłem sześćdziesiąt dwa lata i nie miałem pojęcia, że nieładnie jem. Coś takiego! A jak się ładnie je?

— Nie je się szybko i łapczywie. Je się małymi kęsami.

— Ważna mi nauka.

Mama nie odpowiedziała. Ja starałem się jeść powoli, małymi kęsami, ale zaciskało mi się gardło i oczy zaczęły łzawić. I nagle babcia z hukiem odstawiła kubek kawy i donośnym głosem zawołała:

— Mendel, ty płaczesz?

Mama również postawiła swój kubek kawy. Jej podbródek nieco się wykrzywił.

— Sza, Mendelku, nie płacz.

I mówiąc to, nie przestawała mnie głaskać po głowie.

— Nie płacz. Powiedziałałam to dla żartu. Przestań płakać... zupełnie ładnie jesz.

Dziadek gniewnie mruczał.

²¹ *Tora* — *Pięcioksiąg*, w szerszym znaczeniu cały *Stary Testament* oraz księgi *Talmudu* i inne dzieła religijne. [przypis tłumacza]

— Warszawa! Też mi coś!

Matka w końcu dała za wygraną. Ale mnie nadal było ciężko na sercu.

— Taki piękny dzień na dworze — zawołał pochylony nad warsztatem dziadek. — Może by Mendel wyszedł na spacer? Niech się przyzwyczai do powietrza.

— Słusznie, ale jeszcze się o niego boję — wahała się mama.

— Nie ma obawy. Niech się przejdzie trochę — wtrąciła babcia — dopóki słońce świeci.

Opatulono mnie jak trzeba. Wyszedłem na ulicę. Wyglądałem jak człowiek, który wydostał się spod wody.

— Uważaj na sanki — zawołała za mną babcia. — I długo nie chodź. Słyszysz?

— Słyszę, babciu, słyszę.

Na dworze było tak jasno i cicho, że na dłuższą chwilę musiałem zamknąć oczy. Wydawało mi się, że znalazłem się w obcym mieście. Wszyscy wyglądają tu na głuchych i stawiają jakby przytłumione kroki.

Śnieg leży między żelaznymi kratami ogrodzenia kościoła, na jego gzymsach i oknach. Śnieg pośrodku ulicy jest głęboki, miękkie. Oto sanki dzwoniąc przemykają z dumą po jego powierzchni. Z gimnazjum wracają uczniowie. Obrzucają się śnieżnymi kulkami. Biegają. Krzyczą.

Jakże się to miasto zmieniło od czasu, gdy zachorowałem i leżałem w łóżku. Na ulicy Lubelskiej wznoszą się wysokie zaśnieżone słupy, podparte małymi słupkami w kształcie rozstawionych nóg. Sama ulica biegnie w górę. Jest długa i wydaje się, że została poszerzona. Przed budką celną nie stoi już polski strażnik z sinym nosem.

Na ulicy Warszawskiej, tam gdzie żona Motla-Sztroj ma sklep, nie widać wystawionych przedtem słomianych koszy... Jest tam teraz biało i głucho. Na ulicy Spacerowej mój wzrok zatrzymał się na krzyżu niemieckiego zboru. Przypomniałem sobie, że tędy przechodziłem, kiedy szukałem mamy u ciotki Miriam. Teraz panuje tu cisza. Nie widać żywej duszy. Ale nagle wyrasta przede mną Żyd w wysokiej pluszowej czapce.

— Mendel, dokąd ty idziesz? — jego ciepły głos wydaje mi się znajomy.

— Tato! — w pierwszej chwili przestraszyłem się i poczułem coś dławiącego w gardle.

— Dokąd idziesz? Jesteś już zdrowy, co?

— Tak, tato, już jestem zdrow.

Żyd w wysokiej pluszowej czapce jest więc moim ojcem. Osiwiał. Patrzy na mnie trochę sennym i łagodnym wzrokiem.

— Byłem dzisiaj u twojego melameda, żeby zapytać o ciebie.

— Miałem już dzisiaj iść do chederu.

— Dlaczego więc nie poszedłeś?

— Mama przyjechała.

— Tak? — tato marszczy twarz i mruży oczy. — Powiadasz, że mama wróciła?

— Tak. Wróciła.

— Kiedy?

— Wczoraj w nocy.

— Jeszcze wczoraj? Dlaczego więc nie widzimy jej?

— Jest na górze, u babci...

— Tak, u babci...

Na chwilę zapada między nami milczenie. Ojciec otwiera szerzej półsenne oczy. Są teraz znacznie większe niż były. Wąsy przybrały kolor zielono-żółty.

— Nie wszedłem na górę — powiada raczej do niemieckiego zboru niż do mnie — bo nie kocham tej twojej babci. Nie myśl jednak... wiedziałem o tobie wszystko. Kto, myślisz, posłał po doktora Pompera?

Jego głos staje się z minuty na minutę coraz cichszy.

— Więc wróciła — przypomina mu się na nowo i ojciec wdycha — zajechała do nich... a jak wygląda twoja matka?

— Dobrze. Bardzo dobrze.

Milkniemy. Jest cicho. Idziemy razem. Naprzeciw nas idzie żołnierz z karabinem. Pilnuje więźnia.

— Jadłeś już coś? — przerywa ojciec ciszę.

— Tak. Zjadłem śniadanie.
 — Czy nie jest ci zimno? Może byśmy wstąpili do garkuchni Mordechaja? Ogrzejesz się trochę.
 — Nie, tato. Tu jest całkiem dobrze.
 — Co tu robisz, na ulicy?
 — Wyszedłem trochę na powietrze.
 — No to bardzo dobrze. Odprowadzę cię.
 Bierze mnie pod rękę. Nigdy dotychczas nie chodziłem tak z ojcem. Nie wiem, czy mam się wstydzić, czy cieszyć.
 Jedno tylko wiem, że jest mi teraz dobrze.
 — Byłem dziś u twego melameda — powtarza ojciec — a ten mi powiada...
 Nie kończy zdania. Zamyśla się i wpatruje w siną dal. Jego duży mięsisty nos wydaje się być oddzielony od twarzy. Powoli zaczyna odpinać swój zimowy płaszcz, wsadza rękę do głębokiej kieszeni i wyciąga sfatygowany skórzany portfel, po czym wkłada mi coś do ręki.
 — Na — powiada — masz pieniądze. Kup sobie coś.
 Pierwszy raz tato daje mi pieniądze. Na co mi one potrzebne? Co można za nie kupić?
 — Kup coś dla mamy — powiada do mnie po cichu i podprowadza mnie do samych drzwi domu dziadków.
 — Idź już, jeszcze się przeziębisz, nie daj Bóg.
 Chcę pocałować tatusia w rękę. Zdaje mi się, również po raz pierwszy w życiu. On jednak szybko wrywa rękę i mruczy:
 — No, już... nie trzeba... idź, idź.
 Oddala się, ale zaraz odwraca się i przywołuje mnie z powrotem.
 — Mendel, co to ja chciałem ci powiedzieć? Tak, już wiem. Nie mów im tam, że... Nie lubię tej twojej babci. Nie lubię.

W ten sam wieczór Władek, ten trochę stuknięty chłop, przyszedł wcześniej niż zwykle. Był czerwony jak burak. Jego ruda broda była skołtuniona i zmoczona.

— Czego się dzisiaj pospieszyłeś, Władku?
 Ten, żując coś w gębie, powiada niby do swojej brody:
 — A niech ją cholera trafi, tę Magdę. Żeby jeszcze tej nocy zdechła. Przekłeta dziewczaka!
 — Kto to jest Magda? Dlaczego ją tak przeklinasz?
 — Dlaczego nie miałbym jej przeklinać? Przecież uderzyła mnie w twarz rybą.
 Dziadek wybucha gromkim śmiechem. Babcia odwraca okulary od swoich czepków.
 — A niech cię szlag trafi! — woła babcia kołysząc głową. — Kto ci każe zaczepiać dziewczyny? Kto?
 — A czy ja ją zaczepiłem? Żeby ją piorun trzasł!
 — Wiadomo. Dobrze wiadomo. — Babcia aż się zachłystuje słowami. Dziadek pokłada się ze śmiechu.
 — Rybą, powiadasz? Pękam ze śmiechu... opowiedz, jak to było!
 — Nie trzeba. Dziękuję — wtrąca się babcia — za nowinę, której on chce wysłuchać.
 Władek wygląda na człowieka, który się złości. Żuje coś z zamkniętymi ustami. Moja matka nie wtrąca się do rozmowy. Siedzi przy warsztacie dziadka ze złotymi okularami na nosie i czyta książkę.

Władek siada na swoim stałym miejscu przy kuchni. Ściąga, wzdychając, buty. Rozwija onuce i z torby, w której trzyma wałówkę zaczyna wydobywać garście słomy.

W mieszkaniu jest teraz cicho. Wszyscy są czymś zajęci. Lampka, która płonie na warsztacie dziadka oświetla kącik, w którym dziadek pracuje i miejsce, w którym mama czyta książkę. Reszta izby tonie w cieniu.

Dziadek spieszy się z wykończeniem jakiejś części mundurka. Od czasu do czasu rusza ramionami, jakby ciarki przez nie przeszły. Nikt nie zwraca uwagi na to, co Władek robi w kuchni. Wszyscy wiedzą, że żuje kawałki chleba, które dostał we wszystkich odwiedzonych domach.

W istocie jednak Władek wcale tym się dziś nie zajmuje. Ułożył przy swoich nogach dużą kupę słomy. I oto zaczyna grzebać w kieszeniach. Grzebie i grzebie, aż wydobyl pudełko zapalek. Przyglądam się temu i jestem pewien, że chce zapalić fajkę. Ale nie. Władek nie zapala fajki. Zapala natomiast zapalkę i przystawia ją do kupki słomy przy nogach.

Zaczyna się unosić mały dymek. Władek wyciąga nogi do dymku. Wygląda na to, że chłop chce się spalić.

Nie mogę spokojnie przyglądać się temu i głośno wołam:

— Babciu, popatrz, co robi Władek!

Wszyscy odrywają się od zajęć. Dziadek odwraca się tylko jednym ramieniem. Mruży oczy. Mama szybko odwraca oczy od książki. Babcia pierwsza zrywa się z krzykiem:

— Biada mi! Coś ty zrobił, zwariowany chłopie!

Tymczasem słoma bucha płomieniem.

— Dawidzie, pójdziemy z dymem — wymachuje rękami babcia — zobacz, co tam się dzieje! Gwałtu! Rety!

Dziadek rzuca robotę. Okulary zsunęły mu się z nosa. Daszek pokręconej czapki opiera się o ucho. Stara się wbić igłę w klapę, ale nie może trafić. Ze złością rzuca ją na stół i skacze na palącą się słomę. Skoczył i zaczyna na niej tańczyć. Nic innego tylko zwariował. Babcia również, bo nagle chwyta poduszkę i rzuca ją pod nogi tańczącego dziadka.

— Wariatko, co robisz! — krzyczy dziadek i jednym kopnięciem odrzuca poduszkę.

Matka szybko chwyta wełniany szal babci i biegnie do drzwi. Tylko Władek nie rusza się z miejsca. Siedzi ze swoimi czerwonymi zmarzniętymi piętami. Żuje coś w ustach i kiwa się.

— Zakuta pało! Coś ty zrobił? — pyta dziadek nie przestając tańczyć na słomie.

— Co zrobiłem? — mruczy przez nos Władek. — A dlaczego pan krawiec tak krzyczy? Przecież jest zima! Chciałem sobie ogrzać nogi. Oby tę Magdę szlag trafił! Dlaczego nie wpuściła mnie do łóżka?

— Obyś ręce i nogi połamał razem z Magdą! — błogosławi go babcia, unosząc obie ręce. — Dlaczego nas chciałeś podpalić?

— Nie chciałem was podpalić. Co też pani krawcowa wygaduje!

— Obyś tak gadał w malignie! Ty idioto! Czy tak się grzeje nogi?

Dziadek tańcem na słomie ugasił jednak ogień. Zaczął sapać jak astmatyk. Otworzyli okno. Dym wychodzi przez nie ledwo widocznym obłoczkiem. Mama okrywa się szalem i zasłania mnie przed otwartym oknem. Babcia owija się chustą mamy. Tylko dziadek ma nadal na sobie tylko kamizelkę i szuka czegoś w klapie.

— Gdzie ja podziałem igłę? Gdzie?

W chwili, gdy wszyscy byli zamieszani tym, co się stało, powoli otworzyły się drzwi i w progu stanął tato.

— Tato przyszedł! — krzyknąłem i pobiegłem do drzwi.

— Dobry wieczór! — Tato, mówiąc to, rozejrzał się zdziwiony zamieszanym panującym w izbie.

— Dobry wieczór! Dobrego roku! — I dziadek, podszedłszy do niego, dodał:

— *Szolem Alejchem!* Witaj!! Jak się masz?

Babcia szybko zamknęła okno. Mamie spadły okulary na podłogę.

— Natychmiast wynieś mi śmieci! — rozkazała babcia Władkowi. — Słyszysz, co do ciebie mówię? Wynos się, ty hyclu!

Władek nie odpowiadał. Podniósł się, zebrał pozostałą niedopaloną słomę i wzdychając, wyniósł ją.

— Dlaczego stoisz? Usiądź! — powiedział dziadek do swojego ojca.

— Co tu się stało? — zapytał ojciec, patrząc na mamę, która zdejmowała szal.

— Nic takiego. Taki głupi goj. Zachciało mu się ogrzać nogi, to wziął i zapalił słomę.

— Kto takiego goja trzyma w domu?

— No, wiesz... czasami przynosi do domu wiadro wody, wynosi śmieci...

Mama podniosła okulary. Kącik, na który tato skierował wzrok, wydawał się mamie za ciemny, toteż przeniosła się na drugą stronę krawieckiego stołu i pogрузzyła w lekturze.

Czy nie zauważyła spojrzeń taty, którego półsenne oczy spoczęły w końcu na krawieckim stole dziadka?

Siedziała z głową nieco zadartą, niczym jakaś wielka dama. Jej piękna twarz była ściągnięta. Miękki, ciepły podbródek lekko się ruszał.

— Warszawa, widać nieźle tuczy... — wąsy ojca zadrżały w uśmiechu.

Nikt mu nie odpowiedział. Babcia szybko zaczęła wbijać igłę w biały muślin. Dziadek przeciągnął fastrygę między wargami.

Stałem przy ojcu i spojrzałem mu prosto w twarz.

— Już ci lepiej, Mendel?

— Tak, już jestem zdrowy.

— Kiedy pójdziesz do chederu?

— Jak Bóg da, jutro.

W mieszkaniu zawisła prawie namacalna cisza. Tato dwoma palcami lekko uderzył w stół. Mnie w gardle coś dławiło. Zrobiło mi się ciasno w ubraniu. Złote okulary na nosie mamy błyszcząły ostrym blaskiem, który kłuł mnie w oczy. Cała zresztą twarz matki również błyszcząca.

— Jak się masz, Lejzorze? — przerwał ciszę dziadek.

— Bogu dzięki.

— A co słyhać na temat parnose?

— Nie najgorzej... można wytrzymać.

I znowu zapadła cisza. Pod kuchnią rozległ się uparty, gniewny, świdrujący śpiew świerszcza.

Władek zdążył już wyrzucić całą przypaloną słomę. Siedział znowu w swoim dawnym miejscu i pykał fajkę.

— Nie cieszysz się z powrotu żony? — usiłował kontynuować rozmowę dziadek.

— Z czego? — zapytał tato, patrząc na usta dziadka.

— Nie cieszy cię, że wróciła twoja żona?

— Tak... ale ona mnie nie dostrzega...

W tej chwili mama podniosła książkę ponad swoją głowę. Złote okulary przestały błyszczeć.

— Frumet — zawołał dziadek, odkładając robotę. — Lejzor tu jest.

— No to jest!

— Przestań czytać książkę. Przestań! — głos dziadka stał się ochryply. — W twoim wieku już się książek nie czyta.

— Taka stara już jestem? W Warszawie starsze ode mnie kobiety książki czytają.

— Wszystko w tej Warszawie... ale ty przecież nie mieszkasz w Warszawie. Ty masz męża, dziecko...

— Ładny mi mąż! To zaprzęg, a nie mąż!

Do oczu nabiegły mi łzy. Tato siedział z zamkniętymi ustami. Palce, którymi przedtem wybijał takt na stole, były teraz martwe.

— A co ja jej złego zrobiłem? — odezwał się ojciec.

— A straszne przekleństwa, którymi obrzucił mnie w liście do Warszawy, to pies? Za co? Nie wolno mi było pojechać na zaręczyny córki? A ile to ja córek posiadam?

— No, dobrze. Wyglupił się. Ale jak długo można się gniewać?

— Czy ja się gniewam?

— A co innego czynisz? Zabrałaś się do czytania... i co będziesz miała z tego?

— A co będę miała z niego?

— Co to za pytanie? On jest twoim mężem. Tak czy nie?

— Nie. On nie jest moim mężem.

— Przestań już. Głupia gęś.

— Tato, czego chcesz ode mnie?

— Chcę, żebyś się nie wyglupiała. Masz dom, rodzinę... Co za życie czeka cię tu, w domu twoich rodziców?

— Nie bój się tato, nie spadnę na twoje barki. Na własny kawałek chleba zawsze zarobię.

— Co takiego będziesz robiła? — wtrącił się mój tato.

— Niech cię o to głowa nie boli!

— Co jednak będziesz robiła? — zapytał dziadek, wysuwając do przodu bródkę.

— Coś tam będę robiła. Nie martw się. Potrafię trzymać pióro w ręku. Umiem czytać, umiem pisać. Gdyby nawet zachciało mi się udzielać korepetycji, to na kawałek chleba zarobię.

— Chcesz zostać melamedem dla dziewcząt?

— A jeśli nawet, to co?

Tu już babcia nie zdzierzyła. Zerwała się z kufierka i powiedziała:

— Nie chciałam się wtrącać, ale kiedy zaczynasz pleść głupstwa, muszę ci oświadczyć, że nie masz racji.

Babcia wypowiedziała to cichym głosem. Tylko głowa jej się trzęsła. Tata zrozumiał jej słowa tylko po ruchu warg. Zrobiło mu się trochę cieplej na duszy.

— W naszym domu pali się w piecu — powiedział tata jakby do stołu. — Poleciłem przygotować mleko, ser i masło...

— Pięknie dziękuję! Popatrzcie tylko, jak się wykosztował. A kiedy czasami proszę go o dodatkowy złoty na wydatki, to zaraz wybucha z awanturą.

— Chodzi ci o ten jeden złoty? — wzruszył ojciec ramionami.

— Chodzi mi o wszystko. Chodzi o to, żebyś mnie dobrze traktował. U Berła, nie przymierzając, miałam mosiężne klamki przy drzwiach. A u niego, co mam?

— Jak Bóg mi pomoże, to każę zainstalować miedziane klamki.

— A głównie chodzi o to, że wynalazł nam paskudne mieszkanie! — powiedziała to jakby nie do ojca, ale do Władka. — Ciemne, zimne...

— Kto jest temu winien? Przecież ty sama je wybrałaś.

— Ja wybrałam? Jak ja mogłam je wybrać, skoro Mojsze, biedaczysko, w nim zachorował.

— Widocznie w niebie było to pisane. Ale jeśli chodzi ci o mieszkanie, to jeśli Bóg da, to na święto Pesach²² wynajmiemy nowe.

— Czekał tatka latka...

— Jak długo do święta Pesach? — wtrącił się dziadek — widzisz przecież, moja Frumet, że przyszedł cię przeprosić. Czego jeszcze chcesz?

— Ładnie mnie przeprasza.

— Chodzi ci o to, żebym cię przeprosił? — tato rozłożył bezradnie ręce. — Więc cię bardzo przepraszam.

Znowu zapadła cisza. Władek drzemał sobie z fajką w ustach. Dziadek podniósł igłę do lampy i przeciągnął nitkę.

— Kto tam napalił w piecu? — mama przerwała ciszę.

— Ja kazałem napalić. Jest mleko, masło... mięsa nie poleciłem przygotować. Wiem, że...

— A pościel zmieniona?

— Tak. Poleciłem dać świeżą. Jest w domu ciepło, czysto.

Głos ojca też był ciepły i czysty. Podeszedł do warsztatu dziadka, przy którym siedziała mama.

— Masz jakieś rzeczy? Wezmę dorożkę.

— Gdzie teraz można dostać dorożkę?

— Dostanie się.

Mama odłożyła książkę. Nie wiem, czy pokazała ojcu, gdzie leżą jej rzeczy, ale on od razu podeszedł do warszawskiej paczki i wziął ją.

— Może by tak lyknać po kropelce, Lejzorze? — dziadek odłożył robotę i podeszedł do kuchennego kredensu, w którym zawsze była butelka mocnego, drogiego płynu.

Żółtawosiwe wąsy ojca stały się jakieś większe i gęstsze od uśmiechu, który rozjaśnił mu twarz.

— *Lechaim*²³! Na zdrowie!

— Za dobre życie i pokój. Obyśmy zdrowi byli i dużo radości mieli.

Władek obudził się z drzemki. Wyjął fajkę z ust i wstał. Uśmiechnął się do buteleczki dziadka, kiwając głową i przebierając jak w tańcu nogami.

— *Haim, haim*, panie krawiec!

²²*Pesach* — Pascha; święto upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu. [przypis tłumacza]

²³*Lechaim* — dosł.: na życie; na zdrowie (formuła toastu). [przypis tłumacza]

— Napijesz się, Władku?
 — Hm, hm...
 — No to masz! — dziadek podał mu pół szklanki wódki. — I wypij za zdrowie Magdy, która cię uderzyła rybą.
 — Nie. Niech ją szlag trafi. Wypiję za zdrowie pana krawca. Zdrowie!
 — *Haim! Haim!*
 Mama też nadpiła wódki ze szklaneczki. Ja bym teraz mógł wypić całą butelkę.
 — Robi się późno.
 — Dobrej nocy.
 — Dobrej nocy. Dobrego roku. W szczęśliwą godzinę.
 Ojciec szedł z przodu. W obu rękach trzymał pakunki matki. Ja z matką szliśmy z tyłu. Władek podskakiwał w tańcu. Dziadek z babcią stali w otwartych drzwiach. Babcia trzymała lampę na wysokości głowy. Dziadek trzymał między wargami nitkę fastrygową i nucił pod nosem:

Przepróśmy się, przepróśmy,
 kup mi pomarańczę!

ROZDZIAŁ VII

Panował u nas zwyczaj, a nawet prawo, że przenosiny z jednego do drugiego mieszkania musiały się odbyć w gojski dzień świętego Jana²⁴, który wypada w tygodniu zamykanym przez Szabat Nachmu²⁵. Tego dnia walała się po chodnikach słoma z rozprutych sienników. Drzwi i okna były otwarte na oścież i chłopcy wpadali i wypadali z domów. Psy laziły po świeżo usypanych śmietnikach. Nobliwi Żydzi w środku tygodnia kroczyli przy wozach naładowanych żywnością i sprzętem gospodarskim.

Mama nie chciała jednak tak długo czekać. Na stare mieszkanie nie mogła po prostu patrzeć. Z każdego kąta coś człowieka wyganiało. Toteż natychmiast po opuszczeniu domu dziadków zaczęła szukać nowego mieszkania. Wkrótce znalazła i wynajęła najlepsze chyba w mieście mieszkanie. Istny pałac.

Poczekano, aż minie sobota i we wtorek, jako że jest to dzień szczęśliwy, zorganizowano przeprowadzkę.

Chłop, który codziennie rano przychodził budzić ojca, nie wiedział nic o naszych planach. Zgodnie ze zwyczajem stanął przed oknem starego mieszkania i zaczął pukać w szybę, wołając:

— Panie kupiec! Panie kupiec!

Ale pan kupiec, to znaczy mój tato, był już ubrany. Wpuścił chłopca do mieszkania i powiedział mu, że dzisiaj nie pojedzie na wieś. Dzisiaj przeprowadza się do nowego mieszkania. Chłop zaś pomoże mu z przeniesieniem rzeczy.

Tego dnia nie poszedłem do chederu. Modlitwę odmówiliśmy wcześniej niż zwykle. Szybko, na jednej nodze zjedliśmy gorące śniadanie, odmówiliśmy błogosławieństwo dziękczynne i zabraliśmy się do roboty.

Ojciec razem z chłopem z trudem odsunęli szafę od ściany, na której pozostała duża ciemna plama, mieszanina pajęczyny i kurzu. Na podłodze nieposprzątanego mieszkania walały się niedopałki papierosów, pogięte łyżki cynowe, drewniane formy do odlewania chanukowych bączków²⁶ i parę sztywnych mankietów zmarłego Mojsze.

Kiedy zdjęto lustro wiszące nad komodą, ukazał się pająk, który w popłochu zaczął uciekać po ścianie w kierunku belki pod sufitem. Tam się zatrzymał i jakby zdziwiony popatrzył na zamieszanie i nieporządek powstały w mieszkaniu.

²⁴*Dzień świętego Jana* — 24 czerwca. [przypis edytorski]

²⁵*szabat nachmu* — szabat po dziewiątym dniu miesiąca Aw, czyli po żałobnym dniu, w którym wypada rocznica zburzenia obu świątyni jerozolimskich; kończy się wtedy okres żaloby związany z oplakiwaniem zburzenia świątyni i kraju oraz wygnania Żydów z ich ojczyzny; jęz. hebr. *szabes nachmu* oznacza dosł.: sobota-pocieszcie; jest to sobota, w którą odczytuje się podczas nabożeństwa XL rozdział księgi proroka Jezajasza, zaczynający się od słów *Nachmu, nachmu, ami* (hebr.): pocieszcie, pocieszcie mój lud. [przypis tłumacza]

²⁶*chanukowe bączki* — czerwone bączki oznaczone literami *N, G, H, SZ*, którymi bawią się dzieci w święto Chanuka; jest to święto upamiętniające wznowienie kultu religijnego w odnowionej Świątyni Pańskiej, po zwycięstwie nad wojskami grecko-syryjskimi w 165 r. p.n.e. [przypis tłumacza]

Łóżko ojciec sam rozebrał. Chłop chciał mu pomóc, ale ojciec się nie zgodził. Rozwarł wargi i pokazał mu dwa rzędy białych, zdrowych zębów, oświadczył chłopu po żydowsku:

— Nie pomagaj mi, sam to zrobię.

Łóżka były od zawsze słabostką ojca. Twierdził, że łóżko to jakby żona. Jeśli obcy go dotknie, zepsuje na amen.

Mama opatulona w ciepły szal, nie miała już nic z warszawskiego wyglądu. Naląła do dzbana wrzątku i polewała nim rozmontowane łóżko.

Na podłodze leżała wilgotna słoma, która przyklejała się do nóg chodzących po mieszkaniu.

W powietrzu unosił się zapach nieswieżej pościeli oraz szmat, które walały się pod łóżkiem Józki. Spod odsuniętej komody ukazały się puste pogniecione puszkę po sardynkach. O tym, jak się tam dostały, nikt z domowników nie miał pojęcia.

To tylko pozostało. Pozostało również echo biegnące od jednego do drugiego kąta i mroczna samotność, która pozostaje w każdym mieszkaniu, z którego wyprowadzają się żywi ludzie.

Na saniach rzeczy leżały w nieładzie, bez jakiegokolwiek porządku. Cztery nogi odwróconego stołu sterczały ku niebu. Czerwona pościel wtłoczona została między nogi stołu. Wiadro na pomyje razem z czarnymi nadtluczonymi garnkami leżały w otwartej szufladzie komody.

Sanie trzeszczały pod tym ładunkiem.

Po jednej stronie szedł ojciec ze ściennym zegarem w rękach. Niósł go tak jak, nie przymierzając, nosi się zwój *Tory* dookoła bimy²⁷ w Święto Radości *Tory*²⁸. Z drugiej strony sań szła mama taszcząc lampę stojącą, która w starym mieszkaniu zapalana była tylko w święta.

Ja siedziałem na saniach z tyłu, z twarzą zwróconą do ulicy. Ręce miałem zajęte trzymaniem lichtarzy. U moich nóg leżało stare żelazko do prasowania, które dziadek podarował nam z okazji mego wyzdrowienia.

I w taki sposób dotarliśmy do nowego mieszkania. Ze stojących w jednym równym rzędzie drewnianych domów wystawał jeden mały murowany żółty domek kryty blaszanym dachem. Spoglądał z niego na nas biały, bielszy nad śnieg, kot. Wąsy mu drgały, gdy wyciągnął ku nam lebek. Z wielkiego widać zdumienia nagle zaczął ziewać.

Sanie z rzeczami musiały pozostać na ulicy. Brama okazała się za wąska. Podwórko jeszcze węższe. Studni nie było widać. Zalatywało wieprzowiną i starymi, wilgotnymi szmatami, które wisały na drewnianym ganku.

Pod tym właśnie gankiem znajdowało się nasze nowe mieszkanie. Było mniejsze od poprzedniego. Kuchnia pomalowana była na niebiesko. Tynk na ścianach kruszył się. Sufit był jakoś dziwnie wykrzywiony. Samo mieszkanie miało kształt kwadratu. Dwa okna wychodziły na wąskie podwórko. Jasno w nim nie było. Podłoga za to pomalowana była na czerwono. Chyba z jej powodu mama wybrała to mieszkanie.

— W Warszawie — powiedziała — podłogi są pomalowane na czerwono.

Tato lekko się zachmurzył i patrząc na ściany, powiedział:

— Jakoś tu ciemno.

— Przecież jest zima — usprawiedliwiała się mama. — Latem, jak Bóg da, będzie jaśniej.

Mamie podobało się nowe mieszkanie. Było przestronne i czyste. Bez plam na ścianach. Mokra słoma nie walała się na podłodze. Nie będzie tu myszy. Tu już Mojsze nie umrze. Nie będzie też Józki, która nie przestaje mi się śnić.

Z zewnątrz zagłąda do mieszkania szary, dymiący wieczór. Ktoś biega po ganku. Od tego biegania drga nasz sufit.

W mieszkaniu jest teraz ciepło i jasno. Mama zapaliła dużą lampę, tę od święta.

²⁷*bima* — podium w środku bóżnicy, na którym czyta się podczas przerwy pomiędzy modlitwą poranną a modlitwą dodatkową *musaf* rozdział *Tory*; na bimie kantor śpiewa także niektóre fragmenty modlitwy. [przypis tłumacza]

²⁸*Radość Tory* (hebr. *Simchat Tora*) — ostatni, dziewiąty dzień święta Szalasów (Sukkot), kiedy kończy się czytanie *Tory* i zaczyna je na nowo. [przypis tłumacza]

Ojciec przestawia szafę. Otworzył przy tym usta. Pokazuje swoje białe, piękne zęby i trochę postękuje. Ja przyświecam mu małą lampką naftową i za każdym ruchem, kiedy tata postękuje, wtóruję mu westchnieniem. Jest zupełnie inaczej niż w starym mieszkaniu. Pod kuchnią bucha ogień. Stare wyszczerbione garnki stoją na fajerkach. Kipi już i gotuje się. Tak jak u babci w kuchni. Twarz mamy z jednej strony jest czerwona. Rękawy bluzki zawinięte aż po łokcie. Wyglądają jak obwarzanki.

Co chwila pokazuje się na progu pokoju i spokojnym, troskliwym głosem przypomina:

— Lejzorze, może byś się umył? Jedzenie nie może długo czekać.

Ale ojciec jeszcze nadal męczy się z szafą. Montuje właśnie górną jej część. Podparł ją ramieniem pochylając nieco głowę w bok. Stoi mocno na nogach. Nagle opuszcza ramię, nachyla się i górna część wchodzi lekko w szynę dolnej części szafy.

W kuchni mama szykuje już stół. Z miseczek kaszy bucha gorąca biała para. Na stole leży chleb pytlowy. Mama kroi duże pajdy, z których tato wykraja małe kromki. Moczy je w soli i dopiero wtedy bierze do ust.

Kilka much zostawia chleb i siada na brzegach miseczek z kaszą.

Ojciec co chwila odkłada łyżkę. Badawczym wzrokiem śledzi poczynania much. Chce ustalić, gdzie mają zamiar usiąść. Mama odgania je łyżką, potem ręką i popędza przy tym ojca:

— Jedz już. Jedzenie wystygnie.

Ja wiem, dlaczego go popędza.

Nie było w naszym domu większego zmartwienia jak wtedy, gdy ojciec znalazł muchę w swoim jedzeniu. Jedzenie mogło być nadzwyczajne, mogło się nawet składać z łebków kur, ale ojciec nie tknął go już. Wolał być głodny.

Tym razem jednak muchy zmęczyły się. Jedną matka zabiła ręcznikiem. Pozostałe przylepiły się do sufitu i stamtąd spoglądały do misek, z których jedliśmy i na chleb, który zniknął powoli ze stołu.

W nowym mieszkaniu zgodnie z zarządzeniem mamy spożywano posiłki w kuchni. Tylko w sobotę i święto jedliśmy w pokoju. Pokój mama sprzątała sama. Stół stał pośrodku, a nie przy oknie, jak to było w starym mieszkaniu. Na stole zawsze leżał kolorowy obrus z wyhaftowanymi szkatułkami, bezgłowymi ptakami i dzikimi kwiatami.

Nad komodą, obok zielonego lustra mama zawieszała fotografie swoich synów i jedynej córki, Cypele, która niedawno się zaręczyła.

Na komodzie leżała gruba bawełniana, ręcznie wyszydełkowana serweta obramowana frędzelkami. Stał tam też klosz ze szlifowanego szkła w kształcie łódki. Można było w nim przechowywać guziki z masy perłowej, szpilki, napastrki. Leżał w nim żabot ubierany przez mamę od przyjazdu z Warszawy tylko w sobotę i święta.

Nic jednak tak nie zdobiło komody, jak pocztówki z życzeniami, które mama otrzymała od swoich synów przebywających na obczyźnie. Obie pocztówki błyszcząły w pokoju złotem i srebrem. Obie miały okrągłe ramki ze złotymi literami: „Herzliche Glückwunsche zum neuen Jahre!”. I przy obu tych ramkach stały tak, jak strażnicy przy wejściu do raju, dwa małe gołębie trzymające w dzióbkach koperty.

Ojciec nie miał pojęcia o tej nowej ozdobie. W starym mieszkaniu nigdy tych pocztówek z życzeniami nie widział. Kiedy się teraz pojawiły na komodzie, oglądał je najpierw z pewnego dystansu, wycierając przy tym pot z czoła. Potem podszedł bliżej i tak, jakby to była delikatna rzecz ze szkła, wziął pocztówki w swoje duże, zmarzniete ręce.

— Co to ma być?

— Pocztówki z życzeniami — wyjaśniła mama.

— Pocztówki? Od kogo?

— Od Jojny i od Abramka.

Broda ojca oparła się o klapy marynarki. Jedną ręką włożył okulary, drugą postawił pocztówki na komodzie. Już więcej nie patrzył na nie. Drzemiącymi oczyma szukał czegoś po bokach lustra, gdzie wisiały fotografie dzieci matki.

Tata widocznie szukał fotografii swego syna, Lejbke, który odbywał służbę wojskową w Jekatierynosławiu. Znalazł ją, ale trochę dalej od lustra. Wisiała w sąsiedztwie jakiejś kobiecej postaci, której nikt z domowników nie znał.

Tato nie miał pretensji o to, że jego Lejbke wisi gdzieś na uboczu. Potem jednak, kiedy siedzieliśmy przy kolacji patrzył na mnie swoimi niebieskimi oczami i powiedział:

— Nic nie pisze ten Lejbke.

Nikt nie zareagował na to. Tato powoli ukroił małe kromki chleba, wsadził łyżkę do miski i znowu się odezwał:

— Wśród gojów... Jekatierynosław... tam nie otrzymują takich pocztówek.

W nowym mieszkaniu życie płynęło tym samym rytmem co w starym. Codziennie rano przychodził ten sam chłop i przez szybę wołał:

— Panie kupiec! Panie kupiec!

Przed wyjściem z domu ojciec zostawiał pod serwetą na komodzie pieniądze na wydatki. Mama targowała się, twierdząc, że za te pieniądze domu nie wyżywi. Mimo to wszystkie posiłki przygotowane były na czas. W mieszkaniu było czysto i ciepło.

A jednak przy tym wszystkim unosił się w nowym mieszkaniu smutek. Może dlatego, że było zbyt czyste i zbyt uprzątnięte. Może dlatego, że nad oknami zwisał drewniany ganek, który nie dopuszczał światła słońca. A może po prostu było to smutne mieszkanie.

Pierwszą osobą, która odczuwała ten nastrój była mama. Była jak ta jaskółka, która przy pierwszym deszczyku czuje, że lato już mija. Stała się niespokojna. Z każdym dniem zaczęła mniej uwagi przywiązywać do czystości i porządku w domu. Zdarzało jej się zapominać o przygotowaniu posiłków na czas.

Nie można było jednak mieć do niej o to pretensji. Bo jak inaczej mogła postępować? W pobliżu nie było sąsiadów. Ja zaś cały dzień przebywałem w chederze. Ojciec jeździł po wsiach, żeby skupować siano.

Nic więc dziwnego, że zostawiała dom na łaskę losu i wpadała do ciotki Miriam, a czasem spędzała długie godziny u babci Ruchli. Garnki na płycie kuchennej znowu zaczęły świecić pustym wnętrzem.

Dopiero kiedy ojciec wrócił, mama zaczynała szykować kolację. Głodny tato wpadał w złość. Bywało, że i przekleństwo wymykało mu się z ust, a czasami kładł się spać bez kolacji. Stąd też nie dziw, że w domu zapanował smutek. Wielki smutek.

I oto pewnego dnia, zimą, nagle otworzyły się drzwi i do mieszkania wpakował się wysoki młodzian z uniesioną głową. Na ramionach miał składane łóżko żelazne, a w ręku tobolek z pościelą.

— Gdzie mam postawić? — mruknął surowym głosem.

— Tu za przeproszeniem — powiedziała mama i wskazała na miejsce między kredensem z zastawą kuchenną i beczką z wodą.

Młodzieniec postawił łóżko i tobolek na wskazanym miejscu, odsapnął i wyszedł. Po kilku chwilach znowu otworzyły się drzwi i młodzian wjechał niebieskim kufrem na kółkach. Kufer obity był żelaznymi obręczami, zamknięty na dwa zamki.

— A gdzie jest Hudl? — zapytała mama.

— Już idzie — odpowiedział młodzieniec.

Nie mylił się. Hudl rzeczywiście się pokazała. Nie szła normalnym krokiem, ale jakimś tanecznym. Okrągłutka, pulchniutka. Z progu zawołała:

— Dobry wieczór, Frumet!

— Dobry wieczór! Dobry wieczór! Dlaczego tak późno?

— Na co się spóźniłam?

Hudl, ubrana w brązową szubę z wytartym kołnierzem, ciekawie rozejrzała się po naszej kuchni. Postawiwszy przy drzwiach męski parasol, głęboko odetchnęła.

— No, masz pojęcie? Szmat drogi...

— Czy to tak daleko?

— Daleko — odpowiedziała Hudl, zdejmując z głowy wełniany szal. Po chwili odwróciła twarz w stronę młodego człowieka i zapytała:

— Ile ci się należy?

— Dwa złote, ciociu — odpowiedział młodzieniec, ścierając pot z czoła.

— Nie jestem dla ciebie żadną ciotką, rozumiesz?

Hudl wykrzywiła z niesmakiem nos:

— I dlaczego raptem dwa złote? Zgodziłam się na czterdzieści groszy.

— Taki szmat drogi za czterdziestaka?

— Nie chcesz? To możesz mnie podać do sądu.

— Cioteczko! Niech pani nie odstawia chojraka i buli forszę.

— Jaka ci jestem ciotka, ty wsioku jeden!

— A co nie przystoi pani?

— Jasne, że nie przystoi.

— No cóż. Jeśli nie przystoi, to może mi pani zrobić przysługę i...

— Jak ci dam w pysk, to zobaczysz swoją prababkę.

I jednym skokiem znalazła się z zaciśniętymi pięściami przed chłopakiem.

— Bardzo proszę, chcę zobaczyć, co taka baba potrafi.

Hudl była kobietą krzykliwą, energiczną i ambitną. Gdyby w sprawę nie wmieszała się moja mama, która na widok klóćących się ludzi dostawała drgawek i gdyby nie dodała chłopakowi jeszcze dziesięć groszy, to by doszło do bójki.

Chłopak wyszedł z domu z okrzykiem „cholera”. Hudl odpląciła mu tym samym. Zła i gniewna zaczęła nerwowo rozpinąć nieco za ciasną dla niej szubę.

— Pomóż mi zdjąć ją, Frumet — poprosiła mamę.

Matka położyła potem szubę na krześle. Hudl skrzywiła się:

— Dlaczego na krześle? Dlaczego nie w szafie?

— W szafie trochę za ciasno — usprawiedliwiała się mama.

— Jeśli w szafie za ciasno, to się nie przyjmuje lokatorów. Co jest? Moja szuba jest gorsza od twoich ciuchów?

— Kto mówi, że gorsza? Uchowaj Bóg! Zaczekaj, rzucę okiem. Może znajdzie się miejsce w szafie.

Niebawem szuba zawisła w naszej szafie. Hudl ściągnęła z siebie jeszcze kaftan i wawrowany serdak. Została w barchanowej bluzce i spódnicy. Teraz zaczęła się na nowo rozglądać po kuchni.

— Tutaj będę?

— Tak, Hudl.

— Czy tu jest tak ciepło, jak mi mówiłaś?

— Ciepło jak w piecu.

— A gdzie tu ubikacja?

— Na dworze. Dwa kroki od drzwi.

Mama rozmawiała z Hudl pokornie, z przymilnym uśmiechem. Jakby czuła się winna.

— A gdzie podziewa się twój mąż?

— Zaraz zapewne się zjawi.

— Kto mi złoży łóżko? Kto?

— Jakoś złożymy.

— A nocnik masz?

— A jak można nie mieć?

— A ten, to twój syn? — Hudl nagle skierowała swoje duże, kocie oczy ku mnie.

I patrząc tak, rozdziawiała w uśmiechu swoje szerokie usta.

— Tak. To mój syn, Mendel. Najmłodszy, oby zdrowy był.

— Więcej dzieci z mężem nie miałaś?

— Miałam jeszcze dziewczynkę, ale umarła. Oby on za to długo żył.

— Na psa urok. Niczego sobie chłopak. Chłopak jak świeca. Podejdz no bliżej.

Nie podszedłem. Ta kobieta nie spodobała mi się.

— U kogo się uczysz?

— U Szymy-Josefa — odpowiedziała za mnie mama.

— A z pianą już odlewasz się?

Zauważyłem, jak mama oblewa się rumieńcem. Usta Hudl rozszerzyły się od ucha do ucha. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Ta baba wdarła się do nas jak choroba. Nie

przejęła się ani moim zakłopotaniem, ani rumieńcem mamy. Śmiała się bezczelnie w oczy, pociągała nosem. Wyciągnęła z kieszeni garść cukierków i gryząc je zapytała mamę znowu:

— Kiedy twój mąż wstaje?

— Raniutko.

— To przecież nie da mi zmrużyć oka.

— Nic podobnego. Mnie, która śpi jak kura, nigdy nie budzi.

Z całej tej rozmowy wywnioskowałem, że Hudl wprowadziła się na stałe do naszej kuchni. Mamie już nie będzie smutno. Jeszcze jeden człowiek będzie w domu. Będzie mieszkał u nas tak, jak w starym domu Józia, córka bednarza.

Tej nocy późno zasnąłem. Z przymkniętymi oczami widziałem, jak po mieszkaniu krąży ta obca kobieta, okrągła i pulchna jak pierzyna. Potem słyszałem, jak żelazne łóżko Hudl skrzypi. Jak pociąga nosem, jak mlaska językiem. Słyszałem nawet, jak oddaje mocz do blaszanego nocnika.

ROZDZIAŁ VIII

Hudl mogła mieć ze czterdzieści lat. Ona sama twierdziła, że zbliża się do trzydziestki. To tylko gorzkie życie i parszywa profesja uczyniły ją starą.

Kiedyś Hudl miała męża, ale był to człowiek nie do życia. Niedorajda i w dodatku dotknięty chroniczną chorobą. Hudl bez dłuższego namysłu porzuciła go i wyszła za mąż po raz drugi. Pragnęła mieć dzieci, ale nic z tego nie wyszło. Jeździła do wielu cadyków²⁹. Zasięgała porad najlepszych lekarzy i wypijała morze wywarów z ziół.

Na dużym podwórzu za bóżnicą, gdzie był dom Hudl, zbierały się kobiety i dziewczęta ciekawe posłuchać, jak Hudl miota przekleństwa na głowy swoich mężów. Obaj mężowie Hudl byli widać nieco głuchawi i nie słyszeli, czego Hudl od nich chce. Ona sama — krzyczała — jest zdrowa jak rzepa. Wszyscy lekarze i wszyscy święci Żydzi z Kongresówki zapewnili ją o tym. Słowem winni są tylko jej mężowie, oby gniew nieba spadł na nich.

Wyjść za mąż po raz trzeci już nie chciała. Jeśli wszyscy mężowie warci są śmierci, to ona nie będzie ryzykować życiem. W wieku więc trzydziestu kilku lat, w pełni sił żywotnych, Hudl została wdową.

Smutny jest los samotnej wdowy, nawet kiedy jest się kobietą typu Hudl. Szukała więc kontaktów z ludźmi. Chciała mieszkać i żyć wśród obcych rodzin. Wszędzie wozila ze sobą niebieski, opasany żelaznymi obręczami kufer na kółkach, który z każdym dniem stawał się cięższy od sobotnich lichtarzy, poduszek, ubrań i innych fantów, które biedni ludzie zastawiali u niej i nie mogli potem wykupić.

To chyba mama postarała się o to, by Hudl z nami zamieszkała.

— Po pierwsze — stwierdziła mama — mniej nas będzie kosztował czynsz. A po drugie będzie jakoś przytulniej w mieszkaniu.

Ojciec nie był specjalnie zadowolony z nowej lokatorki. W owym czasie był w stanie sam opłacać czynsz, a co się tyczy przytulności, nie rozumiał, dlaczego mamie miałoby jej w tym mieszkaniu brakować.

Toteż patrzył na Hudl złym okiem. Nie mówiąc słowa, obejrzał kuty kufer, po czym wbił oczy w mamę. W jego spojrzeniu było nieme pytanie:

— Po co nam to było, Frumet?

Hudl wyczytała pytanie z jego oczu. Rozdziawiła więc gębę:

— Czemu pan tak patrzy, panie Lejzorze?

— Dlaczego nie miałbym patrzeć? Na piękną kobietę warto popatrzeć... — zażartował ojciec.

— Cha, cha, cha — skóra okrągłej twarzy Hudl zmarszczyła się.

— Prawda, panie Lejzorze, że jeszcze jestem warta grzechu?

— No, Hudl, przestałabyś — wtrąciła się szybko mama.

— Dlaczego miałabym przestać? W imię czego? Czyżbyś była zazdrosna?

— Nie jestem zazdrosna. Nie lubię takich żartów.

— On przecież, tak czy owak, nie słyszy tego, co się do niego mówi.

²⁹ *cadyk* — sprawiedliwy, pobożny człowiek; także: charyzmatyczny przywódca duchowy chasydów. [przypis tłumacza]

Być może tato rzeczywiście nie słyszał, ale za to ja wszystko dobrze słyszałem. Od samego początku. Zabolalo mnie, że Hudl stroiła sobie żarty z głuchoty taty. Jej głośne i bezczelne gadanie dotknęło mnie do żywego. Znienawidziłem tę wypasioną babę. Wniosła do naszego domu krzykliwość i obcość. Kuty zielony kufer, który przedtem stał w kuchni, nagle wjechał do dużego pokoju. Hudl z każdym dniem stawała się grubsza. Z dnia na dzień coraz bardziej błyszcziała.

Mama w tym czasie całkiem prawie straciła swój miękki, ładny, w Warszawie wychodowany, podbródek. Twarz jej ściągnęła się i wyostrzyła. Z rana nie nosiła już czarnej jedwabnej spódnicy, którą dostała od ciotki Gitl-Hadasy. Miała teraz na sobie zwykłą barchanową. Stała się jakby wyższa, szczuplejsza.

Hudl chodziła po mieszkaniu, kołysząc biodrami i demonstrując gołe ramiona. Swoją perukę wysmarowała jakimś gęstym smarem, którego zapach drażnił nozdrza. Bez przerwy żuła kawałki słodkiego ciasta, na przemian z żółtą, tłustą chałwą. Oblizywała się przy tym tak samo jak Władek przy swoich wyżebranych kromkach chleba.

Kiedy żarła, odwracała twarz ku ścianie. Nigdy nie uważała za stosowne kogoś poczęstować. Jeśli ktoś zastawał ją przy jedzeniu, przestawała żuć, zamykała usta pełne żarcia i czekała, aż ów odejdzie.

Bała się strasznie uroków. Co najmniej dwa razy w tygodniu mama musiała nalać do szklanki wody, wrzucić do niej węgielek, umoczyć palce w wodzie, obmyć twarz Hudl i kilka razy splunąć wymawiając zaklęcie: „Niech to spłynie na wszystkie puste pola”.

W ten sposób mama odczyniała uroki, które jakoby spadały na Hudl. Zapach zjadanych przez Hudl pomarańczy nieraz łaskotał moje podniebienie. W nosie mi się kręciło od konfitur, które Hudl trzymała pod łóżkiem. Mimo że jej serdecznie nie znosiłem, nie mogłem się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie popatrzeć na to, jak zajada się tymi smakołykami.

Pewnego razu Hudl przywołała mnie do siebie, zajrzała mi w oczy i podała kawałek strudla.

— Masz młokosie! Jeśli będziesz się dobrze sprawował, dostaniesz więcej.

Czy sprawowałem się dobrze, nie wiem, ale kilka dni później znowu mnie przywołała. Obejrzała mnie ze wszystkich stron i poczęstowała chałwą.

— Jedz braciszku. Zasłużyłeś — powiedziała z uśmiechem cwaniaczki, szczypiąc mnie w policzek. — Dobra chałwa? Smakuje?

Chałwa była rzeczywiście dobra, ale dlaczego mnie uszczypliła?

Bolał mnie policzek. Pozostał na nim siniak, który potem szerniał. Bałem się, że mama go zauważy. Gotów byłem Hudl oddać i chałwę, i strudel, byle tylko przestała mnie szczypać.

I oto pewnego dnia w sobotę rano zdarzyła się rzecz następująca. Mieszkanie nie było jeszcze sprzątnięte. Żółty wilgotny piasek, którym posypano podłogi wczoraj, był teraz biały i suchy. Na parapecie okiennym stały zimne talerze z jeszcze zimniejszą rybą. Mamy nie było w domu. Poszła do ciotki Miriam. Ktoś tam miał wpaść. Herbaty w domu nie było. Stara Pawłowa, która w sobotę paliła u nas w kuchni, jakoś spóźniła się. Tato przeczytał już rozdział *Tory* przypadający na ten tydzień i chciał się napić herbaty. Być może z powodu pragnienia zaczął mnie co chwila budzić, żebym wstał.

— Już czas pójść się modlić.

Pod kołdrą było ciepło. W mieszkaniu panował chłód. Jakże mógłbym chcieć opuścić łóżko? Zacząłem więc grać na zwłokę:

— Zaraz, tatusiu, jeszcze troszeczkę.

Tato nie mógł się doczekać. Ani mnie, ani Pawłowej. Zarzucił na kapotę tałes, a na tałes wciągnął płaszcz i poleciwszy mi zaraz podążyć za sobą, udał się do bóznicy.

Mnie nadal nie chciało się wstać. Zacząłem liczyć do stu, bo postanowiłem przy stu jeden wyskoczyć z łóżka. Ale doszedłem do dwustu i dalej leżałem.

I oto w trakcie liczenia usłyszałem, jak ktoś zamyka drzwi w kuchni.

W jakim celu ni z tego, ni z owego zamyka się drzwi w kuchni? Co ta Hudl zamierza robić?

Niedługo przyszło mi czekać na odpowiedź. W pokoju pojawiła się Hudl. Sama chyba nie wiedziała, jak wygląda. Zamiast sukni miała na sobie spodnie zakończone szpicami.

Takie spodnie noszą sztukmistrze, którzy pokazują magiczne sztuczki w „budzie”. Nocnego czepka Hudl na głowie nie miała, dlatego też po raz pierwszy zauważyłem, że ma rzadkie włosy. Do tego siwe. Co się z nią stało? Szybko się rozejrzała po mieszkaniu. Podeszła do okien i zaciągnęła firanki.

Zdziwiło mnie to niepomierne. W czym zawadzały jej firanki?

Ale Hudl widocznie miała swój plan. Nim zdążyłem się domyśleć, o co jej chodzi, jednym skokiem dopadła mego łóżka i usiadła na nim.

Gorący pot oblał moje ciało. Wstyd mi było, że obca kobieta przysiadła na moim łóżku.

Nadal nie wiedziałem, o co Hudl chodzi. Ale instynktownie naciągnąłem na głowę kołdrę i po prostu ukryłem się w jej ciepłe.

— Dlaczego się chowasz? — powiedziała Hudl, odkrywając kołdrę.

— No, masz cukierek.

— Nie chcę cukierków! Niech pani pozwoli mi wstać!

— Nie krzycz tak. Wiedz, że ja kiedyś zadusiłam chłopca, który tak jak ty krzychał.

Głos jej stał się chrapliwy. Zdawało mi się, że ja właśnie jestem tym chłopcem i Hudl już mnie udusiła.

Inaczej nie mogłem tego zrozumieć. Język mi zeszywniał.

Poczułem chłód w nogach. Miałem wrażenie, że setki szpilek kłuje moje stopy.

— Głuptasku — powiedziała Hudl pochyliwszy się nade mną — przygotowałam dla ciebie pomarańcze, winogrona i orzechy laskowe. Jak myślisz, czego od ciebie chcę?

Nie powiedziała mi, czego chce, ale raptem swoimi grubymi wargami przycisnęła moje usta.

Straciłem oddech. Dusłem się. Starłem się wyrwać moje wargi spod jej ust, ale ona był silniejsza. Rękami niby obcęgami przytrzymała moją głowę. Po chwili poczułem przy sobie czterdziestoletnie wypasione ciało Hudl.

— Kochany — już nie mówiła tylko charczała. — Dam ci pieniądze... mam dużo pieniędzy. I zegarek też dostaniesz. Przecież już jesteś dorosły. Powinieneś mieć zegarek.

Jak w gorączkowym śnie przypomniałem sobie, że Józia, córka bednarza, też takim ochrypłym głosem do mnie mówiła. Ale Józia mnie objęła, kiedy było mi zimno po powrocie z pogrzebu. Czego Hudl chce ode mnie? Jestem teraz w jej rękach słaby i bezbronny.

I oto podnosi mnie. Nie mogę się bronić.

— Jak ja chcę, to musisz! — zgrzyta zębami i chce mnie położyć na sobie.

Ale w tym momencie zdarza się cud. Czuję w sobie napływ sił. Padam nie tam, gdzie Hudl chce. Jednym ślizgiem wykręcam się z jej rąk. Skok i jestem na podłodze.

— Ludzie, ratujcie! — krzyczę.

— Przystaniesz krzyczeć?!

Hudl wyskakuje z łóżka i gdy ja czołgam się po podłodze, ona podbiega do mnie i stawia mi na karku swoją ciężką nogę.

Nic innego, jak tylko chce mnie udusić. Tak jak to zrobiła z owym chłopcem.

Nie wiem, jak na to wpadłem. Chyba Pan Bóg pomógł mi wyrwać się z jej rąk. W jednej chwili wpiłem się zębami w nogę Hudl.

— Złodziej! Morderca! — zaczęła wrzeszczeć płaczliwym głosem.

Puściłem nogę. Zaczęła skakać na drugiej jak spętana gęś.

— Żeby cię ogień spalił, ty podły sukiny! Zaczekaj, już ja cię urządzę! Taki mały bękart, a już łązi do kobiet. Żeby cię cholera!

Nagle chwytą ze stołu lichtarz i rzuca go w moją stronę. Ja, szybko wciągając spodnie, ledwo zdążyłem uchylić się przed ciosem. Lichtarz spadł na kołdrę. Leży teraz na łóżku jak nieboszczyk. Hudl, skacząc na jednej nodze, znalazła się w kuchni.

Ja sam musiałem teraz wyglądać jak nieboszczyk.

Ubrałem się w mig. Przez kuchnię nie mogłem przejść. Tam była Hudl. Otworzyłem więc okno i wyskoczyłem na dwór.

Z kuchni doszło mnie błogosławieństwo Hudl:

— Żebyś połamał ręce i nogi!

Na ulicy wpadłem na mijanych ludzi. Którędy się idzie do bóżnicy? Zaszedłem nie tam, gdzie trzeba. Znalazłem się w starym ogrodzie miejskim. Biada mi! Co powie tato i co ja jemu powiem?

Droga do bóżnicy zajęła mi znacznie więcej czasu niż zwykle. Przyszedłem w połowie nabożeństwa. Ojciec popatrzył na mnie wzrokiem pełnym złości. Nic nie powiedział. Położył rękę na moim ramieniu. Pokazując mi palcem odmawiany właśnie werset w modlitewniku mruknął:

— No, o...

Wbiłem wzrok w żółte na pół podarte kartki modlitewnika, ale liter nie widziałem. Na karku czułem palące spojrzenie ojca. Wśród linijek tekstu pojawiała się Hudl. Nie wiedziałem, czy już należy odwrócić stronicę. Nie słyszałem, jaki werset odmawia teraz kantor. Ojciec co kilka chwil wychylał głowę spod tałesu i mruczał:

— No, oo...

Nie wolno mu było rozmawiać, ale w jego mruknięciu, które pochodziło raczej z nosa niż ust, usłyszałem z uporem powtarzane pytanie:

— Gdzie tak długo byłeś? Dlaczego nie modlisz się? Dlaczego jesteś taki zmieszany?

Modlitwa stała się dla mnie istną pańszczyźnianą męką, piekłem. Prosiłem Boga, żeby się prędzej skończyła, żebyśmy mogli już pójść do domu. Ale znaleźć się w domu też nie było dobrym rozwiązaniem.

— Co się z tobą dzieje, Mendel? — głos ojca niby świder, wiercił mi dziurę w mózgu.

— Nic. Co ma się dziać?

— Dlaczego od razu nie przyszedłeś do bóżnicy?

— Nie miałem czystej koszuli — szybko zmyśliłem kłamstwo.

— Co znaczy, żeś nie miał czystej koszuli? Przecież leżała na krześle.

— Nie mogłem jej znaleźć.

— A matka jeszcze nie wróciła?

— Nie.

— Coś mi wyglądasz na zmieszanego. Mendel, co ci jest? Może jesteś chory?

— Głowa mnie troszkę boli.

Nie kłamałem. Głowa faktycznie mnie bolała. I pod sercem coś mnie kłuło. Ojciec powoli i dokładnie obejrzał mnie. Nie mogłem ustalić, czy mi wierzy, ale nie zamęczał mnie więcej pytaniami.

Szliśmy w milczeniu. Śnieg przyjemnie skrzypiał pod nogami. W innych okolicznościach pozwoliłbym sobie na ślizganie po zamrożonym rynsztoku. Po cichu oderwałbym się od ojca i z kumplami zabrałibyśmy się do lepienia bałwana. Dzisiaj jednak biała sobotnia ulica wyglądała czarno w moich oczach.

Było mi zimno. Zdawało mi się, że w skrzypieniu śniegu słyszę słowa o mojej winie, o moim grzechu. Wstydzilem się kroczyć tuż przy ojcu. Bałem się bowiem, że swoim brudnym ciałem zanieczyszczam jego sobotnią kapotę.

Kiedy przyszedliśmy do domu, fajerki na płycie były już białe od gorąca. Z pełnych garnków rozchodził się zapach gęsiny i słodkiej kapusty.

Jak widać, matka wróciła już od ciotki Miriam. Opowiedziała, że wuj Szmuel przejadł się wczoraj i zachorował na żołądek. Lekarz Towie przystawił mu pijawki. Mama zaczęła się krzątać przy łóżku. Wygladziła kapy i poduszki. Przy łóżku ojca zatrzymała się trochę dłużej. Serce podskoczyło mi do gardła. Czyżby coś zauważyła?

Ale po chwili przewróciła tylko na drugą stronę kołdrę i rozciągnąwszy ją, wygladziła.

Hudl stała w naszym pokoju twarzą zwrócona ku oknu. Była ubrana w czarną suknię i miała złoty, długi łańcuch na szyi. Gruba, rozłożysta, lekko kiwała się nad otwartym modlitewnikiem.

Patrzyłem na nią z boku. Byłem pewny, że zaraz obróci się twarzą ku mnie i głośno powie, dlaczego dzisiaj spóźniłem się do bóżnicy. Szykowałem się już do odpowiedzi. Przecież ja również miałem coś do opowiedzenia.

Hudl jednak nic nie powiedziała. Zaczęła chodzić po pokoju, gniewna, chmurna, z opuszczoną głową. Nikomu w oczy nie patrzyła.

— Hudl — zapytała mama — czy masz, nie daj Bóg, jakieś zmartwienie?

Hudl nie odpowiedziała. Zaraz po obiedzie wyszła do miasta i przez całą sobotę nie było jej w domu. Dopiero późno w nocy, kiedy ojciec siedział już na łóżku i ściągał buty, zjawiła się.

Postanowiłem trzymać się jak najdalej od Hudl. Już wiedziałem, do czego zmierza swoją chałwą i strudlem. W sobotę już nie wylegiwałem się w łóżku. Wręcz przeciwnie. Wstałem wcześniej od ojca.

Sama Hudl przestała od tamtego czasu rozmawiać nie tylko ze mną, ale również z mamą i z ojcem. Nikogo nie poznawała i nikogo o nic nie pytała. Przez cały dzień paradowała po mieszkaniu w koszuli z dekoltem i z obnażonymi w całości ramionami. Siedem razy dziennie otwierała i zamykała kufer. Jedzenie swoje gotowała w garnkach mamy. Rozbijała szklanki. Jednym słowem oszalała. Mama przyglądała się temu i milczała. Ojciec, który wyjeżdżał raniutko, nigdy Hudl w takim stanie nie widział. Kiedy zamykał za sobą drzwi, Hudl właśnie przewracała się na drugi bok. Kiedy w nocy wracał i otwierał drzwi, Hudl spała już, zmęczona złością obnoszoną za dnia.

Raz tylko, kiedy mama była chora, ojciec został w domu. Wtedy zobaczył Hudl.

Kręciła się po mieszkaniu w wydekolтованej koszuli nocnej. Co chwila podchodziła do swojego kuferka. Otwierała go, wyciągała jakieś rzeczy, potem wkładała je z powrotem i zamykała.

Ojciec z taśsem na ramionach modlił się. Czy jego oczy na dłużej zatrzymały się na postaci Hudl, trudno powiedzieć. Faktem jest, że w pewnej chwili zaczął modlitwę szybciej i głośniejszym recytować.

Mama leżała w łóżku. Była osłabiona. Nie mogła rozmawiać. Kiedy jednak, przy bożej pomocy, wstała z łóżka, a Hudl dalej kręciła się po pokoju w swojej wydekolтованej koszuli, nie wytrzymała i zawołała:

— Hudl, czy ci nie zimno?

Hudl podeszła do kuchni i wetknąwszy prawie twarz w garnek z gotującą się strawą odpowiedziała:

— Dlaczego ma mi być zimno? Czy nie pali się w kuchni?

— Ale jak można w taki sposób paradować po mieszkaniu?

— A w jaki to sposób paraduję?

— No wiesz... może byś coś tak włożyła na siebie? Nie wypada...

— Popatrz, no, popatrz... nie wypada... czego mam się wstydzić? Czy to nie moje?

— Ależ posłuchaj, Hudelciu, w twoim wieku... no wiesz... w mieszkaniu przebywa przecież chłopiec...

— Widzicie ją? Boi się o chłopca! Dobra, dobra, ten twój chłopaczek, to twoje biedaczysko, wie więcej niż my obie.

Krew napłynęła mi do twarzy. Wybiła chwila. Hudl zaraz opowie, zaraz powie. Gdzie się tu schować? Co powiedzieć?

— Sza! Ani słowa! — Mama jakby odpędzając rękami słowa Hudl, odskoczyła od niej i zawołała:

— Niech już lepiej twoi wrogowie mówią za ciebie!

Hudl założyła ręce na biodra i stanąwszy pośrodku pokoju powiedziała:

— Od kiedy to stałaś się taką pobożną matroną?

Twarz matki wydała mi się w tej chwili dwukrotnie większa niż zwykle. Malowało się na niej zmieszanie i niepewność.

— Nie stałam się pobożną matroną — tłumaczyła się — ale w domu są mężczyźni...

— Przyzwoi mi mężczyźni! Ładni mi mężczyźni! Żeby tak zdrowa była, jak ci mężczyźni lubią to, czym inni nie gardzą...

Wypowiedziała to z triumfującym, tajemniczym uśmieszkiem na twarzy i z taką zachwalością, że wargi matki w mig się zamknęły. Widać było, że z trudem łapie powietrze.

Dotknęło mnie to do żywego. Gotów byłbym puścić w niepamięć własną krzywdę, ale ból matki przejął mnie do głębi. Gdybym tak mógł przyskoczyć do Hudl i kopnąć ją w brzuch, sto lat życia przybyłoby mi.

Matka chyba czegoś się domyśliła. Spojrzała na mnie jakoś smutnie swoimi niebieskimi, na pół drzemiącymi oczami. Wydawało się, że w jej wzroku tkwi żądanie, żebym zdał jej sprawozdanie, żebym powiedział jej, co jest grane.

Powiedziałbym. Opowiedziałbym wszystko, ale bałem się, że to może jeszcze pogorszyć sprawę.

Przez wiele dni matka pogrążona była w milczeniu. Jakoś zmaląła i skurczyła się. Jakby Hudl przygniotła ją do ziemi, nie słowami, ale kamieniami.

Wieczory stały się ciemnoszare, nieprzyjemne, ciężkie. Matka cerowała, poprawiała i latała bielizną. Hudl zaś dalej zajmowała się gotowaniem jedzenia. Jak przedtem odwracała się przy jedzeniu twarzą do ściany i wcinała rosół z kurzymi skrzydełkami.

Myśmy w owym czasie mięsa w powszednie dni tygodnia nie jedli. Rano mama gotowała kaszę, wieczorem barszcz z kartoflami.

Zapach kurzych rosółów laskotał podniebienie. Przed zaśnięciem Hudl z zamkniętymi ustami żuła kawałki pomarańczy.

Czy można było taką kobietę lubić? Nie mówię już o tym, że kiedy myśmy się kładli spać z brzuchem pełnym kartofli, ona delectowała się pomarańczami, ale czego chciała ode mnie? Co miała do zarzucenia ojcu? Właśnie, co?

Mama przez jakiś czas milczała. Było to długie i bolesne milczenie. Aż pewnego wieczoru, kiedy ojciec spokojnie przekrawał łyżką ugotowany kartofel, matka, kładąc łagę na koszuli, przysunęła się do niego i cichym głosem powiedziała:

— Lejzorze!

Drzwi do kuchni były przymknięte. Ja już zapadałem w sen. Miałem zamknięte oczy. Czulem, że matka chce powiedzieć ojcu coś takiego, czego nie powinienem usłyszeć.

Może przyczynił się do tego jej dziwny szept, a może jej długie milczenie. Fakt, że postanowiłem nadstawić uszu i podłuchiwać.

— Lejzorze — powtórzyła matka i jeszcze bardziej przybliżyła się do ojca.

— Co? — zapytał ojciec zostawiając łyżkę w talerzu.

— Powiedz mi prawdę, Lejzorze...

Ojciec obrócił brodę ku mamie. Na jego twarzy malowała się ciekawość.

— Co?

— Widzisz, Lejzorze — słowa utkwily mamie w gardle — Hudl...

— Co Hudl?

— Hudl powiada... to znaczy, nie mówi tego otwarcie...

Mama położyła rękę na ramieniu ojca. Ojca, widać, sprawa zaczęła obchodzić. Odsunął od siebie talerz i wbił wzrok w twarz mamy:

— Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, Frumet! Co chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć — głos mamy obniżył się — to znaczy zadaję ci pytanie. Powiedz mi prawdę... czy ty z Hudl? No wiesz.

— Co?

Oboje siedzieli zwrócenii twarzą ku łóżku, w którym leżałem. Przez chwilę panowała cisza. Przyglądali się sobie i milczeli. W głosie mamy brzmiała płacziwa prośba. Twarz ojca pobladła:

— Frumet! Kto ci to powiedział?

— Ona sama... Hudl...

— Co ona sama?

— Ona powiedziała, że ty z nią...

Trwało to chwilę. Chwila zastanowienia. I nagle ojciec zerwał się z miejsca, odsunął na bok krzesło i postawił krok w kierunku przymkniętych drzwi kuchni.

— Lejzorze! — Matka zagroziła mu drogę. — Co chcesz zrobić?

— Daj mi tylko wejść do niej!

— Lejzorze! Zaklinam cię, nie rób tego! Jeśli chcesz, żebym żyła!

— Nie zaklinaj mnie Frumet! Muszę tej czarownicy dać nauczkę. Raz i na zawsze!

— Nie pójdziesz do niej. Wierzę ci. Gdybym ci nie wierzyła, to bym ani przez chwilę tu nie pozostała. No już, daj spokój. Chodź tu, usiądź przy stole.

— Nie, Frumet! Ona musi natychmiast się wynieść stąd! Podła baba! Bezczelna wiedźma!

Mama objęła ojca za szyję.

— Lejzorze, nie pójdziesz do niej! Za duży to dla niej zaszczyt. Usiądź, proszę cię.

Ojciec usiadł przy stole. Co chwila jednak kierował wzrok ku drzwiom kuchni. W końcu mamie udało się go przekonać, ale jeść już nie chciał.

We mnie wszystko się burzyło. Pierwszy i chyba ostatni raz w życiu widziałem ręce mamy na szyi ojca.

Przez jakiś czas rozmawiali jeszcze. Ich słowa powoli i z trudem cedzone przypominały powolne ruchy zmęczonych, łączących po ścianach much. Sen odebrał mi słuch. Zasnąłem z widokiem rąk mamy zarzuconych na szyję ojca. W mojej wyobraźni ręce mamy wyglądały jak dwa białe, czyste ptaki.

Pośrodku nocy coś mnie obudziło. Poczułem ból w ustach. Jakby mnie szyłem kłuto. W głowie mi szumiało. Ojca już nie było. Widocznie zdążył już wyruszyć z chłopem na wieś.

— Co mnie tak boli? Co mi w głowie szumi? Może ząb? Nie. To nie jeden ząb, ale cała połowa ust. Ból świdruje mi głowę, czuję go w plecach. Sięga już do palców u nóg.

Boję się krzyżeć. Nie chcę nikogo budzić. Wije się i stękam. Chowam głowę pod koldrę, ale mama mimo to usłyszała, że nie śpię.

— Mendele? Dlaczego stękasz? Boli cię coś?

— Oj, zęby mnie boją.

— Biada mi syneczku! Gdzie cię boli?

I nie czekając na moją odpowiedź, wstała z łóżka i w ciemności zaczęła czegoś szukać.

— Gdzie zapalki?

Panująca w pokoju ciemność była dzisiaj gęstsza niż zwykle. Zupełnie nieprzenikniona. W ciemności wzmagał się ból. Kłuił mnie w plecy. Świdrował mózg. Mama wreszcie znalazła zapalki i zapaliła lampkę. Teraz dopiero zacząłem się wiercić i wić jak wąż.

— Pokaż, Mendele, gdzie cię boli.

Długim palcem dotknęła wnętrza moich ust. Szukała miejsca bólu. Zacząłem się dusić. Nie mogłem uleżeć w łóżku. To podnosiłem się, to kładłem znowu. Ból nie ustępował.

Mama zaczęła szukać spirytusu, czosnku i pieprzu. Chciała zrobić gorący kompres z rozgrzanego piasku. Cała izba poszła w ruch. Szafa, komoda z wiszącym zegarem. Tylko Hudl głośno chrapała. Wreszcie i ona się obudziła. Panicznym głosem zawołała:

— Co tam się dzieje? Dlaczego tak krzyczą?

— Oj, droga Hudl — mama zapomniała, że się na nią gniewa — ząb... biedaczysko... strasznie go boli. Nie wiem, czy w domu mamy spirytus. Może ty, Hudl, masz trochę spirytusu?

— Nie mam spirytusu! Skąd u mnie spirytus!

— Co w takim razie mam zrobić?

— Co zrobić? — piskliwym głosem zawołała Hudl. — Co za pytanie? Zadusić go trzeba i koniec. Żeby taki młokos nie dawał oka zmrużyć!

Mama już więcej o nic nie prosiła Hudl. Tak długo szukała, aż znalazła w domu spirytus. Wziąłem krople na ząb. Przyłożyła mi do policzka kompres z gorącego piasku. Ciepłymi rękami głaskała mnie po twarzy i w ten sposób złagodziła moje cierpienie.

Hudl jednak nie spała już. Jej głos wgryzał się w mózg jak rdza w żelazo.

— Oka nie dadzą zmrużyć. Przez pół nocy przeszeptywała się z mężem. Jak się chce gruchać z mężem, to nie trzeba przyjmować sublokatorów. I ten bękart ze swoimi zębami. Kto mu kazał mieć zęby? Chętnie bym go zadusiła.

— Obyś się sama udławiła i udusiła! Boże jedyny!

Słowa te mama wymówiła z głębi serca. I jeszcze czulej objęła moją głowę ciepłymi rękami.

ROZDZIAŁ IX

Ojciec nie chciał dłużej tolerować Hudl w domu. Gdyby nawet przyszło mu mieszkać na ulicy, to z tą przeklętą babą nie chciał mieszkać pod jednym dachem.

Hudl nie miała zamiaru się wyprowadzić. Krzyczała, że jest wdową, że chcemy ją unieszczęśliwić, że się na nią uwzięliśmy.

Ojciec jednak się uparł. Nic nie pomagało. Musiała się wyprowadzić.

Tego dnia słońce świeciło niezwykle jasno i odbijało się srebrzystym blaskiem od rynsztoków, szyb okiennych i mokrych dachów.

Dziewczęta z rozwichrzonymi fryzurami, w nocnych koszulach stały w otwartych oknach i czyszcząc szyby, śpiewały pieśni o miłości i o sierotach.

Zbliżało się święto Pesach. Piękne święto wiosny i wyzwolenia, na cześć którego moja mama zawsze śpiewała:

— Święto Pesach — najpiękniejsze święto,
człowiek je do syta.
Żona jest królową, mąż jest królem,
a nędza aż piszczy w domu.

Na naszym podwórku, na którym przez cały rok pachniało wieprzowiną i kwaśnymi ogórkami, wałały się teraz części łóżek, odlamane nóżki od szaf i wydarte kartki z rozsypanej się *Biblii*.

Mama z głową owiniętą w kawałek szarego płótna wzięła do ręki miotłkę i oczyszczała z kurzu i pajęczyny puste miejsca na ścianie powstałe po odsunięciu komody i łóżka.

I oto w chwili, kiedy wszystko już zostało wymiecione z kuchni, zjawił się w naszym mieszkaniu ów wysoki młodzian, który w swoim czasie przyprowadził Hudl. Z uśmiechem na twarzy, wesołym głosem zawołał:

— Co, Hudele, znowu się przeprowadzamy?

— Nie twój interes. Weź rzeczy i jazda!

Młodzian ściągnął pasek od spodni, rozstawił nogi na kształt nożyc i zabrał się do kufra Hudl.

W czasie, kiedy Hudl u nas zamieszkiwała, jej kufer stał się widocznie cięższy, albowiem młodzieniec spocił się z wysiłku.

Jeszcze mocniej ściągnął pasek i zaczął gadać do kufra tak, jak się mówi do upartego żywego stworzenia:

— No, rusz się! Żeby ci szlag trafił! Popatrzcie jak się nażarł! No, ważniaku, poddaj się! Cholerę ci w bok!

— Do kogo, wariacie, mówisz? — zawołała Hudl zdumiona.

— Proszę mnie zrozumieć pani Hudl — odpowiedział młodzian, przymykając szelmowsko oko. — Kufer, na psa urok, jest jakoś tłusty. Przybył mu brzuszeczek prawdziwego bogacza. Taką świnię należy trochę podepchnąć.

— Podepchnij sobie własną durną lepetynę! Idioto! No, zjeżdżaj z nim razem, chojraku!

W końcu młodzian wyniósł się z kufrem. Postawił go na ręcznym wózku, obwiązał sznurem, po czym zabrał się do wyniesienia paki z pościelą Hudl. Z trudem ją podniósł. Widocznie bielizna również przybrała na wadze od czasu zamieszkania Hudl w naszym domu. Krzywiąc usta i ciężko sapiąc, młodzian wykrztusił:

— Co do cholery! W ciążę bielizna zaszła?

— Przestań paplać, idioto!

I tak przekomarzając się z Hudl i z jej rzeczami, młodzieniec powoli ogołocił kuchnię z jej dobytku.

Hudl bez pożegnania, nie obracając nawet głowy do nas, wyszła. Za drzwiami, dopiero kiedy na wózku znalazły się wszystkie jej rzeczy, podbiegając do okna zawołała:

— Żebyś spłonęła jak sucha szczapa! Razem z twoim mężulkiem rozpustnikiem i tym twoim bękartem!

Mama pozostała głucha na jej przekleństwa.

To widocznie Hudl jeszcze bardziej rozjuszyło. Przechyliła się przez parapet okienny i zaczęła wrzucać do pokoju nową wiązanekę przekleństw:

— Znam cię, ty „pobożnisio”! Myślisz, że nie wiem, do kogo ty pojechałaś do Warszawy? Do twego kochanka poleciałaś! Doigrasz ty się jeszcze! Przyjdzie kryska na Matyska! Nie myśl, że ci to ujdzie płazem!

Ręce mamy drżały. Z niepokojem w oczach zaczęła czegoś szukać. Szary kawałek płótna zwisał jej teraz z drugiej strony głowy, niczym pęknięty balon. Hudl wymyślała

tymczasem coraz nowe przekleństwa i coraz nowe grzechy mamy. Aż ta nie wytrzymała. Chwyliła wiaderko z wodą i chlusnęła w rozkrzyczaną twarz Hudl.

Ta odskoczyła od parapetu, a mama szybko zamknęła okno. Młodzian stojący przy wózku z bagażem Hudl chichotał. Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Kamień uderzył w szybę, wybił ją i trafił prosto w ścianę, na której wisiały fotografie dzieci mamy. Do nosa Abramka na środkowym zdjęciu przykleił się kawałek błota.

Po rzuceniu kamienia ustały złorzeczenia Hudl. Widocznie się uspokoiła. W mieszkaniu zaległa również cisza. Matka jednak musiała bez przerwy moczyć drżące ręce w zimnej wodzie i przykładac do czoła kompres z tartego chrzanu. Ojcu nic nie powiedziała. Kiedy ten wrócił na noc do domu, zauważył, że w kuchni nie ma już kufra i łóżka Hudl. Uśmiechnął się i zapytał:

— Wyniosła się, wiedźma?

— Wyniosła.

— Chwała Bogu!

Przez kilka dni kuchnia świeciła pustką. Każde głośniejsze słowo odbijało się w niej jakimś obcym echem. Czegoś brakowało. Lepiej jednak było odczuwać brak czegoś, niż oglądać tłustą gębę Hudl.

Tak więc w święto Pesach miało nam zabraknąć sublokatora w kuchni. Ojciec był z tego zadowolony. Gdzie to jest napisane, że w kuchni ma spać sublokator? Matka wyraźnie nie podzielała zadowolenia ojca. Po wyprowadzeniu się Hudl nadal nacierała skronie chrzanem. Po przekleństwach Hudl nie mogła dojść do siebie. Stękając po cichu z bólu, oświadczyła, że jak Bóg da, to w święto uda się do lekarza. Bóg dał, święto było, ale mama do lekarza nie poszła. Widocznie zapomniała. Bo oto w święto zjawili się u nas goście. Niespodziewani, ale bliscy, swoi, mile widziani.

Na miejscu, gdzie przedtem stało łóżko Hudl, postawiono nowe, również żelazne.

Pościel, w odróżnieniu od tej, której używała Hudl, była teraz czysta i świeża, nowa jak spod igły.

Przywiozła tę pościel Ita, najmłodsza córka ojca z pierwszego małżeństwa.

Ita przybyła z Warszawy. Była to silna, piersista brunetka, o dużych błyszczących oczach. Niska, o szerokich biodrach. Ręce miała tak spracowane, że z trudem udawało się jej nałożyć zamszowe rękawiczki.

W Warszawie pracowała jako służąca. Przez całą zimę stała przy kuchni okutej miedzianymi obręczami. W emaliowanych białych garnkach i miedzianych brytfannach gotowała i piekła dla brzuchatych, bogato ubranych mężczyzn i delikatnych, piersistych kobiet żydowskich.

— W Warszawie — powiedziała Ita — są tylko „panowie” i „madames”. Czasami trafia się „starsza pani” albo „młody pan”. Innych, znaczy się, ludzi tam nie ma.

Tam w Warszawie Ita także sypiała w kuchni. Była to jednak duża kuchnia. Wodę czerpała ze ściany, a ubikację miała tuż przy kuchni, w której spała. Nie paliła lampy naftowej. Palił się tam niebieski płomień zwany gazem.

Nijak nie mogłem zrozumieć, jak można palić lampę bez nafty. Ita wytłumaczyła mi, że w Warszawie jest taka fabryka, w której używają węgla jako opału. Spalają tam tysiące stosów węgla. Z tego węgla wydobywa się taki gaz odprowadzany rurami pod ziemią do każdego mieszkania. Mama powiedziała, że Ita nie kłamie. U ciotki Gitl-Hadasy jest też taki gaz. Mimo to nie mogłem tego pojąć. Tato zaś powiedział, że z tym gazem musi być jakoś inaczej. Nie może przecież tak być, żeby z palenia w fabryce dostawało się światło do wszystkich mieszkań.

Za to gotowanie i pieczenie w wysokich kaflowych piecach Ita miała własną książeczkę kasową. Nosila prasowane haftowane bluzki. W każdy wieczór szabasowy chodziła do żydowskiego teatru na przedstawienie *Baba-Jachna*, *Trefnik* oraz na wiele innych umoralniających sztuk.

Wiele zim i lat spędziła Ita w Warszawie. Na święta wołała wpaść do domu, do ojca. Chciała popatrzeć na bliskie osoby i nacieszyć się nimi. W Warszawie — mówiła — czuję się samotna jak palec. Tęskniła za ojcem, za miastem, za ciotką Frumet, za mną. Przecież bardzo długo mnie nie widziała. Toteż patrzy teraz na mnie rozszerzonymi i jakby rozgorączkowanymi oczami. Cała jej twarz zmarszczyła się od nieustannego uśmiechu.

— Wyrosłeś, bez uroku — powiada do mnie. — Nie poznałam ciebie... Masz, przywiozłam ci nożyk. A tu masz modlitewnik, zaś tu tefilin, warszawskie tefilin. Oby Bóg dał, żebyś je mógł założyć na bar micwę³⁰.

Tak powiedziała moja siostra Ita i zaraz następnego dnia z rana zaczęła pomagać mamie przy porządkowaniu mieszkania na cześć nadchodzącego święta Pesach.

Stoi w otwartym oknie. Jest szeroka w biodrach. Z zakasnymi rękawami, rozkołysana, czyści kredą szyby. Biję od niej niepohamowana siła. Do podwórza, nad którym wciąż unosi się zapach wieprzowiny, docierają słowa piosenki, którą Ita przywiozła z Warszawy.

Kochałam ja chłopca, który z Wiednia był.
Kochałam ja chłopca, który z Wiednia był.
Pojechał do rodziców zobaczyć, jak się mają.
Pojechał do rodziców zobaczyć, jak się mają.

W środku izby stoi mama i z zakopconą od dymu twarzą zwraca się do stojącej w oknie Ity:

— Prawda Ito? Dobrze jest w Warszawie?
— Owszem, dobrze — powiada Ita, czyszcząc szybę — ale jak się nikogo nie ma w Warszawie, to się tęskni za domem.

— A za kim ty masz tu tęsknić?
— Co znaczy za kim? Tęskni się...

Ita nie mówi, za kim tęskni. Siada na parapecie okna i dalej ciągnie swoją piosenkę:

Pojechał do rodziców zobaczyć, jak się mają...

Może dlatego Ita również przyjechała do domu, do swoich rodziców? Ale ona ma przecież tylko ojca. Moja mama jest dla niej zaledwie ciotką.

Ita niezależnie od tego, czy czyści szyby, czy myje podłogę, nie przestaje śpiewać o chłopcu, który odjechał do Wiednia.

Czasami jednak zamyślała się i piosenka urywała się w pół zdania. „Chłopiec” zatrzymuje się na wysmarowanej kredą szybie albo staje na niedomytej do końca podłodze. Kiedy mama jest w kuchni, Ita pyta mnie, czy umiem pisać po żydowsku i czy nie chciałbym napisać jej listu do Warszawy.

— Tak, umiem pisać po żydowsku. Jeśli mi podyktuje, napiszę do Warszawy.

Ale Ita, zadawszy pytanie, natychmiast zapomniiała, o czym chciała napisać. Przestała nawet śpiewać piosenkę o chłopcu, który odjechał do Wiednia.

Był przeddzień święta Pesach. Na dachu domu naprzeciw siedziały dwa gołębie. Jeden biały, ze zwisającym jak u wypasionego bogacza wolem i drugi niebieski o złotych oczach. Niebieski gołąb gniewnie gruchał, a biały odsuwał się od niego.

Ita stała na swoich czerwonych, obnażonych nogach i obracała beczkę na wodę. Mama przedtem wrzuciła do niej rozżarzony kamień i oblała go wrzątkiem. Od zetknięcia wrzątku z kamieniem powstawała para, która buchała w spoconą twarz Ity. Zasapana wycierała pot z czoła i na chwilę przestała obracać beczkę.

Zobaczyła bowiem gołębie na dachu i patrząc na nie, uśmiechnęła się od ucha do ucha, po czym wskazując je palcem, powiedziała:

— Ten niebieski to samiec. Biały zaś to samica. On powiada do niej „kochaneczko”! A ona trzyma się z dala od niego.

— Ito — skrzywiła się mama — uważaj, beczka może się spalić. Czy nie masz już innego tematu do rozmowy?

Ita zaczerwieniła się po uszy. Z większym zapalem zaczęła toczyć rozżarzony kamień po dnie beczki.

Nie miałem czasu na obijanie się. Nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby przyglądać się gołębiom. Przecież jutro święto. Na blaszanym daszku nad płytą kuchenną leżała

³⁰*bar micwa* — dosłownie znaczy „Syn przykazań”. W trzynastym roku życia chłopiec żydowski zaczyna odpowiadać za swoje uczynki, za wypełnianie przykazań. Z tej okazji odbywa się w bóżnicy wielka uroczystość nosząca tę nazwę. [przypis tłumacza]

drewniana łyżka z resztkami chumecu³¹ zebranymi przez ojca ze wszystkich zakątków mieszkania. Miałem ją owinąć bandażem i zanieść do bóżnicy na spalenie i zdążyć wrócić do domu na ostatni posiłek przed świętem³².

Spalanie chumecu nigdy nie należało do moich ulubionych zajęć. Zawsze uważałem to za rzecz wstydliwą.

Nie wiem, czy wstydzilem się biednej łyżki, czy żal mi było wychodzić z czystego, sprzątniętego mieszkania. Fakt, że była to dla mnie nieprzyjemna praca.

Dlatego też starałem się nie chodzić z chumecem do synagogi. Nigdy zresztą nie spaliłem go.

Bocznymi uliczkami przemykałem się do okrągłego rynku, na którym wznosi się z jednej strony ratusz z zegarem miejskim, a z drugiej strony zamek ze staromodnymi, okrągłymi oknami.

Na środku rynku między ratuszem a zamkiem rozciąga się na małej powierzchni skwerek, na którym rośnie rzadka trawa.

Żydzi wyrzucają tu pestki od śliwek, zaś służące zostawiają tu stare miski i dziurawe garnki. Czasami nocuje tu zabłąkany pies. Komu może zaszkodzić moja drewniana łyżka? Niech i ona zazna na tym skwerku nieco spokoju i odpoczynku. Przyznaję, że z lekkim sercem tego nie robiłem. Miałem poczucie grzechu. Czulem, że nie wolno mi tego czynić. Ale mimo to chumecu nie spaliłem.

Dzisiaj pobiegłem tam wcześniej niż zwykle. Zegar na wieży ratusza lśnił kolorem nieba. Na staromodnych, okrągłych oknach zamku zalegała chłodna niebieskość. Dopiero co przebudzony chłop wjechał na rynek z furą słomy.

Rozejrzałem się po wszystkich stronach. Przy ratuszu stoi strażnik. On na pewno widzi, dokąd zmierzam. Ale co mi tam strażnik. Przecież nie mam zamiaru kraść. Gorzej z Żydami i Żydówkami, którzy co jakiś czas tędy przechodzą.

Oto właśnie nadchodzi siwy Berl z rudą, głupią brodą. Przechodzi i zagłada mi prosto w oczy.

Zatrzymuje się. Czekam, aż Berl przejdzie, a strażnik oślepie, aż chłop z furą słomy zniknie mi z oczu. I kiedy nikogo już z nich nie widzę, wyciągam z rękawa łyżkę, obracam się twarzą do ratusza, jakbym chciał zobaczyć, która godzina na zegarze, i z tyłu przierzucam łyżkę przez ogrodzenie skweru.

Nie uciekam. Odchodzę powolnym, sztywnym, twardym krokiem, jakbym tę łyżkę właśnie polknął. Jestem pewny, że za chwilę ktoś mnie złapie z tyłu za kołnierz i krzyknie:

— Stój, chłopcze! Czy ty jesteś? Co tam rzuciłeś?

Bóg jednak jest miłosierny. Dotychczas nikt mnie za rękę nie złapał. Jedno tylko: przez cały okres święta Pesach mam wrażenie, że całe nasze mieszkanie przesiąknięte jest chumecem. Nic nie mówię. Męczy mnie to i gnębi. Daję sobie słowo, że, jak Pan Bóg da, to w przyszłym roku spalę go doszczętnie. Nadchodzi ten rok i moje postanowienie pozostaje niespełnione.

Spieszę do domu. Kto wie, czy zdążę na ostatni przedświęteczny posiłek. Mama będzie miała pretensję: „Chłopak w domu, a pociechy z niego żadnej”. Jeśli ojciec będzie obecny, to położy swoją ciężką rękę na moim ramieniu i gniewnym głosem zawoła:

— A gdzieś był tak długo, gagatku mój?

I kiedy już jestem blisko domu i szukam wymówek dla taty, zauważam stojącego obok młodzieńca z ogoloną, nieco niebieskawą twarzą, trzymającego w ręku walizczkę. Rozgląda się dookoła jak obcy, nietutejszy i pyta mnie:

— Powiedz chłopcze, czy tu czasem nie mieszka Frumet, córka Dawida Frojki?

— Do czego panu potrzebna jest Frumet, córka Dawida-Frojki?

— Po co pytasz? Czy to twój interes?

— To właśnie mój interes. Frumet, córka Dawida-Frojki to moja matka.

³¹chumec — kwaszony chleb. [przypis tłumacza]

³²łyżka z resztkami chumecu (...) zebranymi (...) ze wszystkich zakątków mieszkania — na pamiątkę pośpiechu, z jakim Izraelici opuszczali Egipt, podczas święta Pesach spożywa się macę, chleb prażony. Podczas Pesach nie wolno jeść pieczywa na zakwasie, ani nawet posiadać go w domu; w przeddzień święta należy starannie oczyścić dom z chumecu, przy czym okruchy chlebowe tradycyjnie zbiera się na drewnianą łyżkę, a następnie spala. [przypis edytorski]

— To tak? — ogolona twarz młodzieńca promienieje uśmiechem i zadowoleniem.
— W takim razie jestem twoim bratem.
Młodzieniec chyba zwariował, myślę sobie.
— W jaki sposób jesteś moim bratem?
— Bardzo prosto. Jestem Jojne z Łodzi. Nie słyszałeś o mnie?
— Co znaczy, nie słyszałem? Na naszej komodzie stoi przecież twoja fotografia. Jak mogłem ciebie nie poznać!
Biegiem pędzę do mieszkania i krzyczę:
— Mamusiu, Jojne z Łodzi przyjechał!
Mama jest na podwórzu. Słyszy mój krzyk i płoszy się. Robi się czerwona na twarzy. Myśli, że zwariował. Zaraz jednak chwyta ścierkę i szybko wyciera ręce. W pośpiechu gubi fartuch i z wyciągniętymi rękoma biegnie nam na spotkanie.
— Jojne kochany, dziecko moje! Nie spodziewałam się ciebie! Witaj miły gościu!
Obejmuje głowę syna. Ze wzruszenia wyciera nos. Wykonuje kilka obrotów nie ruszając się z miejsca. Rozgląda się po podwórku, czy wszyscy ją widzą. Przecież przyjechał Jojne, najmłodszy syn z pierwszego małżeństwa.
Jojne jest chudzielcem. Jego jabłko Adama jest w ciągłym ruchu. Policzki ma zapadłe. Wyglądają na głębokie dziury.
— Jojnecku — wzdycha mama — czemu tak źle wyglądasz?
— Pracuje się, mamo.
— Czy dobrze cię chociaż traktują? Czy są z ciebie zadowoleni?
Mama ociera z oczu łzy. Jojne postawił już swoją walizczkę. Teraz dopiero widać, że jego paletko ma krótkie rękawy. Buty jednak błyszczą. Krawat ma ładny, zdobny w czarne paski. Do tego szpilkę zakończoną główką z gutaperki³³. Ale gdzie się podziała Ita?
Matka, zauważywszy jej nieobecność, woła donośnym głosem:
— Ita, gdzie jesteś?
Ita schodzi z ganku. Suknia na niej już niepodkasana. Ramiona ukryte w rękawach. Włosy zaczesane, twarz rumiana. Uśmiecha się. Jest nieco zakłopotana. Tylko oczy jej błyszczą. Biję z niej ciepło.
— Winszuję wam miłego gościa — powiada Ita, odsłoniwszy swoje duże białe zęby.
— Dziękuję ci, Ito. To przecież mój Jojne, mój syn. Nie znasz go?
— Skąd go mogę znać?
Mówiąc to, Ita ukradkiem zerka na Jojne. Sam Jojne stoi nieporuszony. Jabłko Adama opada mu, jakby coś połknął. Ita czeka.
— To jest Ita — powiada mama do Jojne. — Córka wuja.
Jojne rusza nogą. Robi to po wielkomijsku. Jego chuda postać wykonuje obrót na wysokich obcasach. Ita ściąga swój szeroki biust i podaje Jojne krótką, spracowaną dłoń.

ROZDZIAŁ X

Jeśli Ita przywiozła z Warszawy sytość bogatych kredensów i beztrudne zachowanie, to Jojne przyjechał z Łodzi ze skrzętnie skrywaną w małych, rozbieganych oczach biedą i z ciemnozielonawym pyłem na twarzy od pluszowych dywanów, przy których pracował w Łodzi. W czasie, kiedy Ita krzątała się rozplamiona przy bogatych garach, Jojne musiał uniżenie kłaniać się klientom. Musiał się im podlizywać, namawiać i oszukiwać.

Być może, że z tego właśnie powodu Jojne jest taki chudy i taki pokręcony. Kiedy mówi usta ma do połowy zamknięte. Mówi powoli, przez ściągnięte wargi, z jakimś zaśpiewem. Wtrąca często wyszukane polskie słowa. Nawet do matki zwraca się czasem per: „proszę, łaskawa pani”.

Wyraźnie widać, że Jojne jest człowiekiem wielkomijskim. Ma laseczkę, miękki kapelusik, noszony na bakier i marynarkę ściągniętą w talii. Jojne nie chodzi, ale tańczy. Mały kroczek i zaraz mały podskok. Krok i pływ.

Ita patrzy na niego z boku. Wdzięczy się, ściągając podbródek, który układa się w fałdy i śmieje się. Kiedy Jojne nie słucha, powiada mimowolnie:

— Jaki on zgrabny, jaki ładny...

³³gutaperka — substancja występująca w soku mlecznym wielu roślin. Zbliżona pod względem chemicznym do kauczuku. [przypis tłumacza]

Twarz mamy rośnie w uśmiechu. Pociągając nosem, przytakuje jej z zadowoleniem:

— Piękny, bez uroku, jak złoto! Co Ito?

— Żeby tak szczęśliwa była — powiada Ita — jaki on ładny.

Z powodu Jojne przybyło nam jeszcze jedno łóżko, oczywiście żelazne. Mama wypożyczyła je, Ita zaś przytaszczyła. Postawiono je tam, gdzie dawniej stał kufer Hudl. Mama powiedziała mi, że od tego dnia będę spał w tym łóżku razem z Jojne.

Ita przykryła łóżko własną kołdrą. Rozłożyła ją i wygładziła na rogach. Włożyła w tę pracę całą swoją umiejętność i serce, tak że na kołdrze nie pozostała najmniejsza zmarszczka. Potem, stanąwszy w odległości kilku kroków od łóżka, zadowolona obejrzała je i oświadczyła:

— Sam cesarz mógłby spać w takim łożu...

I rzeczywiście było to cesarskie łóżko. Świeża czystość promieniowała nie tylko z tego łóżka, ale również z łóżek rodziców i z całego mieszkania. Takiej niebieskiej klarowności na szybach, tak białych firanek w kredensach, gdzie stała zastawa stołowa, nigdy w naszym mieszkaniu nie widzieliśmy. Kiedy zasiedliśmy do wieczerzy paschalnej, nie można było poznać ani mieszkania, ani domowników.

Matka na cześć święta odnowiła i przerobiła perukę, dodając do niej z przodu czarny lok podobny do ptaka. Jej niebieskie oczy błyszczały jak dwa szlifowane diamenty. Podbródek wyhodowany w Warszawie, a potem zagubiony w domu, pojawił się znowu w tę noc paschalną. Czarna bluzka z białymi szpicami przy rękawach, żabocik pod szyją wraz z pozłacaną plecioną broszką, przydawały mamie urody i wdzięku.

W ojcu trudno było dostrzec świąteczną zmianę. Nowej kapoty nie mógł sobie sprawić. Nosił więc starą, prawda, że przez Itę wyczyszczoną i wyprasowaną. Na cześć święta pozwolił sobie na ostrzyżenie i wyrównanie włosów. Twarz jednak, smagana wiatrem, nosiła ślady zmęczenia. Jego wzrok był szary i ciężki. Przenosił go na zmianę ze swojej córki na syna mamy. Czasem przenosił go na mnie. Oglądał mnie od stóp do głów, głęboko przy tym wdychając.

Czułem, że tato cierpi, ponieważ nie był w stanie sprawić mi niczego na święto.

Bolało go również, że biały, świąteczny kitel zmuszony był nałożyć na starą kapotę. Tego nowego kitla z niebieskim jedwabnym kołnierzem i paseczkami wokół rękawów tato sam nie kupił. Przywiozła mu go Ita w prezencie z Warszawy. Wiedział, że jego dzieci są biedne, bo ciężko pracują u obcych ludzi. Po co więc miały przywozić mu prezenty? Kitel, ostatecznie, mógłby sam sobie kupić.

Ita jednak była zadowolona i szczęśliwa, że mogła mu go kupić.

— Noś na zdrowie, tato!

W jej oczach szklily się łzy szczęścia na widok ojca, który w białym odzieniu pięknie wyglądał.

Sama Ita podczas wieczerzy paschalnej po prostu promieniała. Tyle w niej było ognia. Twarz rumiana, uszy czerwone. Również ręce miała zaróżowione. Od czasu do czasu chowała je pod stołem. Gdyby bluzka nie była czerwona tylko czarna, to jej ręce wyglądałyby jak języki ognia. Czarna głowa Ity była umyta, włosy uczesane w loki i loczki. Błyszczała jakąś cienistą niebieskawością. Od Ity bił przyjemny zapach. Kiedy poruszała się, słychać było szelest jedwabnej spódnicy. Mogła sobie pozwolić na trochę luksusu. Przywiozła z Warszawy kufer z rzeczami.

Poza tym siedzi przy stole Jojne. Ita raz po raz przechodzi obok niego. Stara się zwrócić na siebie jego uwagę, aczkolwiek Jojne zasiadł do wieczerzy w nieświętecznym ubraniu i nieświętecznym uczesaniu. Chudy, z jabłkiem Adama w ciągłym ruchu, z dziobami na policzkach, w wytartej marynarce, nie wygląda zbyt zachęcająco.

Tato czyta *Hagadę*³⁴ na głos. Ja powtarzam za nim jeszcze głośniejsze. Jojne zaś mruczy ją pod nosem. Przewraca kartki *Hagady* jednym palcem.

— Jojne — powiada do niego matka — mruczysz *Hagadę* jak ów niedźwiedź.

— Jaki niedźwiedź?

Opowiada więc mama historię o pewnym Żydzie, który chciał nauczyć niedźwiedzia modlić się. Wziął w tym celu modlitewnik i włożył między kartki ciasteczka z makiem.

³⁴*Hagada* — opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu. Czytana podczas paschalnej wieczerzy zwanej sederem. [przypis tłumacza]

Niedźwiedź wsadzał łeb tam, gdzie było ciasteczko i szybko polykał je. Tam zaś, gdzie nie było ciasteczka, niedźwiedź wsadziwszy łeb tylko mruczał. W ten sposób niedźwiedź nauczył się modlić.

Jojne śmieje się do rozpuku. Ojciec nie słyszy. Ja znam tę opowieść od dawna. Ita uśmiecha się z zadowoleniem. Przygląda się siedzącemu po przeciwnej stronie stołu Jojne. Sama nie umie czytać *Hagady*. Otwiera więc usta jak ryba, która chce zaczerpnąć powietrza.

Mama również czyta. Ona potrafi czytać, jeszcze jak czytać! Wyraźnie, z zaśpiewem dziecka, przy wtórze krótkich westchnień. Słowa wysypują się z jej ust jak wygrzane, piękne perły. Dotrzymuje kroku ojcu. Wiem, że przy następnym wersecie ojciec zacznie się kiwać i podniesie głos. Wtedy mama wpada w jego słowa obcym, zimnym głosem i ostrzega:

— No!

Zawsze z niepokojem czekam na moment, kiedy ojciec dojdzie do tego wersetu i zacznie się kiwać. Z całego serca życzę sobie, żeby to szybko minęło. Co roku powtarza się ta sama scena. Ojciec zapomina, co było przed rokiem, a mama nie może się odzwycząić od ostrzegania go.

I oto ojciec zaczyna się kiwać. Kołnierz nowego kitla mieni się dostatnią niebieskością. W czerwonym winie odbijają się srebrzystymi, drgającym pasmami, palące się świece. Głos ojca nabiera mocy.

I nagle głośniejsze niż przy innym zdaniu czyta:

— Tym rzadziej i rzadziej...

Natychmiast rozlega się głos mamy.

— No! Co ty mówisz, Lejzorze? Ma być: tym bardziej i bardziej.

Ojciec nagle przerywa czytanie. Przestaje się kiwać. Nieruchomieje. Podnosi głuchawą twarz, patrzy na palec mamy, który wskazuje mu werset w *Hagadzie* i mruczy:

— Tak rzeczywiście: tym bardziej...

Na chwilę zalega milczenie. Ciężkie milczenie. Potem ojciec zaczyna dalej czytać. Szybciej niż przedtem. Głośniejsze niż przedtem. Za chwilę jednak zostanie znowu upomniany za błędne odczytanie tekstu.

— Źle, Lejzorze!

Nie mogłem patrzeć mamie w oczy. Gdybym był w wieku Jojne, to bym powiedział mamie, żeby nie poprawiała ojca. Niech czyta, jak umie. On przecież wie, jak jest napisane. Prawdopodobnie niedowidzi.

Jojne jednak nie odezwał się. Kiedy mama obcym, zimnym głosem przerywała czytanie ojca, Jojne wydymał policzki. Uśmiechał się z boku. Wtedy zauważyłem w jego ustach jeden tylko ząb. Złoty, duży ząb. Wszystkie pozostałe zęby jakby się odsunęły od niego i ten jeden pozostał.

Nie potrafię z całą pewnością stwierdzić, ale wydaje mi się, że z powodu tego jednego złotego zęba, który Jojne wystawił w chwili, kiedy ojciec pomylił się w czytaniu *Hagady*, zapalałem nienawiścią do mego brata. Pomyślałem, że Jojne teraz bardziej zgrzeszył niż ja, który rano nie spaliłem chumecu.

Nie tylko zresztą ja znienawidziłem Jojne. Wydaje mi się, że również Ita nie patrzy mu już prosto w oczy. Widzę, jak jej czarne źrenice są rozbiegane. Jest niespokojna. To patrzy na ojca, to na matkę. Przez dłuższą chwilę zatrzymuje wzrok na złotym zębie Jojne. Potem spojrzenie jej pada na mnie. Czuję obok siebie płomienną twarz Ity. Czuję całe jej rozżalenie.

— Mendele — powiada, nachylając się ku mojej *Hagadzie* — w którym miejscu czytasz teraz? Pokaż mi.

Pokazuję jej werset, który tato błędnie odczytał. Ona wbija weń wzrok. Patrzy długo, bardzo długo. Czuję, że w tej chwili Jojne kupił sobie jeszcze jednego wroga.

Przy jedzeniu Ita milczy. Podaje do stołu. Jojne podaje na koniec. Nikt nie próbuje zgadnąć, dlaczego tak postępuje. Ja jeden w głębi serca czuję, że Ita jest mi bliska. Jest moją siostrą. Pochodzimy od jednego ojca.

Słowem, przez całe święto nienawidziłem Jojne. Ita zaś długo nie mogła wytrwać w nienawiści do niego.

Wieczory paschalne dobiegały końca. Jojne włożył nowe ubranie i nowy krawat. Taki mały w kształcie motylka.

W dzień Jojne mówił głośniejsz, wygwizdywał jakieś piosenki i tańczył sam ze sobą.

— Czy pani umie tańczyć? — zapytał pewnego dnia Itę, wystawiając przy tym na pokaz swój złoty ząb.

— Dlaczego nie miałabym umieć?

— No to przekonajmy się, czy pani umie. Pani pozwoli?

Ita nie powiedziała ani tak, ani nie. Jojne nie czekał na odpowiedź. Objął korpulentną figurę Ity swoimi trochę pokręconymi rękami.

Pokręcił się z nią kilka razy po pokoju, pogwizdując do taktu i nie bacząc na to, że Ita była dość tęga, oświadczył, że w tańcu jest lekka jak piórko.

— Wszyscy tak mówią — powiedziała Ita, obciągając bluzkę, która w tańcu trochę podeszła do góry.

Teraz Jojne uśmiechnął się już nie tylko tym jednym, złotym zębem, ale całymi ustami z dodatkiem obu wygładzonych policzków.

Okazuje się, że uśmiechnięty Jojne przypadł Icie do gustu. Zapomniała o tym, co było podczas wieczerzy paschalnej. Jojne zaczął do niej przemawiać niskim głosem, pożyczać od niej pachnące mydło. Ita zaczęła mu podawać do stołu obficie napełniony talerz.

W powszedni dzień między świętami Pesach zaczęły się wycieczki bryczką do lasu. Z dalekich miast przyjechali synowie oglądać kandydatki do małżeństwa. Odbywały się zaręczyny.

W taki właśnie powszedni dzień między świętami Ita włożyła sztywną suknię zdobną w kwiaty, umyła się pachnącym mydłem, włożyła zamszowe rękawiczki i wyszła na spacer. Dokąd poszła i gdzie była, Ita nie powiedziała. Wróciła do domu późnym wieczorem. Weszła do mieszkania szybkim krokiem. W pośpiechu ściągała suknię, a zamszowe rękawiczki rzuciła na łóżko. Bez kolacji przystąpiła do mycia naczyń, które pozostały po obiedzie.

Matka zapytała ją, gdzie tak długo była. W odpowiedzi Ita wyjaśniła, że była u ciotki Noemi.

Ciotka Noemi jest rodzoną siostrą ojca. Nic w tym dziwnego, że Ita złożyła jej wizytę. Jedno tylko było zastanawiające: dlaczego twarz jej jest tak zaczerwieniona? Dlaczego tak niespokojnie kręci się po kuchni? Dlaczego na pytania mamy odpowiada krótko i niechętnie?

Znacznie później wrócił do domu Jojne. Było już po północy. W kuchni lampa była zgaszona. Jak wszedł do mieszkania, nie wiadomo. Ita zawsze przed pójściem spać zamykała drzwi na klucz. Czy tej nocy zapomniała tego uczynić?

Już leżałem w łóżku i czekałem na Jojne. Matka, do połowy już rozebrana, siedziała na swoim posłaniu. Zasyiała i budziła się na przemian. Budząc się odmawiała modlitwę przed snem *Kriat Szma*³⁵. Ojciec spał w najlepsze.

Jojne wszedł do pokoju tanecznym krokiem. Mama usłyszała go. Natychmiast ocknęła się i zapytała:

— Czy to ty, Jojne?

— Tak, mamó.

— Skąd wracasz o tak późnej porze?

— Od ciotki Miriam.

— Jadłeś coś?

— Tak, mamó.

Głowa mamy przechyliła się na bok. W pokoju było ciemnowo. Nad głową Jojne pokazała się duża okrągła plama, podobna do odwróconej miski.

— Połóż się spać, Jojne — powiedziała matka. Zdjęła szybko pantofle i wsunęła się do łóżka, po czym dodała:

— I zamknij przedtem drzwi. Ita chyba o tym zapomniała.

— Dobrze mamó, zamknę.

³⁵*Kriat Szma* a. *Kriat Szma* — modlitwa odmawiana rano i przed snem. [przypis edytorski]

Matka natychmiast zasnęła. Jojne przez jakiś czas się wiercił. Nie słyszałem, kiedy i czy w ogóle zamknął drzwi na klucz. Widziałem, jak podszedł do komody i jednym dmuchnięciem zgasił lampę, która na niej stała.

Rozszedł się zapach nafty. W gardle zrobiło się słodko-mdławo.

— Śpisz już Mendel? — zapytał Jojne podnosząc kołdrę, którą zdążyłem już dobrze nagrzać.

— O co chodzi?

— O nic. Śpij. Już późno.

Jojne wskoczył do łóżka. Przytuliłem się do jego pleców, tak jak to zwykłem czynić, kiedy spałem z ojcem. Zapach ciała ojca dobrze znałem. Pachniał sianem i zimnym powietrzem. Ciało Jojne było chude i kościste. Szła od niego woń mydła i potu. Ogrzać się przy nim było trudno. Obróciłem się więc twarzą do ściany. Jojne również się odwrócił i przytulił do mnie.

Spaliśmy. Prawda, że Jojne nie tak od razu zasnął. Wstawał kilka razy i przechadzał się po pokoju, po czym wracał do łóżka, które trzęsło się i skrzypiało.

Długo przysлуchiwałem się temu, co się dzieje, aż zatkały mi się uszy. Nie wiem, czy długo spałem, ale w pewnej chwili poczułem, że mi zimno w plecy. Widocznie kołdra się ze mnie zsunęła. Zacząłem ją wciągać na siebie i wtedy zobaczyłem, że jestem sam w łóżku. Gdzie jest Jojne? Otwieram oczy. Słyszę, jak ojciec chrapie. W pokoju jest ciemno. Nic nie widać. Z tego chyba powodu cisza jest taka drażniąca. Dźwięczy mi w głowie, huczy w uszach. A może wcale nie jest tak cicho? Kiedy nastawiam uszu i wsłuchuję się pilnie, odnoszę wrażenie, że słyszę szelest przesuwającego się świstka papieru. Skąd dochodzi ten szmer? Z całą pewnością z bliska. Potem wydaje mi się, że słyszę jakieś słowa. Głos jest przytłumiony. Słowa padają powoli. Jakby z tamtej strony okiennicy. I nagle rozlega się trzask w szafie. Wiem, że kiedy szafa trzeszczy w ciemnym pokoju, to oznacza, że mamy do czynienia z nieboszczykiem. Może to Mojsze? Nie odczuwam strachu. Mojsze lubiłem i on mnie również. A mimo to ciarki mnie przechodzą. Dostaję gęsiej skórki. Nakrywam się kołdrą i z zapartym tchem czekam na powrót Jojne. Kołdra jednak staje się za krótka. Kiedy wciągam ją na głowę, obnażam nogi. Szafa znowu trzeszczy. Za okiennicą toczy się rozmowa. Nie, nie za okiennicą. Rozmowa toczy się obok mnie. Słyszę wyraźnie...

Tato chrapie ze świstem i gwizdem. Mama chyba nie śpi. Jojne dotychczas nie wrócił. Czyżby wyszedł na dwór? Ale zaraz słyszę gdzieś niedaleko głos Ity. Przysięgnęłbym, że to jej głos. Przychodzi mi na myśl Hudl. Ona często w środku nocy budziła się i gadała. Mama mówiła, że kufer nie daje Hudl spać. Ale kto nie daje spać Icie?

I nagle słychać uderzenie jakiegoś niezbyt twardego przedmiotu. Uderzenie jest przytłumione, głuche. Jakby uderzenie butem. Rozlega się z tamtego kąta, gdzie stoją łóżka rodziców.

— A kota! A kota! — słyszę głos mamy. W jej głosie tkwi niepokój. I znowu słychać skrzypienie buta. Czyżby do pokoju wkradł się kot? Być może, że kiedy Jojne wrócił w nocy, wszedł za nim kot do domu. Mama właśnie rzuca w kota butami. Ale jak w tych ciemnościach trafić weń?

— Mamo — odzywam się — zdaje się, że kot jest przy oknie.

— Śpij! — głos mamy jest ostry.

Jest ciemno, ale mimo to zauważam, że obok mojego łóżka ktoś stoi. Czuję na twarzy jej oddech. Rękami przebiega po łóżku.

— Dlaczego nie śpisz?

— Jojne mnie obudził.

Mama ciężko wdycha. Widzę ją. Jest wysoka i biała. Zdaje się, że wraca do swojego łóżka. Wtem słychać, że ktoś zamyka w kuchni drzwi. Mama siada na brzegu łóżka.

— Jojne?

— Tak, to ja, mamo.

— Gdzie byłeś?

— Zapomniałem zamknąć drzwi.

Mama wstaje. Jojne kładzie się do łóżka. Nie przysuwam się do niego. Z daleka czuję ostry zapach potu i jabłek.

ROZDZIAŁ XI

Następnego dnia było święto. Ostatnie dwa świąteczne dni Pesach. Ita wstała wcześniej. Obwisła twarz świadczyła o nieprzespanej nocy. W milczeniu sprzątała mieszkanie. Nie była teraz ładna. Jej rozłożysta figura rzucała się teraz w oczy.

Jojne krążył po pokoju jak obcy człowiek. Ubierał się powoli, pogwizdywał jakąś melodyjkę i tanecznym krokiem wyszedł z domu, mówiąc, że idzie do bóżnicy.

Mama również wstała wcześniej. Na jej twarzy malowało się zmęczenie i troska. W ciągu nocy schudła i stała się jakby wyższa. W świetle chłodnego słońca, stojącego na przeciwległym dachu, oczy jej wydawały się zielone. Milczała. Wszystko w domu milczało.

Ita sprzątała bardzo długo. Z tego powodu sprzątanie wypadło lepiej niż wczoraj, ale mieszkanie stało się jakoś smutniejsze. Słońce z sąsiedniego dachu ledwo dotykało szyb. Pokój tonął w półmroku. Wyglądał nieświętecznie, tak jak wieczorem powszedniego, zimowego dnia. Ja z ojcem udałem się do beit hamidraszu³⁶. Dzisiaj modlitwa miała być więcej śpiewana niż odmawiana. Był taki zwyczaj, że w ostatnich świątecznych dniach zmieniali się kantorzy.

Kantor z synagogi razem ze swoimi młodymi chórzystami przyszedł do naszego beit hamidraszu, a nasz baal-tefila³⁷, Mojsze, właściciel garkuchni, udał się do synagogi, żeby tam wyśpiewać swoje wojskowe marsze i oberki.

W synagodze było przestronnie i chłodno. Pięknie wyrzeźbione na wschodniej ścianie synagogi bębni i trąbki, które zawsze sprawiają wrażenie, że wtórują śpiewowi kantora, dzisiaj leżały nieme jak owce przed deszczem.

Tymczasem w naszym beit hamidraszu nie było gdzie szpilki wetknąć. Połowa ludzi modlących się zwykle w synagodze, całe tłumy modlących się w bóżnicach przyszły do nas, do naszego domu modlitwy, żeby posłuchać kantora i jego chórzystów.

Kantor, stary litwak, odprawiał nabożeństwo poranne i dodatkowe tak wspaniale, że smak jego śpiewu leżał w podniebieniach ludzi aż do lata. Modlitwa, choć trwała aż do południa, nie nużyła. Chór wtórował raz głośno, to znów mruczając kantorowi. Od czasu do czasu kantor pomagał sobie ruchem palca albo przytupywaniem nogą.

Kiedyśmy wrócili po modlitwie do domu, panowało jeszcze milczenie. Mieszkanie było uprzątnięte, czyste, ale zimne i obce. Przy obiedzie talerze głośno dzwoniły. Pesachowe noże i łyżki na stole wyglądały szaro, powszednio, całkiem nieświętecznie.

Ojciec opowiadał o cudownym śpiewie kantora, ale nikt go nie słuchał.

— Co się dzieje w domu? — ojciec mierzy wzrokiem siedzących przy stole. Jest wyraźnie zdziwiony. Jest święto. Dzięki Bogu nie brakuje na stole niczego. Dlaczego więc wszyscy mają smutne miny? Ita nie siedzi przy stole. Podaje szybko talerze i jeszcze szybciej znika w kuchni.

— Co się dzieje z Itą? — pyta ojciec. — Dlaczego nie siada do stołu?

— Zaraz zasiądę — odpowiada Ita. — Jeszcze mam sporo roboty w kuchni.

Świeżo ogolona twarz Jojne wciąż jeszcze jest zielona. Bardziej zielona niż przedtem. Pełna zmarszczek. Przez noc jabłko Adama jakoś wyostrzyło się i wygląda w ruchu jak biegająca mysz. Jojne siedzi przy stole ze spuszczonej oczyma. Między jednym daniem a drugim odłamuje kawał macy i żuje. Matka patrzy na niego z boku. On unika jej spojrzenia. Czuje zapewne surowy wzrok na sobie. Zaczyna wtedy kręcić głową, jakby uwierał go sztywny kołnierzyk.

Nie tak wyglądało kiedyś święto u nas. Nie tak odmawiano błogosławieństwa przy stole. Nie tak odchodzono od stołu. Tato zawsze nucił beztroską, swojską melodię. Mama wtórowała mu swoim czystym głosem. Dzisiaj, zaraz po obiedzie Jojne wziął laseczkę i wyszedł na ulicę.

— W święto bierzesz laseczkę? — zapytał go ojciec.

Ale on już był za drzwiami. Przez okno widziałem, jak wymachuje nią i posuwa się tanecznym krokiem.

³⁶beit hamidrasz — dom nauki, dom modlitwy. [przypis tłumacza]

³⁷baal-tefila — osoba prowadząca modlitwę w bóżnicy. [przypis tłumacza]

Ita myje naczynia. Z uporem i złością ładuje siły w to świąteczne mycie. W mieszkaniu czuć zapach cebuli, jajek, barszczu i smażonych macowych łazanek. Ogarnęło nas zmęczenie z przesyty. Oczy się kleją. Ojciec nie myśląc długo, położył się w spodniach na łóżku. Jego duża broda, która w święto była gładko zaczesana, jak u zamożnego człowieka, teraz rozwichrzona rwie się ku sufitowi. Po kilku chwilach mieszkanie wypełniło się ciężkim oddechem.

Mama kręci się po pokoju. Domyślam się, że ma coś do powiedzenia albo chce coś ukryć. To otwiera szufladę komody i bez zajrzenia w głąb, zamyka. To znów otwiera okno i staje bez ruchu.

— Jak tu duszno!

I nagle zwraca się do mnie:

— Dlaczego nie pójdziesz na spacer?

— Dokąd miałbym pójść?

— Czy ja mam ci powiedzieć, dokąd masz iść? Nie masz kolegów?

— Mam, dlaczego miałbym ich nie mieć?

— Poszedłbyś do nich i zagrał w orzechy.

— Nie mam orzechów.

— Co znaczy nie masz? Masz tu orzechy.

Mama wyciągnęła papierowy woreczek i wsypuje mi do kieszeni orzechy. Są już pełne. Nie pamiętam, żeby mama kiedykolwiek dała mi tyle orzechów. Na dodatek dostałem jeszcze dwa makaroniki i cukierek obciążony pomarańczową skórką.

— Idź, no idź już — powiedziała mama, kładąc ręce na moich ramionach.

— Nie mam dokąd iść — powiadam. — Zaczekam, kiedy ojciec wstanie, wtedy razem pójdziemy do ciotki Noemi.

— Taki piękny dzień, a ty siedzisz w domu — rzuca mama już ze złością.

Mama z pewnością ma poważne zmartwienie. Gdyby nie to, nie mówiłaby tak do mnie. W najgorszych dniach, w chłodne wieczory zimowe, kiedy nie było czym rozpalić ognia, nie mówiła do mnie tak. Coś ją musi boleć. Może z tego właśnie powodu nie chce mi się wychodzić z domu. Nie chcę jej zostawiać samej.

Na końcu jednak udało się mamie wyekspediować mnie z domu. Właściwie wypchnęła mnie. Ita nie odzywała się. Czyściła garnki z zaciekłością i zacięciem.

Zamknąłem za sobą drzwi. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że mama chciała się mnie pozbyć. Postanowiłem stanąć pod oknem. Z wnętrza pokoju nie można mnie było dostrzec. Na dachu wznoszącym się naprzeciw domu, spacerowały gołębie. Spacerowały sobie bez troski. Od czasu do czasu któryś podnosił skrzydełka i obleciawszy kilka razy dom, siadał z powrotem na dachu.

Nagle wszystkie łebki gołębi rozkołysały się. Wymieniwszy spojrzenia i pomachawszy skrzydłami w mig wzniosły się w powietrze, jakby na rozkaz jakiegoś dowódcy i poszybowały w górę. Wyglądały jak pojedyncze płatki śniegu połączane słońcem.

Śledziłem wzrokiem ich lot. Krążyły wokół jednego miejsca. To w górę, to w dół. Trzymały się razem, niczym wierna, oddana sobie rodzina. Jeśli jeden gołąb oddalił się, po chwili wracał radosny i drżący do stada. Nie tak, jak u nas w domu, gdzie właśnie zakłócona została radość najpiękniejszego święta na świecie.

Tak. Wszystko zostało zakłócone i zmacone. I kiedy tak stoję zapatrzony w gołębie, słyszę przez okno głos Ity. Mówi zapalczywie, jest przejęta.

— Ciociu kochana! Żebym tak zdrowa była! Jak pragnę żyć!!!

— Bez przysięg, Ito! Chcę znać prawdę — mówi mama.

— Powiem ci całą prawdę, ciociu. Było tak. Umówiliśmy się na spacer do lasu. Ja i on. Nic nie było. Spacerowaliśmy. Rozmawialiśmy o Warszawie, o Łodzi... Potem, kiedy zrobiło się ciemno, on chciał...

Czego chciał, już nie usłyszałem. W otwartym oknie nagle ukazała się głowa mamy. Gniewny krzyk omal nie rozdarł mi uszu.

— Czego tu sterczysz, idioto? Idź do wszystkich...

Otwarte okno zamknęło się z hukiem. Gołębie obniżyły lot wokół dachu. Mnie gniewny krzyk matki mocno zabolął. Uciekłem z podwórka. Nie wiedziałem, czy matka biegnie za mną, czy też została w domu. Obejrzałem się. Nikt mnie nie gonił. Mimo

to biegłem dalej. Chciałem kogoś spotkać. Chciałem grać w orzechy. Chciałem z kimś rozmawiać. Chciałem coś robić.

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle znalazłem się przed domem, w którym mieszkaliśmy, zanim umarł Mojsze. Zdawało mi się, że powinienem tu spotkać Józję, córkę bednarza. Muszę ją spotkać. Muszę jej coś powiedzieć. Jest mi gorąco. Płonie mi twarz. Płoną ręce. Wiem, że Józia już tu nie mieszka. Mimo to zaglądam przez okna. Stoją na nim wazony kwiatów. Dużo wazonów. Z pewnością mieszkają tu goje. Dziwne mi się wydaje, że mieszkają właśnie w naszym domu. Oto otwierają się drzwi. Nasze drzwi. Na progu ukazuje się młoda jasnowłosa dziewczyna z żółtą bułką w ręku.

Coś się we mnie buntuje. Nie mogę patrzeć na to, jak „siksulka³⁸” trzyma otwarcie bułkę. Przecież jest Pesach. Nie wolno jeść chumecu!

Dziewczynka odejmuje bułkę od ust i zdziwiona patrzy na mnie.

— Do kogo?

— Do Józji.

— Nie nazywam się Józia. Na imię mi Stasia. A ty jak się nazywasz?

— Mendel.

— Chcesz się bawić?

— Tak, ale rzuć tę bułkę. To przecież chumec.

— U nas dziś Wielkanoc, więc je się bułki.

— A u nas jest Pesach. Nie wolno jeść chumecu.

— A mnie mama powiedziała, że wy, Żydzi, dodajecie do macy krew.

— Twoja mama to gojka.

— A ty jesteś Żydkiem!

— A ty jesteś siksą!

— Ty parchu!

— Sama jesteś parch!

Dziewczynka cofa się do drzwi swojego mieszkania, idę za nią. Oboje patrzymy na siebie jak psy. Drogę do mieszkania znam. To przecież nasze dawne mieszkanie. Znam też drogę na stryżek. Przychodzi mi na myśl, że tam, na strychu odwiedził kiedyś Józję rosyjski żołnierz. Tak stukał ciężkimi butami na schodach, że cały sufit się trząsał.

Chcę o tym powiedzieć Stasi. Chcę jej powiedzieć, żebyśmy razem weszli na stryż, ale ona stoi już przy swoich drzwiach. Trzyma rękę na klamce.

— Wynoś się, Żydzie! — krzyżąc, kopie mnie nogą w bok i szybko otwiera drzwi.

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy może źle widziałem, ale przed oczami mignęła mi czarna, owcza głowa Józji, córki bednarza.

— Józju! — krzyknąłem donośnym głosem i rzuciłem się ku drzwiom, żeby wpaść do naszej dawnej kuchni. W domu rozległ się echem ostry głos:

— Mamo, Żyd chce mnie zabić!

Matki dziewczyny już nie zobaczyłem. Józji też nie. Zacząłem uciekać. Wybiegłem z podwórza na ulicę, byle dalej.

Zatrzymałem się dopiero w starym parku. Nikt mnie nie gonił.

Na drzewach leżały ochłodzone kawałki słońca. Po drózkach spacerowali młodzieńcy ze swoimi pannami. Wszystkie panny były pozłacane. Wszystkie głośno stuknęły obcasami.

Gdybym mógł powiedzieć... nie, nie powiedzieć, ale krzyknąć: „Prześcieńcie stuknęły obcasami”, spadłby mi kamień z serca.

Długo trwało, nim odsapnąłem. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się stało. Czulem, że zawiniłem, ale wobec czego, nie wiedziałem.

Poszedłem do domu z uczuciem lęku. Zdawało mi się, że powinienem się wytłumaczyć.

Itymczasem w domu już nie było. Ojciec obudził się i czekał na mnie.

— Gdzieś był? — zapytał mnie, kiedy stanąłem na progu.

— W starym parku.

— Dlaczegoż to w starym parku?

— Grałem w orzechy.

³⁸siksulka — zdrobn. od siks a. sziksa (jid.): nieżydowska dziewczyna; gojka (szczególnie: atrakcyjna). [przypis edytorski]

- W orzechy? Taki chłopak jak ty w orzechy się bawi?
- Ja mu kazałam pójść — oświadczyła w mojej obronie mama.
- Pójść do starego parku? Do tych łobuzów?
- Nie było tam łobuzów — spróbowałam wtrącić słówko.
- Wystarczy, że tam byłeś.

Twarz zaczęła mi znowu płonąć. Ojciec nigdy do mnie tak nie przemawiał. Za co mi się to należy? Za co?

- Posłuchaj mnie i nie zabieraj dzisiaj Mendla do ciotki Noemi.
- Dlaczego?
- Nie widzisz, w jakim ubraniu chodzi?
- Trudno, łachmanów przecież nie nosi.

Sam też nie chciałbym dzisiaj iść do ciotki Noemi. Dzisiaj jestem jakiś inny niż zwykle. Czuję w sobie jakieś okropne lenistwo.

Prawda, jeśli dzisiaj nie pójdziemy do ciotki Noemi, to trzeba będzie poczekać z następną wizytą aż do święta Szalasów, czyli pół roku. Niemniej, z przyjemnością zrezygnowałbym teraz z tych odwiedzin. Nie chciałbym bowiem pokazywać się w domu ciotki z twarzą płonąca z wstydu.

Ojciec jednak się uparł:

- Co znaczy, nie pójdzie? A co na to powie Noemi?
- Idź sam.
- Nie, sam nie pójde.

Skończyło się na tym, że poszliśmy. Ja i mój tato.

Kiedy twarz nie płonie ze wstydu i na sercu nie leży kamień, dobrze jest nawet odwiedzać ciotkę Noemi. Jest inna niż wszystkie moje pozostałe ciotki. Inaczej też pędzi swój żywot. Mieszka w dwupiętrowej kamienicy z szerokimi, żelaznymi schodami. W tej kamienicy mieszka też doktor Przyłęcki, gojski nauczyciel. Kiedy chodzi się po tych schodach, odgłos kroków w zimnej i ciemnej pustelni korytarzy odbija się echem.

Drzwi do mieszkania cioci Noemi są wysokie, brązowe, z mosiężną klamką. Z powodu tej mosiężnej klamki moja mama nie lubiła siostry ojca i nigdy nie chodziła do niej w gości.

— Też kiedyś miałam mosiężne klamki — nieustannie przypominała mama — czy pyszniłam się z tego powodu?

Nie wiem, czy w drzwiach z mosiężnymi klamkami u mamy też trzeba było naciskać na guzik, zanim się wchodziło. Tu, u cioci Noemi, trzeba trochę poczekać przed szerokimi drzwiami. Tu najpierw pytają „kto tam”, a potem dopiero wpuszczają do środka.

Ojciec w drodze do ciotki zawsze nuci sobie melodyjkę, która przy każdej następnej wizycie przybiera inną tonację. Przed drzwiami tato zwykle na chwilę przystaje. Lubi wysmarkać nos, wykaszleć się i dopiero potem naciska guzik. Kiedy otwierają się drzwi, zamasztyłem krokiem wkracza do pokoju, jakby chciał powiedzieć:

— Bogaczem wprawdzie nie jestem, ale bratem rodzonym z całą pewnością, czyli jestem takim samym „arystokratą”, jak i moja siostra.

W istocie jest takim samym „arystokratą” jak ciotka Noemi. Oboje w Nowym Młynku biegali boso i goło i musieli się zadowolić kawałkiem starego razowego chleba. Oboje wbijali wzrok w dalekie rozgrzane pola. Oboje kąpali się w tej samej rzece. Jest jedna mała różnica. Ojciec mieszka w jednym pokoju z kuchnią, a ciotka Noemi w wielu pokojach. Mój ojciec daje mamie na szabas sto miedzianych dwugroszaków, zaś ciotka Noemi wydaje na szabas trzy, a nawet cztery ruble.

Ciotka Noemi jest kobietą wysoką, brunetką z czarnymi, ostro zarysowanymi brwiami jak u wielce uczonego Żyda.

Nie podobają mi się oczy ciotki Noemi. Są białe. Napędzają melancholię. Wywołują niepokój. Nie lubię też jej sposobu mówienia. Nie mówি otwarcie. Coś skrywa. Słowa cedzi powoli, z pewnym zaśpiewem.

— Lej — zo — rze... we — so — łych... świat! Jak... się... masz? No, to... chwała Bogu! A co porabia Frumet? No, to chwała Bogu! A ten twój Mendel?

Kiedy wyśpiewuje słowa „chwała Bogu”, oczy jej się zamykają jakby z zachwytu, a głowa zaczyna się kołysać.

Jej ciemna karnacja, ostro zakończona twarz, wysoki wzrost, jak ulał pasują do obszernych, chłodnych pokojów, w których głos człowieka gubi się po kątach, nim nabierze wyraźnego dźwięku.

Wydaje się, że tylko te wysokie ściany i te zimne stoły i komody mogły wydać z siebie taką ciotkę Noemi. Gdzie indziej, pod niskim na przykład sufitem, wśród ciepłych ścian, ciotka Noemi nie mogłaby znaleźć miejsca.

Dziw tylko bierze, jak jej mąż, wuj Ben-Cijon, dostosował się do tych praw. Sam przecież jest niskiego wzrostu, okrągłutki i tłusty. Pan Bóg obdarzył nieboraka wcale nie męskimi nóżkami i krótkimi, pulchnymi rękami. Tylko brodę ma białą i dużą, a brzuch potężny, na miarę prawdziwego bogacza.

Wuj Ben-Cijon nie nosi butów z cholewami, tylko czarne, wyglansowane sztyblety ze sztywnymi gumowymi ściankami po bokach.

Spodnie lubi nosić również czarne, dobrze wyprasowane z widocznym kantem. Gdy zamawiał kapotę, wuj Ben-Cijon medytował, zasięgał rady u żony Noemi. Stało na tym, że sprawił sobie kapotę nieco krótszą, zbliżoną krojem do kapot noszonych przez maskilów³⁹, ale podkreślając, że właściciel jest pobożnym Żydem.

W domu nosił jedwabną, ośmiokątną jarmułkę, a na ulicy czarną sukienną czapkę z niskim denkiem. Sznurek przy denku jest jedwabny, potrójnie pleciony.

Wuj Ben-Cijon kaczkowato kołysze się na swoich krótkich nóżkach.

Stawia małe, drobne, iście niewieście krocзки. Spotkani na ulicy Żydzi witają go pierwsi. Przed gojami on pierwszy zdejmuje czapkę. Wuj Ben-Cijon jest znaną i uznaną postacią w mieście. Wie, co nowego w każdym domu się dzieje. Wie, kiedy ten lub ów ma się żenić, kiedy ta lub owa kobieta ma rodzić, kto i kiedy ma się rozwieść i kto ma umrzeć. Słowem, wie wszystko o wszystkich.

Nieprzypadkowo jest prezesem i pisarzem kahału⁴⁰. Tylko on swobodnie i pewnie wchodzi do magistratu. Kto w każdy piątek i świątek biega do guberni albo do wojskowego naczelnika? Wuj Ben-Cijon. A kto jest za pan brat z rabinem? Nikt inny, tylko wuj Ben-Cijon.

Ja i mój ojciec szcycimy się tym, że Ben-Cijon, nasz wujek i szwagier, jest pisarzem żydowskiej gminy. Liczy się również to, że wuj Ben-Cijon modli się przy wschodniej, honorowej ścianie synagogi, tuż obok rabina. Dumny jestem też z tego powodu, że wuj po modlitwie idzie do domu w towarzystwie kantora, dozora gminy Reubele Bekermana i kilku innych szanowanych osobistości miasta.

Ja z ojcem modlimy się w beit hamidraszu. Do domu wracamy razem z Motle Sztrzem albo z małym Mojszele — czapnikiem. Toteż niemałą satysfakcję sprawia nam fakt, że w święto lub szabat Rosz-chojdesz, przed czytaniem *Tory*, zjawia się nagle w naszym beit hamidraszu wuj Ben-Cijon.

Wiadomo, że wuj Ben-Cijon, jeśli przychodzi do naszej bóżnicy, to nie z byle jakiego powodu. Z całą pewnością przynosi z sobą nowiny z szerokiego świata. Nic więc dziwnego, że wszyscy zamieniają się w słuch. Tałesy zsuwają się z głów, małych chłopców ustawia się na parapetach okien albo na stołach.

Pokaźny brzuch Ben-Cijona przepycha się ku bimie. Biała, elegancko zaczesana broda spogląda z dumą na zasłuchane twarze. Jachiel-Sane, starszy szames, uderza w stół:

— Sza! Ma być cicho!

Cisza zalega, jakby ktoś makiem zasiał. Ja również stoję na stole. Nie dziwota, przecież to mój wuj, Ben-Cijon!

A on powoli rozgląda się po wszystkich stronach i jeszcze wolniej cedzi nowiny, które przyniósł.

— Komunikuję i oświadczam w imieniu rabina i za zgodą kahału, że zapisy dzieci do szkoły Talmud Tory⁴¹ odbywają się każdego dnia od godziny dwunastej w południe do wieczora, z wyjątkiem piątku i soboty.

³⁹maskil — oświecony Żyd, zwolennik emancypacji w duchu kultury panującej w kraju. [przypis tłumacza]

⁴⁰kabał — gmina żydowska. [przypis tłumacza]

⁴¹Talmud Tora — szkoła utrzymywana z opłat filantropów, w której biedniejsze dzieci uczyły się darmowo *Pisma Świętego* i modlitw. [przypis edytorski]

No cóż, nie jest to nowina na skalę światową. Żydzi więc zdejmują chłopców ze stołów i parapetów okiennych. Ktoś ze wschodniej ściany bóżnicy naciąga taśmę na głowę i mruczy pod nosem do modlitewnika:

— Ważna mi nowina... też mi wiadomość...

Ale jakby nie było, wuj Ben-Cijon coś tam jednak powiedział. Żydzi wysłuchali go, a biedne matki, wdowy i aguny⁴² będą już wiedziały, kiedy zapisać swoje dzieci do Talmud Tory.

Teraz, w ostatnim dniu święta Pesach, przebywam w dużych wysokich pokojach wuja Ben-Cijona. Ciocia Noemi siedzi obok mego ojca. Wie, że jej brat niedosłyszy trochę. Wuj Ben-Cijon jednak nie wie o tym albo nie chce wiedzieć. Siedzi w sporej odległości od ojca. Wpakował swoje tłuste cielsko w miękki fotel. Zwisające z fotela nóżki wuja wyglądają jak klocki. Na głowie ma ośmiokątną jarmułkę, łuska orzechy, moczy je w szklance miodu i obierając pomarańczę, patrzy na mnie. Co takiego wuj Ben-Cijon we mnie zobaczył? Dlaczego oblizuje wargi po każdej pestce z miodem? Dlaczego kręci nosem?

W końcu doszedłem, dlaczego wuj kręci nosem. Na dzisiejsze święto ojciec nie sprawił mi niczego nowego. Przyszedłem w starej kapocie. Miała rację mama, kiedy mówiła, że nie można przychodzić do domu wuja w święto Pesach, mając na sobie stare zużyte ubranie. Wstydę się przed wujem, przed ciotką, przed pięknym bogatym wnętrzem ich domu. Przede wszystkim jednak odczuwam wstyd przed Mendlem.

Oni również mają Mendla. Obaj nosimy imię po tym samym dziadku. Ale ich Mendel jest starszy, dorodniejszy i przystojniejszy. Podobny jest do ciotki Noemi. Ma takie same jak ona usta. Kiedy mówi, krzywi się jak ona. Wydaje mi się, że to u niego taka maniera, taki znak. Zaznacza w ten sposób swoją wyższość nad innymi. I ma ku temu powody. Nosi zawsze białą koszulę z krawatem. Spodnie ma długie, przykrywające kamasze. Nie uczy się w chederze, tylko w szkole. Może swobodnie krążyć po przestronnych, wysokich i szerokich pokojach. Może w każdej chwili zażądać ptasiego mleka. Nie ma siostry, nie ma brata. Jest jedynakiem.

To jeszcze nie wszystko. W mieście jest wielu takich Mendłów z bogatych domów, ale żaden z nich nie posiada takiego pięknego głosu jak on. W mieście mówi się, że Mendel, syn Ben-Cijona wyrasta na geniusza, którego sława ogarnie kiedyś cały świat. Całe miasto powtarza, że Mendel wspaniale czyta i pisze, że zna całe rozdziały *Starego Testamentu* na pamięć. Jak więc nie mam czuć się małym wobec takiego Mendla, na którego koncert właśnie pędzą z beit hamidraszu do synagogi starzy Żydzi?

Ja też tam pędzę. Mendel pomaga staremu litwakowi⁴³. To Mendel jest pierwszy wśród chórzystów. Jego chłopięcy głosik wypełnia wnętrze synagogi aż po błękitny sufit i odbija się echem, jakby od nieba. Odnosi się wrażenie, że na wschodniej ścianie synagogi klarnety, trąbki i skrzypce przyłączyły się do jego śpiewu.

Teraz jestem gościem w domu jego rodziców. Mendel patrzy na mnie jak na obcego. Zna mnie dobrze. Przychodzę tu dwa razy w roku. Mimo to wygląda na to, że mnie nie poznaje. Wykrzywia swoje małe usta i nie odzywa się do mnie słowem. Ja bym się do niego odezwał, ale jak mogę do niego mówić, kiedy on mnie nie poznaje? Ciotka Noemi prosi go:

— Mendelku, zaśpiewaj coś dla wuja Lejzora.

Mendel otwiera ze zdziwienia swoje duże, białe jak u mamy oczy i wzrusza ramionami. Można sądzić, że chce przez to powiedzieć: „Jeszcze czego! Dla kogo mam tu śpiewać?!”

Uśmiecha się do niego świątecznie duża broda mego ojca:

— Ano właśnie — powiada broda — zaśpiewaj coś Mendel. Czasem słucham ciebie w synagodze, ale nie zawsze można się tam dopchać. Bywa też, że nie zawsze dosłyszę...

Usteczka Mendla ściągają się jeszcze bardziej. Przymyka ciut, ciut oczy, jakby chciał się zdrzemnąć. Gotów jest śpiewać. Wstrzymuję oddech. Na brodzie ojca błąka się ciepły

⁴²aguna — kobieta zameżna, której mąż zaginął bez wieści i nie wiadomo, czy żyje; aguna nie może powtórnie wyjść za mąż. [przypis edytorski]

⁴³litwak (pot.) — Żyd przybyły do Królestwa Polskiego z terenów Litwy (także dzisiejszej Białorusi), czyli z tzw. strefy osiedlenia wyznaczonej dla Żydów na ziemiach włączonych do Cesarstwa Rosyjskiego; litwacy emigrowali uchodząc przed represjami w guberniach rosyjskich, przede wszystkim w latach 1881–1882 i 1905–1907. [przypis edytorski]

uśmiech. Oczy ciotki Noemi zdają się również zapowiadać drzemkę. Tylko wuj Ben-Cijon łyka ze szklanki większą porcję miodu i zakłada ręce na brzuchu.

Mendel jednak nie śpiewa. Sztywnym krokiem przechodzi powoli do drugiego pokoju. Uśmiech z brody ojca ulatuje. Broda staje się ciemna. Zaczynam oddychać. Ciotka Noemi na widok syna wychodzącego z pokoju, marszczy czoło.

Wtem z drugiego pokoju rozlega się głos Mendele. Śpiewa. Uszy mego ojca ustawiają się do słuchania. Twarz ciotki promienieje radosnymi zmarszczkami.

— Boże w niebiosach! — woła w uniesieniu. — Spraw, żeby mi tak zawsze było. On przecież, na psa urok, śpiewa jak ptaszek w lesie.

Ja sam, przyznaję, nie wiem, jak człowiek może śpiewać jak ptaszek w lesie, ale głos Mendla krzepi moje serce niczym miód. Z niczym nie da się go porównać. Jedno, co wiem i rozumiem: Mendel ma prawo się wywyższać. Na jego miejscu nie byłbym lepszy.

Tymczasem w pokoju robi się ciemno. Wszyscy siedzimy cicho, i bez ruchu jak chory, który boi się poruszyć, żeby nie rozjątrzyć ran. Szklanki z miodem na stole pogrążone w cieniu. Wszyscy o nich zapomnieli. Śpiew Mendla uskrzydla nas. Cudowny śpiew. Cudowny chłopak. Odchodzę syty miodem, pomarańczami i jednocześnie głodny, przybity z powodu cudownego głosu Mendla.

Ojciec mówi coś do mnie, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Czym ja jestem w porównaniu z Mendlem? Prochem i niczym. Nawet zwykłego ubrania nie mógł mi tato sprawić na święto. Tamten Mendel jest ubrany jak prawdziwy władca. Jego czysty, piękny głos jest również władczy. Ja natomiast uganiam się po obcych podwórkach. Ja mam do czynienia z Józią i Hudl. Jestem gruboskórny. Jakżebym się ucieszył, gdyby ktoś nagle przyniósł mi wieść o tym, że Mendel zachorował, że trzeba było natychmiast zoperować mu gardło i wyciąć struny głosowe. Wtedy pokochałbym Mendla. Byłby wtedy moim jedynym i najlepszym kolegą. Opowiedziałbym mu o gołębiach siedzących na dachu, o Józii, córce bednarza, o Icie i Jojne. Miałbym mu bardzo dużo do opowiadania. Teraz jednak nie potrafię mu niczego opowiedzieć.

Prosto od ciotki Noemi udaliśmy się do beit hamidraszu. Kantor Moszke tak sucho śpiewał, tak ciężko „piłował” dzisiaj swoje żołnierskie marsze, że głowa zaczęła mnie boleć. Modliłem się o to, żeby już skończył, żeby zrobiło się późno, żeby już mógł się położyć do łóżka i wypłakać się. Wtulić głowę w poduszkę i wypłakać się do syta.

W domu ojciec jakby o mnie zapomniał. Zaczął opowiadać cuda o swojej siostrze Noemi, o poczęstunku, jakim nas uraczono i o wspaniałym głosie Mendla.

Widzę, jak twarz matki pokrywa się zmarszczkami. Wydaje się, że ledwo go słucha. Przysięgłbym, że słowa ojca nie przypadają jej do gustu.

— No, wystarczy już — powiada wyraźnie zniecierpliwiona. — Już słyszeliśmy te cuda.

Byłem wdzięczny matce za jej słowa. Kochana mama! Za mną się ujęła! Za moją krzywdę!

Ojciec zamilkł. Wszystko w pokoju ucichło. Ita szykowała stół. Na twarzy mamy pojawiły się plamy. Znak, że się gniewa. Nie miała na sobie świątecznej sukni. Wyglądała na zatroskaną i przygnębioną.

— A gdzie się podział twój syn? — zapytał ojciec.

— Dzisiaj go nie będzie — odpowiedziała matka.

Ita szybko wybiegła do kuchni. Ojciec zmarszczył brwi.

— Jak to? Przecież trzeba odprawić kidusz⁴⁴.

— Odprawisz bez niego.

— Nic nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz? Nie ma go i tyle! Zaproszony został do Miriam. Ona go zaprosiła.

— Ach tak? No, cóż...

Siedliśmy do stołu bez Jojne. Ita też nie siadła z nami. Jedliśmy w milczeniu. Nastrój był ciężki.

Jojne nie przyszedł na noc. Następnego dnia też się nie zjawił.

⁴⁴kidusz — błogosławieństwo odmawiane nad winem. [przypis tłumacza]

Ita z płonącą twarzą nieustannie się krzątała po kuchni. Sprzątała, myła, czyściła. Wieczorem, kiedy święto dobiegło końca, kiedy trzeba było wynieść świąteczne naczynia i przynieść zwykle, chumecowe, matka wyszła z domu. Zabrała ze sobą mocno sfatygowaną walizeczkę Jojne.

Ita usiadła wtedy przy oknie i patrzyła w ciemną dal.

Ojciec udał się do swego współnika, do Motla Sztroja. W naszym mieszkaniu było szaro i mroczno. Mama nie wracała. Ojciec nie wracał i Jojne się nie zjawił. Błąkałem się po mieszkaniu jak opuszczony sierota. Zdawało mi się, że już nigdy nie zobaczę matki. Wróciła dopiero nocą bez walizeczki Jojne. Tej nocy spałem sam w żelaznym łóżku.

ROZDZIAŁ XII

Potem dowiedziałem się, że poprzedniego wieczoru Jojne bez pożegnania wyjechał. Raczej uciekł. Dlaczego nikt o niego nie zapytał? Jakby wstyd było wymówić jego imię. Ita przez jakiś czas jeszcze przebywała u nas w domu. Schudła. W oczach nie miała już owego czarnego, ciepłego błysku, jak po przyjeździe z Warszawy. Stała się leniwa i ociężała.

Nikt nie zauważył, że niknie w oczach. Mama milczała. Ja to widziałem, ale nic nie mogłem zrobić. Ojciec nie interesował się córką. On już sześć dni w tygodniu był w drodze, w polu, między ziemią a niebem, wśród stogów siana i furmanek chłopskich. Tylko w sobotę mógł zobaczyć się z córką. Jednak sobota zbyt krótko trwa, żeby mógł dostrzec, w jakim jest stanie. Zresztą nadal był pod wrażeniem przyjęcia, jakiego doznał u siostry Noemi i wspaniałego śpiewu jej syna.

Nie przestawał mówić o domu Noemi i jej udanym Mendelku. W piątek wieczorem albo w sobotę przy obiedzie, kiedy dochodziło do śpiewania *Zmires*⁴⁵ i ja zaczynałem pomagać w tym ojcu, a ojciec się skrzywił, jakby połknął niesmaczny kąsek i westchnąwszy głęboko, powiedział z żalem:

— Gdyby Mendel, mój siostrzeniec, był tu...

— Dla niego nie ma ważniejszej rzeczy niż siostrzeniec — wtrąciła matka ze złością.

Matka nie lubiła rozmów na temat bogatej szwagierki. Nie lubiła też słuchać pochwał na cześć syna Noemi. Żywiła niechęć do wszystkiego, co miało związek z sytym domem Noemi.

— Lepiej byś się troszczył o swego syna. On też jest porządnym i dobrym dzieckiem. Uwierz mi, gdyby Bóg zechciał mi pomóc, to nasz Mendel też potrafiłby śpiewać.

— Głupia babo, czego się złościysz? Kto ci mówi, że nasz Mendel nie jest udanym dzieckiem? Co się tyczy śpiewania, to jest to dar od Boga.

— Dar, nie dar! Już widzieliśmy takie dary! Kiedy tacy obdarzeni wyrastają, stają się lichwiarzami i próżniakami. Jak myślisz, czy ten twój szanowny szwagier nie jest próżniakiem?

— Kto? Ben-Cijon?

— Tak, Ben-Cijon. Właśnie on!

— On przecież jest pisarzem gminy! Kobieto, co się z tobą dzieje?

— Ważna mi profesja! Ja też umiem pisać i nie robię z tego szumu.

— Daj już spokój. Nie wiesz, co mówisz?

— Wiem. Nie bój się, doskonale, wiem. Jestem pewna, że Mordechaj-Mendel jest o wiele porządniejszym człowiekiem od twojego Ben-Cijona.

— Żeby tak moi wrogowie byli szczęśliwi, jak Mordechaj-Mendel jest porządnym człowiekiem!

— A ja ci powiadam, że Mordechaj-Mendel kiedyś sterować będzie całą Polską!

— Sterować będzie pluskwami, a nie Polską!

— Jeszcze zobaczysz!

— Od dwudziestu lat już to widzę. Od kiedy Chana została jego żoną.

— Chana jest mi tysiąc razy droższa niż Noemi!

Ja też wołałem ciocię Chanę. Była biedna, nawet bardzo biedna. Rodzona siostra ojca i Noemi. Miała śniadą twarz ciotki Noemi i senne oczy mego ojca. Mówiła powoli, tak jak jej siostra Noemi, ale bez jej sposobu akcentowania słów i bez jej pyszałkowatości.

⁴⁵*Zmires* — pochwalna pieśń śpiewana podczas spożywania posiłków w sobotę. [przypis tłumacza]

Do ciotki Chany nie szło się z wizytą. Mieszkała za miastem, w małej drewnianej chatce z zakurzonymi szybami i z dachem krytym zielonymi, drewnianymi gontami. Jej pokoje nie były ani duże, ani wypucowane. Ale gdzie tam pokoje! Miała jedną izbę i to niską. Podłoga — klepisko z gliny, pełne wybojów. Dwa łóżka ze starą pościelą, pokrytą czerwoną kołdrą. W pokoju stał szeroki, staromodny, gliniany piec, przy którym schło kilka wiązek drewna i grzały się czarne, głodne dzieci w przykrótkich koszulkach.

Wysoka, przedwcześnie przygarbiona ciocia Chana, owijała swoje chude ciało w starą, postrzępioną chustę. Głowę miała zawsze zawiniętą w wełniany szalik, który z czasem stracił kolor. W jej domu jadało się kartofle rano, w południe i wieczorem. Wychodząc z chatki cioci Chany, trzeba było pokonać zwały śniegu, sięgające do połowy okna. Pozostawało tylko czekać. Tęsknymi oczami wypatrywano przez zamrażnięte szyby przylotu bociana, który miał swoje gniazdo na koronie rosnącej naprzeciw topoli. Bocian przynosił dobrą nowinę. Z nadejściem wiosny można było wyjść z domu.

I wtedy ciocia Chana przynosiła z sobą zapach krowy i mleka. Przynosiła do miasta powiew rozkwitłego zboża i zapach ciepłych deszczy, które przez dziurę w dachu napelniały wilgocią jej pokój.

Przychodziła do nas raniutko, kiedy brzask powstającego dnia leżał jeszcze śpiący na szybach okna. Cichuteńko wślizgiwała się do pokoju i trzeźwym głosem powiedziawszy „dzień dobry”, siadała na łóżku mamy. Z mamą ciotka Chana była w wielkiej przyjaźni. Traktowała ją jak siostrę. Przed mamą otwierała serce. Wypłakiwała całą gorycz biedaczki. Złamanego grosza nie miała przy duszy. Kawalek mięsa pojawiał się w jej domu tylko w sobotę. I to nie zawsze. Dzieci chodzą goło i boso. Dłużna jest właścicielowi mieszkania czynsz za trzy kwartały. Chyba dojdzie do tego, że trzeba będzie chodzić po prośbie.

Mama starała się ją pocieszyć:

— Nie grzesz, miej ufność Chano. Wierzę w twego Mordechaja-Mendla. On jeszcze wypłynie i wstrząśnie Polską. Zapamiętaj, że ja ci to powiedziałam.

Ciotka Chana, chociaż nie miała za co przeżyć dnia, także wierzyła w męża. Wszyscy oprócz mego ojca wierzyli w wujka Mordechaja-Mendla. I czy nie można było w niego wierzyć? Przecież to był człowiek z tęgą głową. Kto mógł się z nim równać?

To nic, że Mordechaj-Mendel to bieda nad biedami. To nic, że na papierosa musiał pożyczać. Za to miał wspaniałe pomysły i znakomite plany. Jego łepetyna idealnie pracowała.

Mordechaj-Mendel nie należał do tych Żydów, którzy w Rosz Haszana i Jom Kipur modlą się tylko o zarobek i zdrowie dla żony i dzieci. „To są — powiedział — biedni ludzie o małych ambicjach i jeszcze mniejszych troskach”. On, Mordechaj-Mendel nie stanie przed Panem Bogiem, żeby wymodlić trochę pieniędzy na życie. A jeśli się już ma pieniądze, to co z tego? Jeszcze jeden talerz kaszy i jeszcze jedno gęsie udko.

— Najważniejszą rzeczą — mawiał — jest dokonanie czegoś takiego, żeby cały świat się dowiedział o tym, że istnieje Mordechaj-Mendel, żeby głośno o nim było, żeby wszyscy ludzie o nim mówili.

Na przykład: dlaczego on, Mordechaj-Mendel, nie mógł rozgłaszać, że cały okoliczny las razem z folwarkiem należy do niego? Czym Aron Szeinberg jest ważniejszy od niego? Czy zna lepiej *Torę*? Czy lepsze wygłasza kazania? I dlaczego on, Mordechaj-Mendel, nie może być tym człowiekiem, który zamierza zbudować linię kolejową do Białobrzegów? I dlaczego cały Farle, ten wielki majątek ziemski wraz z młynami, cegielnią i tartakami, nie może należeć do Mordechaja-Mendla? Czy Iczel Bekerman ma tęższą głowę?

W dzień i w nocy jeździł Mordechaj-Mendel do dziedziców. Mierzył pola i wycinał lasy. Ale przyzwoitego zarobku do glinianej, stojącej przy szosie chaty nie przynosił.

Pewnego razu wpadł na pomysł. Na genialny wprost pomysł. W mieście nie ma huty. Jak może takie miasto z tak wieloma Żydami i nie przymierzając, z tak licznymi Polakami, żyć bez huty? A więc Mordechaj-Mendel zbuduje hutę! Szkło z jego huty dotrze do wszystkich krańców świata. Bogactwo zapewnione.

I znowu zaczął jeździć do dziedziców. I znowu w dzień i w nocy liczył i przeliczał. W chacie panował ostry chłód. Obdarte dzieci biły się o lepsze miejsce na piecu. Wszyscy w domu żywili w sercu ufność i wiarę, że oto dziś lub jutro, kiedy powstanie huta, znajdzie się miejsce na piecu.

I oto nastąpił dzień, kiedy wuj Mordechaj-Mendel z dwoma dziedzicami udał się do rejenta, żeby podpisać akt. Tymczasem zwieziono drzewo, zaczęto wznosić budowlę. Wkrótce wyrosła huta z zadartym do nieba kominem, z dachami, parkanami i piecami.

Całe miasto zbiegło się, żeby zobaczyć to чудо. Zadzierano głowy, by spojrzeć na komin, obmacywano ściany i wydziwiano:

— Widzieliście ten cud? Macie pojęcie?

Ale Mordechaj-Mendel współnikiem huty nie został. Ktoś mu zabiegł drogę. Ktoś go oszukał. Zaczął więc pukać do drzwi adwokatów, pisarzy i sędziów. Przyswoił sobie na pamięć wszystkie paragrafy. Udowodnił, że go oszukano, że prawo za nim stoi. Ale prawo prawem, a Mordechaj-Mendel pozostał przy swoich paragrafach, a nie przy hucie. Sprawdził się jego pomysł. Huta rzeczywiście wysyłała swoje wyroby w świat, ale bez udziału Mordechaja-Mendla.

Jego czarna, gęsta broda bynajmniej nie osiwiła z tego powodu. Przeciwnie. Wydaje mi się, że nawet bardziej szerniała i wygładziła się. Jego duże, żywe oczy, które przywodziły na pamięć pianę z piwa, raziły spojrzeniem. Białe zęby błyszczały nadal uporem i zaciętością.

Wuj Mordechaj-Mendel nie dawał za wygraną. Trudno, bez huty też można żyć. Ale gorzelnię takie miasto powinno mieć. Kto mówi, że wzbogacić się można tylko przez hutę?

Czy mało będzie, jeżeli zabierze się do pędzenia wódki? Plac pod budowę już wybrał. Była już nawet komisja. Zatwierdziła. Pozostaje tylko zabrać się do budowy.

Pewnego letniego dnia Mordechaj-Mendel przyszedł do domu w świetnym humorze. Rozśpiewanym głosem zawołał:

— Chano droga, żono ty moja, szykuj się. Wkrótce zamieszkamy w „pokojach”! Forsa będzie do nas waliła drzwiami i oknami. Upijemy się jak goje. Mordechaj-Mendel jeszcze żyje!

Biegał po mieszkaniu jak szalony. Rozchełstany i podniecony machał rękami:

— Co mi tam Ben-Cijon, pisarczyk kahału! Kim on dla mnie jest?

Mama patrzyła na podnieconego Mordechaja-Mendla z sympatią i zadowoleniem. Wierzyła w niego. Prorokowała mu kiedyś, że jeszcze zajdzie wysoko w Polsce. Teraz spełnia się jej proroctwo. Na policzkach Chany występują ze wzruszenia czerwone plamy. Była dumna ze swego męża.

Tylko ojciec milczał. Siedział ze wzrokiem wbitym w stół. Pyszałkowate słowa szwagra nie porwały go. Już nieraz je słyszał. Ale tego, że Ben-Cijon jest nikim i niczym dla Mordechaja-Mendla nie mógł znieść. Powoli odwracał twarz od stołu i uniósłszy brwi, cichym, kpiącym głosem powiedział:

— I kto by pomyślał, że taki człowiek jak ty lekceważąco mówi o Ben-Cijonie!

— Lejzorze — zawołał Mordechaj-Mendel, stanąwszy na środku pokoju. — Możesz swego Ben-Cijona zamarynować i zakonserwować, chociaż jest pisarzem gminy. A co się tyczy moich interesów, to znasz się na nich jak krowa na modlitwie. Ty przecież znasz się tylko na sianie, no to wączaj siano.

— Moje siano przynajmniej pachnie! Z twoich zaś złotych interesów nie wyczuwa się dobrego zapachu.

Powiedziawszy to, ojciec spojrział na matkę z uśmiechem zwycięzcy. Chciał widocznie przekonać się, czy jego słowa znalazły uznanie w jej oczach.

Ale mamie słowa ojca nie spodobały się. Nikomu zresztą nie spodobały się. Mimo to uważam, że ojciec miał trochę racji. Mordechaj-Mendel rzeczywiście myślał o tym, żeby swoimi dokonaniem wstrząsnąć Polską. Myślał dobrze. W mieście jednak mówiono, że Mordechaj-Mendel z powodu swoich interesów i poczynań zgnije w kryminale. Właśnie wyłoniła się sprawa gorzelni. Niewiele już brakowało do podpisania aktu. Miało to nastąpić dziś, najdalej jutro.

Mordechaj-Mendel z tego powodu wypił podwójną porcję wódki i zakąsił gęsim żółdkiem. Dzieci tej nocy nie były się o miejsce na piecu, a ciotka Chana oka nie zmrzyła.

Ale pech chce, że dziedzic, współnik do gorzelni, kładzie się do łóżka zdrowy i cały, a nad ranem nie wstaje.

Mordechaj-Mendel już dziś mieszkałby w „pokojach”. Jechałby własną bryczką, zaprzęoną w dwa konie. Ben-Cijon pisarz nie zadzierałby już nosa. Mój ojciec nie pokpiwałby.

Ale Bóg nie chce. Tazczą więc Mordechaja-Mendla na policję, do sędziego śledczego, żeby wyjaśnił, dlaczego panu Dąbrowskiemu nagle się zmarło.

Dlatego też Mordechaj-Mendel nadal mieszka w zapadłej chacie przy szosie. Nadal przez dziurę w dachu ścigają się wiatr z deszczem. Nadal obok chaty przejeżdżają wozy w drodze do dalekich miast na jarmarki i targi. Stoi tam w ciemne noce ciotka Chana w objęciach pola i wiatru. Patrzy na przejeżdżające wozy i prosi Wiekuistego, żeby również jej Mordechaj-Mendel, jej „tęga głowa”, jej mąż doznał od Niego pomocy.

Mordechaj-Mendel przycichł. Po klęsce z gorzelnią, jego czarna broda nieco posiwiała. W rozżarzonych, niespokojnych oczach widać zmęczenie i przygnębienie. Ale nadal nie tracił ufności, wiary i ochoty, żeby stać się wielkim.

A może właśnie ciotka Chana w owe ciemne noce na opustoszałej wśród pola szosie wymodliła pomoc dla męża? Mordechaj-Mendel miał teraz na oku majątek ziemski. Było to całkiem nowe szaleństwo. Żyd, który przez całe życie mieszkał w drewnianej chacie, odżywał się kaszą i razowym chlebem, który od dnia ślubu nie sprawił sobie nowego ubrania, nagle zaczął marzyć o majątku ziemskim. Jest to normalne?

Mimo wszystko majątek Weisówka spodobał mu się.

Pewnego letniego poranka ciotka Chana siedziała jak zwykle na łóżku mamy. Niebieskie pasmo światła padało na jej żółtą, kudłatą perukę. Szepcząc, zdradziła mamie w tajemnicy, że Fleischer, Niemiec Fleischer, ma zamiar odkupić Weisówkę i na współnika chce wziąć Mordechaja-Mendla.

— Owszem, wiesz przecież dobrze — dodała ciotka Chana — że Mordechaj-Mendel nie posiada własnej gotówki, ale gdzie to jest napisane, że do kupienia majątku trzeba mieć pieniądze?

A zresztą pieniądze wykląda Niemiec Fleischer. Mordechaj-Mendel wkłada w interes tylko rozum.

Ciotka Chana powiedziała to mamie głosem cichszym od szmeru latającej muchy. Mimo to głuchawy tato, który stał przy oknie w talesie i tefilin, odwrócił głowę i spojrzał na siostrę z takim pogardliwym uśmiechem, że przez policzki cioci Chany przebiegły czerwone pasma krwi.

Mama leżała w łóżku. W ostatnim czasie wyładniała. Kiedy wkładała biały żabot z białymi szpicami przy rękawach i podnosząc głowę zmierzyła obcego człowieka urokliwym wzrokiem, można było jej samej powierzyć majątek.

Dlatego też z zainteresowaniem wysłuchiwała szeptu cioci Chany. Zauważyła też, jak ta się zaczerwieniła, kiedy tato pogardliwym wzrokiem zmierzył Chanę. Ściągnęła brwi i z jeszcze większą pogardą zawołała:

— Nie słuchaj go, Chano! Poza głupim uśmiechem na nic więcej go nie stać. On myśli, że na świecie nie ma niczego lepszego od handlu sianem. A ja ci powiadam, że przy bożej pomocy wkrótce staniesz się dziedziczką.

— Z twoich ust do uszu Pana Boga, oby tak się stało — powiedziała Chana, wzdychając.

Tymczasem dni i tygodnie nie stały w miejscu. Oto wyklarował się interes i oto nici z niego. Dziedziczka, która zamierzała sprzedać majątek, wyznaczyła wyższą cenę. I Fleischer rezygnuje. Mordechaj-Mendel zaś na nowo chce się zabezpieczyć. I znowu bieranina. I znowu nie jada. Dni i tygodnie spędza na sprawdzaniu hipotek. Z tym można jeszcze wytrzymać, ale kto może go zapewnić, że ten interes nie zakończy się tak, jak z hutą i gorzelnią?

— Nie trać wiary — pocieszała ją mama — Z tego interesu mąż twój nie wyjdzie z pustymi rękami.

Mordechaja-Mendla prawie że nie widywano. Nie nocował w domu. Biegał po drogach, jeździł koleją, wydeptywał przedpokoje dziedziców. Nie miał nawet czasu, żeby na cześć soboty pójść do łaźni.

Ale jednego razu spadł do nas do domu z rozwichrzoną od wiatru brodą.

Mama szybko przygotowała śniadanie. Położyła na stole świeży bochenek chleba, świeże masło i ser i podała dzbanek z kawą.

Kiedy Mordechaj-Mendel zjadał się śniadaniem, mama oparła łokcie na stole i z ciekawością wpatrywała się w jego śniadą, pooraną twarz.

— I co u ciebie słysząc, Mordechaju-Mendlu?

— Jakoś leci! Trzeba tylko trochę miłosierdzia.

— Zachowaj tylko spokój. Nie gorączkuj się.

— Tu nie chodzi o gorączkowanie się. Tym razem chodzi o zupełnie inne nieszczęście. Ten Niemiec, Fleischer, to złodziej nad złodziejami! Mówią, że Żydzi są oszustami, a ja ci powiadam, że ten Niemiaszka bije na głowę wszystkich żydowskich oszustów. Sama przecież wiesz, że ja groszem nie śmierdzę. Ja mam tylko pomysły. A ten złodziejski Fleischer chce mnie tak urządzić, żebym już nigdy nie zmartwychwstał. On dla przykładu chce, żebym był u niego ekonomem, takim sługasem, a on będzie dziedzicem! On, na przykład, chce...

I wuj Mordechaj-Mendel zostawia niedopity dzbanek kawy i rozgrzawszy się zaczyna mamie dokładnie, ze szczegółami opowiadać, jak Niemiec Fleischer chce go oszukać, wyprowadzić w pole i wykończyć na amen.

Mama patrzy mu wprost w błyszczące się oczy, zagapiona, z bezradnym uśmiechem na pięknych ustach. Czy rozumie wszystko, co Mordechaj-Mendel do niej mówi? Może tak. Mnie się jednak zdaje, że patrząc na niego, widzi tylko jego rozkołysaną głowę, szerokie koła, które nakreśla, wymachując rękami w powietrzu, rozżarzone źrenice jego oczu i przede wszystkim pola, magnacki majątek, tak plastycznie przedstawiony.

I stało się tak, że pewnego pięknego dnia całe miasto zawrzało od jednej nowiny: Mordechaj-Mendel kupił Weisówkę!

— Mordechaj-Mendel? — ludzie kręcili nosem — A kto to taki, ten Mordechaj-Mendel?

— Co znaczy kto? Szwagier Lejzora.

— Lejzor „Sianiarz”!

— To jego szwagier kupił Weisówkę?

— Jego szwagier.

— Szlag by trafił wszystkich moich wrogów! Przecież to biedak, istny nędzarz!

— A jednak!

Zapytano o to sąsiada. Sąsiad zapytał drugiego sąsiada. Zakotłowało się. Szły gadki. Od domu do domu. Między mężem a żoną. Między gojem i Żydem.

Matka przybiegła od ciotki Miriam zasapana. Już na progu zawołała:

— Lejzorze, słyszałeś?

Ale ojca jeszcze w domu nie było. Akurat dzisiaj spóźnił się. Pobiegła więc do sąsiadów. Szukała człowieka, który by potwierdził tę wiadomość. Okazało się, że wszyscy słyszeli, ale nikt przy kupnie nie był obecny.

Mama chciała wybiec na szosę, wpaść do chaty z glinianą podłogą, gdzie mieszka Mordechaj-Mendel. Już była gotowa to uczynić, ale w ostatniej chwili powstrzymała się:

— Nie! — nie ona do Mordechaja-Mendela, ale on do niej powinien być przyjść i jej pierwszej przynieść nowinę.

Później zjawił się tato. On również wszedł do domu nie tak jak zwykle. Broda ob-sypana kurzem od siana. Czapka zsunięta na bok. Twarz z wyrazem zmieszania. Jakby Weisówkę kupił nie Mordechaj-Mendel, tylko on sam.

— Słyszałeś, Lejzorze?

— Czy to prawda?

— Co znaczy, czy to prawda? Całe miasto mówi o tym!

Tak, słyszał. Był w bóżnicy na wieczornej modlitwie. Ale nie było mowy o modleniu się. Jeden był temat. Gwarno było jak w ulu. Przybiegali do niego Żydzi z gratulacjami. *Mazl tow!*⁴⁶ Kto by się spodziewał?!

— A czy ja nie mówiłam, Lejzorze? — mama z triumfem w oczach zadaje to pytanie.

— Mówiłaś, mówiłaś. Nielatwo być mądrym...

— Ale Mordechaj-Mendel ma głowę, co?

⁴⁶*mazl tow* — „Dobrego szczęścia!”, pozdrowienie, życzenie pomyślności. [przypis tłumacza]

— Tak, ma głowę, czy nie ma głowy, nie jest to ważne. Żeby kupić majątek trzeba mieć pieniądze...

— Nie martw się. Pieniądze też miał. A ty? Siano dzisiaj i siano jutro!

— A czego byś chciała? Może również majątku?

— A co, nie pasuje mi?

— Jeśli o to chodzi, to można kupić jakiś mająteczek...

— Jeszcze się mądrzy! Mało mu zmartwień?

Srodze zagniewana weszła do kuchni. Ojciec patrzył za nią pytającymi oczami.

Przez cały wieczór mama nie odzywała się. Z wyrazem troski na pomarszczonej twarzy podała kolację do stołu.

Kilka much usiadło na suficie. Zegar sucho tykał: „siam dzisiaj, siam jutro”... Ciężarki zegara dotykały już komody. Ojciec zaczął je naciągać. Chrząst i stęk rozległy się w werku zegara. W sercu matki zapewne też coś stęknęło.

Po kolacji mama usiadła przy oknie i wpatrywała się w ciemność nocy. Z kamieniczki z naprzeciwka dochodził do nas powiew ciepła. Na górze, na ganku, ktoś chodził. Zegar tępo wybijał godzinę za godziną. Mama wciąż siedziała przy oknie.

Przysiągłbym, że w wyobraźni widzi teraz mosiężne klamki, jakie miała w domu swego pierwszego męża, lekarza. Zapewne porównuje swoje dawne życie z dzisiejszym. A może zazdrości cioci Chanie jej nabytego majątku, który rozciąga się wśród pól zasianych zbożem, wśród lipowych drzew, nad którymi rozciąga się piękne niebo.

Matka, mama moja do samej śmierci nie zapomniała swoich mosiężnych klamek.

ROZDZIAŁ XIII

Pogłoski o nabyciu przez Mordechaja-Mendela Weisówki okazały się prawdziwe. Ten biedak i nędzarz został właścicielem majątku. I to bez współnika, bez udziału w tym Niemca Fleischera.

— Jak to się mogło stać? — Żydzi w żaden sposób nie mogli tego zrozumieć. — Chyba okradł kościół albo co innego?

— Może i okradł.

— A co z Fleischerem? Czy Mordechaj po prostu go wypchnął?

— Chyba tak.

— Jak to? Niemiec dał się wypchnąć?

— Wychodzi, że tak.

Słowem, trudna zagadka do rozwiązania. W mieście wrzało i kipiało. Nie tylko obcy ludzie nie mogli zrozumieć, jak Mordechajowi udało się kupić majątek, ale również członkowie rodziny zachodzili w głowę, żeby pojąć, jak do tego doszło. Toteż nic dziwnego, że w zwykłe dni pracy wielu Żydów pobiegło do pobliskiego majątku, by na własne oczy zobaczyć, czy Weisówka naprawdę istnieje, czy też jest wytworem imagacji.

Na złość wrogom, nie był to wytwór wyobraźni. Cała Weisówka wraz z lasem, łąkami, krowami i kurami należała teraz do Mordechaja-Mendla.

Z naszego domu nikt się na razie nie śpieszył obejrzeć majątku. Mama czuła się obrażona, gdyż Mordechaj-Mendel nie uznał za właściwe zawiadomić jej o swoim nabytku. Ojciec nadal nie chciał uwierzyć w całą tę historię. Wprawdzie składano mu gratulacje i klepano po plecach, zwracając się do niego per „szwagier dziedzica”, ale do obejrzenia majątku się nie kwapił. Bo po co? Widział w życiu niejednego majątek. Weisówkę też nieraz widział.

I tak oddalał wizytę w majątku od jednej do drugiej soboty, od jednego do drugiego poniedziałku. Do pokoju wszedł wysoki goj z batem w rękę i zapytał, czy pan kupiec jest w domu.

— O co chodzi? Do czego ci ojczulku potrzebny pan kupiec?

— Bo pan dziedzic z Weisówki zaprasza pana kupca wraz z żoną i dzieckiem do siebie do majątku.

— Pan dziedzic? Jaki pan dziedzic?

— Ten nowy. Ten... jak on się nazywa?

— Nie wiesz, jak się nazywa nowy dziedzic?

— Wiem — chłop machnął ręką — ano, zaraz... jak on się tam nazywa? Jakby Mendel czy coś w tym rodzaju...

— To on kupił Weisówkę? — ojciec trochę kpił z goja.

— On.

— Ładny mi dziedzic. Słuchaj ojczulku, czy ty się czasem nie mylisz?

— Nie, nie myślę się.

— Jakoś nie znasz swego dziedzica.

— Ech... Pan kupiec sobie kpi. Kto by nie znał dziedzica? To przecież Mendel, czarny Mendel!

— Ach! To ten! Toteż mów tak od razu!

Nigdy dotychczas nie widziałem, żeby ojciec tak kpił i drwił. Z kogo właściwie kpił? Z chłopca? Z Mordechaja-Mendla? Do czego zmierzał, udając głupka?

— Z kogo kpisz? — wmieszała się matka. — Szwagier ci nie odpowiada?

— Skąd wiesz, że mi nie odpowiada?

— Jeśli nie, to nie idź do niego. Nikt cię nie prosi!

Mama ze złości zaczerwieniła się. Rozdygotanymi rękami nie potrafiła postawić garnka na właściwym miejscu. Kpiny ojca mocno ją widać zabolaly.

Ja również poczułem żal do ojca. Dlaczego zazdrości Mordechajowi-Mendlowi majątku? Nie spodziewałem się tego po moim ojcu! Ale do nowego dziedzica w końcu pojechał. Wszyscyśmy do niego pojechali. Nawet Ita.

Weisówka rozciągała się wzdłuż tej samej szosy, przy której stał drewniany domek Mordechaja-Mendla. Dopiero teraz mogliśmy dobrze przyjrzeć się temu domkowi.

Ciemny był, pokrzywiony i pochylony. Wokół okna zwisała jeszcze żółta, pęknięta glina, którą zabezpieczano je na czas zimy. Dwoje dzieci w przykrótkich koszulkach z odsłoniętymi brzuskami siedziało na progu i wydrapywało z dna pustych niemal miseczek resztki kaszy perłowej. Obce, jasnowłose, gojskie dzieci.

Jeszcze niedawno na tym progu siedziały dzieci Mordechaja-Mendla. Tak samo starały się wydrapać z prawie pustych miseczek resztki kaszy. Dzisiaj te dzieci posiadały swój własny majątek. Jak też Bóg kieruje światem! Z dała od tego domku, kawałek drogi za rosyjskim cmentarzem rozciągał się ów majątek.

My, najbliższa rodzina, idziemy po raz pierwszy do wuja w gości. Jest sobota. Nieliczne chłopskie wozy widać na szosie. Jedne jadą do miasta, drugie z niego wracają. Chłopi patrzą na nas odświętnie wypoczętych i wykąpanych. Niektórzy chłopci znają ojca. Łapią się za daszki i pozdrawiają:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków!

Słońce stoi w środku pola, które jest czyste i puste. Za topolą, w cieniu siedzi pochylony człowiek, który przewija onuce. Drugi śpi na trawie ze słońcem na tyłku. Chłopka z dwoma pustymi koszami klęczy przed figurką Matki Boskiej, która wisi na topoli. Figura jest czarna, bez twarzy. I oto wylania się szary, wilgotny plot rosyjskiego cmentarza. Jest tu chłodno i obco. Krzyże straszą.

— O! Tam — wyciąga ojciec rękę na pola — jest Weisówka.

Z daleka czerni się coś dużego, to las albo park. Z czerni od czasu do czasu prześwituje biała plama.

— Tu jest dziedziniec — powiada ojciec — a tamto białe to pałac.

Słowo „pałac” wywołało u mnie mocniejsze bicie serca. Nigdy jeszcze nie widział pałacu. Z bajek wiedziałem, że w pałacach mieszkali cesarze lub królowie, czy też inni wielcy dygnitarze. Z myślą, że w pałacu mieszka mój wuj Mordechaj-Mendel w rozchętowanym chałacie, nie mogłem się oswoić. Po prostu nie mieściło mi się to w głowie.

Matka widocznie też nie może w to uwierzyć. Teraz w ostatniej chwili przestała w to wierzyć.

— Czy w tym pałacu — pyta — rzeczywiście mieszka Mordechaj-Mendel?

— Chyba tak. Skoro jest dziedzicem, to wypada mu mieszkać w pałacu — powiada ojciec z uśmiechem na wargach.

Może się tato kpiąco uśmiechać ile dusza zapragnie, ale fakt pozostaje faktem. Jest majątek, jest pałac i myśły do niego przyszli.

Czy tak wygląda pałac? W bajkach pałac jest zawsze ze złota i kryształu. Dla wuja taki pałac jest też dobry. Widzę przed sobą szeroki, murowany, biały dom, z długimi lustrzanymi oknami. Dach pokryty jest czerwonymi wypalonymi gontami.

Wokół białego pałacu ciągną się w równym rzędzie niczym ustawieni w szeregu żołnierze, wysokie, strzeliste w niebo, równo przycięte lipy. Tak chyba wyglądały opisane w *Biblii* jodły.

Ale to nic, najważniejsza jest droga prowadząca do białego domu. Jest szeroka, równo wytyczona, wysypana żwirem. Skrzypi pod nogami jak zamrożony, utwardzony śnieg. Ojciec stąpa po żwirze pewnym krokiem człowieka, który nieraz już po takiej drodze chodził. Mama natomiast idzie sztywnym krokiem. Głowę uniosła nieco do góry. Trudno powiedzieć, czy świadczy to o jej poczuciu dumy czy zdumienia. A może tylko o braku nawyku chodzenia po drogach zastrzeżonych dla dziedzica. Ita idzie powoli poboczem... Robi dwa kroki naprzód jeden do tyłu.

Widocznie mieszkańcy pałacu już nas zauważyli, gdyż nagle otworzyły się szerokie szklane drzwi. Otworzyły się szeroko, gościnnie, po pańsku. Na długich kamiennych schodach stoi we własnej osobie Mordechaj-Mendel, z otwartymi do powitania rękami. Ma na sobie rozpięty szlafrok zdobiony w kwiatki. Jest jakoś wyższy i szerszy. Rozwierzona broda mieni się czernią. Nie mówi już tym swoim głosem, który przywołał na pamięć chłodne mieszkanie z wilgotnymi ścianami. Głos jego brzmi teraz mocno.

— Dobrej soboty! *Szolem alejchem!* Witajcie moi drodzy goście.

Wypycha do przodu okrągły brzuszek, na modłę wuja Ben-Cijona. Kiedy to wuj Mordechaj zdążył się nauczyć chodzić po pańsku? I zrozum tu, jak to się stało, że nawet ciocia Chana, która przez całe życie nerwowo deptała po izbie w chuście na głowie, schodzi teraz z kamiennych schodów odmierzoną spokojnym krokiem, lekko kołysząc się na wzór ciotki Noemi.

Na głowie ma ciotka Chana czarną, błyszczącą perukę z lokiem na przodzie. Jedwabna suknia z bufami szeleści jak żwirowa droga prowadząca do pałacu, jakby przez to suknia chciała powiedzieć:

— Zróbcie dzieci szpaler. Ja, Chana, właścicielka majątku, idę!

Zdaje mi się, że twarz mamy trochę się ściągnęła. Mnie taka twarz mamy nie podoba się. Wiem, że weszła tu dumnymi krokami. Liczyła się z tym, że ją powitają z orkiestrą, że się nią będą cieszyć. A tu ciotka Chana zachowuje się po pańsku. Ma na sobie jedwabną czarną suknię ze złotą broszą na szyi. Skąd to wszystko wzięła? Skąd wie, jak to nosić? Po czystej twarzy mamy przebiegła krzywa zmarszczka. Nikt tego nie zauważa. Ale ja mam oczy otwarte. Nikt tak jak ja nie zna się na zmarszczkach mamy. Ale to wszystko jest mylące i pozorne. Ciocia Chana pozostała tą samą ciocią, dobrą kobietą, tą, która zwykła była do nas wpadać z samego rana na rozmowę. Jej chód wcale nie jest pański i wcale nie przypomina chodu ciotki Noemi. Pierwsze wrażenie okazało się fałszywe. Wręcz przeciwnie, jak tylko zeszła ze schodów, kroki jej wróciły do dawnego taktu. Stały się znowu nerwowe i powszednie. Z rozjaśnioną twarzą podbiegła do mamy i objęła ją ramieniem. Okryła pocałunkami. Nie posiadając się z radości, zawołała:

— Kochana Frumet, żebyś mi zdrowa była! I co ty na to wszystko? Co powiesz o Mordechaju-Mendlu?

— Przecież zawsze ci mówiłam — powiada mama i ze wzruszenia ściera łzę z oka.

— Żebyś mi długo żyła szwagierko moja! Wdzięczna jestem: przedtem Bogu, a potem tobie.

— Obyś Chano dożyła długich lat w szczęściu, czci i dostatku.

— Amen, kochany Boże w niebie! I niech Bóg również ciebie obdarzy bogactwem i niech spełni wszystkie twoje marzenia. Ty jedna mi mówiłaś, że Mordechaj-Mendel wysoko zajdzie kiedyś w Polsce.

I mówiąc to, ciocia Chana ronila łzy ze szczęścia.

— Znam go lepiej od ciebie, Chano, chociaż to twój mąż.

Wuj Mordechaj chodzi z ojcem. Objął go ramieniem. Szwagrowie widać przeprosili się. Z geszefców Mordechaja nie bije już brzydki zapach. Przeciwnie, ładnie teraz pachną. Pachną jak siano mego ojca. Usłyszawszy swoje imię wymienione przez mamę i ciotkę Chanę, wuj Mordechaj zostawia ojca i podbiega do nich.

— Pocałujmy się, kochana Frumet — i objąwszy ją ramieniem, dodaje — obyś mi zdrowa była, ty moja szwagierko!

Twarz mamy pokrywa się licznymi wdzięcznymi dołeczkami. Mordechaj-Mendel błyska uśmiechem i bielą zębów. I mimo obecności ojca, nie bacząc na to, że wszyscy mamy oczy i widzimy, łapie mamę pod rękę i rusza z nią, jakby miał zamiar zatańczyć. Mama śmieje się głośno. Ciocia Chana uśmiecha się półgębkiem. Pobożnie, wstydliwie. Białe zęby ojca ostro odcinają się na tle czarnych wąsów. Patrząc teraz na miękki, lekki chód mamy kroczącej obok Mordechaja-Mendla, na jej dumnie na słońce wystawioną twarz widać, że rzeczywiście miała kiedyś mosiężne klamki u drzwi.

Ojciec ze swoją siostrą Chaną kroczą z tyłu za nimi. Ja z Itą na samym końcu w otoczeniu naszych krewniaków, dzieci gospodarzy. Idzie Boruch — najstarszy syn Mordechaja-Mendla. Silny brunet jak jego ojciec. Oczy czarne, brwi ostro zarysowane.

Idą młodsze dziewczynki i mali chłopcy ubrani w długie barchanowe marynarki. Wszystkie dzieci mają czarne, rozwichrzone czupryny.

Jest w tym towarzystwie również Rejzel — najmłodsza córka Mordechaja-Mendla. Jasnowłosa blada dziewczynka z silnie zaznaczoną pod czołem niebieską żyłą. Twarz ma szeroką i płaską jak talerz. Do nikogo nie jest podobna. Ani do wuja, ani do ciotki. Cała jej piękność tkwi we wspaniałym warkoczku. Jest miękki, puszysty, jasnobloni. Błyszczą złocistą bielą żytnich kłosów.

Ja i Rejzel jesteśmy rówieśnikami. Okazuje się, że z nadmiaru szczęścia z okazji nabycia majątku, zapomniano kupić jej buty. Dlatego na źwirem pokrytej drodze co chwila podskakuje z bólu na bosych nogach.

Rejzel ma sposób mówienia taki: mówi powoli, słowa wydobywa jakby spod serca, z pokorą. Pokory tej nauczyła się mieszkając przez długie lata w dawnym mieszkaniu z glinianą podłogą.

Teraz wszyscy już stoimy na szerokich kamiennych schodkach, które prowadzą do wnętrza białego pałacu. Starsze siostry i bracia Rejzel pierwsi do niego weszli. Ita z Baruchem również są już wewnątrz. Tylko ja i Rejzel zostaliśmy na dworze. Rejzel pyta mnie:

— Mendel, czy lubisz kwiaty?

— Co znaczy lubię? Ani nie lubię, ani nie nienawidzę.

Bierze mnie za rękę i powiada:

— Chodź, coś ci pokażę.

Zaprowadza mnie na tyły pałacu. Przechodzimy wśród starych topól i wysokich strzelistych drzew lipowych. Schodzimy w dół na czarną mokrą drogę, zbudowaną na podobieństwo alei w naszym nowym miejskim parku. Z tego parku przechodzimy przez otwartą bramę do następnego parku. Panuje tu miły chłodek i cienisty prawie półmrok. Są tam kręte dróżki, kilka połamanych, drewnianych ławek. Widać na nich działanie czasu. Są pokryte patyną starości.

Rejzel prowadzi mnie jeszcze dalej, aż do końca parku. Wznosi się tam stara, pokrzywiona altana, opleciona brzoźowymi gałęziami, przez które słońce od czasu do czasu przekrada się na chwilę odpoczynku.

Wokół altany widać kilka wąskich rabat, równo obsianych roślinami i obstawionych patykami.

— Tu są kwiaty — powiedziała Rejzel — bądź ostrożny, nie podepcz ich. Tamte czerwone to róże. Jeszcze są małe. Wkrótce wyrosną. Będą duże i ładne. Tu zaś rosną fiołki. Na razie widzisz tylko małe punkciki, ale widać już, że są niebieskie. Widziałeś już kiedyś takie kwiatki? A tam z boku, widzisz, jakby pucharki. To są tulipany.

Rejzel, która mówi powoli, jakby się wstydziła, wymienia nazwy wszystkich kwiatów. Skąd ona je zna? Kto jej to powiedział? Na bosych nogach lekka i zwinna uwija się wśród rabat.

— Mamy — mówi — ogrodnika. Własnego ogrodnika. Przedtem służył u starego dziedzica, potem u dziedziczki, która sprzedała majątek ojcu. Przepada za kwiatami. One, powiada ogrodnik, są jego wnukami. Gdyby nie kwiaty, życie nie miałoby dla niego sensu.

Tak opowiada Rejzel o starym ogrodniku. Patrzy przy tym na mnie z jakąś niebieską wilgocią w oczach, patrzy na mnie tak, że wstydzę się mojej miastowości, mojej niewiedzy.

Mendel, syn cioci Noemi umie śpiewać, Rejzel, córka Mordechaja-Mendla, lubi kwiaty, a co ja?

U nas w domu kwiatów nie ma. Nigdy ich nie było. U nas na oknie stoi gliniany garnek z dużymi, grubymi, zakurzonymi liśćmi. Te liście ojciec odcina i przykłada do swojej chorej nogi. To są rośliny, które widywałem i które mam. A mówiąc między nami, do czego są potrzebne młodemu chłopcu kwiaty? Jaki z nich pożytek? Nie uważam, żeby chłopcom żydowskim bez kwiatów czegoś brakowało. Inna sprawa z Rejzel. Ona całe życie mieszkała przy szosie między niebem a topolami. Stąd widocznie bierze się jej znanstwo i miłość do kwiatów.

Rejzel opowiada mi jeszcze wiele rzeczy o kwiatkach. Pokazuje mi te, które sama zaszadziła i sama hoduje. Ale ja już jej nie słucham. Już pragnąłbym być w pałacu i zobaczyć, jak tam jest w środku.

I nagle rozlega się z daleka głos:

— Rejzel, Rejzel!

— Już idę mam — odpowiada Rejzel i bierze mnie za rękę.

— Widzisz — powiada do mnie — tam w dole jest sad. Tam rosną gruszki, jabłka i czereśnie. Mnóstwo dobrych rzeczy. I wszystko to należy do nas. Zdajesz sobie sprawę?

Oczywiście, że zdaję sobie sprawę. Gdybym nie należał do jej rodziny, to nie mógłbym tak swobodnie chodzić po całym tym majątku i zaglądać do każdego kąta.

Wszystko należy do Mordechaja-Mendla — kwiaty, które ogrodnik uważa za swoje wnuki, również należą do niego. Potwierdza to nasza wizyta. Wszyscyśmy przyszli popatrzeć na jego bogactwo. Ciotka Noemi z mężem Ben-Cijonem też przyszli. Przyszli na piechotę. Taki szmat drogi na własnych nogach.

Siedzą teraz w białym pałacu na miękkich, wygodnych, staromodnych fotelach. Wuj Ben-Cijon ciężko oddycha, wyciera z czoła krople potu i rozgląda się dookoła.

Jest tu wiele do oglądania i jeszcze więcej do pytania. Takich pokoi i takiego gospodarza jeszcze nikt z nas nie widział. Z wyjątkiem może mego ojca, który często bywał z racji profesji we dworach dziedziców.

— To nie są pokoje, to są sale — powiada ojciec. Sale są duże i chłodne. Są to takie pokoje z zegarami, które stoją sobie pod szklanymi kloszami, na ciemno rzeźbionych kafelkowych kominkach. Nad drzwiami wiszą jelenie rogi i wypchane ptactwo, które patrzy na nas dużymi szklanymi oczyma. Czai się w nich zdumienie i zmieszanie.

Oto stoi na staromodniej brązowej komodzie orzeł (to tato wyjaśnił nam, że to orzeł) z twardym, krętym, podobnym do żelaznego topora, dziobem.

Pochylony, wbił się pazurami w komodę. Rozpostarł skrzydła, tak szerokie, że zasłaniają połowę ściany. Wydaje się, że za chwilę poderwie się z impetem w górę, wybije szyby i polecą w świat.

Wuj Ben-Cijon, wycierając białą chustką pot z czoła, nie może się nadziwić:

— Czy to naprawdę orzeł? Na pewno wiesz, że to orzeł?

— A co? Kogut? Jak ci się mówi, że orzeł, to jest to orzeł.

Mój ojciec czuje się w tych pokojach jak swój człowiek. Nie ma w nim ani śladu owej przeczności, jaką odczuwa w domu swojej siostry Noemi. Tu, w majątku czuje się, jakby miał swój udział. Przecież nieraz przebywał w pałacach dziedziców i piękny ich wystój jest mu dobrze znany. Ten orzeł dla niego to betka.

Zna się na tych rzeczach. Objaśnia, tłumaczy.

Wujostwo pokazuje nam stoły. Są brązowo-czerwone, ładnie utoczone, oparte na spiętych, brzuchowatych, plecionych nogach. Komody z szufladami na pół pękniętymi z ciemno złoconymi, „wytartymi” klamkami.

W innym miejscu pałacu pokazuje nam czworokątną salę, z trzema pięknie zdobionymi oknami wychodzącymi na słoneczną stronę. Sufit jest tutaj biały, podłoga żółta jak wosk, składająca się z małych kostek, ściany jasnoniebieskie z wąskimi, złotymi listewkami pod sufitem. Na ścianach wiszą kilimy. Zbladły już ze starości. Pochodzą chyba z czasów Sobieskiego. Widać na nich psy, kobiety w białych krynolinach, mężczyzn w białych pończochach i białych perukach, zakończonych z tyłu warkoczami.

Dziwni ludzie. Chyba przedstawienie. Cała rodzina stoi i wydziwia: co to za ludzie? Dlaczego wystawiają się na pośmiewisko? Zdaje się, że wuj Ben-Cijon jest w jakiejś mie-

rze człowiekiem światowym. Bywa w magistracie. Jeździ często do guberni. I mimo to ni w ząb nie wie, co te kilimy przedstawiają.

Mój ojciec wie i rozumie. Powiada, że to są takie portrety. W dawnych czasach dygnitarze zlecali wykonywanie takich portretów na kilimach, tak jak dzisiaj zleca się je fotografom. A to, że ludzie są tak dziwnie ubrani, oznacza, że jest u nich bal. Czas takiej zabawy nazywają karnawalem. Wtedy panowie i panie przebierają się.

Doskonale rozumiem ojca. Karnawał u tamtych ludzi należy do obyczaju, tak jak u nas święto Purim⁴⁷. Prawdopodobnie oni też mieli swego Hamana — złoczyńcę.

Mama jednak kręci nosem. To wcale nie jest karnawał. Kiedyś przeczytała w książce, że w czasach Napoleona ludzie tak się ubierali. Najbiedniejszy nawet człowiek miał swego psa i taką białą perukę.

— Jaka tam różnica — wtrąca się wuj Mordechaj-Mendel. — I tak je zdejmę. Też mi ozdoba. Popatrzcie lepiej na łóżka, które tam stoją.

Łóżka są rzeczywiście piękne. Zupełnie inne niż te, które stoją w domach naszego miasta. Czerwonawo-brązowe, nisko osadzone, szerokie, błyszczące złotem na rogach.

— Możesz mi wierzyć — powiada ciotka Chana do mojej matki — że z trudem zasypiam w takim łóżku.

— Można się przyzwyczaić — odpowiada mama z taką pewnością, jakby całe życie sypiała w takim łóżku. — U mego pierwszego męża — dodaje — mało brakowało, żebym miała takie łóżko. Kiedy ktoś przychodził do naszego domu i zobaczył mosiężne klamki...

Nie słucham już dalszych słów mojej mamy. Rozglądam się dookoła. Chcę się przekonać, czy tu także są mosiężne klamki.

Rzecz jasna, że są. Tkwią z opuszczonymi głowami w wysokich, białych drzwiach. Są matowe. Nie błyszczą. Według mamy, mosiężne klamki powinny błyszczeć.

— Trzeba je zreperować — tłumaczy się ciotka Chana — jest tu dużo do zrobienia. Trzeba dużo pieniędzy jeszcze włożyć.

Ciotka Chana mówi o pieniądzach. O mnóstwie pieniędzy. Mówi o tym spokojnie. Tak jakby była pewna, że dziś-jutro Mordechaj-Mendel przyniesie jej całą górę pieniędzy.

A może rzeczywiście... Po nim można się wszystkiego spodziewać.

Wuj Ben-Cijon nie przestawał się pocić. Ani na chwilę nie zdjął białej chusteczki z czerwonej twarzy. Ciotka Noemi lekko mrużyła oczy. Z jej arystokratycznych, wąskich warg powoli wycedziło się:

— Mordechaju-Mendlu!

— Co?

— Miałeś nam opowiedzieć, jak doszedłeś do tego majątku. Słuchamy.

Mordechaj-Mendel widocznie nie usłyszał jej słów.

— Chodźcie — oświadczył, zrywając się z fotela. — Wyjdźmy trochę na zewnątrz. Przecież nic jeszcze nie widzieliście. Weisówka to istna kopalnia złota.

Ręką zaczesał brodę na lewą stronę, na wzór króla Achaszwerosza⁴⁸ i otwarłszy szerokie, szklane drzwi wypuścił gości. Niech podziwiają nabyty przez niego majątek.

I rzeczywiście było na co popatrzeć. To znaczy, było na co popatrzeć niegdyś u dawnego dziedzica. U ostatniej dziedziczki chyba też. Dzisiaj niewiele z tego zostało. Z wyglądu, z rozmiaru, powinien był majątek przedstawiać się z zewnątrz w takiej samej krasie, jak wewnątrz pałacu.

W majątku, jak wiadomo, są stajnie z końmi, obory z krowami i wołami. Po podwórzu biegają świny duże i małe, kury, koguty, indyki i kaczki.

Mój ojciec twierdzi, że na podwórzu powinny również się znaleźć pawie z szerokimi ogonami, a w każdym piórze tych ogonów jest słońce i księżyc. Pawie powinny wykrzykiwać przed przechodniami i przejeżdżającymi:

— Tu jest majątek! Tu jest majątek!

⁴⁷ *Purim* — święto losów, święto upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman skazał na śmierć. [przypis tłumacza]

⁴⁸ *Achaszwerosz* — hebr. forma imienia króla perskiego Kserksesa I (486–465 p.n.e.), męża Estery, mowa jest o nim w biblijnych księgach: Księdze Estery i Księdze Ezdrasza; uosobienie mądrego, sprawiedliwego władcy; skazał na śmierć Hamana, swego najwyższego urzędnika, który planował zabić wszystkich Żydów w Persji, lecz wstawiennictwo królowej Estery u męża pokrzyżowało jego zamiary; na pamiątkę tych wydarzeń obchodzone jest radosne święto Purim. [przypis edytorski]

Trudno. Nie wszyscy dziedzice posiadają pawie. Świń wuj Mordechaj-Mendel także nie będzie hodował, ale dlaczego w stajni stoją tylko dwa koniki na cienkich nogach? I dlaczego nie widać więcej niż dwie chuderlawe krowy? Jedna jałówka, biała z żółtą łatą pod okiem, druga czarna, dojna z białą plamą na zadzie.

Stajnia jest duża. Kiedyś zapewne było tu dużo koni i dużo krów. Na ścianie wiszą jeszcze żłoby bez paszy. Zostały jeszcze ścianki między poszczególnymi żłobami.

Zapach ciepłego łajna dawno już chyba ulotnił się przez dziurawy dach i dwoje drzwi, które leniwie wiszą na obłuzowanych zawiasach.

Słowem, zostały dwa koniki i dwie krówki. Oto właśnie dojna krowa obraca swoje chrapy ku nam, gościom. Od białej szerokiej brody wuja Ben-Cijona odwraca łeb. Na mego ojca patrzy ze zdziwieniem, jakby go już kiedyś widziała. Wydaje mi się, że szuka znajomej twarzy, bliskiego człowieka. Nagle kieruje wzrok na mnie. W oczach jej widać łzy. Widocznie prosi mnie, abym odpędzał od niej małe muszki, które wybrały sobie za miejsce odpoczynku kąciki jej oczu. Macham ręką przed łbem krowy, ale ona nie jest zadowolona.

— To nic — zdaje się mówić — że nie wiesz, o co mi chodzi. Kiedyś u dziedzica było tu wiele moich sióstr. Całe rodziny tu żyły. Nasze babki, matki i dzieci. Dawniej nie mieszkaliśmy tu razem z końmi. Miałyśmy oddzielną oborę. Większą, znacznie większą od tej stajni. Kiedy wychodziłyśmy na łąkę paść się, to jednym stadem. Jedna krowa popychała drugą. Nasze wymiona przepełnione były mlekiem.

— Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Nastaly złe czasy. Stary dziedzic umarł daleko stąd. Gdzieś na obczyźnie. Pozostały po nim długi. Wdowa zaczęła powoli sprzedawać krowę po krowie. Konia po koniu, żeby spłacić długi. Były tu również owce. Duże, wypasione, tłuste. Strzyżono ich wełnę i wieziono na jarmark, potem nie było już co sprzedawać. Wystawiono więc majątek na licytację. Przyszli kupcy. Bardzo dużo kupców. Żydzi i goje.

Przyszedł również Niemiec Fleischer, ten blacharz, który łąził po dachach, żeby zamalować je czerwoną farbą. On zapragnął być dziedzicem Weisówki. Przystąpiono więc do targu. Było wiele krzyku i kłótni. Stara pani płakała, żegnając się z folwarkiem i parobkami. Wypłacała wszystkim należne pobory i zwolniła ich. Niczego z majątku nie zabrała. Jeden tylko bukiet kwiatów wzięła na drogę.

Teraz majątek przeszedł do rąk nie Fleischera, lecz tego faceta z czarną brodą, który nazywa się Mordechaj-Mendel.

To wszystko opowiada nam stary, zupełnie siwy chłop z nieodłączną fajką w gębie. Kroczy między mną a matką. To on opowiada a nie, uchowaj Boże, krowa.

Mordechaj-Mendel kroczy w swoim sobotnim szlafroku. Pokazuje nam rękami to prawą stronę folwarku to lewą. Ręce mu jakby teraz się wydłużyły. Kiedy wymachuje nimi, odnoszę wrażenie, że zagarnia nimi cały daleki obszar majątku razem z lasem i niebem. Opowiada, jak majątek dostał się w jego ręce.

Różni dziedzice — powiada — podbijali mu cenę. Całe noce — powiada — oka nie mógł zmrużyć. Niespokojna myśl wierciła mu dziurę w głowie: a nuż z tego nici będą? A nuż dziedzice przelicytują go? A nuż to, a nuż tamto. Aż wpadł na pomysł, aby zawrzeć spółkę z Fleischerelem.

Ale Niemiec też nie jest w ciemię bity, sroce spod ogona nie wypadł. Sam chce zostać dziedzicem. Ten blacharzyna, słowem, miał włączyć Weisówkę bez Mordechaja-Mendla?

Tego, co robi Mordechaj-Mendel nie słucham. Podeszła do mnie bowiem Rejzel z kwiatkami: z czerwonymi i niebieskimi kwiatami, powiada, że zerwała je dla mnie. Kiedy wrócę do domu, żebym wstawił je do wazonu z wodą.

Tymczasem Mordechaj-Mendel dalej opowiada o tym, co zrobił. Kiedy podchodzę bliżej słyszę, jak wuj Ben-Cijon mu przerywa:

— A co z Fleischerelem?

Ale wuj Mordechaj-Mendel jest tak zajęty wyjaśnianiem tego, czym jest nabyty majątek, że nie słyszy pytania wuja Ben-Cijona.

— Popatrzcie tylko — powiada — na pola, na ziemię. Zawiera przecież złoto. Ci głupcy, ci dziedzice nie zdawali sobie sprawy z tego, co posiadali. Chodźcie, to wam coś jeszcze pokażę.

Idziemy za nim. Przed nami rozciągają się puste pola.

Zaniedbane, nieobrobione, odłogiem leżące pola, zarosłe pokrzywą i śladami niezbranego lubinu. Ojciec mój powiada, że nie pamięta, kiedy na tych polach rosło zboże.

Jakie więc szczęście leży w tej ziemi? Jakie jest to złoto, o którym prawi Mordechaj-Mendel?

Nogi drepczą po miękkim i śliskim błocie. W polu upał nie do zniesienia. Skąd bije taka wilgoć? Widocznie z bagien?

— Nic podobnego — oświadcza Mordechaj-Mendel. — Właśnie, że ta wilgoć, ta śliskość jest owym złotem, o którym mówiłem. Owym prawdziwym złotem, którego owi głupi dziedzice nie potrafili wydobyć. Okazuje się, że cała ta ziemia to jeden obszar gliny. Mordechaj-Mendel pokazuje nam wykopany, czworokątny dół, w którym stoi woda. Ściany dołu błyszczą od tłustej, brunatnej gliny.

To nie glina — powiada Mordechaj-Mendel. — To olej. To mięso. To chleb z masłem. Z tej gliny będzie wyrabiał cegłę, dachówki i garnki. Postawi — powiada — komin. Wynajmie chłopów, garncarzy i rozpocznie się robotę, jakiej świat dotychczas nie widział.

I mówiąc to, nachyla się i ręką wyciąga z dołu spory kawał gliny.

— Przypatrzcie się dobrze — powiada wuj. — Czy to jest glina? To brylanty nie glina.

Wymachując ręką, podsuwa każdemu z nas pod nos ten kawałek gliny do obejrzenia. Ciotka Noemi zatyka sobie nos. Wuj Ben-Cijon końcem palca dotyka gliny. Mój ojciec patrzy na to z boku jednym przymkniętym do połowy okiem. Tylko moja matka niemal przytyka twarz do kawałka gliny.

Mnie cenna glina także nie zachwycała. U nas w mieście obok naszego dawnego mieszkania, wykopano kiedyś dół, z którego wydobywano taką samą glinę.

Zdun Symchele, który kiedyś naprawiał piec w naszym domu, również używał takiej gliny. Czym więc chce nam tutaj zaimponować wuj Mordechaj-Mendel?

Tej soboty pokazał nam jeszcze wiele innych rzeczy. Pokazał nam odległy, spowity w niebieską mgłę las.

— Las — powiedział — także należy do Weisówki.

Wprowadził nas do ogrodu, w którym był staw. Powierzchnię stawu pokrywała żółto-zielona rzęsa. Pleśń wielu lat.

Pleśń tę, powiada Mordechaj-Mendel, postara się wkrótce usunąć. Oczyszczy staw i wpuści doń ryby. Będą karpie i leszcze.

Pokazał nam również sad. Dla ścisłości dodam, że owoców w nim nie było. Podobno w tym roku był nieurodzaj na owoce. Zapewniał jednak, że u niego za rok owoce będą. I to jakie! Wszystko nam pokazał. Nawet pustą psią budę.

Potem przed wieczorem poczęstował nas szczawiowym barszczem i razowym chlebem grubo posmarowanym masłem.

Od gorejącego nieba i od niebieskiego lasu powiało cichym, uspokajającym chłodem. Pole zapachniało sianem. W trawie rozśpiewały się świerszcze. Od stawu, pokrytego rzęsą, dochodziło kumkanie żab.

Siedzieliśmy na otwartym powietrzu. Niebo spowiło się w ciężki, granatowy płaszcz. Okiem niemożliwe do ogarnięcia. Tu dopiero było widać, ile milionów miliardów gwiazd tkwi na nim. Rejzel opowiada mi po cichu, że każdej nocy patrzy na największą na niebie gwiazdę. Jej się wydaje, że to taki duży, ogromny brylant, który lada chwila oderwie się od firmamentu i spadnie jej do nóg. Rejzel jest naiwną i głupią dziewczyną, ale przyjemniej tu siedzieć niż na naszym wąskim podwórku, na którym czuć zapach świń.

Po hawdali⁴⁹ wuj Mordechaj-Mendel odprawił nas bryczką do miasta. Było nam ciasno, siedzieliśmy stłoczeni. Ze wszystkich czterech stron widać było rozpostartą noc. Była ciepła, tłusta. Pachniała rumiankiem, miętą i migdałami.

Wuj Ben-Cijon kosztem wszystkich rozgościł się wygodnie w bryczce.

— Rozkosz — powiedział — przebywać w takim otoczeniu. Gdyby Bóg mi dopomógł, to bym w diabły cisnął pisarstwo w gminie i...

Nie dokończył zdania. W słowa wpadła mu ciotka Noemi.

— Ben-Cijonie! Ben-Cijonie!

⁴⁹*hawdala* — dosł. „odróżnienie”; modlitwa odmawiana w wieczór kończący sobotę, oddziela ona (czyli: odróżnia) świętość soboty od powszednich dni tygodnia. [przypis tłumacza]

Zdaje się, że wiedział, co żona chce mu powiedzieć, bo nagle westchnął i oświadczył, że przekonał się, iż Mordechaj-Mendel wyszedł na ludzi.

— No co, Lejzorze — zagadnęła mego ojca. — Jeśli Mordechaj-Mendel doszedł do takiego majątku bez grosza w kieszeni, to chyba dokonał wielkiej rzeczy?

— Tak, rzecz to niemała — odpowiada ojciec. — Ale sam się nią nie zachwycam.

— Co znaczy nie zachwycasz się? Byłeś czy nie byłeś w Weisówce?

— Byłem.

— Widziałeś?

— A więc?

— Brakuje czegoś w tym interesie.

— Czego?

— Po prostu nie podoba mi się.

Trudno, jemu może się nie podobać, ale Mordechaj-Mendel dopiął swego.

Nie trwało to długo i pewnego dnia z wilgotnych pól Weisówki wystrzelił do nieba wysoki, okrągły komin. Widoczny z dalekiego miasta.

Ludzie zadzierali głowy. Patrzyli w niebo jak astrologowie i powtarzali:

— Patrzcie tylko, ten Mordechaj-Mendel to...

Komin wyrzucał z siebie białe i czarne kłęby dymu. Gęste, tłuste jak rolki waty. Dym unosił się nad pałacem, parkiem, sadem i nad kwiatami, w których rozkochała się Rejzel.

Chłopi, którzy przybywali do miasta, opowiadali, że dym osiada na koronach topól. Bociany są w poplochu. Szukają innych miejsc na gniazda.

W sąsiedztwie pałacu Mordechaj-Mendel wznosił czerwony brzuchaty, okrągły budynek. Z niego to wyrastał ów komin. Z niego wychodzą garnki. Tu jest właśnie ta wymarzona cegielnia.

Zwirowa, kamyczkami wysadzana droga do pałacu jest już rozjechana i rozdeptana. Garnki matowe i emaliowane z odbitym uchem i z dziurami w dnie walają się na dawnym żwirze. Na szerokich schodach, na których owej soboty stał dumny Mordechaj-Mendel, w pokojach z miękkimi fotelami, na długich białych oknach — słowem wszędzie — leżą gliniane garnki, gliniane chłopskie miski, podwójne garnki, takie w jakich chłopki noszą jedzenie dla mężów pracujących w polu.

Mordechaj-Mendel mierzy wysoko. Jeśli ma się wzbogacić, to robota musi iść pełną parą.

Siedzą goje o zoranych wiatrem twarzach z zakasanyimi, żyłastymi rękami i mądrymi, jasnymi oczyma. Siedzą pochyleni przy drewnianej maszynie. Szybko, bez tchu kręci się kółko. Gлина, którą garncarz wrzuca na kółko, to się rozciąga, to kurczy. Po kółku biega łaleczki, ludziki. Pod palcami robotnika wyrasta żywe stworzenie. Garncarz głaszcze je, wyciera i czyści. Aż nadchodzi chwila, kiedy naczynie jest gotowe, wykończone. Garncarz odcina je wtedy od kółka cienkim sznurkiem. Tak jak odcina się dziecko od pępowiny matki.

Wydaje się, że Mordechaj-Mendel rzeczywiście bogaci się na tych garnkach. W majątku Weisówka pojawił się jeszcze jeden koń i jeszcze jeden wóz drabiniasty. Tym oto drabiniastym wozem ciotka Chana z córką Rejzel zawoziła w każdy czwartek rano do miasta garnki na sprzedaż.

Zamiaru wyeksportowania garnków poza granice miasta i kraju wujowi nie udało się zrealizować. Co prawda załadował pewnego dnia wagon z garnkami i wysłał go do Lublina, ale po drodze wszystkie uległy rozbiciu. Stało na tym, że towar będzie sprzedawany na miejscu, na targowisku miejskim.

Przez cały tydzień wypatrywano więc czwartku. Skoro świt, kiedy ludzie pogrążeni są jeszcze w głębokim śnie, w Weisówce ładowano już garnki na drabiniasty wóz. Do miasta wyjeżdżali bez śniadania. Na targowisku wyladowywano garnki z wozu i ustawiano je w równym szeregu. Nabywcy obmacywali każdy garnek, sprawdzając, czy czasem nie jest pęknięty. Targowali się o każdy grosz. Dziesięć razy odchodzili, zanim zdecydowali się na kupno.

Tu, na targowisku ciocia Chana nie wyglądała już na ową dziedziczkę, która podczas naszych odwiedzin w majątku wyszła nam naprzeciw, ubrana w czarną suknię ze złotą plecioną broszką na szyi. Tu przeobraziła się ponownie w starą, znaną nam ciotkę Chanę z nieodłączną chustą na głowie. Słońce prażyło twarz. Wiatr smagał policzki, tworząc na nich bruzdy. Ręce szerniały, nos ściemniał, a czoło pokryło się zmarszczkami.

U Rejzel, która nigdy nie zapomniała zabrać ze sobą na targ ulubionych róż i tulipanów, blada twarz wystawiona na działanie słońca, opaliła się na brąz.

Z tego czwartkowego jarmarku ciotka wracała z jeszcze większą ilością garnków, aniżeli przywiozła na sprzedaż. Nie udało jej się sprzedać ani jednego garnka, zaś podczas przewożenia towaru garnki się potłukły. Z jednego robiły się dwa. Można powiedzieć, że razem z pęknięciem garnków, pękała od zmarszczek jej twarz.

Do brody Mordechaja-Mendla zaczęły wkradać się siwe pasemka. Miał już teraz czas przychodzić do nas w jasne, niebieskie poranki. Już się nie chwalił, już nie pokpiwał z Ben-Cijona — pisarza kahału. Przychodził po to, by szepnąć coś do ucha memu ojcu, nie bacząc na to, że ten akurat się modlił. Obudzona mama przykrywała się kołdrą i zaspianym głosem zapytywała:

— Co słyhać Mordechaju-Mendlu?

— Chwała Bogu nieźle, ale z garnkami nie wychodzi.

— Mianowicie?

— Za dużo stłuczek. Za dużo odpadów. Potrzebna jest cegielnia. Miasto zaczyna wznosić murowane domy. Mendel Danciger buduje kamienicę. Jidl Kamaszenmacher już kupił plac. Ulica Bekermana z pustymi placami już została rozparcelowana. Ktokolwiek posiada zbędny grosz, kupuje parcelę i zaczyna budować. Cegielni zaś prawie nie ma. Cegłę trzeba wozić z daleka. Zbyt drogo kosztuje. W tej sytuacji Mordechaj-Mendel zbuduje na Weisówce cegielnię.

— Oczywiście! Oczywiście! — kiwa mama głową i dodaje — masz rację.

— Jeszcze jak mam rację! Sprawa jasna jak słońce. Brakuje mi tylko trochę pieniędzy. Przyszedłem właśnie po to, żeby mi Lejzor podżyrował. Ben-Cijon już mi podżyrował. Uczynił to bez słowa.

Ojciec cicho miedlił słowa modlitwy. Spod okrywającego głowę tałesu spojrzął na Mordechaja-Mendla. Dobrze usłyszał, co ten powiedział, ale nie bardzo zrozumiał, o co mu właściwie chodzi.

Dlatego zapytał:

— Co? Jak?

— Rozumiesz — powiedział Mordechaj-Mendel, przybliżywszy głowę do tałesu ojca — nie potrzebuję dużo pieniędzy. Chodzi o małą sumkę, przysięgam.

Ale co to znaczy podżyrować? Odkąd to tato żyrował weksle? I co warte jest jego żyrowanie? Przecież nie umie pisać. Czy Mordechaj-Mendel nie wie o tym? Wie! Doskonale wie! Ale to drobnostka. Nauczę go. Frumet pokaże mu jak i co, a on, Lejzor pociągnie wedle jej wskazówek piórem.

Na ustach ojca zakwitł uśmiech. Spokojny, dobry uśmiech.

— Głupi z ciebie człowiek — powiedział ojciec. — Jaką wartość posiadać może mój podpis, skoro jestem goły jak święty turecki.

— To tym bardziej nie powinieneś się bać.

— Ale nie mam na to ochoty.

Wuj Mordechaj-Mendel po takim *dictum*⁵⁰ wezwał do pomocy matkę.

— Frumet, ty przecież do głupich nie należysz. Wytłumacz mu więc, że nic nie ryzykuje. Mnie on uratuje, a sobie krzywdy nie wyrządzi.

Matka dała mu znak, by przestał mówić. Ona sama postara się go przekonać. Wieczorem po kolacji, kiedy ojciec siedział już na łóżku i ściągał buty, odezwała się mama:

— Wiesz co, Lejzorze?

— Co?

— Myślę, że powinieneś żyrować.

— Co mogę?

— Podżyrować weksle Mordechajowi-Mendlowi. Nie widzę w tym nic złego.

⁵⁰*dictum* (łac.) — powiedzenie, przysłowie. [przypis edytorski]

Jeden but nie chciał schodzić z nogi. Tato zaciął wargi, głęboko nad butem się pochylił i przez wargi dotykające szpica buta wycedził:

— Frumet, bardzo cię proszę, żebyś z siebie durnia nie robiła.

— Przecież to twój szwagier!

— A jeśli to mój szwagier, to co z tego? Przecież jest dziedzicem! Czego taki dziedzic ode mnie chce?

— Trzeba go ratować!

— To ratuj go ty! Nikt ci nie przeszkadza!

— Gdybym ja mogła być żyrantem, ani przez chwilę nie zastanawiałabym się. Ben-Cijon przecież zaufał mu i podżyrował weksle.

— To powiedział Mordechaj-Mendel.

— On nie będzie przecież kłamał!

— Uchowaj Bóg... tylko dwa razy w roku.

Tato podniósł koldrę, wyglądził ją i obrócił się twarzą do ściany.

— Zgas światło. Trzeba spać. Jutro się zastanowisz.

Nazajutrz przybiegła ciotka Chana. Czarna, chuda, z cienkimi, żylastymi rękami. Wpadła wraz z pianiem kogutów.

— Bracie! — zawołała. — Sam przecież widzisz, że to złoty interes. Trzeba weń włożyć jedynie kilkaset rubli. Wiesz co? Zostań współnikiem.

— Ale ja nie chcę być posiadaczem majątku! Nie chcę być dziedzicem.

— Ale przecież jesteś bratem. Mało głodu zakosztowały moje dzieci?

— A moje dzieci są syte?

— Ale ty, dzięki Bogu, masz parnose⁵¹.

— Moje dzieci harują u obcych. Pracują jako służące. Służącymi są moje dzieci.

— Ale czego ja od ciebie żądam? Nie żądam przecież pieniędzy!

— Przecież nie umiem pisać.

— Już ja napiszę, a ty za mną pociągniesz piórem.

— Mam czas, nie musi być zaraz.

I czas płynął. Minął tydzień. Minęły dwa tygodnie. Mordechaj-Mendel i ciotka Chana wiele razy do nas wpadali. Matka jeszcze raz wstawiła się za nimi. Pokłóciła się nawet z ojcem. Wyzwała go od chłopów. Powiedziała, że postępuje nieuczynnie. Nic nie pomogło. Ojciec nie chciał być żyrantem wuja.

I nastał wkrótce dzień. Szary, gruźliczo-mglisty dzień. Okiennice za szybami zrywał wiatr. Tego dnia gołębie nie grały się na dachu i do chederu się nie szło. Tego dnia były urodziny cara.

Rano kantor odśpiewał w bóżnicy *Boże, caria chrani*⁵². Mendel, syn Ben-Cijona, w białym kołnierzyku, czarnych, na kant wyprasowanych spodniach, stał razem z kantorem na bimie i słodko wyciągał słowo *chrani*. Z magistratu przyszedł radca w czarnym ubraniu ze srebrnymi guzikami. On również stał na bimie razem z rabinem i kantorem. Wszyscy patrzyli na radcę, na goja w bóżnicy tak jakby był samym carem, potem na okrągłym rynku orkiestra grała rosyjską muzykę. Żydzi tego dnia mieli sklepy zamknięte. Wpadło mi wtedy do głowy, aby pójść do Weisówki.

W rowach po obu stronach szosy wały się już opadłe liście. Wiatr unosił je w górę i rozsypywał po zżętych polach, gwizdał nimi wśród ogołoconych gałęzi topól. Wtórowały mu płaczącym echem duchy z rosyjskiego cmentarza. Pełna śmieci szosa była teraz pusta. Nie było na niej ani wozów, ani ludzi. Gdyby nie to, że dzisiaj były urodziny cara, i to, że nie wiedziałem, co ze sobą zrobić w dzień wolny od nauki w chederze, nie wpadłoby mi do głowy wybrać się do Weisówki.

W połowie drogi pożałowałem swojej decyzji i postanowiłem zawrócić, ale wtem wyłonił się zza cmentarza stary, pokręcony, dziadyga z sękatym kijem w ręku. Zatrzymał mnie i zapytał:

— Chłopcze dokąd idziesz przy takim wietrze?

— Do wuja Mordechaja-Mendla.

— A kim jest twój wuj, Mordechaj-Mendel?

⁵¹*parnose* — zarobek, płatne zajęcie. [przypis edytorski]

⁵²*Boże, caria chrani* (ros.) — Boże, strzeż cara. [przypis edytorski]

— Dziedzicem — krzyknąłem, pełen dumy.

— Ach tak... — starzec obnażył swoje dwa żółte szerokie zęby — znaczy się ten żydowski dziedzic to twój wuj?

— Tak, ten żydowski dziedzic.

— Nie masz już po co tam iść, chłopcze. Nie ma już w Weisówce żydowskiego dziedzica. Ni ma!

Chłopiek widocznie zwariował. Patrzy na mnie okrągłymi jak u sowy oczyma.

Zostawiam zwariowanego chłopca i idę dalej. Teraz już nie waham się. Idę do Weisówki, nie zważam na wiatr.

Wysoki komin garncarski wydaje się teraz wyższy i czerwieńszy niż przedtem. Dym z niego nie wychodzi. Chyba dlatego, że dziś jest dzień urodzin cara. Jest święto, a w święto się nie pracuje. Na wierzchołku drzewa kracze wrona. Z kupy śmieci zrywa się druga wrona, która klaszcze skrzydłami. Z rosyjskiego cmentarza nadlatuje cała czereda wron. Nad moją głową rozlega się potężne krakanie. Czereda kieruje się w stronę Weisówki. Być może ma się tam odbyć wesele.

I oto kiedy jestem już blisko celu, zauważam na prostej drodze idącego naprzeciw mnie człowieka. Za tym człowiekiem wlecze się krowa. A że nie jest dzień targowy, więc prowadzi ją pewnie do rzeźni. Dostrzegam również furmankę tego człowieka. Im bardziej się do niego zbliżam, tym bardziej rośnie w moich oczach on, jego krowa, jego furmanka, i jego koń, przysięgłbym, że krowa należy do wuja Mordechaja-Mendla. Patrząc i dostrzegam między jej oczyma znajomą łatę. Zdaje mi się, że człowiekiem prowadzącym krowę jest nie kto inny, tylko ciotka Chana. I tak rzeczywiście jest. Prowadzi ją na sznurku. Co raz wyraźniej widzę to. Furmanka okazuje się jest tym samym wozem, na którym w każdy czwartek wożono garnki na targowisko. Tym razem jednak powozi nie Mordechaj-Mendel, tylko chłop. Furmanka załadowana jest nie garnkami, tylko czerwoną pościelą. Spod tej pościeli wystają cztery nogi stołu, nie są to nogi owych czerwono-brązowych stołów, które stoją w pałacu. Te nogi należą do prostego stołu.

Między kołami wozu kołysze się kubeł. Na pościeli siedzi Rejzel. Kiwa się, jakby drzemała. Ma przy sobie kwiaty. Wóz trzeszczy.

Najstarszy syn Mordechaja-Mendla kroczy z tyłu, jakby, nie przymierzając, za pogrzebowym karawanem. Młodszy chłopak i dziewczynka siedzą na wozie z twarzą obróconą ku Weisówce. Pozostałych dzieci nie widać.

Wśród topól harcuje wiatr. Z tamtej strony pałacu wraca czereda wron. Zataczają koło nad wozem i głośno kraczą. Co to wszystko ma znaczyć? Czy wujostwo wyprowadza się z Weisówki?

Stoję na drodze, a oni mnie nie widzą. Krowa patrzy na mnie dużymi, łzawiącymi oczyma. Ciotka Chana widzi mnie i nie poznaje. Zdaje mi się, że Rejzel z kwiatami również patrzy na mnie z wysokości pościeli, na której siedzi, i nie wie, kim jestem.

— Dzień dobry ciociu! — wołam i wpadam na krowę.

Ciotka Chana budzi się jakby z letargu.

— Czy to ty, Mendel?

— Tak, to ja. Dzień dobry.

— Dobrego dnia. Dobrego roku! Dokąd idziesz na taki wiatr?

— Do Weisówki.

— Nie masz już po co tam iść.

Mówiąc to ciotka kiwa głową i zamyka powoli oczy. Z jej ciemnej twarzy bije chłód, który przenika mnie do szpiku kości. Wydaje mi się, że to nie ciotka Chana mówi, tylko krowa, kiwając swoim głupim łbem.

— Koniec! Nie ma Weisówki — dodaje ciotka Chana i pociąga krowę za sznurek. Krowa niechętnie stawia kroki. Zostawia po sobie ślady na szosie. Nagle zaczyna muczeć, obracając łeb w kierunku białego pałacu, stajni, która tam została.

Konikowi na wysokich nogach jest widać wszystko jedno. Gorliwie i chętnie ciągnie wóz do miasta. Z pewnością wydaje mu się, że to czwartek, kiedy wozi garnki na targ. Czereda wron nie chce jednak ustąpić i w pustej przestrzeni pól rozlega się ich krakanie, wyrażające to samo, co powiedział chłop:

— Nie ma więcej żydowskiego dziedzica na Weisówce. Nie ma!

ROZDZIAŁ XIV

Oto jak rozwiął się sen o białym pałacu, pięknych kwiatach i złotych skarbach. Tak jak nie wiadomo, w jaki sposób Mordechaj-Mendel doszedł do majątku, tak i nie dowiedziano się, jak go stracił.

Mówiono w mieście, że Weisówka właściwie nigdy nie należała do Mordechaja-Mendla. Najmniejszy nawet kawałek gliny nie stanowił jego własności. Dodawano, że do majątku doszedł drogą oszustwa, wycygnął od Fleischera, który się nie spostrzegł, co jest grane, weksle. Dopiero, gdy Mordechaj-Mendel mocno już siedział w siodle Weisówki i zdążył już wybudować komin i wozic garnki do miasta, Niemiec poszedł po rozum do głowy. I zaczęła się cała seria procesów sądowych. Pojawili się adwokaci. Fleischer nie żałował pieniędzy, poruszył niebo i ziemię, aż zdobył dokument nakazujący Mordechajowi-Mendlowi opuszczenie Weisówki, zanim zapadnie ostateczny wyrok.

Przeprowadziła się więc ciotka Chana z dziećmi i jedną krówką znowu do swego drewnianego, pochylonego domu, z glinianą podłogą. Na ścianach zamiast kilimów były niebieskie pasma wapna. Zamiast długich białych okien tylko cztery zakurzone szybki. Na miejscu szerokich, nisko osadzonych łóżek ze złotymi ozdobami były tylko proste chłopskie łóżka szybko zakupione na jarmarku w Skaryszewie.

Samego Mordechaj-Mendla w mieście więcej nie widziano. Nastaly Straszne Dni. Dni pokuty i medytacji. W mieszkaniach Żydów zapanowała troska. Ludzie robili rachunek sumienia. Mordechaj-Mendel nie przyszedł na modlitwę do bóżnicy. W dzień i w nocy stał przy zakurzonym okienku w drewnianym swoim domku i patrzył na drogę prowadzącą do Weisówki. Broda mu się zrobiła brudnobiała, a oczy zaszły przepaloną czerwienią. Białe, zdrowe zęby nagle pożółkły. Zaczęły się kruszyć.

W bóżnicy zadęto już w róg. Żydzi nacieszyli się *Torą*, a Mordechaj-Mendel nadal stał przy oknie i oglądał jeżdżące od i do Weisówki wozy. Od niej wożono garnki i cegły, a do niej drewno na budowę. Mają widać zamiar coś tam postawić. Coś tam zrobić, ale bez Mordechaja-Mendla.

I oto któregoś dnia widzimy go, jak stoi przy oknie. Syn Boruch wyszedł już na miasto, żeby rozejrzeć się za jakimś zarobkiem. Młodsze dzieci jeszcze spały, a ciotka Chana poszła wydoić krowę. I oto ni z tego, ni z owego, Mordechaj-Mendel uderzył ręką w szybę. Szkło rozbiło się na drobne kawałki, a rękę oblała krew. Rejzel w tym czasie obierała kartofle nad miską. Usłyszawszy trzask pękającego szkła, wypuściła z rąk nóż i jednym susem znalazła się przy ojcu.

— Ojcze, co robisz?

Ojciec odrzucił głowę tak, jakby został zarżnięty. Zakrwawioną ręką pomachał w powietrzu, zgiął się i pochylił jak drzewo, które zostało przepiłowane i w jednej chwili jak długi runął na podłogę. Padając uderzył głową o kant stołu. Z nosa wytrysnął mu strumień czarnej krwi.

W tym czasie ciotka Chana zajęta była dojeniem swojej chudej krowiny. Nie była pewna, czy krowina przestraszyła się krzyku Rejzel: „mamo”, czy wyczuła zwierzęcym instynktem, że stało się coś niedobrego. Fakt, że w tej samej chwili, kiedy Mordechaj-Mendel uderzył głową o kant stołu, krowa ogonem uderzyła ciotkę Chanę w twarz.

— Nic innego — powiedziała potem ciocia Chana — tylko to, że krowa uderzyła ją za to, że zostawiła męża bez opieki.

Od uderzenia ogonem oko cioci zaszło krwią, a twarz oblepiona została błotem. Skopek przewrócił się, a mleko wylało, wtedy ciocia zerwała się z ławeczki i w te pędy pobiegła do domu. Nie wiedziała, dlaczego pędzi. Poczula ucisk w sercu. Ktoś potrzebował jej pomocy.

Na progu zetknęła się z Rejzel. Krzyk córki „mamo” zdał się nadal tkwić w jej uszach. Rejzel bowiem stała skamieniała. Czyżby nagle córka uległa paraliżowi?

— Rejzel! Biada mi! Co tobie?

Rejzel nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ręką pokazała na wewnątrz mieszkania.

Chana wbiegła więc do środka. W pokoju panuje ciemność. Czyżby słońce zaszło? Co tu się dzieje? Dlaczego dzieci płaczą? Rozejrzawszy się, spostrzegła, że jej mąż leży dziwnie oparty głową o kant stołu. Zaczęła go trząść.

— Mordechaju-Mendlu! Mężu mój! Co ci jest?

Po pierwszym potrząśnięciu głowa Mordechaja-Mendla przechyliła się i opadła na glinianą podłogę. Nie wydał przy tym nawet jęku. Dopiero teraz zauważyła krew. Na twarzy, na rękę, na brodzie. Zaczęła machać rękami. Chciała widocznie zaczerpnąć powietrza, ale wtedy nogi się pod nią załamały. Z twarzą oblepioną błotem, z okiem zaszyłym krwią upadła na ciało męża z płaczem i lamentem.

Mordechaj-Mendel nie reagował, jakby sam był kawałkiem gliny. Jakby sam był jednym ze swoich potłuczonych garnków. W mieście mówiono, że dostał wylewu krwi do mózgu, że pękła mu żyła w głowie. Miano mu za złe, że będąc biednym Żydem zapragnął być posiadaczem majątku ziemskiego. Ot, zwyczajne głupie gadanie zazdrośników i wrogów. Ale od takiego gadania twarz mojego ojca czerwieniała i zapadała się, po bolesnej śmierci szwagra głowa mego ojca opadła w dół. Mama bez przerwy niemal przykładała do głowy kompres z chrzanem. Atmosfera w domu stała się nie do zniesienia. Gnało z niego. Ita była już w Warszawie.

Ciocia Chana przestała nas odwiedzać. Ani ona, ani jej dzieci nie pokazywały się już w naszym domu. Ojciec potrafił tygodniami się nie odzywać. Zdaje się, że jego drzemiące oczy zmętniały. Matka nie umiała ukrywać bólu.

— Taki uroczy człowiek — westchnęła któregoś dnia — taki kochany i wierny małżonek! Prosił, aby mu podżyrować weksle. Co by się stało, gdyby szwagier spełnił jego prośbę? Świat by się nie zawalił.

Tato jadł kolację. Żuł powoli, bez zadowolenia, bez smaku. Mama mówiła cicho. Jakby nad każdym słowem zastanawiała się w głębi duszy. Ale ojciec słyszał każde jej słowo. Podniósł głowę znad talerza. Na czole, między oczyma, zarysowała się głęboka, podobna do robaka, zmarszczka. Powiódł oczyma po stole. Widać, że czegoś szuka i nie może znaleźć. Łyżka wyslizgnęła mu się z ręki i ugrzęzła w talerzu.

— Lejzorze — zrywa się nagle mama — dlaczego nie jesz? Czy powiedziałam coś złego?

Ojciec już tej kolacji nie zjadł. Talerz grochu z kluskami pokrył się zimnymi gęstym pęcherzykami. Mama zaczęła płakać. Ojciec zapatrzony w ciemną szybę okna odmówił błogosławieństwo.

Więcej o Mordechaju-Mendlu nie rozmawiano. Nastąpiły żółte, gruźlicze dni. Gołębie z dachu przeciwnego domu pochowały się w gołębniku. W nocy padał deszcz. Za drzwiami kapalo z rynny. Kap! Kap! Od tego nieustannego kapania pękało serce, łamało w głowie. W środku nocy wdarło się w ciemność pokoju długie, przejmujące, ostre westchnienie, brzące jak gwizd lokomotywy.

To mama, nie mogąc zasnąć, rozmyślała, raz po raz wzdychała. W dzień nie rozpałała w kuchni i nie ścieliła łóżek. Dla kogo zresztą miała by to robić. Ojca w domu nie było. Gdzieś tam wędrował od jednej wsi do drugiej. Dlatego też w domu było zimno. W kuchni nikt nie przebywał. Stojące tam łóżko było puste, opuszczone. Ze ścian wyzierała zielona melancholia. Zegar bił za głośno. Słońce do okna nie podchodziło. Pokłóciło się z nami na amen. Wtedy mama zaczęła się skarżyć:

— Co to za mieszkanie? Przecież gorsze jest od piwnicy. — Gdyby przedtem wiedziała, że takie będzie, noga jej by tu nie stanęła. W nocy nie śpi. Ciągłe jej się zdaje, że oto otwierają się drzwi i zjawia się Mordechaj-Mendel. Widzi jego czarną brodę. Widzi jego białe zęby. Taki zdolny, sprawny człowiek. Taka malownicza postać.

Mama mówi do siebie. Ojca nie ma w domu. W jego obecności tak nie mówi. Mówi do mnie. Przedem otwiera zbolące serce. Wyczuwam, że życie stało się dla niej nieznośne. Nie otrzymuje listów od dzieci. Nie wie, czy wesele Cypefe doszło do skutku. Do Warszawy nie może pojechać. Nie może się stąd wyrwać. A Mordechaj-Mendel tak nieoczekiwanie zszedł z tego świata. Z mieszkania coś ją gna. Wokoło czuć smród świń, jest prawdą, że całe podwórze, wszystkie ściany, wszystkie drzwi wysmarowane są świńskim tłuszczem. Sikorski, właściciel domku, w którym mieszkamy do spółki z rzeźnikiem, otworzył sklep z wieprzowym mięsem. Biję z niego jakieś niedobre ciepło, które wdziera się do gardła.

Boję się białych, zimnych płatów słoniny, które wiszą w oknie sklepu. Przerazają mnie długie, wyschnięte kiszki i wisząca na szyldzie sklepu wraz z byczym łbem, siekiera. A przede wszystkim napawa mnie strachem mops, o bandyckiej mordzie. Waruje przed sklepem, obwąchuje żydowskie kapoty, szczyrzy kły i pilnuje martwych świń.

Trzeba się stąd wyprowadzić. Dni spędzone w tym domu stały się bardziej szare niż na pozostałym świecie. Są nawet krótsze. Ale jak można się wyprowadzić w taką porę. Ludzie będą się na nas patrzyli jak na wariatów. Wychodzi na to, że się nie przeprowadzimy. Ale skoro mama nabrała wstrętu do mieszkania, przyjdzie się przeprowadzić. Na własną rękę wszczęła już poszukiwania nowego mieszkania. W domu nikt o tym nie wie. Ja także nie mam pewności. Snuję tylko przypuszczenia. Wnioskuje to z tego, że mama sznurkiem zaczyna mierzyć długość ścian i łóżek. To wszystko przemawia za tym, że dzisiaj jutro zajedzie przed nasz dom woźnica z wozem i zaczniemy ładować rzeczy.

I tak też się stało. W szary zadymiony dzień, zaraz po wyjściu ojca zajechał przed nasz dom Menasze Kłaper ze swoim wozem i zaczęło się rozkładanie łóżek i szaf. Menasze Kłaper miał młodego pomocnika. Był to facet krzykliwy, ubrany niedbale, z daszkiem zsuniętym na bok. Mnie mama kazała zostać w domu. Sama zaś pomagała wynosić rzeczy. Tak więc załadowano graty i wóz ruszył ulicą Spacerową, za więzienie, na miejsce, gdzie mama wynajęła mieszkanie.

Po drodze na widok naszego wozu z rzeczami Żydzi przystawali, dziwiąc się, że w taki szary, mglisty dzień zachciało się komuś urządzać przeprowadzkę. Ze sklepów wyszły kupcowe, ubrane w ciepłe, watą wyściełane kaftany i z samego progu wzruszając ramionami zaczęły się przekrzykiwać: „Czyste wariatwo! W taką pogodę!”. Wóz Menasze Klaper trzeszczał, postękiwał i przechylał się na lewo, jakby nie przystało mu w taki mglisty, ciemny dzień dźwigać na sobie takich nędznych gratów.

Szczęśliwie dotarliśmy do celu. Nie ma świń, nie ma zimnych ścian. Zniknął z czoła mamy kompres z chrzanu.

Uliczka, na którą pojechał Menasze Kłaper z naszymi rzeczami jest wąska i cicha. Jest właściwie ślepym zaułkiem, od którego nie ma dojścia do innej ulicy. Na końcu zaułka wznosi się wysoki parkan, za którym widać wysokie lipy i kasztanowce. Innych domów na tej uliczce nie ma. Z jednej strony żółty murowany parkan więzienny, a z drugiej strony stary, zrujnowany, zębem czasu nadgryziony dworek, przytułek dla jaskółek i kotów.

Samo więzienie jest wysokie, okazałe i szeroko rozbudowane. Nad gęsto rozstawionymi w równych szeregach, zakratowanymi okienkami wiszą, podobne do plecaków na grzbietach żołnierzy, blaszane daszki.

Za żółtym, długim parkanem krąży tam i z powrotem żołnierz z karabinem. Krąży jak niepokój. Nie może zrobić ani jednego kroku więcej, ani jednego kroku mniej. W pobliżu tego żołnierza nie wolno podchodzić, nie wolno zatrzymywać się i nie wolno patrzeć na niego. On też nie patrzy na nikogo, jemu wolno tylko patrzeć na blaszane daszki, które wiszą nad zakratowanymi oknami więzienia i na sąsiedni domek, do którego nikt nie wchodzi i z którego nikt nie wychodzi.

Domek też jest żółty. Okna w nim są ciemne. Niemał czarne. Jeden kamienny schodek, obramowany kępkami trawy, prowadzi do obłupanych brązowych drzwi bez klamki. Czarną pajęczyną pokryta dziura świadczy o tym, że wewnątrz panuje chłód i ciemność.

Ludzie powiadają, że ongiś mieszkał tam pewien rosyjski kapitan. Miał jakoby młodą żonę o złotych włosach i czarnych oczach. Ta zakochała się w polskim hrabim i uciekła z nim. Kapitan tak się tym przejął, że z rozpaczyny powiesił się. I to właśnie w tym dworku. Do dziś dnia nikt nie wie, czy go zdjęli z pętli i pogrzebali, czy pozostawili, tak jak wisiał.

Mimo to mama nie zlekka się sąsiedztwa tego dworku i wynajęła w pobliżu mieszkanie. Niska, otwarta brama, złożona ze sztachet wapnem pobielonych, prowadziła do dużego, czystego podwórza. Po jednej stronie tego podwórza wznosiła się długa budowla z dużą ilością okien. Wśród tych licznych okien znajdowało się również nasze nowe mieszkanie. Jasne, ładne mieszkanie z małą kuchnią podobną do takich, jakie już mieliśmy dotychczas. W pokoju za to można było jeździć powozem na gumowych kółkach. Wysoki, czworokątny sufit. Dwa duże okna z czystymi szybami wychodziły na sad. W moich oczach pokój przypominał swoim wyglądem owe pokoje Weisówki wuja Mordechaja-Mendla.

Wszystko tu było nowe i świeże. Podłoga również pomalowana była na czerwono. Mama powiada, że pomalowano ją specjalnie dla niej. W żadnym innym pokoju tego rozległego domu nie ma czerwonej podłogi. Szkoda tylko, że upłynął już spory kawał czasu od święta Sukkot. Drzewa za czystym oknem są już bowiem nagie, pozbawione liści. Na niektórych gałęziach pozostają jeszcze ślady wapna po wiosennych zabiegach ogrodniczych. Drzewa owocowe stoją opatulone słomą, jakby owinięte chustą.

W nocy chwytają już słabe mrozy. Z rana szyby są zamglone. Idzie ku zimie. Ale zimno nie będzie przecież trwało wiecznie. Nadejdzie lato. Wtedy otworzy się okna. Ogołoczone dzisiaj z liści drzewa zakwitną. Wiem, że latem w naszym kąciku jest pięknie. Piękniej niż w całym mieście. Piękniej niż w nowym parku, do którego nie wpuszczają chłopców w długich kapotach. Z tego więc powodu uważam, że mama dobrze postąpiła, wynajmując to mieszkanie. Niemala przecież rzecz mieć takie duże podwórze. Można po nim jeździć na wozie i na koniu. Można na nim postawić jeszcze trzy kamienice i podwórze nadal będzie duże. Oprócz tego na samym jego końcu rozciąga się ogród, ogrodzony wysokimi, wąskimi sztachetami. Jest to ogród i zarazem sad. Rosną w nim kwiaty, czerwienie, porzeczki i jabłka.

Właścicielka domu — starsza, siwa Polka, która mieszka na ulicy Lubelskiej — pracuje w ogrodzie starego, przygarbionego jak krzak ogrodnika. Chodzi ten człowiek po ogrodzie z sekatorem i blaszaną konewką w rękach. Podcina i ścina, zasiewa i podkopuje. On tak samo jak ogrodnik z Weisówki uważa kwiaty za swoje wnuki. Szkoda, że nie ma tu córki Mordechaja-Mendla, Rejzel. Ona wiedziałaby, jak każdy z tych kwiatów się nazywa. Pobyt tutaj sprawiłby biedaczce ogromną radość, po tym jak została wypędzona z Weisówki. Jankiel, mój nowy kolega, który mieszka na tym samym podwórzu, powiada, że latem ludzie śpią pod gołym niebem. Przy parkanie ogrodu. Tu śpi nawet polski strażnik z żoną Rosjanką... Jego córeczka Janinka także.

Z Jankielem zaprzyjaźniłem się tego samego dnia, kiedy wprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Pomógł przy wyładowywaniu rzeczy z wozu. Przekrzykiwał się z Menaszem Klaperem, tak jakby byli rówieśnikami.

Jankiel jest chłopcem w moim wieku. Niższy jeszcze ode mnie i chudszy. Całą twarz ma upstrzoną piegami. Usadowiły mu się na powiekach, pod oczami, na nosie, na uszach, nawet na wargach. Cały jest nimi obsypany niczym przypalony cebulowy placek z kminem.

Jankiel opowiadał mi, że kiedyś już był w Warszawie, tam odbył rejs na statku. Płyne się — powiada — po rzece, aż dopłynie do mostu. I nie jest to żaden drewniany mostek, tylko żelazny solidny most z dachem, ze sztabami żelaza, a sztaby są plecione jak szkocka krata.

— W Warszawie — mówi Jankiel — znam pewnego faceta, który posiada własną karuzelę ze stoma być może katarynkami, z niezliczonymi papugami i dwoma białymi niedźwiedziami, i takimi wielobarwnymi ptakami, jakich świat nie widział.

Ów facet — opowiada Jankiel — jest Żydem. Nosi czapkę ze skórzanym, błyszczącym daszkiem i codziennie się modli. On sam, czyli Jankiel, chciał pozostać u tego Żyda w Warszawie. Ten chciał mu dać katarynkę z dwiema papugami i białą myszkę, żeby chodził po podwórkach i pokazywał sztuczki. Ale jego ojciec, bałagula⁵³ Jarne, nie pozwolił. Zbił go skórzanym paskiem, po czym związał sznurkiem i w takim stanie przywiózł z powrotem do domu.

Po ojcu Jankiela można się tego spodziewać. Jest to człowiek silny, ma mocne bary, na których potrafi utrzymać konia z wozem. Kiedy mówi, wydaje się, że jego głos płynie nie z ust, ale z jakiegoś miecha. To właściwie nie zwykły, normalny ludzki głos, ale jakiś pomruk, który wisi na jego jasnych, dużych wąsach i kudłatej brodzie. Jedynym majątkiem ojca Jankiela są konie. Ma je od wielu lat. Są jego oczkiem w głowie. Do koni mówi tak jak do dorosłych ludzi. Drży o nie, tak jak o żonę i dzieci.

— Kasztan — powiada — dzisiaj, na psa urok, dobrze sobie podjadł.

A gdy spogląda na drugiego konia, na białą kobyłę, uśmiecha się jego ruda broda i okrągłe oczy mrugają do żony:

— Ona, żeby mi była zdrowa, potrzebuje ogiera. Jak pragnę żyć, potrzebuje.

⁵³bałagula — furman, woźnica. [przypis tłumacza]

Biała kobyła rzeczywiście jest dziwna. Nie koń, a istny niepokój. Ma długi siwy ogon, na żółto pobrudzony, na pół wyleniały, który świadczy o tym, że dziewicze lata ma już za sobą. I mimo to ma pełną wdzięku mordę i mądre, śmiejące się oczy.

Jarme z powodu tej kobyły ma mnóstwo kłopotów. Płonie w niej nieustający ogień. Nie może spokojnie ustać na miejscu. To kopnie, to roztrzaskuje podkowy, to staje na tylnych nogach i rży w środku nocy. Ze stajni rozlega się wtedy jakiś dziki śmiech, nasuwający przypuszczenia, że bydlę jakby kompletnie zwariowało.

W sąsiedztwie kobyły stoi w stajni drugi chlebobawca Jarme — Kasztan. Jest to ogier. Ma już dosyć lat i, zdaje się, dosyć klaczy. Do pracy jednak bardzo zdatny. Zdatniejszy od dwóch młodszych koni. Jest wytrzymały, dobrze znosi zarówno zimno, jak i upał. Potrafi obejść się nawet bez jedzenia, jeśli pozwoli mu się spokojnie spoglądać w dal i myśleć. Ogier — uosobienie spokoju. Nie obchodzi go zupełnie dzikie rżenie podnieconej sąsiadki. Nie reaguje, kiedy stara kobyła kładzie swoją wilgotną mordę na jego starym karku. Pieści go i gładzi, rży mu prosto w głupio zamyślony łeb, ale on stoi nieporuszony, jakby był nietutejszy.

Bałagula Jarme nieraz okłada Kasztana batem po nogach.

— Mężczyzno — krzyczy — czemu stoisz jak głab. Żeby cię jasny piorun strzelił. Boże jedyny...

Ale „mężczyzna” nie reaguje na bat. On myśli o swoich sprawach. Jego serca nie wzruszą ani złość Jarme, ani tęskne rżenie kobyły. Dlatego też Jarme musi szukać pomocy u obcych. Mieszka właśnie na ulicy Mariackiej zapleśniały od starości goj. Kuleje na jedną nogę i jest ślepy na jedno oko. Posiada ten goj ogiera, który nic innego nie robi tylko żre, żłopie i parzy się z różnymi kobyłami.

Pewnego dnia powiada do mnie Jankiel, że dzisiaj właśnie ten goj przyprowadzi tu swego ogiera, żebym nie odchodził, bo będzie na co patrzeć. Była sobota, wiał silny wiatr. Matka miała pójść do ciotki Miriam, ale tak się zaczytała w jakiejś bajce, że nie mogła oderwać się od książki. Ojciec spał pod koldrą, która zakrywała całe jego ciało. Zdążyłem już odmówić poranną modlitwę i czekałem na znak Jankiela, żeby wyjść z domu. Za oknami groźnie rozszumiały się drzewa... Łańcuszek okiennicy z zewnątrz nie przestawał brzęczeć i uderzać o ścianę. Niebo zaciągnęło się żółto-szarą barwą. Za chwilę zacznie padać śnieg.

Goj jednak nie zważał na pogodę i przyprowadził ogiera. Bałagula Jarme zdążył już wstać i odmówić poranną modlitwę. Wyszedł na dwór odziany w burkę i poklepał ogiera po zadzie. Ten drgnął i zaczął niespokojnie przebieierać nogami. Ze stajni nagle rozległo się rżenie. Ja z Jankielem schowaliśmy się w kącie. W stajni unosił się ciepły zapach końskiego łajna. Było ciemno. Przy pilnym jednak wpatrywaniu się można było wszystko widzieć.

Biała kobyła jeszcze raz zarżała. Rozejrzała się swoimi mądrymi, śmiejącymi się oczyma i na chwilę zatrzymała wzrok na nas, jakbyśmy jej byli coś winni.

Ale oto kulawy goj wprowadza do stajni swojego „kawalera”. Kobyła już nie rżała, ale się rozkrzyczała i rozsapała. Stanęła na przednich nogach i zaczęła kopać, uderzać w deskę, zrywać łańcuch, którym była przywiązana.

Czarny ogier też nie pozostał obojętny. Poderwał łeb do góry. Z chrapów buchała biała para.

Przysunąłem się bliżej do Jankiela. Bałem się, że ogier skoczy na nas i stratuje. Jankiel patrzył na ogiera jakby wywróconymi oczyma. Mnie nie dostrzegął i nie słyszał. Widziałem, że Jankiel miota się. W stajni zrobiło się gorąco. Oba konie zaczęły rżec naraz.

Kulawy goj puścił wolno swego konia. Raptem kobyła zrobiła się niższa, bardziej przysadzista i szersza. Ogier wyciągnął się. Stał się wyższy i dłuższy. Nagle podniósł przednie nogi i wskoczył na swoją ofiarę i wgrzył się zębami w jej kark. Rozdźwięczały się łańcuchy. Rozległ się trzask pękających desek żłobu. Z sierści koni buchała para. Z trudem łapałem oddech. Ze mną chyba coś się stało. Widocznie poczułem zawroty głowy. Nie czułem bicia serca. Ręce mi zdrętwiały. Czy Jankiel wyprowadził mnie ze stajni? Przez dłuższy czas siedziałem na podwórku, na wietrze. Nie wiedziałem, co dalej działo się w stajni.

Przez kilka dni nie spotykałem się z Jankielem. Biała kobyła przestała na razie rżec. Nie kopała, nie rozbijała podków.

Kiedy jednak po krótkim czasie zaczęła znowu wojować, kulawy goj znowu przyprowadził ogiera. Wtedy nie chciałem już wejść do stajni.

Z tą oto białą kobyłą i smutnym kasztanem, bałaguła Jarne organizuje dwie „jazdy” do Warszawy. Pośrodku podwórza stoi omnibus Jarne. Oba konie ciągną wypełniony po brzegi pasażerami omnibus do Warszawy.

Omnibus jest wysoki i długi jak jego właściciel Jarne. Dach sklecony i zszyty z kawałków blachy, opada kuliście z obu stron. Po lewej stronie wycięte są drzwiczki z okienkiem na świat. Okienko jest ciemne, zrywane przez wiatry i deszcze, zatkane szmatami i obite deseczkami.

Bałaguła Jarne powiada, że przez to okienko widzi cały świat. Widzi stogi siana i chłopskie chaty. Widzi krowy na łąkach, drewniane kładki przerzucone nad wąskimi strumyczkami. Przez nie widzi też małe miasteczka, z jeszcze mniejszymi Żydami. Pożary, wsie, krzyże kościołów, cmentarze żydowskie i nieżydowskie.

W piątek, przed zapadnięciem zmroku, zimą czy latem, Jarne wraca z Warszawy. Szary od kurzu, tak jak jego konie, wjeżdża na podwórze i zrzuca z siebie brud tygodniowej tułaczki po cudzych zajazdach i niesmak posiłków z cudzych misek. Po każdej takiej jeździe Jarne wygląda mizerniej i starzej. Oczy ma zamglone od niewyspania. Konie tracące na wadze, wystawiają na pokaz chude żebra. I mimo iż cały obłany jest potem, wbrew temu, że każda część ciała go boli, zeskakuje szybko z kozła, zrzuca ciężką, włosatą „kapotę” i zaczyna głośno wołać:

— Jankiel, gdzie jesteś? Wyprzęgaj szybko konie! Daj im wody. Nasyp obroku. Rusz się bękaracie!

Na zawołanie wychodzi z domu Jankiel i żona Jarne. Jest to kobieta lat czterdziestu, tęgawa. Na cześć soboty wykąpana, czysto ubrana. Z uśmiechem wita męża:

— Witaj Jarne! Dzisiaj jakoś późno przyjechałeś. Dlaczego?

— Kto powiada, że późno?

— Tak mi się wydaje. Później niż w zeszłym tygodniu.

— To ci się tylko tak wydaje. Nie jest później.

Pomaga mu wyjąć z omnibusu wałówkę, którą zabrał na drogę z Warszawy. Trochę fig i daktyli. Pęta suchej kielbasy ze spleśniałą skórką. Włazi do omnibusu całym swoim tęgim ciałem. Czysta, ciepła, wykąpana. Jarne zapomniał o tym, że jest głodny. Kiedy nadchodzi pora błogosławieństwa świec, Jarne nie zdążył się jeszcze umyć. Przystępuje bliżej do żony, uśmiecha się i powiada:

— Jak się masz, Golde?

— Dzięki za troskę. A ty jak się masz?

— Nieźle.

— Miałeś dobrą jazdę?

— Nieźłą. Ale kobyłę oby szlag trafił.

— Co znowu?

— Chutliwa. Daje mi w kość.

— Tak jak wszystkie samice... — powiada Golde i wybucha śmiechem.

— Ha... Ha... — wtóruje Jarne i tak jak stoi kładzie rękę na jej pełnym biuście pod bluzką — dobra z ciebie sztuka jak pragnę szczęścia.

— Przestań, wariacie! — odsuwa się na mały kroczek od męża i dodaje — Idź już się umyć!

Na podwórku zostaje Jankiel, syn Jarne z pierwszego małżeństwa. Wyprzęga konie, podaje im wodę, podrzuca trochę obroku i nie przerywając pracy, powiada do mnie, że tej nocy ojciec będzie spał z macochą w jednym łóżku. W każdą piątkową noc śpią razem.

Pomagam Jankielowi umyć omnibus. On mnie tego nauczył. Obiecał mi, że nauczy mnie także sztuki poganiania koni. Kiedy przyswoję sobie tę umiejętność — zbierzemy forsy i kupimy omnibus i konie. Sami będziemy wozić pasażerów do Warszawy. W Warszawie — powiada — pokaże mi statek, na którym jeździł po Wiśle i zapozna mnie z owym facetem, który posiada katarynki i białe niedźwiedzie.

Tymczasem wylewam jeden kubełek wody za drugim na zabłocone koła omnibusu. Jankiel wyciera wiechciem słomy szprychy kół. Władę na górę i zaczynam czyścić blaszany dach. Czyszcę tak długo, aż zaczyna błyszczeć. Potem obaj włazimy w słomę, którą wyścielone jest wnętrze pojazdu. Słoma pachnie potem wygrzanych Żydów i gojów — pasażerów. Jankiel znowu mówi o jego macosze, która śpi z jego ojcem i o dalekiej pięknej Warszawie.

Tak się działo na nowym mieszkaniu. Prawdę mówiąc, to ojciec miał mamie za złe, nie nowe mieszkanie, ale to, że nie powiedziała o zamiarze wyprowadzenia się ze starego.

Przyszedł jak zwykle wieczorem do domu. I oto zastaje drzwi zamknięte, okna nieoświetlone. Puka:

— Frumet! Frumet!

To, że Frumet nie otworzyła, zabolalo go, ale dziwne mu się to nie wydało. Wiele razy zdarzało mu się nie zastać żony w domu i wiele razy musiał długo i na próżno pukać.

Dzisiaj jednak, kiedy nie ustawał w pukaniu, otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania. Głowa starej kobiety wychyliła się z mieszkania:

— To pan, panie kupiec?

— Może pani Marcinowa wie, gdzie podziała się moja żona?

— Wyprowadziła się.

— Co?

— Dziś rano wyprowadziła się.

— A niech to lichy weźmie!

— Przeprowadziła się do mieszkania, aż za więzieniem.

— Dlaczego właśnie tam?

— Skąd mam wiedzieć? Poleciała mi panu powiedzieć, że przeprowadziła się tam, gdzie mieszka bałagula Jarne.

Tato opowiedział to potem całej rodzinie. Czynił żonie wyrzuty z tego powodu. Do nowego mieszkania wszedł gniewny i obrażony. Z wyrazu twarzy widać było, że jest głodny, na jego wąsach i brodzie leżał chłód pól, po których przez cały dzień chodził.

W nowym mieszkaniu wszystko już było złożone i postawione na właściwym miejscu. Menasze Klaper razem z Jankielem pomagali, ja też podstawiłem kiedy trzeba, ramię, dopychając mebel na jego miejsce.

Kiedy ojciec wszedł do mieszkania mama wybiegła mu naprzeciw z zakasnymi rękawami:

— No i co powiesz, Lejzorze? Popatrz na to mieszkanie. Przecież to pałac nie mieszkanie.

— Ale dlaczego tak nagle i w tajemnicy?

— Już dłużej nie mogłam. Dusilo mnie tam.

— Przecież mogłaś powiedzieć.

— Sama do ostatniej chwili nie zdawałam sobie sprawy. A z drugiej strony może nie wyraziłbyś zgody? A tak stało się i po wszystkim. Oby tylko szczęście nam tu dopisało.

Mama mówiła szybko. Z przesadną gorliwością zaczęła się krzątać wokół ojca, jakby czuła się winna. Ojciec stał przy drzwiach. Przesuwa koniuszek języka to w jedną, to w drugą stronę ust. Znak, że zmiana mieszkania przypadła mu do gustu. Jedno tylko ale.

— Dlaczego nie zaczekałaś na mnie? Kto zestawiał meble?

— Już je zestawiono.

— Łóżka też?

— Przecież widzisz.

— Właśnie widzę. Ale czy czasem nie połamano czegoś?

— Broń Boże.

— A kto zestawiał szafę?

— Ten sam.

— Kim jest ten „zestawiciel”?

— Menasze Klaper.

— Co? Menasze Klaper? Przecież mógł zniszczyć szafę. On się do tego nie nadaje.

— Nie zniszczył. Szafa stoi na swoim miejscu i ma się dobrze. A teraz wystarczy! Rozbierz się i umyj. Ugotowałam wątrobę.

Ojciec jednak nie spieszył się z rozbieraniem i myciem. Obejrzał dokładnie zestawione łóżka. Usiadł na ich krawędziach, po czym zaczął sprawdzać szafę i kredens. Otwierał i zamykał drzwiczki, kręcił głową i jeszcze raz otwierał drzwi od szafy i kredensu.

— Dlaczego się tak ciężko otwiera? Dlaczego tak skrzypią? U mnie szafa nigdy tak nie skrzypiała.

— Jutro, jak Bóg da, naprawisz. Teraz idź się umyć. Idź!

Na stole leżał okrągły bochenek chleba z koperkiem, posypany mąką. To chleb z piekarni Szmula-Szyi. Tu już ojciec nie mógł znaleźć wad. Powoli odkrawał małe kromki i moczył je w brązowym wątrobianym sosie. Jadł i nie przestawał patrzeć na szafę, którą jakiś tam Menasze Klaper zestawił, bez jego wiedzy i zgody.

ROZDZIAŁ XV

Zdaje się, że z tego nowego mieszkania wszyscy byli zadowoleni. Ojciec, matka, a najwięcej ja. Bo gdzie i w jakim innym mieszkaniu było tak ciepło i tak sucho jak tu?

Kiedy przyjdzie lato, jak powiada Jankiel, nie będzie gdzie się podziać z powodu nadmiaru jabłek, gruszek, czereśni i porzeczek rosnących tutaj w sadzie. Poza tym właśnie mój kolega Jankiel... Kto tak jak on potrafi opowiadać takie cudowne rzeczy o Warszawie? Gdzie i kiedy miałem takiego dobrego kolegę jak Jankiel?

A mimo to jakiś czas potem mama zaczęła kręcić nosem.

Mieszkanie w pobliżu więzienia jakoś nie uchodziło. Nie można powiedzieć, żeby miała coś przeciwko samemu mieszkaniu. Przeciwnie. Mieszkanie suche, czyste, jasne. Stosunki z sąsiadami bardzo dobre. Z żoną bałaguly Jarne, z handlarką mąki Itą i z rodziną starszego strażnika nawet serdeczne. Jedno tylko zaczęło ją martwić. Dojście do mieszkania. To znaczy uliczka za więzieniem. W dzień jakoś można wytrzymać, ale kiedy nadchodzi noc — powiadała mama — człowieka ogarnia markotność. Nie ma gdzie się podziać.

Mama nie wyjaśniała dokładnie, dlaczego nocą robi jej się markotno, ale ja potrafiłem to sobie wyobrazić. Jankiel zdążył mi już przedtem opowiedzieć historię, która wykraczała poza ramy natury. Rzecz nadprzyrodzona. To znaczy niezupełnie nadprzyrodzona. Po prostu rzecz napędzająca strachu.

Oto, dla przykładu, zaobserwowano, że w miejscu między żółtym murem więziennym a opuszczonym domkiem, w którym przed laty powiesił się rosyjski kapitan, wieczorem zapada taka wielka ciemność, że można ją dotknąć rękami. Na żadnej ulicy w mieście nie było takiej ciemności jak tu. Mnie się wydawało, że ciemność ta wypływa z żołnierskiej budki, która w dzień służyła wartownikom za miejsce odpoczynku, a w nocy za siedlisko diabłów.

W nocy budka żołnierska była pusta, bo więzienia pilnowano od wewnątrz. Z budki rozlegały się wtedy ochryple westchnienia. Czasami słychać było stamtąd krzyki i głośnie śmiechy. Czasami dochodziły zdławione, nagle przerywane głosy.

Z początku, jak tylko sprowadziliśmy się do nowego mieszkania, wydawało mi się, że te westchnienia i śmiechy wydobywają się spod domków wiszących nad zakratowanymi okienkami więzienia. Było dla mnie jasne, że w więzieniu ludzie zakuwani są w łańcuchy, że w nocy chłoszczą ich i zadają różne cierpienia. Siedzą przecież tam tacy bandyci, jak Szczepko i Szerman, którzy wymordowali całe rodziny Żydów, podpalili tuzin dworów magnackich. Takich łotrów nie trzyma się w więzieniu ot tak sobie, dla przyjemności.

Potem jednak doszedłem do wniosku, że być może nic im tam złego nie robią, a jeśli nawet biją ich, to krzyki i westchnienia bitych do nas dojsć nie mogą.

Krzyki, westchnienia i stękania, które słyszymy w ciemnościach pochodzą właśnie z drewnianej budki. Jankiel wyjaśnił mi to całkiem dokładnie.

— Tu, w budce — powiedział — zrobiła sobie legowisko wysoka Józka, znana kurwa. Twarz ma dziobatą, po ospie. Nosi krótką grzywkę, jak ci chłopcy, którzy wożą piasek.

Żołnierze doskonale wiedzieli, gdzie można zastać wysoką Józkę. Toteż przychodzili do niej. Gryzli pestki, pluli na nią i targowali się. Ona siedziała na progu budki jak kura na jajach. Gryzła, tak jak oni pestki i plując im w rewanżu prosto w twarz, pytała:

— Ile możesz dać, kochany *ziemlaczku*?

Prawdopodobnie „ziemlaczek” wymienił sumę, bo wysoka Józka zerwała się z miejsca i ochrypłym głosem krzyknęła:

— Do mamy swojej idź, przekłety Moskalu, do swego świńskiego kraju!

Było ciemno. Co tam się działo, nie wiadomo. Nie było widać. Ale po takim nagłym krzyku raptem ucichło.

Wokół budki rozległo się ciche dyszenie, charczenie i sapanie nosem. Cała uliczka z murowanym domkiem kapitana, z lipowymi drzewami, z okratowanymi więziennymi oknami sapała, ciężko oddychała i wydawała się straszna.

Dlatego biada człowiekowi, który o tej porze miał przechodzić tamtędy. Przekleństwa, jak szczekanie spuszczonej z łańcucha psów, wstrętne, obrzydliwe słowa, zaczynały padać wśród rzucanych kamieni.

Jednego razu taki kamień trafił w przeciwny parkan, a drugi w głowę człowieka.

— Do ciężkiej cholery — ochrypli głos Józki niby tępą piłą rozcina ciszę. Głębokie rosyjskie przekleństwo dobyte z piersi zawtórowało Józce.

— Sukinsyn! Mać twoju...

Nie dziw więc, że starano się omijać w nocy tę uliczkę. Lepiej było siedzieć w ciemności i nie chodzić do sklepu po naftę do lampy.

Rano znajdowano w budce łupiny po słonecznikowych pestkach, kawałki starej kielbasy, puste butelki po wódce. Jeśli w nocy spadł śnieg, to nad ranem można było zobaczyć odcisnięte ślady ludzi, którzy tarzali się w nim.

Jankiel każdego ranka biegł tam popatrzeć na te ślady w śniegu. Szukał czegoś w tym śniegu. Miał bladą, martwą twarz i ściśnięte usta. Bałem się wtedy Jankiela. Nie mogłem patrzeć w jego martwą twarz. Zdawało mi się, że bije z niej brzydki zapach.

Pewnego razu powiedział mi, że wczoraj rozmawiał z wysoką Józką. Poczęstowała go pestkami. Poglaskała po twarzy i powiedziała, żeby przyniósł złotówkę, to wejdzie z nim do budki. Dlatego musi zbierać powoli grosze, a potem kiedy już zbierze złotego, nocą wykradnie się z domu i przyjdzie do budki.

Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi Jankielowi.

— Jak to? Nie boisz się?

— Kogo mam się bać?

— Chyba żołnierzy, no i Józki.

— Głupiś! — odpowiedział Jankiel i machnął ręką tak, że poczułem się wobec niego małym i nędznym robakiem.

Faktycznie, czym i kim jestem w porównaniu z Jankielem. On przecież był już w Warszawie. Rozmawiał z wysoką Józką. Jest już pełną gębą mężczyzną. A ja? Ja przecież uciekłem od Hudl. Już wiele razy chciałem o tym opowiedzieć Jankielowi. Ale po tym, jak on sam rozmawiał z Józką, zrozumiałem, że będzie się ze mnie śmiał.

Nie dziw więc, że mamę ogarnęła niechęć do pięknego, jasnego mieszkania.

Ojca cała ta sprawa nie obchodziła. Ostrzegano go przed budką, opowiadano o wysokiej Józce z żołnierzami. On sam jednak tego nie widział. Kiedy wypadało mu przechodzić nocą przez tę uliczkę i kiedy krzyczano do niego z budki, on z powodu głuchoty nie słyszał tego.

To po pierwsze. Po drugie ojciec był zadowolony z tego, że mama siedzi w domu. Już nie biegała ani do cioci Miriam, ani do babci Racheli. Nie musiał sam podgrzewać jedzenia. Nie siedział przy stole sam — jak niegdyś — w dawnych mieszkaniach. Nie musiał bez przerwy patrzeć na puste cztery ściany i na smutny płomyk lampy naftowej.

W tamtych mieszkaniach ojciec nigdy się nie śmiał. Czynił mamie wyrzuty, że go zostawia samego, że w domu jest zimno. Mówił mamie, że coś go z domu wygania, kiedy jej nie ma.

Tu jednak, w mieszkaniu sąsiadującym z więzieniem mama bała się wychodzić wieczorem z domu. Ciotka Miriam posyłała umyślnego, żeby się dowiedzieć, dlaczego mama nie przychodzi do niej. Babcia Rachel sama potrudziła się przyjść do nas i zapytać o powód niepokazywania się mamy w jej domu.

Mama wtedy rozplakała się, wyznała, że wpadła z tym nowym mieszkaniem. Powiedziała, że dla niej prawdziwym więzieniem nie jest to z zakratowanymi oknami, ale jej własne mieszkanie.

Zaczęła szeptać z babcią. Mrugała oczami w moją stronę. Z ojcem również mówiła po cichu o swoich planach zamiany mieszkania. Ojciec jednak nie dał się przekonać.

— Nie wiem, czego chcesz — odpowiedział — Czy trzeba nam jeszcze lepszego mieszkania?

— A co ci się w nim podoba?

— Jest suche, ciepłe. Czego jeszcze potrzeba?

— A ja ci, Lejzorze, powiadam, że trzeba się z niego wyprowadzić. To jest prawdziwe więzienie.

— Sama przecież je wybrałaś.

— Gdybym wiedziała, że tak będzie...

— Ty nigdy nie wiesz, co będzie.

Mama nie odpowiedziała na ostatnie zdanie ojca. Ściągnęła wargi i tłumila w sobie gniew.

Ojciec po cichu, na pół senny, odmawia błogosławieństwo. Jest zmęczony, przepracowany. Łóżka są pościelone. Nagle w trakcie odmawiania błogosławieństwa milknie. Głowa zaczyna mu się kiwać. Na chwilę budzi się. Usiłuje kończyć błogosławieństwo i znowu zasypia.

Jest wczesnie. Zegar wskazuje ósmą godzinę. Mama mogłaby wybrać się jeszcze do ciotki Miriam. Wie, że tam zbierają się teraz sąsiedzi. Rozmawiają na różne tematy, dzieci się bawią. Przychodzi nauczyciel Icchok, który udziela korepetycji w bogatych domach. Jest tam przyjemnie, swojsko, ciepło i jasno.

Ale droga do ciotki Miriam prowadzi przez tę przekłętą ciemną uliczkę. Jest ona ścianą, ogrodzeniem, które oddziela jeden świat od drugiego.

Ojciec drzemie. Mama nie może iść spać razem z kurami. Szybko nakłada na siebie to, co ma pod ręką i wpada do starszego strażnika, który mieszka drzewi z nami.

Starszy strażnik, Polak, lubiący mówić po rosyjsku, to mężczyzna z twarzą pooraną zmarszczkami, ozdobioną rudymi wąsami. Z niejednego pieca chleb jadł. Bywały w świecie. Nasłuchał się w życiu, podróżując, niezliczonych opowieści. Ma dar wymowy. Toteż opowiada o powstaniu, buncie Rosjan, o wojnie tureckiej. Najbardziej jednak lubi opowiadać o zbójcu Szczepko, który siedzi teraz w więzieniu przykuty łańcuchem do ściany.

— Szczepce — opowiada strażnik — ogolono w więzieniu pół głowy i jeden wąs. Zbój ten jest wysoki, że nie przeszedłby przez drzwi naszego domu. Dawnymi laty Szczepko był kamieniarzem. Pracował przy wyrabianiu nagrobków i pomników cmentarnych. Potrafił wykuć w kamieniu ptaki w locie. Nie wiadomo jak doszło do tego, że pewnego dnia skumał się z pewnym Żydem, który nazywał się Szerman. Od tej chwili stał się zbójem.

Szerman też siedzi w więzieniu. Ma ten Szerman rudą brodę. No i pół brody ostrzyżono mu w celi. Ogolono mu też pół głowy i jeden wąs.

Obu zbójów zesłał latem na Sybir, na katorgę.

Strażnik wie, że tam na Syberii przykują ich łańcuchem do taczek, a nawet po śmierci pochowują razem z taczkami.

Strażnik opowiada, że Szczepko ma żonę i dwoje dzieci. Dzieci — powiada dalej — mają niebieskie oczy i lniane włosy. Kiedy żona z dziećmi przychodzi go odwiedzić w więzieniu, płacze gorzkimi łzami.

Mógłbym bez przerwy słuchać opowieści strażnika. Opowiada bowiem w sposób zaciekawiający, prosty i zrozumiały. Moja mama też potrafi ładnie opowiadać, ale daleko jej do strażnika.

Poza tym wszystkim w jego mieszkaniu jest cieplej niż u nas. Bardziej swojsko i przytulnie. Na oknach stoją wazon z kwiatami. Na ścianie nad łóżkiem wisi ciemny obraz Matki Boskiej.

Oto siedzi żona starego strażnika. Wysoka blondynka z uplecionymi wokół głowy warkoczami. Zawsze wygląda tak, jakby dopiero co wyszła z kąpeli. Pachnie mydłem i czystą wyprasowaną bielizną.

Jest Rosjanką. Pochodzi z dalekich stron tego wielkiego kraju. W Polsce mieszka już od wielu lat. Nauczyła się dobrze języka polskiego, ale zaciąga⁵⁴.

Ona również ma sporo do opowiadania. Często opowiada o rodzinnym domu, rodzinnej wsi położonej gdzieś nad Donem. Rzeka — powiada — jest tak niebieska. Bardziej niebieska niż błękit. Jest tam, opowiada, cerkiew z okrągłym dachem i złotymi krzyżami. Cerkiew też jest niebieska. Jest tam pop, młodzieniec z czarną brodą. I ten pop chciał ją pojąć za żonę. Byłaby dzisiaj popadłą. Rezydowałaby na plebanii i wszyscy oddawaliby jej cześć. Ale nie chciała wyjść za niego. Ona wolała wyjść za tego Polaka, obecnego star-

⁵⁴zaciągać — tu: mówić z akcentem rosyjskim, z właściwą dla rosyjskiego melodią. [przypis edytorski]

szego strażnika, który wówczas odbywał służbę wojskową w jej okolicy. On jej bardziej przypadł do serca i dlatego jego wybrała.

Żydzi — opowiada — w jej stronach też są, ale jacyś inni: nie noszą długich kapot, ani pejsów i nie mówią po żydowsku.

Opowieściom starszego strażnika i jego żony nie ma końca. Godziny mijają. Zegar bije. W jego wnętrzu coś stęka i trzeszczy. Dwanaście uderzeń zegara daje znać, że czas iść spać.

U nas w mieszkaniu knot lampy jakoś wciągnął się sam do środka. Po ścianach łążą strzępy cieni podobne do rozdartych worków. Ojciec oparty głową o kant stołu śpi w najlepsze.

Dookoła jest pusto, czarno. W moich oczach wygląda to tak, jakby wszystkie rzeczy w pokoju gdzieś się odsunęły, robiąc miejsce dla ojca, żeby mógł swobodnie spać, żeby go nikt nie zauważył.

Mama ciężko oddycha:

— Ach, jak tu smutno! Jak smutno!

I jej głos zawisa nad głową śpiącego ojca jak napomnienie.

ROZDZIAŁ XVI

Spytacie zapewne, jak to się stało, że moja mama, która u pierwszego męża, felczera, miała mosiężne klamki na drzwiach, mieszkała w „pokojach”, wyszła powtórnie za męża, za mego prostego ojca, Żyda z Nowego Młynka, który znalazł się na sianie i zsiadłe mleko ze śmietaną jadł z dużych glinianych naczyń, a kąpał się w wiejskiej rzece i sypiał w lesie pod choinką. Doprawdy, jak do tego doszło?

Ludzie, jak to ludzie, mieli na to taką odpowiedź:

Zanim tato i mama stanęli na ślubnym kobiercu oboje nie mieli pojęcia, ile dzieci pozostało im po pierwszym związku małżeńskim. Podczas zaręczyn jakoś zapomniano o dzieciach. Nie wymieniono nawet imion sierot. Coś tam niby wzmiankowano, ale szybko dodano, że dzieci są już dorosłe i w żadnym wypadku ich utrzymanie nie spadnie na barki nowożeńców.

Odbył się więc ślub. Był obiad, na który zaproszono niewielkie grono gości. Potem mama zapakowała do kufra wszystkie swoje rzeczy. Nieliczne sztuki biżuterii, które miała, zostawiła u ciotki Miriam i sama przeniosła się na wieś, do Nowego Młynka, gdzie ojciec mieszkał po śmierci pierwszej żony. Przybywszy na miejsce zobaczyła nędzę, ciemną izbę z glinianą podłogą. Po kątach wały się gliniane garnki. W dwóch oknach zamiast szyb sterczały poduszki. Po izbie kręciły się cztery dorosłe, czarnowłose dziewczyny w barchanowych bluzkach. Na widok nowej żony ojca schowały się za wezłowania łóżek, skąd ze zdumieniem w oczach przyglądały się przybyłej z miasta kobiecie.

Twarcz mamy w jednej chwili skurczyła się, zestarzała. Nie zdejmując płaszczu, spytała:

— To jest ten twój folwark, o którym mi mówiłeś?

— Tak. To jest mój folwark.

— A te dziewczyny to kto?

— Moje córki.

— Wszystkie cztery?

— Wszystkie cztery. Żeby mi zdrowe były.

— Mówiłeś tylko o dwóch.

— Mało co się mówi.

Ściągnęło się serce mamy. Nie była w stanie wymówić słowa. Zresztą co tu słowa pomogą? Gdyby się nie wstydziła, wybuchnęłaby płaczem.

Otworzyła więc z powrotem drzwi i powiedziała:

— Nie, panie Lejzorze! Nie tak się z panem umawiałam. Trzymaj pan swoje córki w zdrowiu i szczęściu, ale ja pańską żoną nie będę.

— Co to ma znaczyć? A ślub? A małżeństwo?

— To będzie rozwód, panie Lejzorze!

Zabrała mama kufer i pojechała z powrotem do miasta. Zajechała z płaczem prosto do ciotki Miriam, młodszej swojej siostry.

— Miriam, kochana, czego ode mnie chciałaś? Dlaczego namówiłaś mnie do tego małżeństwa? To przecież nędzarz! Cztery dziewczki jak te dęby. Co ja tam pocznę z czterema dziewczkami? Co?

Ciotka Miriam wiedziała, że tato ma cztery córki w domu. Wiedziała też, że Lejzor z Nowego Młynka jest biedakiem do kwadratu. Jego folwark, o którym była mowa przed podpisaniem ślubnej intercyzy, to tylko izba z glinianą podłogą i glinianymi garnkami na kwaśne mleko.

Ale mama przecież też była wdową i dzieci z pierwszego małżeństwa miała, a ojciec posagu od niej nie zażądał.

— Czy ty jesteś lepsza od niego? Dlaczego podniosłaś lament? Dlaczego się skarżysz?

— Jak nie mam się skarżyć? — mówiła mama — kiedy po takich „pokojach”, jakie miałam u pierwszego męża, mam zamieszkać w ciemnej izbie z glinianą podłogą...

Ciotka Miriam współczuła mamie. Serce ją bolało. Zresztą kto tylko o tym słyszał, współczuł młodej, pięknej Frumet.

Ale klamka zapadła. Co tu żale i współczucia mogą pomóc.

Trzeba coś zrobić, żeby związek się utrzymał. Ciotka Miriam, Rejzele, córka Itszy Biksa, i ciotka Noemi, siostra ojca zaczęły przekonywać mamę, że szczęście człowieka zależy tylko od Boga. Nie można teraz widzieć, co będzie później. Może być tak, że dzięki mamie ojciec wydzwignie się z biedy i będzie w stanie kupić jej mieszkanie z „pokojami” i mosiężnymi klamkami na drzwiach.

Co mama, przyzwyczajona do takich wygód, mogła zrobić?

Wypłakała się, po czym pogodziła się z Lejzorem, ale w Nowym Młynku za nic nie chciała zamieszkać.

— Niech się przeniesie do miasta — oświadczyła. Ma być nędzarzem, to będzie nim w mieście, a nie na wsi.

W ten sposób ojciec pożegnał się z glinianymi garnkami, łakami, lasem i pojechał do miasta.

Razem, rzecz jasna, ze swoimi czterema czarnowłosymi córkami.

Takie cztery ciemnowłose dorosłe dziewczyny nie mogą przecież zawsze być na utrzymaniu ojca. Trzeba pomyśleć o ich przyszłości.

I mama zaczęła zabiegać o urządzenie ich przyszłości. Ita, najmłodsza, została kucharką u bogatych Żydów w Warszawie. Przyjeżdżała raz w roku do ojca, w święto, przywożąc zawsze prezenty.

Najstarszą, Chanę-Sarę czarnowłosą, wysoką, o szerokich, mocnych ramionach dziewczynę, wydała za męża za rzeźnika w małym miasteczku. Powodziło jej się dobrze. Jej mąż, Wolf, mężczyzna niskiego wzrostu o śniadej, ściągniętej twarzy, pokochał żonę. Z biegiem czasu Chana-Sara wydała na świat trzy córki i czterech synów, oby byli zdrowi. Wszyscy bruneci o czarnych oczach i ciemnej cerze. Wszyscy małomówni. Tak jak ich matka.

Chana-Sara przyjeżdżała do naszego miasta bardzo rzadko. Od wielkiego dzwonu. Przyjeżdżała po zakup wyprawy dla kolejnej wydawanej córki. Przy tej okazji odwiedzała ojca i rzecz jasna wizyta przebiegała w milczeniu.

Ojciec i jego najstarsza córka, oboje wysocy, rozrośnięci, jak stare zakorzenione topole, siedzieli jedno naprzeciw drugiego, patrzyli sobie w oczy i milczeli. Od czasu do czasu padały między nimi krótkie słowa:

— Jak się masz, tato?

— Jak mam się mieć?

— Co słyhać?

— Tak sobie. Co porabia Wolf?

— Nieźle.

— A dzieci?

— Dzięki Bogu.

Napatrzyli się, namilczeli i córka odjechała. Przyjedzie może za rok, a może za pięć lat.

Ojciec był zadowolony z najstarszej córki. Była bogaczką. Miała największą jatkę w miasteczku. Dzieci dobrze wydała za męża i ożeniła. Wyprawiała urodziny, wesela i uroczystości obrzezania chłopców.

Na wszystkie uroczystości zapraszała ojca.

Wracał od niej syty i wyspany. Opowiadał o ucztach, które się u niej odbywały, mówił o wnukach, które rosną, dorosleją i wychodzą na ludzi. Dużo mówił o swoim zięciu, o Wolfie, który mimo że jest niskiego wzrostu i ma rzadką bródkę, potrafi sam jeden poradzić sobie z rozjuszonym byczkiem i okolicznymi, znanymi z nienawiści do Żydów chłopami.

Ale Chana-Sara była jedyną jego córką, która wyszła za mąż. Następna po niej była Bejle. Wysoka, rozrosła w ramionach z długimi wąskimi rękami i szeroką twarzą.

Bejle nie miała już w sobie tej wrodzonej grzeczności i wewnętrznego spokoju, które cechowały starszą Chanę-Sarę.

Bejle mówiła ostro, dobitnie. Najmniejsza drobnostka mogła ją wyprowadzić z równowagi. Policzki od razu pokrywały się rumieńcem. Na świat patrzyła niespokojnymi oczami. Obcy ludzie mogli odnosić wrażenie, że jest złością. W istocie jednak Bejle miała dobre serce. Zawsze była gotowa oddać ostatnią koszulę temu, kto potrzebował. Dzięki swoim dobrym uczynom stała się sławna.

Miała jednak Bejle pewną wadę. Poważną wadę. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Ponościła ją w świat. Tylko by biegła, tylko by jeździła. Do Warszawy, do Łodzi. Nawet do byle jakiego miasteczka, żeby tylko nie siedzieć w jednym miejscu. Czasem wpadała jej do głowy, żeby wstąpić po drodze gdzieś do karczmy. Miała zamiar ogrzać się trochę w ciepłej izbie. Jeśli karczma z ludźmi przypadła jej do gustu, wynajmowała się do pracy i zostawała tam przez jakiś czas. Doiła wtedy krowy, gotowała w dużych kotłach jedzenie dla Żydów, którzy tędy przejeżdżali. Gotowała jęczmień z kartoflami dla krów. Umiała też tkąć na krośnie, naprawiać i zaszywać ubrania. Potrafiła rozmawiać z synami dziedziców, którzy na pięknych koniach przejeżdżali koło karczmy.

Umiała właściwie wszystko. Tylko dla siebie, dla własnego szczęścia nie potrafiła niczego zrobić. Lata mijały. Bejle zaczynała rozrastać się wszcz, a amatorów do żeniaczki wciąż nie miała.

Tylko pewnego razu, a było to również w jakiejś karczmie, o mało nie doszło do zawarcia związku małżeńskiego. Zajechał do tej karczmy pewien Żyd, czarnowłosy, zdrowy, silny człek. Oczy miał czarne jak węgiel. W rozmowie z karczmarzem zwierzył się, że jego żona zmarła w połogu. Bejle podała mu dużą miskę kaszy i szklanek mleka prosto od krowy. Wywiązała się rozmowa. Od słowa do słowa, dowiedziała się, że dzieci nie ma, mieszka po drugiej stronie Pilicy i zarobku, chwala Bogu, mu nie brakuje. Jedno co go martwi, to to, że nie chciałby dłużej być wdowcem.

Na te słowa Bejle zarumieniła się po uszy.

Żyd został na noc w karczmie. Bejle spała w komórce. Wewnątrz na grzędzie spały kury. Drzwi prowadzące do komórki nie miały zamknięcia. Nie było to zresztą potrzebne. Co tu można było ukraść?

Leżała Bejle i rozmyślała o czarnowłosym Żydzie. Chciała zasnąć, bo skoro świt należało wydoić krowę i przygotować jedzenie dla podróżnych. Ale czarne oczy Żyda nie dały jej spokoju.

Kury na grzędzie już były bliskie przebudzenia, kiedy Bejle poczuła, że coś łaskocze ją po twarzy. Przysięgałaby, że to kura zsunęła się jej na twarz i łaskocze ją nóżką lub skrzydełkiem.

— A sio, a sio! — zaczęła krzyzczeć Bejle. Wszystko jednak wskazywało na to, że to nie kura. Jest wprawdzie ciemno w komórce, ale doskonale widać, jak dwoje dużych rozwartych oczu patrzy na nią.

Ścisła jej się serce, a po całym ciele przebiegają dreszcze. Ogarnia ją coś, jakby gorąca zgroza. Poznaje tego, który wszedł do komórki. Cichym głosem pyta:

— Co to ma znaczyć?

— A co niby ma znaczyć?

— Co pan tu robi?

— A co mam robić? Nic. Jen⁵⁵ tylko, że moja żona umarła.

— To łązi pan do obcych kobiet?

— Uchowaj Bóg! Nic podobnego! Jen⁵⁵ widzi pani...

⁵⁵jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

I jego ręce zaczynają parzyć. Są gorętsze od spojrzeń jego oczu. Bejle odzywa się cichym głosem:

- Czy pan się stąd wyniesie, czy nie?
- Dlaczego? Broń Boże, nie chcę przecież pani skrzywdzić, pani Belusiu?
- Jaka ja dla pana Belusia?
- Kiedy się kocha, to się nie spieszcza imion?
- Od kiedy to kocha mnie pan?
- Co znaczy od kiedy? Od pierwszej chwili!
- A poślubi mnie pan?
- Dlaczego nie? Może być i tak!
- Kiedy?
- Zrobi się.

I w małej komórcie nagle zrobiło się zamieszanie. Kury zerwały się ze snu. Zaczęły w ciemnościach trzepotać skrzydłami i skakać sobie nawzajem na głowy. Bejle również zerwała się, zadygotała, zatrzepotała rękami i uderzyła w dwa wypasione policzki. Otworzywszy drewniane drzwiczki komórki krzyknęła w ciemną dal nocy:

— Rozpustniku! Żeby cię szlag trafił!

Na krzyk Bejle zapłonęło światło w karczmie. Mężczyźni zerwali się z postania i na chybcika umyli ręce. Kobiety bose, w nocnych czepkach na głowie, w koszulach, zdumione tym, co zaszło, zaczęły lamentować:

— Biada! Taki Żyd... Kto to słyszał...

Lament kobiet obudził dzieci. Wybuchł płacz. Rozszczekał się pies. A czarnowłosy Żyd o gorejących oczach zmył się w środku nocy. Zniknął jak kamfora, pozostawiawszy w karczmie płaszcz.

Bejle wzięła płaszcz i przez bałagułę Jarne wyekspediowała go do domu. Niech tato ma w czym chodzić zimą po wsiach.

Bałaguła Jarne całą tę historię opowiedział ze szczegółami rodzinie. Tak nakazała mu Bejle. Niech tam w domu wiedzą, że ona Bejle chociaż nie nocuje tam, gdzie w dzień pracuje, ale ojca na starość nie zawstydzi.

I rzeczywiście. Wstydu ojcu nie przyniosła. A kiedy przyszedł odpowiedni czas, Bejle wyszła za mąż zgodnie z wymogami Mojżesza i Izraela.

Męża sama sobie wyswatała. Też był wdowcem, ale w niczym niepodobny do owego Żyda z karczmy. Nie był ani czarnowłosy, ani nie miał gorejących oczu. Był to rosły, atletycznie zbudowany mężczyzna o jasnoblonde brodzie. Takiej jaką nosił car Aleksander III.

Takim bogatym, jak car Aleksander, mąż Bejle nie był. Imienia carskiego też nie nosił. Nazywał się Wolf. Tak jak pierwszy zięć ojca. Miał własny wóz i własnego konia. Ponadto umiał kuć konie, naprawiać koła, podnosić ramieniem wóz z ładunkami, kiedy pęka oś. Dawniej, za życia pierwszej żony, posiadał własny kawałek pola z ogródkiem. Po owdowieniu jednak zapuścił je. Nie miał głowy do marchewki i rzepy, które własnoręcznie zasadził. Zaopiekowały się więc nimi świny. Zapaskudziły ogródek. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko przeprowadzić się do miasta. Konia z wozem miał. Kuć potrafił. Słowem, przy Bożej pomocy, na chleb zarobił.

Zamieszkała Bejle z mężem za miastem, aż za skaryszewską rogatką. Nad dachem domu hulał w nocy wiatr. Obok domu przejeżdżały z miasta i do miasta wozy. Furmani za oknem krzyczeli. Bejle gotowała dla nich perłową kaszę. W sobotę czulent⁵⁶ z kiszką. Mąż przewoził towary na jarmarki i targi. Jeśli nie nadarzała się jazda, kuł konie. Żyło się. I co roku ciszę nocną przerywał krzyk dziecka, które Bejle właśnie wydała na świat.

Im więcej dzieci, tym mniej pieniędzy na życie. Odnajęła więc Bejle alkwę i zaczęła piec placki z makiem dla furmanów. Na swój los Bejle jednak nie narzekała.

Sama przecież tak chciała. Czasem jednak, kiedy do nas wpadała podczas świąt i mama ją pytała, jak się jej powodzi, Bejle potrafiła pochoinnie się zwierzyć, że bywają noce, kiedy przypomina sobie owego czarnego Żyda z gorejącymi oczami. Widzi go wyraźnie. Po prostu jak żywy stoi przed jej oczami. Sama nie wie, co o tym sądzić. Po takiej nocy boli

⁵⁶czulent — jednodaniowa potrawa szabasowa składająca się z mięsa wołowego, kaszy perłowej i ziemniaków. Garnek z tą potrawą wstawiano do pieca już w piątek, bo w sobotę nie wolno rozpalać ognia. [przypis tłumacza]

ją serce. Kasza się przypala. Furmani kręcą nosem na widok makowych placków, zaś ona sama wszczyną kłótnie z sąsiadką, która mieszka w jej alkwie.

ROZDZIAŁ XVII

Na uroczystościach urządzanych z okazji obrzezania albo innych rodzinnych świąt w domu Bejły nie zjadano się rybami i ciastkami. Zadowalano się grochem i małymi, śniętymi plotkami oraz głowizną. Ojciec od czasu do czasu podsyłał Bejle dwa złote dla dzieci, bochenek chleba z kminkiem, rybę na sobotę i macę na święto Pesach. Bejle odwdzięczała się ojcu tym, że przyprowadzała do nas w sobotę swoje dzieci, które wykąpane i uczesane całowały dziadka w rękę.

Inaczej rzecz się miała z czwartą córką ojca, Tojbą. Była zupełnie inna niż jej siostry. Była z nich najwyższa. Szersza również była w ramionach i wąska w talii. Dobrze zbudowana, z otwartą twarzą na słońce i wiatr, wyglądała jak córka bogacza, która zajada się kurczakami z bulionem i wysywa dla narzeczonego aksamitny woreczek na tefilin.

Oczy Tojby, duże, otwarte, jakby się wszystkim dziwowały. W dzień były niebieskie, a w nocy przybierały kolor czarny. Włosy miała czarne, kędzierzawe. W słoneczne dni zamieniały się w granat.

Kiedy Tojba szła, drżały szyby w oknach, a podłoga pod jej nogami trzeszczała. I chociaż służąc w bogatym domu myła naczynia, skrobała marchew, obierała kartofle, ręce jej były wąskie, delikatne, a palce długie i czyste.

W sobotę po obiedzie przychodziła do nas w gości.

Chętnie słuchała relacji mamy z jej pobytu w Warszawie. Lubiała wspominać syna mamy, Mojsze, który w młodym wieku zszedł z tego świata. Wysłuchiwała do końca historii o mosiężnych klamkach i „pokojach”, które kiedyś mama posiadała. Była Tojba wytrwała, cierpliwa i wszystko z uśmiechem przyjmowała.

Sama też miała wiele do opowiedzenia. O Nowym Młynku, gdzie się urodziła, o swojej matce, która mogła unieść dwa korce⁵⁷ kartofli na plecach. Opowiadała o małym, wodnym młynie, w którym ojciec był kiedyś młynarzem. W tym młynie, mówiła, w nocy przebywały diabły. Sama nieraz słyszała, jak w środku nocy młyn zaczął się nagle sam obracać. Ojciec wybiegł z domu, żeby zobaczyć co się stało, ale niczego nie zauważył. Usłyszał tylko jakieś gwizdy i odgłos bieganiny. I pewnego razu, a było to podczas święta Szawuot⁵⁸ — opowiadała Tojba — młyn zaczął tak się kręcić, że ojciec musiał obudzić starszego młynarza, który tam mieszkał razem z żoną i dzieckiem.

Zapalili lampę, starszy młynarz przeżegnał się, po czym weszli razem do środka. Jak tylko weszli, wybuchł harmider. Rozległ się nagle odgłos biegnących stóp. Ktoś kogoś gonił. Słowem bieganina i gonitwa. Starszy młynarz był chłopem na schwał. Zaczął ścigać uciekających. Tak długo gonił za nimi, aż dopadł parobka w towarzystwie swojej żony. Młoda była żona młynarza i piękna w dodatku. Po co przyszła w środku nocy do młyna, nie wiadomo. Mąż jednak zobaczywszy żonę, złapał ją za włosy i rzucił na ziemię. Następnie podniósł i rzucił na kamienie młyńskie. A kamienie się kręciły, spadająca woda obracała je, więc kobieta została wkręcona między kamienie. Trzaskały kości młynarzowej i krew tryskała z łamanego ciała. Cały młyn wraz z mąką zalany został krwią.

Młynarza zakuto w kajdany i zesłano na Sybir.

Ojciec nie chciał już po tym, co się stało, dalej pracować w młynie. Było to dawno, dawno temu. Tojba była jeszcze małym dzieckiem. Pamięta, że uciekła wtedy do lasu, gdzie spędziła cały dzień i całą noc. Matka szukała jej i znalazła zemdloną pod drzewem.

Kiedy Tojba jest w dobrym nastroju, potrafi opowiadać ciekawe rzeczy. Na przykład o owym lesie, w którym spędziła dzień i noc. O wilkach, które w zimowe noce zjawiały się na szosie i napadały na ludzi i konie. O skąpych chłopach, którzy przez całe życie procesowali się o kilka mórg ziemi. Zarznął w końcu któryś z nich własną matkę i zginął w więzieniu.

Na podstawie lotu ptaków, ulatania dymu z kominów Tojba potrafiła określić pogodę na następny dzień.

⁵⁷korzec — daw. jednostka objętości towarów sypkich; korzec dzielił się na 32 garnce i wynosił ok. 120 l. [przypis edytorski]

⁵⁸Szawuot — święto objawienia przez Boga *Tóry* Mojżeszowi na górze Synaj. Także święto pierwszych zbiorów. [przypis tłumacza]

Czy będzie padał deszcz, czy będzie wiał wiatr, czy też świecić będzie słońce.

Najbardziej ze wszystkich moich sióstr kochałem Tojbę. Moje dni i noce były wypełnione wspomnianiem jej opowieści o polach, lesie i rzece.

Gdyby Tojba umiała wszystko to napisać, powstałaby niewątpliwie ciekawa książka. Byłaby stokrotnie ciekawsza od wszystkich bajek, które mama w sobotę po obiedzie czyta sąsiadkom z książki przywiezionej z Warszawy.

Po śmierci jednak swojej matki i po tym, jak jej siostry rozjechały się po kraju, Tojba musiała opuścić Nowy Młynek razem z jego polami i przystać na służbę u bogaczy w mieście. A u tych bogaczy drzwi były w dzień i w nocy zaryglowane, a w domu mówiono do siebie ledwie otwierając usta.

O to, żeby Tojba, najpiękniejsza z córek taty, dostała się do bogatego domu, zadbała moja mama.

Żyd, u którego Tojba służyła, nie miał jeszcze czterdziestu lat. Błada twarz pokreślona małą, czarną bródką świadczyła o inteligencji i wiedzy. Nosił on nawet w powszednie dni jedwabną czapkę i małe, zawsze błyszczące buty z chlewkami. Stawał drobne, odmierzone kroczyki.

Jego żona była kobietą, o której się mówi „krew i mleko”. Krążyła po swoich czystych, jasnych pokojach z miną leniwej, dobrze wyspanej, najedzonej do syta paniusi. Do Tojby mówiła:

— Tojbciu, rozwiąż mi gorset... Tojbciu, leć do sklepu i przynieś mi ze dwie pomarańcze...

Tojba więc leciała, ściągała z niej buciki, wiązała i rozwiązywała gorset, obierała kartofle, paliła w piecu i mimo to nie zatraciła wdzięku i nie zniszczyła swoich pięknych rąk.

Być może, że z powodu właśnie tych rąk przydarzyła się Tojbie niezwykła i smutna zarazem historia. Otóż jej gospodarz o bladej twarzy, z jedwabną jarmułką, którą nosił w powszedni dzień, nie zwykł patrzeć na służącą tak, jak na człowieka.

Do kuchni, w której Tojba trawiła swoje lata przy garnkach, ten delikatny Żyd nie wchodził. Co tam miał do roboty? Ale pewnego dnia, kiedy żona akurat była poza domem, nagle wszedł do kuchni. Wszedł, jakby to powiedzieć, zupełnie przypadkowo.

— Nie ma pani? — zapytał, nie patrząc na Tojbę.

— Nie. Nie ma pani.

— Znaczy... nie... ma, tak, co ja to chciałem powiedzieć? Tojbo, bądź taka dobra...

Nie dokończył i nie wyjaśnił, dlaczego miała być taka dobra. Delikatny był człowiek. Nie umiał głośno mówić.

Tojba jednak wyczuła, że jeśli wchodzi do kuchni raz na ileś tam miesięcy, nie spuszcza wzroku z jej wąskich, pięknych rąk.

Tojba żywiła głęboki szacunek do swego szlachetnego, delikatnego gospodarza. Kiedy czyściła jego kapotę i buty ze sfałdowanymi cholewkami, czuła, że delikatność i szlachetność gospodarza ją przenika.

Było jej w tym domu dobrze. Dorobiła się już własnego kufra z własną bielizną, koszulami, wyspami i poszwami. Zdążyła nawet zaoszczędzić sporo na książeczce.

W ostatnich jednak tygodniach Tojba już nie przychodziła do nas w każdą sobotę.

— Co się stało Tojbo, dlaczego nie pokazujesz się?

— Nie miałam czasu. Przed tygodniem byłam u koleżanki. Przed dwoma tygodniami wezwali mnie do kogoś.

— Wyglądasz nie najlepiej, nawet źle.

— Ja źle? Hej.

Mnie również wydawało się, że Tojba jest jakaś bledsza, ale poza tym wyglądała raczej ładniej i delikatniej.

Potem znów minęło kilka sobót i Tojba nie pokazywała się u nas.

— Jakos nie widać Tojby — odezwał się tato pewnej soboty, po drzemce poobiedniej.

— Widocznie nie mogła przyjść.

I rzeczywiście nie mogła. Jej pani, powiedziała Tojba, kiedy wreszcie przyszła do nas, zachorowała. Doktor Fidler przyszedł.

— Doktor Fidler? — zapytała przerażona mama. — Czy już tak źle z nią było?

— Bardzo źle, ciociu.

— A dzisiaj? Już lepiej się czuje?

— Chwała Bogu, lepiej.

— Co jej było?

— Zapalenie płuc. Oby się to żadnemu Żydowi nie przytrafiło.

Na czole Tojby perli się pot. Widać, że jest zmęczona, gotowa w każdej chwili zemdleć. To już nie jest owa delikatna bladość, która zdobiła jej twarz przed kilkoma sobotami.

Dzisiaj nie ma ochoty opowiadać. Zdaje się, że jej oczy, które w dzień są niebieskie, a w nocy czarne, teraz nie mają żadnego koloru.

Patrzy ponad głowę mamy na komodę, nad którą wisi zdjęcie córki mamy, Cypy, która zaręczyła się w Warszawie ze szczotkarzem.

— Czy Cypa pisze coś?

— Tak, pisze.

— Kiedy wesele?

— Wkrótce. Z całą pewnością.

— Narzeczony to szczotkarz?

— Tak, szczotkarz.

Mama cedzi powoli słowa odpowiedzi. Wydaje się, że kiedy mówi, ma zupełnie co innego w głowie. Dziwnie jakoś patrzy na Tojbę. Odnoszę wrażenie, że twarz Tojby pokryła się rumieńcem. To chyba od słońca, które właśnie zachodzi. Część nieba widziana przez okno płonie razem z twarzą Tojby.

Dzisiaj siedzi ona dłużej u nas w domu. Z sufitu spływają w dół strzępy cieni. W pokoju unosi się zapach śledzi i zestarzałej chały. Tato siedzi sam przy stole. Trzonkiem noża stuka w stół. Kiwa się na boki i nuci poobiednią sobotnią pieśń.

— Już pojawiły się gwiazdy?

Tojbe siada przy oknie i patrzy przez nie na niebo.

— Nie. Jeszcze nie.

— Możesz u nas dłużej zostać?

— Idę już. Właśnie wychodzę.

Tojba powoli wstaje z krzesła. Mama wpatruje się w ciemność, tak jak to czyni krótkowidz.

— Dobrej soboty! — Tojba się żegna z nami. Tym razem jednak zapomniała mnie pocałować.

— Dobrej soboty! Dobrego roku! Nie zapominaj nas odwiedzić.

I w pokoju zalega czarna cisza. Pod kuchnią odzywa się świerszcz, cyka z uporem.

— Lejzorze, Lejzorze! — przerywa ciszę mama. Jej głos jest nieco przytłumiony, jak głos wyrwanego ze snu człowieka.

Ojciec jednak dalej stuka nożem w stół.

— Jest trochę głuchy — powiada do siebie mama i zawija swój kobiecy modlitewnik w modlitewnik ojca.

I znowu nastąpiła dłuższa przerwa w spotkaniach z Tojbą. Mama miała już zamiar pójść do bogatego domu, w którym Tojba służyła, żeby się dowiedzieć, czy czasem nie jest chora, ale jakoś nie wyszło.

Jest sobota po obiedzie. Na szybach odbijają się cienie dużych, puchowych chmur. Ojciec dopiero co wślizgnął się pod kołdrę i natychmiast zasnął.

Mama wyjęła z bibliotecznego szafka książkę z pięknymi bajkami, pod tytułem *Syn dwóch matek*. Przetarła złote okulary, które przywiozła kiedyś z Warszawy i zabrała się do czytania cudownej historii o oszuście Rudolfe i pięknej, niewinnej Karolinie. W naszym mieszkaniu mama dużo czytała. Czytała jednak nie w samotności, ale w obecności sąsiadek i znajomych kobiet, które schodziły się do naszego domu i rozsiadały się na krzesłach, jak kury na grzędzie, żeby słuchać opowieści.

W zeszłym tygodniu mama skończyła w miejscu, w którym niewinna Karolina zniknęła w tajemniczy sposób w pałacu swego ojca, hrabiego i milionera.

Teraz mama otworzyła książkę na tej stronie, na której w zeszłym tygodniu skończyła i czekała na swoje słuchaczki. Ja też czekałem w napięciu na dalszy ciąg. Ciekaw byłem,

jak zakończy się ta sensacyjna historia. Lubilem słuchać czytania mamy. Umiała przekazywać słowa w sposób tak jasny i klarowny, że nawet dziecko było w stanie to zrozumieć. Czytała z pewnym zaśpiewem, który był mieszanką powstałą z melodii błagalnych modlitw *Selichot*⁵⁹ i zaśpiewu, z jakim czyta się *Pięcioksiąg*.

Kiedy oszust Rudolf znął się nad piękną i szlachetną Karoliną, mama podnosiła głos i wymachiwała rękami. Rywkele, młoda żona Meira Zelemera, która przynosiła ze sobą chałę i butelkę gorącej herbaty, często nie wytrzymywała napięcia akcji.

— Droga pani Frumet — prosiła mamę — niech pani na chwilę zatrzyma się. Boję się, żeby biedaczce coś się nie stało. Serce się we mnie ściska.

A kiedy szlachetna Karolina szła na spacer ze swoim ukochanym księciem i księżyc świecił, a ptaki śpiewały, mama to tak pięknie i klarownie przekazywała zarówno głosem, jak i mimiką, że nie tylko mnie, ale też wszystkim obecnym wydawało się, że oni sami spacerują razem z boskim księciem. Że to dla nich tak pięknie świeci księżyc i tak uroczo śpiewają ptaki.

Cóż z tego, kiedy dzisiejszej soboty nie sążone nam było dowiedzieć się, jak dopełnił się los niewinnej Karoliny.

Jeden Bóg wie, dlaczego słuchaczki mamy nie zjawiły się dzisiaj. Czyżby się zmówiły? Czyżby się pogniewały?

Mama nie mogła tego zrozumieć. Chcąc nie chcąc, zaczęła sama po cichu czytać. Powoli przewertowała kilka stronic, po czym wróciła do punktu wyjścia. Zdjęła okulary, znowu je nałożyła. Słowem nic jej nie wychodziło.

I w chwili, kiedy bezradność mamy zdawała się osiągać szczyt, otworzyły się raptem drzwi i do pokoju wpadła drobna i niska kobieta z twarzą mocno opaloną. Kobieta ta w niczym nie była podobna do słuchaczek mamy.

Była to Rejzel, córka Josy Biksa, daleka krewna mamy. Rzadko do nas przychodziła. Może raz na sześć tygodni. Siadywała zwykle na ławce. Z powodu niskiego wzrostu, nogi jej nie mogły dotknąć podłogi, więc bujały się w powietrzu. Wyglądało to dosyć śmiesznie i dlatego mama podstawiła jej zawsze podnózek, żeby mogła na nim oprzeć nogi.

Rejzel lubiła u nas napić się herbaty z cytryną i przy tej sposobności otworzyć przed mamą serce. Skarżyła się na swoje dzieci, które ją często obrażają. Nie żalowała przekleństw pod adresem synowych i zięciów. Zgłaszała też pretensje do mamy, że ta nie stara się znaleźć dla niej, wdowy, jakiegoś porządnego kandydata na męża.

— Jestem przecież samotna jak ten palec — żaliła się, siorbiąc herbatę. — Jak długo można żyć bez męża? Jak długo?

— Ależ, Rejzel kochana — odpowiadała mama, skrzętnie kryjąc uśmiech. — Byłby to już, na psa urok, czwarty mąż.

— To co z tego? Czym taka stara?

— Wcale nie.

Rejzel nie była stara. Miała tylko czerwone, przepalone policzki, na których zawsze błąkał się uśmiech. Miała też cienkie, łakome wargi i dużo okrągłych bruzd na miękkiej fałdowanej szyi. Chodziła krokiem tanecznym, wyrzucając nogi do przodu. Zarówno zimą, jak i latem miała pretensje do Pana Boga za to, że zsyła na ziemię upał lub chłód.

Rejzel nie przepadała za piękną Karoliną i oszustem Rudolfem.

— Banialuki — oświadczyła twardo. — Ten cały Rudolf ze swoją Karoliną Szmaroliną. Niewarcni są złamanego szeląga! Przecież to nieprawda.

I oto ta Rejzel wpadła do nas bardzo wzburzona i rozdygotana.

— Frumet!

Mama odłożyła książkę i ze zdumieniem w oczach popatrzyła na Rejzel.

— Dobrej soboty, Rejzel.

— Jesteś sama? — zapytała Rejzel, nie odpowiedziawszy na pozdrowienie.

— Co znaczy sama?

W głosie mamy można było wyczuć niepokój.

Małe oczy Rejzel natychmiast skierowały się na mnie. Mrugnęła w stronę mamy. Patrzyłem ze zdumieniem na obie, nie rozumiałem mowy ich oczu.

⁵⁹*Selichot* — błagalne modlitwy o przebaczenie, odmawiane w czasie dziesięciu dni pokutnych między Rosz Haszana i Jom Kipur. [przypis tłumacza]

— Mendel, wyjdź na chwilę! — zawołała mama.

— Dlaczego?

— Jak ci każe, to wyjdź.

Nie chciało mi się. Nie miałem najmniejszej ochoty.

— Wyjdź na chwilę. Na jedną chwilę — poparła mamę Rejzel, kiwając swoją durną, małą głową.

Rejzel zamknęła za mną drzwi. Zatrzymałem się za nimi. Byłem zły i czułem się zawstydzony. Licho przywiodło tę głupią babę. Kto ją wołał? Przyszła do mamy z jakąś tajemnicą. A jeśli nawet tajemnica, to co? Nie mam prawa jej usłyszeć?

Prawda, ilekroć dochodzi do jakichś sekretów, mama wyprasza mnie z domu. Właśnie dlatego nie pójde. Stanę za oknem kuchni i będę podслуchiwał.

Przyłożyłem ucho do zamkniętych drzwi. Zajrzałem przez dziurkę od klucza i nic z tego. Nic nie widziałem i nic nie słyszałem. Musiała to być wielka tajemnica, skoro rozmawiały tak cicho. Musiała to być również gorzka tajemnica, bo nagle drzwi rozwarły się z trzaskiem i widzę, jak mama szybko narzuca zimową szubę. Jest wyraźnie rozdygotana.

W ciągu tych kilku minut tajemniczego naradzania się, twarz mamy skurczyła się od nagłego widać strachu. Wargi Rejzel drżały, jakby chorowała na malarię. Ojciec niczego nie słyszał. Leży na wznak, nozdrzami do góry, do sufitu.

Od wielkiego pośpiechu mama nie może zapiąć guzików szuby.

Peruka zsunęła się jej na bok. Małymi krokami biega po pokoju. Rzuci spojrzenie na śpiącego ojca i zauważa mnie. Otwiera ze zdumienia oczy. Szuka czegoś w pamięci i nie może znaleźć.

— Mendel — woła — nie wychodź z domu. Jak ojciec wstanie, powiedz mu, że na półce stoi garnek soku z gruszek. Zaraz wracam.

Ktoś musiał chyba nagle umrzeć. Mama bowiem wylatuje z domu jak strzała z łuku. Rejzel biegnie za nią, podskakując na krótkich nóżkach.

W mieszkaniu pozostaje wiatr, pustka. Mnie ogarnia melancholijny strach. Nie powinienem wyjść z domu, ale mam wrażenie, że jeśli zostaną w nim, to zdechnę.

Nie posłuchałem mamy. Niech się stanie to, co ma się stać, ale muszę poznać tajemnicę, którą Rejzel objawiła mamie. Narzuciłem płaszczyk i nie zapinając nawet guzików, wybiegłem z domu.

Przy niemieckim kościele schowałem się w niszy muru. Wydawało mi się, że mama odwróciła się i patrzy na mnie, chcąc sprawdzić, czy czasem jej nie śledzę.

Na ulicy Warszawskiej znowu musiałem ukryć się w bramie.

Mama z Rejzel weszły tymczasem w ulicę Synagogałną. Podążyłem za nimi. Uliczka jest wąska, skręcona jak obręcz, ciasna i ciemna. Biała synagoga z niebieskimi okrągłymi oknami opiera się o niski beit hamidrasz, który wystaje trochę z uliczki. Pozostałe domki stoją oparte jeden o drugi. Widocznie burzliwy wiatr przed laty rozhulał się nad nimi, gdyż wszystkie stoją teraz pochylone i nie mogą się wyprostować.

Coś musiało się tutaj wydarzyć. Oto bowiem zbiegli się chyba wszyscy mężczyźni i kobiety z miasta. Cisną się i przepychają. Wyciągają głowy do góry, stoją na palcach nóg, żeby przez głowy stojących przed nimi ludzi zobaczyć to, co chcą zobaczyć.

Co chwila przybiegają nowi ludzie. Nowe kobiety w czepkach. I nowi Żydzi z brodami. Mama i Rejzel znikają gdzieś w tłumie. Straciłem je z oczu. Przepycham się wśród zimnych kapot i wygrzanych damskich spódnic. Przez obce nogi i obce łokcie chcę się przebić do owego miejsca, na które wszystkie oczy są skierowane.

Widocznie nikt nie wie, kim jestem. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, inaczej by nie krzyczeli tak głośno:

— Tak. To córka Lejzora, tego handlarza sianem.

— Jasne. Jak się ma macochę!

— Co tu macocha winna?

— A kto jest winien, wujek Grunem?

— Jeśli się nie jest człowiekiem, to i własna matka nie pomoże...

Są to kulki gradu, a nie słowa. Słyszę, że odnoszą się do mego ojca i matki. Znaczy to, że cały ten tumult ma związek z nami, z naszym domem.

I w tym zgiełku, kiedy przebijam się wśród kopyt i spódnic, rozlega się nagle długi, przeciągły pisk, coś w rodzaju krzyku zmieszanego z lamentem:

— Boże w niebiosach, ześlij na mnie śmierć! Śmierć i tylko śmierć!

Tłum w popłochu się rozstępuje. Krzyk ustaje na chwilę. Jakby został zdławiony. Zaraz jednak znowu wybucha, przy wtórze echa.

— Ojczy miłosierny, czego chciałeś ode mnie?

Ludzie odwracają twarze. Kobieta w czepku na głowie wyrzuca z zapadłych ust:

— Mężczyźni, odejdźcie stąd! Wara stąd!

Widzę, jak po ziemi przesuwa się do tyłu buty z cholewami i buty zwykłe. Robi się przestronnie. I raptem zauważam, że jestem na samym przedzie. W miejscu, do którego wszyscy kierowali wzrok.

Tu dopiero dostrzegłem, że na miejscu, na którym stoję i do którego parł tłum, śnieg jest czerwony. Co to jest? Słońce jeszcze nie zachodzi, szyby w oknach synagogi są niebieskie, to skąd ta czerwień na śniegu?

Ktoś przede mną przesuwa się na bok i przed moimi oczami ukazuje się nagle postać tarzająca się w śniegu.

Patrzę, to przecież Tojba. Nasza Tojba.

To ona leży w czerwonym śniegu. Rozdarta jakby na dwie połowy, obie nogi gołe, sterczą jak klocki. Z nóg, czy też bardziej z brzucha płynie krew.

Tojba zauważa mnie. Nie wiem, czy poznaje. Twarz ma czerwoną, spuchniętą. Patrzy na mnie dużymi, okrągłymi, tępyimi oczami, niczym cielem.

Nagle unosi spuchniętą twarz, wyciąga gołe nogi na zakrwawionym śniegu i krzyczy:

— Ludzie, dajcie mi truciznę! Miejcie litość!

W tej samej chwili zobaczyłem mamę. Zbliżała się do Tojby z otwartymi ustami. Czy już krzyczała, czy dopiero teraz chciała krzyczeć, nie wiem. Nie mam też pojęcia, gdzie dotychczas stała. Kobiety zaczęły odstępować. Zrobiło się cicho. Ponad głowami tłumu rozległy się głosy:

— Frumet!

— Frumet, córka Dawida Frojke.

— Macocha.

Matka przepchnęła się do Tojby. Policzki jej nagle zapadły się. Twarz szerniała. Pochyliła się nad leżącą Tojbą. Mnie chyba nie zauważyła. Nie słyszałem, żeby ona coś Tojbie powiedziała albo żeby Tojba jej. Miałem wrażenie, że wokół mnie nie ma teraz nikogo. Tylko mama i Tojba.

Od ulicy Łaziennej, która prowadzi do miejskiego kanału, nadjechały sanie. Długie, chłopskie sanie. Na takich saniach zawieźli kiedyś do szpitala mego brata Mojsze. Zdaje się, że to te same sanie z tym samym chłopem w kozuchu.

— Na bok, Żydki! — woła chłop i wdziera się saniami między kapoty i spódnice.

— Jak jedziesz, chanie? — krzyczą jakieś dziewczęta, ledwo zdążywszy uchylić się przed końmi.

— Na bok! Nie stójcie tu, psia mać!

— Sam psia mać!

— Cicho! Cicho! — rozlegają się głosy. Już nie mają z kim się klócić.

Tłum rozstąpił się. Sanie zatrzymały się w pobliżu Tojby.

Chłop w kozuchu razem z jeszcze jednym chłopem wylazł z sań. Nachylił się nad Tojbą i warknął:

— Psia krew! Nie mogła to zaczekać?

— Nie miała czasu — odpowiedział ktoś z tłumu.

— Nie gadać tam! — złościł się chłop. Mama stała obok. Coś mu powiedziała. On kiwnął głową.

Potem obaj chłopcy podnieśli Tojbę. Twarz jej była biała. Oczy miała zamknięte. Nie jęczała. Przykryli ją derką i położyli na wyścielone słomą sanie.

Tłum szerniał. Do mnie doszły tylko oderwane ni to słowa, ni to westchnienia:

— A bękart?

— Martwy.

— Chłopak?

— Dziewczynka.

Strażnik, z innej ulicy, usiadł na tylnym brzegu sań tak jak mama, kiedy odwoziła Mojsze do szpitala. Teraz mama szła z boku przy sztachetach odgradzających synagogę. Szła sama, bez Rejzel. Zdawało mi się, że ona sama nie idzie, tylko jest popychana. Sanie ruszyły. Nad synagogą wisiała chmura. Nabrzmiała jakby krwią, ciemna chmura.

ROZDZIAŁ XVIII

Tojbę zawieziono do gojskiego szpitala. Do tego samego, przy którym kiedyś w noc zimową o mało nie zamarzłem na śmierć i skąd zabrano mnie do domu babci.

Do tego szpitala wprowadza się chorych przez czerwoną bramę. Żydzi mówią, że przez tę bramę chorzy już nigdy nie wracają. Wywożą ich martwych przez czarną bramę wychodzącą na ulicę Kozieniacką. Okna szpitala spoglądają na ulicę z jakąś białą pielęgowaną ciszą w szybach.

Czasami przychodzi tu chłopka z koszykiem jedzenia i pół dnia czeka, aż go wezmą od niej. Czasami jakaś chłopka bije głową o ścianę za parkanem, a czasami zjawia się mężczyzna z dziećmi, który błaga, żeby wpuścili go do chorej żony.

Kiedy przychodzi jednak niedziela albo inny święteczny dzień, białe ciche okna zostają obsadzone przez chore siksy⁶⁰.

Przekomarzają się, dają sobie znaki i rozmawiają na migi z rosyjskimi żołnierzami, którzy stoją na dole i spoglądają do góry, wypływając skorupki od pestek kącikiem ust.

Językiem niemych łajają się wzajemnie. Językiem niemych drwią i żartują. Pokazują sobie figi, wystawiają języki. I jeśli którejś dziewczce nagle spodoba się zadrwić w sposób dosadny, podnosi nagle koszulę i pokazuje przez szybę dupę. Żołnierze na ten widok wybuchają gromkim śmiechem. Ulice zalewa grad wielopiętrowych, rosyjskich ohydnych przekleństw. Nie zadowolają się też samymi obrzydliwymi słowami. W rewaniu wystawiają swoje soldackie tyłki oraz inne części ciała.

Nie dziwota więc, że Żydzi omijają w niedzielę gojski szpital. W ogóle nie lubią szpitala. Tu, w szpitalu — mówią Żydzi — zarzynają się chorych i nie ma nawet przed kim się wyzalic. Boją się nie tyle chorych niewiast i czarnej bramy, ile doktora Kozickiego, który ma w piersi serce Tatara i z byle powodu każe natychmiast operować.

— Rzeźnik — mówią Żydzi — z tego doktora Kozickiego. Brzuchokrojca.

Boli mnie więc, że Tojbę odwieziono do tego szpitala, w którym doktor Kozicki kroi brzuchy.

Z własnej woli Tojba nigdy by nie przystała na to, żeby powierzyć swoje ciało aniołowi śmierci, Kozickiemu. Teraz jednak, kiedy nieboracze wydarzyło się to straszne nieszczęście, nie było wyboru. Musi tam leżeć i czekać, aż doktor Kozicki przyjdzie do niej ze skalpelem, a potem wywożą ją przez czarną bramę. Kto zresztą wie, czy już jej nie wwieziono.

W oknie szpitala Tojba nie pojawiła się ani w niedzielę, ani w inny dzień. Nie wznoszono do niej okrzyków i nie przemawiano. Na migi też nie. Koszyków z jedzeniem też jej nie przynoszono. Nikt do niej nie przychodził i nikt o nią nie pytał.

Od tamtej soboty mama posmutniała. Przestała rozmawiać. Przestała odwiedzać sąsiadów. Nie dokończyła czytania historii o pięknej i niewinnej Karolinie.

Na ojca bała się jakby patrzeć. Od czasu do czasu tylko zerknęła na niego z boku. W jej spojrzeniu można było wtedy zauważyć lękliwe zdumienie przechodzące w strach przed tym, co miało nastąpić.

— Czyżby Lejzor o niczym nie wiedział?

To pytanie zawsze było w jej spojrzeniu. Czekala na przebudzenie ojca z głuchoty. Na jego powrót z dalekiej krainy, w której myślami przebywał.

Widocznie ojciec rzeczywiście nie wiedział o niczym. Spał teraz cięższym niż dawniej snem. Chrapał też głośniejszym niż dawniej.

Kiedy wieczorem wracał zmęczony i zmarznięty, mama szybko podawała mu kolację. Nie zasiadała razem z nim do stołu, nie pytała, jak mu poszło dzisiaj na wsi. Najczęściej przebywała w kuchni. Krzątała się przy kominku, myła garnki i tak długo je płukała, aż

⁶⁰siksy a. sziksa — dziewczyna a. kobieta nie-Żydówka; gojka. [przypis edytorski]

ojciec zapadał w drzemkę przy stole. Wtedy sprzątała ze stołu i lekko dotykając ramienia ojca mówiła:

— Lejzorze, idź, połóż się spać. Połóż się!

Ale jak długo można nie wiedzieć? Być może podczas mierzenia stogów siana i kręcenia się wśród furmanek na targowisku, doszły jakieś szept do jego głuchych uszu. Może jakiś człowiek, jakiś wróg donośnym głosem przekazał mu przykrą nowinę. Może to wiatry w polu przekazały mu pozdrowienia od córki leżącej w gojskim szpitalu? Nam on tego nie powiedział.

Pewnego jednak wieczoru wrócił wcześniej niż zwykle. Wszedł do pokoju nie tak jak zazwyczaj, powolnym i ciężkim krokiem, jakim chodzą ludzie, którzy mają do czynienia z chłopami na polach.

Tym razem nie wszedł, ale wpadł. Twarz szara. Broda rozwichrzona. Usta otwarte, jakby gorzka nowina w nie wpadła i dlatego nie może ich zamknąć. Kaptur, który mu kiedyś podarowała córka Bejla opadł mu z głowy. Pluszowa czapka zsunęła się, jak spłoszona, na bok.

Mama akurat siedziała przy lampie naftowej i cerowała koszulę. Kiedy drzwi rozwarły się z hukiem i długi cień ojca padł na podłogę pokoju, matka od razu wyczuła, że ojciec zna już gorzką nowinę. Zerwała się z miejsca i stanęła na środku pokoju, trzymając w ręku koszulę.

Na białkach oczu ojca rysowały się teraz czerwone żyłki. Mama stała przed nim przygarbiona i nerwowo mrugała oczami, tak jakby nie Tojba była winna tylko ona. Ojciec ciężko westchnął i powiedział:

— Frumet, wejdźmy na chwilę do kuchni.

— Co się stało Lejzorze?

— Wejdźmy na jedną tylko chwilę.

Wprowadził mamę do kuchni. Koszula, którą trzymała w ręku, jednym opadającym rękawem ciągnęła się za nią jak przekreślona ręka zemdlonego człowieka. Lekko przytknęły drzwi. Nie miałem odwagi wejść razem z nimi do kuchni. Przypadłem do szpary w drzwiach i zajrzałem przez nią do środka. Słowa do mnie nie dochodziły. Słyszałem tylko oddechy sapiących osób. Zdawało mi się, że w kuchni gniecie się duże kawałki ciasta i rzuca na podłogę.

Nagle słyszę, jakby szum wiatru wśród papierów.

— Sza, Lejzorze, nic nie mów...

— Mam nie mówić? Milczeć? — głos ojca nagle się urwał.

Zdawało mi się, że ojcu stanęło coś w gardle, że trzeba wejść i pomóc mu. Zaryzykowałem i rozszerzyłem szparę w drzwiach. Zobaczyłem, że tato stoi pośrodku kuchni z opuszczonymi, jakby sparaliżowanymi rękami. Nigdy jego ręce nie były tak długie. Mama krząta się wokół niego jak przy chorym. Ściąga z niego płaszcz. On nie stawia oporu. Jego głowa opada coraz niżej. Widać, że jest chory. Mama bierze go właśnie za rękę i łagodnie wprowadza do pokoju. Sadza go przy stole. Ojciec siedzi nieporuszony, sztywny, zimny, jakby był odlany ze szkła. Mama szybko przynosi z kuchni kubek wody i miskę.

— Umyj się, Lejzorze. Jedzenie stygnie.

Ręce ojca drżą. Woda z kubka przelewa się do miski. Mama podaje mu mocno wysmażoną wątróbkę z kartoflami. W pokoju unosi się słodkawy, ciepły zapach. Tato usiłuje jeść. Żuje powoli i długo. Zasepionym wzrokiem wpatruje się w płomień lampy.

Nagle łyżka ojca staje sztorcem w utartych kartoflach.

Mama, która zabrała się znowu do cerowania koszuli, zrywa się:

— Co się z tobą dzieje, Lejzorze? Dlaczego nie jesz?

Ale ojciec nie może tknąć jedzenia. Stercząca w kartoflach łyżka przechyla się na bok i pada jak podcięte drzewo. Głowa ojca również opada na bok. Wydaje się, że wszystkie rzeczy w pokoju przechylają się na bok. Nawet płomyk lampy. Smażona wątroba pokrywa się powoli zielonkawym nalotem.

Od tego wieczoru widziałem już ojca tylko z pochyloną głową. Im bardziej głowa opadała, tym wyżej podnosiły się jego ramiona. Zaczął mówić cichszym głosem, chodzić mniej pewnie i jeść bardzo wolno.

Przez cały ten czas nikt Tojby nie widział. Nikt o niej nie wspominał. Została przez nas zapomniana. Tylko Jankiel, syn bałagudy Jarme, mój przyjaciel, zaciągnął mnie kiedyś do omnibusu i gorącym szeptem, wydobytym nie z gardła, lecz z głębi ciała zapytał mnie:

— Sam widziałeś? Na własne oczy?

— Tak, na własne oczy.

— Powiadasz, że w śniegu?

— Tak. W śniegu.

— Jak to wyglądało?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. W zasadzie nie chciałem mu opowiadać. Po co ma wiedzieć, jak to wyglądało. Czy to jego interes? Czego się wtrąca w sprawy naszej Tojby?

Obiecał mi, że jego ojciec zawiezie mnie omnibusem aż do karczmy. Ja wołałem jednak nie korzystać z proponowanej jazdy. Koniec więc z Tojbą. Nie ma Tojby. Jej imię wisi na ścianach naszego mieszkania. Tkwi w zmęczonych oczach ojca, w zaciśniętych ustach mamy i w mojej wybujałej wyobraźni. Ale o Tojbie nikt nie mówi. Ani ojciec, ani mama, ani Jankiel.

ROZDZIAŁ XIX

W taki to sposób przeżyliśmy zimę. Noce stawały się krótsze. Poranki wstawały w czerwieni, lekko nagrzone. W bogatych domach otwierano już okna i zaczynano myć szyby. Zapachniało ciepłą wodą. Zaczęto wietrzyć pościel.

Nawet w chederze Szyme Josefa uczniowie wyczuli, że nadchodzi lato. Szyme Josef zaczął nam tłumaczyć *Megilę Estery*⁶¹. Dziesięciu synów Hamana dyndało już na szubienicy niczym śledzie. Świątobliwy Mordechaj przechadzał się jak dygnitarz po królewskim pałacu, wyświadczać Żydom dobro, a królowa Estera wszystkie noce przesypiała z królem Achaszwerosem.

W tym czasie mój kolega Jankiel przygotowywał się do czegoś. Co wieczór znikał z domu. Wracał późno, kiedy wszyscy spali, a szafka na chleb była już zamknięta na klucz.

Wpadało mi na myśl, że Jankiel ma zamiar uciec z domu. Miał już dosyć swojej macochy, która przy każdej okazji boleśnie go szczypała i wymierzała prztyczki w nos. Gdyby nie miał takiego zamiaru, nie unikałby mnie.

Szkoda mi było Jankiela. Nie miałem przecież innego kolegi. Kiedy jednak zbliżyło się święto Purim i na ulicy unosił się już zapach „Hamanowych ciast”, Jankiel wziął mnie na stronę i w najgłębszej tajemnicy wyznał, że tej soboty wieczorem odbędzie się w weselnej sali Josła, syna Celele, przedstawienie sztuki *Sprzedanie Józefa*. On, Jankiel, zagra w niej rolę cadyka Józefa.

— Nikogo innego, tylko Józefa!

— Sprzedanego Józefa zachciało ci się grać? Czy ty masz pojęcie, jak wyglądał biblijny Józef? Czy masz pasiastą koszulę? A w ogóle skąd Jankielowi, synowi bałagudy Jarme, do cadyka Józefa?

— Niech cię o to głowa nie boli — odpowiadał Jankiel — pasiastą koszulę uszyła mi krawcowa Szewa. Ona sama również wystąpi w sztuce. Zagra rolę matki Racheli, a Nutele, blacharz, zagra praojca Jakuba. Herszt Mops z rudym Welwem wystąpią jako Ruben i Szymon. Na scenie będzie macewa⁶². Pokażą ziemię Izraela, króla Egiptu, Filistyńczyków i Mojżesza.

Przekonuję się, że Jankiel jest głupi i do tego nieuk. Skąd bowiem wezmą się tam Filistyni? I co tu ma do roboty Mojżesz? Kiedy Jakub przywędrował do Egiptu, Mojżesz jeszcze nie było na świecie.

Na to odpowiada mi Jankiel, że tak jest napisane w książce. Z tej książki pochodzi sztuka *Sprzedanie Józefa*.

⁶¹*Megile Estery* — zwój pergaminowy, na którym spisana jest *Księga Estery*. [przypis tłumacza]

⁶²*macewa* — nagrobek. [przypis tłumacza]

Na przedstawienie trzeba będzie wykupić bilet. Bez tego nie wpuszczą na salę. Bilet będzie kosztował 20 groszy.

Co robić? Do sobotniego wieczoru nie zdążę zebrać 20 groszy. Gdyby mi o tym powiedział w środku zimy, to bym zbierał grosz do grosza i mógł wykupić nie jeden, a dwa bilety.

Ale mama również dowiedziała się o wystawieniu sztuki *Sprzedanie Józefa*, które ma się odbyć w weselnej sali Josła. Kiedyś zdążyła przeczytać tę sztukę w jednej z ksiązek. Zaraz też po ślubie z pierwszym mężem zobaczyła to przedstawienie w wykonaniu Śpiewaków Brodzkich. Wtedy, powiada mama, warto było zapłacić za bilet. Dzisiaj jednak wątpi, czy ktoś potrafi tę sztukę tak wystawić, jak owi Brodscy Śpiewacy. Nie wierzy, żeby to się udało. Co wart bowiem taki cadyk Józef w wykonaniu, pożał się Boże, Jankiela?

W przedstawieniu Brodzkich Śpiewaków cadyk Józef miał jedwabną brodę i twarz taką, że chciało się patrzeć.

— A ten twój Jankiel — dodaje mama — ma całą twarz obsypaną piegami.

— Słusznie! — mama z pewnością ma rację, ale ja przecież tamtych Śpiewaków Brodzkich nie widziałem. Dla mnie Jankiel wystarczy.

— Skoro tak chcesz, to pójde z tobą — powiedziała mama.

Przez cały tydzień nie zmrużyłem oka. W wyobraźni widziałem macewę, którą opisał mi Jankiel, Szewę krawcową i samego Jankiela. Skąd on jednak weźmie taką czarną, jedwabną bródkę?

W sobotę, podczas modlitwy, pomyślałem, że to nie Jankiel powinien grać rolę cadyka Józefa, ale Mendel, syn wuja Ben-Cijona.

Józef z pewnością będzie śpiewać, a kto ma taki wspaniały głos jak Mendel? Jeden tylko szkopuł. Mendlowi zapewne nie przystoi grać razem z blacharzem Nutele i szwaczką Szewą.

Ale co tu rozmyślać, skoro już dzisiaj wieczorem odbywa się przedstawienie. Szkoda tylko, że dzisiejszy sobotni dzień trwa tak długo. Ciemnoczerwone słońce nie chce jakoś zejść z naszych szyb.

Tato przeciąga sobotnią ucztę ponad zwykłą miarę. Nie stuka jak zwykle nożem w stół. Trzyma w ręku nóż z ostrzem skierowanym ku zachodzącemu słońcu. Zdaje się, że modlitwa zamykająca ucztę sphywa płaczem z noża.

Również mama przeciągała dzisiaj kobiecą modlitwę *Boże Abrahamo*. Dodała do niej słowa pochwalne i zdaje się, że niektóre wersety powtórzyła kilka razy. Wszystko dzisiaj przedłużało się. Gwiazdy spóźniały się. Ojciec podczas odmawiania modlitwy na pożegnanie soboty nagle urwał w połowie wersetu. Mama nie mogła znaleźć chusty na głowę. Cud, że przyszedł Motl Sztroj, żeby rozliczyć się z ojcem z dochodu za siano. Mama wtedy pośpieszyła się i razem zczęśliwie wyruszyliśmy z domu.

Dom, w którym znajdowała się sala weselna Josła, gdzie odbywało się przedstawienie, stał przy ulicy między szerokim rynkiem a ulicą prowadzącą do szpitala. Tędy szło się w piątek, przed zapaleniem świec, do rzeki kąpać się. Tędy również niesiono latem ofiary kąpeli, które utonęły.

Sala, gdzie będzie grane przedstawienie *Sprzedanie Józefa* jest przestronna, okrągła. Ściany pomalowane na czerwono. Długie okna oświetlają część rynku i duży fragment ulicy Szpitalnej. Przy wschodniej ścianie sali stał duży miękki fotel obciągnięty czerwonym pluszem, zatuszczonym i wytartym od pośladek panien młodych. Stąd prowadzono oblubieńców do stołu biesiadnego. Stąd bractwo rzeźników i garbarzy nosiło zwój *Tory* do synagogi. Tu kiedyś, w czasie niebezpiecznym dla Żydów, odbywała się narada rabinów. Tu Josł, syn Celele, klezmer⁶³ z delikatną, czarną brodą, wygrywał na skrzypcach swoje melodie.

Teraz, z okazji święta Purim, Josł udostępnił salę dla wystawienia sztuki *Sprzedanie Józefa*.

Część rynku i pół ulicy Szpitalnej wypełniło się ludźmi. Na dachach leżało czarne niebo. Młodzi ludzie, wymachując w powietrzu laskami, straszili przepychających się, że wyprują im trzewia. Dziewczyny z rozwichrzonymi włosami wyrwały się do tych młodzieńców. Żyd w kapocie z rozwianymi połami biegał dookoła i krzyczał:

⁶³klezmer — grajek, muzykant. [przypis tłumacza]

— Kto nie posiada biletu, niech idzie *kibini matieri*. Bez biletu nie wpuszczymy.

Powstał tumult. Rozległy się krzyki:

— A bez biletu nie laska?

— Mojszele renegat, jemu mogę dać czarny bilet na cmentarz.

Ja z mamą staliśmy z boku. Mamie ani nie wypadło pchać się, ani nie miała na to dostatecznych sił. Ale kiedy Mojszele w kapocie z rozwichrzonymi połami przebiegł obok nas, mama go zatrzymała:

— Chłopcze, przepraszam, młody człowieku!

— O co chodzi? Czego pani sobie życzy?

— Mam bilety.

— Co z tego?

— Co znaczy, co z tego? Przecież zapłaciłam!

Zastanowił się przez chwilę, po czym spojrzał na mamę.

— Zdaje mi się, że pani Frumet?

— Tak.

— A to jest pani chłopczyk?

— Tak.

— On też ma bilet?

— Oczywiście.

— No to chodźcie.

Zaprowadził nas na uliczkę Szpitalną. Tam wpuścił nas do piwiarni, w której przy dużych kufkach z pianą po wypitym piwie siedzieli goje. Potem weszliśmy na ciemne podwórko przesycone krowim zapachem. Mojszele wprowadził nas na ciasne, szare schody i oświadczył:

— Przejdźcie tędy.

Weszliśmy do pomalowanej na niebiesko kuchni, w której tęga, szeroko zbudowana Żydówka mieszała drewnianą łyżką w garnku. Rudy Żyd z mokrą brodą ślęczał przy świetle ogarka nad *Księgą*. Tęga Żydówka szła za nami i podpowiadała:

— Prosto! Prosto!

W ten sposób weszliśmy do sali Josla. Ogarnął nas zapach potu zmieszany z landrynkami i skórkami od pomarańczy. Publiczność siedziała na długich, drewnianych ławkach. Dziewczeta miały ręce zarzucone na ramiona młodzieńców. Żyd z brodą stał oparty o ścianę. Kobiety delektowały się kawalkami strudla, wyjętymi z przyniesionych ze sobą serwetek.

Przedstawienie jeszcze się nie zaczęło. Miejsce, na którym zawsze stoi pluszowy fotel oblubieńców przypomina teraz gojskie okno w czasie świąt. Duża lampa owinięta czerwonym papierem wisi nad macewą. Sama macewa zbita jest z desek i pomalowana wapnem.

Dwa pokrzywione jelonki o pyszczkach płaczących kotów trzymają przednimi nóżkami koronę rodalów⁶⁴. Przy ich tylnych nóżkach jest wypisane czarno na białym: „Tu leży pochowana matka Rachela”.

Wyobrażam sobie, jak pięknie to będzie wyglądało, kiedy za chwilę zobaczę na scenie Jakuba oraz jego synów, którzy sprzedali swego brata Józefa Izmaelczykowi. Zobaczę, jak umoczą we krwi jego pasiastą koszulę i zaniósłszy ją ojcu powiedzą, że ukochany jego syn Józef został pożarty przez dzikie zwierzę.

I kiedy puszczam wodze mej fantazji, ukazuje mi się właśnie przy macewie matki Racheli wysoki Żyd z długą, rudą brodą zrobioną z konopi, ubrany w biały kitel ze srebrnym haftem.

W rękę trzyma długą, wykrzywioną laskę. To ta sama laska, za pomocą której Mojżesz rozdzielił Morze Czerwone i wydobyl wodę ze skały. Po sali przeszedł szmer:

— Praojciec Jakub.

Ławki zaczynają skrzypieć. Niektórzy kładą głowę na ramiona sąsiadów. Ktoś zwraca głośno uwagę tym, którzy bez przerwy gadają. W odpowiedzi słyszy, że jeśli mu się nie

⁶⁴rodalę — zwoje *Tóry* spisane na sklejonych arkuszach pergaminu i zwiżane do wewnątrz na dwóch osobnych, drewnianych warkach. [przypis tłumacza]

podoba, to może sobie uszy zatkać. Na to ten replikuje, że jeśli mowa o uszach, to niech ich sami pilnują, bo mogą je stracić.

A praojciec Jakub nadal stoi przy grobie matki Racheli i czeka, aż sala się uspokoi. Im dłużej jednak stoi, milczy i patrzy zza rudych rzęs, tym głośniejsze ludzkie na sali kłóczą się i przepychają.

Wtem praojciec Jakub uderza w ziemię laską Mojżesza i wydaje dźwięk podobny do pomruku lwa.

— Cicho tam! Do wszystkich diabłów, sza!

Natychmiast robi się cicho. Praojciec Jakub podnosi laskę i tak powiada:

— Słuchajcie ludzie! Słuchajcie kobiety i mężczyźni! za chwilę pokażemy wam:

Spotkanie Józefa z braćmi.

Usłyszycie piękne słowa i pieśni wspaniałe
do śpiewania w Purim, podczas libacji,
w każdym mieście i w każdym kraju.

Te słowa refrenu praojciec Jakub nie tylko recytuje wzniosłe, ale wyśpiewuje trochę pod nosem i trochę piskliwie.

Na zakończenie klaszcze w dłonie i woła w stronę zamkniętych drzwi:

— Wchodźcie, wchodźcie dzieci moje!

I dzieci zaczynają wchodzić. Wchodzi Ruben i Szymon, Jehuda i Isaschar. Idą sztywno, jakby połknęli kije.

Oto wpada Naftali, jakby go ktoś z tyłu kopnął. Po nim wbiega Lewi, młodzieniec podobny do nieboszczyka.

Ma długie, zaczerwienione ręce, z którymi nie wie, co począć.

Jakże pięknie są ubrani synowie Jakuba! Ruben chodzi w czarnej jedwabnej kapocie. Opasał się plecionym sznurkiem jak chasyd⁶⁵. Na nogach kamasze i białe pończochy. Prawdziwy dajan⁶⁶. Brakuje mu tylko sztrajmła⁶⁷.

Szymon ma na sobie furmańską kurtkę, wywróconą na drugą stronę, po której widać watowaną podszewkę. Chodzi i poci się.

Jehuda wygląda jak kat. Kto będąc przy zdrowych zmysłach nakłada na siebie czerwoną koszulę? I skąd ją Mattel wziął?

Za to Isaschar wygląda jak zięciulek na wikcie u rodziców żony. Nosi miękkie kolnierzyk i krawacik. Według mnie tak powinien ubrać się Beniamin.

Ten jednak ma na sobie ciasny, babski stanik i sznurowane buty. Wszyscy ustawiają się wokół macewy. Wszyscy mrugają oczami i wszyscy mają wykrzywione, pomazane twarze, tak że nie można ich poznać.

I oto nadbiega sam sprawiedliwy Józef. Nie tylko w *Biblii* jest inny od braci. Tu też jest zupełnie do nich niepodobny.

Wiem, że to mój kolega Jankiel, ten z piegami na twarzy. Mimo to wygląda bardzo ładnie. Na głowie nosi aksamitną jarmułkę, taką jak synek rabina. Pejsy ma małe czarne, plecione i błyszczące.

Nie mogę zrozumieć, skąd u niego takie pejsy. Po pierwsze, nigdy ich nie miał, a po drugie włosy ma rude i twarde.

Zresztą co to za różnica? Ważne, że teraz jest piękny. Do twarzy mu w jedwabnej koszulce z dekoltem jak u dziewczyny.

Jeden minus, że kazali mu paradować na bosaka. Jego laska też ma feler. Nie jest zagięta u góry jak laska praojca Jakuba.

Jest to zwykły kij, niemający nic wspólnego z Ziemią Izraela. Ale co z tego? Najważniejsze, że wszyscy synowie Jakuba są na miejscu i przedstawienie się zaczyna.

Praojciec Jakub obejmuje ich wzrokiem i tak się do nich odzywa:

— Słuchajcie uważnie, synowie Izraela. Potęga Najwyższego jest bez granic i miary. Kto może sobie przypomnieć, com przecierpiał u Labana Aramejczyka...

⁶⁵chasyd — pobożny Żyd, zwolennik religijno-mistycznego ruchu, którego twórcą był Izrael Baal-Szem-tow na Podolu w połowie XVIII wieku. [przypis tłumacza]

⁶⁶dajan — sędzia orzekający na podstawie religijnych przepisów *Prawa*. [przypis tłumacza]

⁶⁷sztrajmel — chasydzki kapelus z obramowany lisim futrem. [przypis tłumacza]

A teraz moje dzieci, idźcie pasać bydło.

A ja, żeby uniknąć zmory melancholii, zostanę z Józefem, żeby uczyć się *Tory*.

Wychodzą więc synowie powoli, jeden za drugim. Na scenie przy boku Jakuba pozostaje tylko Józef. Praojciec Jakub wchodzi na ławkę i zaczyna śpiewać smutną pieśń:

— Biegnij szybko, jak najszybciej!

Biegnij do nich, do mych dzieci!

Sprawdź, czy pasą bydło...

Zgina się Józef w ukłonie przed ojcem i odpowiada:

— Ojcze, ojcze spełniam twe żądanie, biegnę do braci, by ich sprawdzić.

Przekręca praojciec Jakub knot w lampie i Józef biegnie do braci. I oto wokół grobu matki Racheli robi się ciemno.

Nie wiadomo, czy gra dobiega już końca, czy coś innego. Tłum zaczyna się więc znowu przepychać. Znowu rozlegają się zaczepne pytania:

— Gdzie się podział sprawiedliwy Józef?

— Dlaczego się spóźnia?

— Takiego warto posłać po anioła śmierci.

Nie trwa to długo, bo oto znowu zjawiają się bracia Józefa. Chodzą stawiając przed sobą kije. Są pełni animuszu. Sprawiedliwy Józef wygląda na słabego i przestraszonego. Nie jest to bez przyczyny. Oto bowiem jeden z jego braci ukazuje gniewną twarz i powiada:

— Bracie Józefie, bracie Józefie, jakie masz życzenie i jaka jest twa wola? Po co nasz ojciec przysłał cię do nas?

Siada Józef na pluszowym podnóżku, na którym panny młode opierają zwykle ślubne białe pantofelki i rozkołysawszy się jak chłopak czytający *Gemara*⁶⁸, odpowiada:

— Bracia, bracia, posłuchajcie, co wam powiem: Śniło mi się, tylko proszę, nie bijcie mnie, jak razem pracowaliśmy w polu. Snopki zboża ułożyliśmy. Nastal wieczór, czas powrotu. Nagle mój snopek wstał. Wtedy Bóg powiada do mnie: „Wywyższony jesteś, synu mój”. Wtedy wasze snopki, bracia, memu pokłoniły się snopkowi.

Usłyszawszy to, jeden z braci, Szymon w furmańskiej kurtce, wystąpił i grubym głosem, pełnym gniewu zawołał:

— Posłuchaj no ty, zapomnij o swoich snach! Nie ma rady, trzeba cię zabić.

Cała publiczność, a ja wraz z nią, wstrzymała oddech. Oto bowiem zbliżał się kres życia Józefa. On sam zszedł z podnóżka, padł na kolana i zaczął śpiewać:

— Aniołowie żalić się będą i płakać, jeśli brat brata zabije.

Szymon jednak był złym człowiekiem. Żądny mordy uderzył długim kijem w podłogę i tonem władcy rozkazał:

— Bracia, trzeba z nim skończyć.

Mocno zwiążcie go w pół.

Zdejmijcie mu jedwabną koszulę
i wrzucie go w ciemny dół.

Józef wznosił ręce ku niebu i zaczął prosić Boga, żeby zamknął pyski wężom i innym gadom, które mogłyby wyrządzić mu krzywdę.

I bracia wzięli Józefa i wtrącili go do dołu-pułapki na lwy, który wykopany był tuż za macewą matki Racheli. Dokończywszy tego dzieła bracia zasiedli do uczyty. A kiedy jedli i pili, wyłonili się z drugiego pokoju Izmaelici. Było ich siedmiu. Wysocy, z dużymi lnianymi brodami, czerwonymi nosami i białymi, z ręczników zrobionymi, turbanami na głowie.

I znowu wystąpił Szymon. Ukłonił się nisko przed kupcami izmaelskimi i tak przemówił:

⁶⁸ *Gemara* — dosł. „zakończenie”; nazwa drugiej części *Talmudu*, zawierającej komentarze do *Miszny*. [przypis edytorski]

— Szanowni panowie z dalekiego kraju! Chcemy wam sprzedać Józefa. I jako że życie kochacie i świat, za takiego młodziaka dacie nam dwadzieścia talarów w srebrze. Izmaelici nie targowali się. Od ręki zapłacili dwadzieścia talarów w srebrze. Widocznie leżący w dole Józef usłyszał to wszystko, bo zaczął stamtąd śpiewać:

— Matko, matko, ratuj w potrzebie,
bo samemu nie dam rady.
Wpłyn na mych braci,
by bratu zła nie czynili!

Zrobiło mi się zimno. Sądzę, że wszystkim na sali zrobiło się zimno. Zza macewy wyłoniła się biała postać w długiej koszuli, z woalką na twarzy, niczym panna młoda podczas uroczystości ślubnej.

Biała postać drżała jak liść. Wszyscy wiedzieli, że to krawcowa Szewa. Ta sama Szewa, która umiała śpiewać pieśni o miłości, o sierotach i znany szlagier *Róża w środku drogi*.

W sali zaległa cisza jak makiem zasiał. Szewa wyglądała teraz na wyższą niż zwykle. Jedną ręką oparła się o macewę i łamiącym się głosem zaczęła śpiewać:

— Drogi synu mój, Józefie,
Usłyszałam płacz twój gorzki.
Serce moje boleść ściska,
czego zbóje chcą od ciebie?

Powoli zaczynają synowie Józefa schodzić ze sceny. Idą gęsiego. Rachela staje oko w oko z Izmaelitami. Wyciąga ku nim ręce i matczynym, zawodzącym głosem prosi o wolność dla umiłowanego syna Józefa:

— Dobrzy ludzie, przez wzgląd na boleść matki
okażcie litość memu synowi!
Wysłuchajcie mnie, zważcie na mój płacz
to przecież brat, z tej samej krwi i kości brat!

Nic z tego, bo Izmaelici nie rozumieli żydowskiego języka. Bracia udali się do ojca Jakuba z wieścią, że dzika bestia pożarła Józefa. Kupcy zaś izmaelscy, którzy zapłacili braciom dwadzieścia srebrnych talarów gotówką, nie mogli rzecz jasna okazać miłosierdzia Racheli. Nie zważali więc na jej płacz i prośby, związawszy Józefa jak owcę, uprowadzili ze sobą. Nie wiadomo jednak, co się dalej wydarzyło, bowiem kiedy szwaczka Szewa zaczęła powoli schodzić do grobu, na sali powstał tumult. Ludzie tupali nogami, przepychali się do drzwi i w pewnej chwili, kiedy babskie peruki skłębily się z czapkami mężczyzn, rozległ się płaczliwy krzyk jakiejś kobiety:

— Ratujcie, niedobrze mi...

Zimny pot oblał mnie od stóp do głów. Taki krzyk wydała Tojba, kiedy leżała na śniegu. Widocznie mamę też oblał zimny pot, gdyż zaczęła się przepychać do przodu. Łokciami przebijała się wśród tłumu.

— Puśćcie mnie — woła — niedobrze mi! Puśćcie mnie!

Ludzie jakoś wycofali się i zrobili szpaler dla mamy.

Wszyscy zaczęli się jej przyglądać. Tak samo patrzyli na nią, kiedy Tojba leżała na uliczce bóżniczej. Dzisiaj, co prawda, nie była to Tojba. Nam przypomniła się owa nieszczęsna sobota, kiedy Tojbę odwieziono do szpitala. Tutaj również jakaś niewiasta poroniła. Kobiety szczypały się w policzki. Mężczyźni zaczęli się wymądrzać. Ja z mamą szybko pobiegliśmy do domu. Mama nie odzywała się. W nocy kilka razy schodziła z łóżka sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Następnego dnia przyłożyła do czoła kompres z tartego chrzanu. Wzdychała i stękała z żalu, że dała się namówić do pójścia na *Sprzedanie Józefa*.

— Nie warto było — oświadczyła — gdzie im tam do Śpiewaków Brodzkich!

W mieście dużo mówiono o dziewczynie, która poroniła w sali teatralnej Josła. Przypomniano przy tym imię Tojby.

Kobiety mówią o dziewczynie, która poroniła, spluwały i nazywały ją kurwą. Oświadczyły również, że spotka ją ten sam los, jaki spotkał Tojbę. Wiedziano przecież, że operował ją doktor Kozicki, który pokroił jej ciało na drobne kawałki.

Te wypowiedzi doszły również do naszego domu. Tato ich nie słyszał, ale mama się nimi tak przejęła, że aż się z bólu przygarbiła.

ROZDZIAŁ XX

Rankiem w dzień święta Purim ojciec nie wyjechał na wieś. Po śniadaniu ubrał sobotnią kapotę, włożył sukienną czapkę, wziął do ręki laskę i niczym kupiec wyszedł na ulicę. Mama zdmuchnęła mu z ramienia zaproszone jakieś piórko i powiedziała, żeby na czas wrócił do domu. Sama zaś wzięła się za przygotowywanie pieczywa. Ciasto do pieczenia już było gotowe.

W mieszkaniu pachniało cynamonem i oliwą. Heman tasz⁶⁹, duże trójkątne ciasta, wyjęte z pieca były brązowe. Prawdziwe pomarańcze przywiózł tato ze sklepu. Były czerwone, jakby wypełnione krwią. Kupił też pół tuzina polskich liter, uformowanych z cukru i krochmalu. Na stole postawił butelkę iskrzącego się wina z Ziemi Izraela i położył też torbę z rodzynkami i kilka tureckich orzechów, których żaden człowiek na świecie nie był w stanie rozłupać.

Do wieczornej uroczystej kolacji mieszkanie zostało dokładnie posprzątane. Zapalono wszystkie światła. Podłoga, którą mama kilka razy wyczyściła, błyszcząca czerwienią jak wino w butelce na stole. Lampa i dwa posrebrzane lichtarze objęły mieszkanie ciepłym zamożności. Wydawało się, że broda ojca, uczesana, czysta, zajmuje przy stole naczelne miejsce. Gdyby nie zmęczone oczy, które od nieszczęścia z Tojbą oblekły się mgielką senności, można byłoby odnieść wrażenie, że na ojca nagle spadło wielkie szczęście. A może rzeczywiście tak się stało?

Oto mama zaprosiła na uroczystą kolację starą Gitele, wdowę po szklarzu Josele. Biedaczka nosiła zimą i latem ten sam długi, czarny strój w rodzaju żupanu, jaki noszą mężczyźni. W rękę trzymała podartą parasolkę, z którą nigdy się nie rozstawiała. Mama twierdziła, że ta parasolka służy jej lepiej niż własne nogi. Nie omieszkała też podkreślić, że Gitele jest kobietą uczoną. Potrafi nie tylko czytać *Biblię*, ale objaśnić ją i komentować. Niestety jest biedna, ale mama uważa za zaszczyt, że Gitele przyjęła zaproszenie na ucztę purimową.

Siedzi teraz Gitele u nas. Ma na sobie ten sam czarny, długi żupan. Na jej głowie dynda niczym grzywa u gniewnego koguta czerwona kokarda. Wychudła twarz zdaje się być w ciągłym ruchu. Małe, cienkie, jakby zasnurowane wargi, są ledwie widoczne. Jest tak mała, że zajmuje tylko pół krzesła. Zdaje się, że jest też głucha. Tylko w małych czerwonych oczach tli się ogień.

Mama jest lekko zaczerwieniona. Żabocik na czarnej bluzce z haftem wygląda bogato. Hojną dłonią wynagradza przybyłych aktorów purimowych, którzy odśpiewali na chybcika aktualną pieśń *Dobry anioł purimowy*.

Mama odkrawa kawałek strudła, wyjmując z kredensu największy heman tasz, dokłada do niego cukrową literę, którą ojciec kupił dzisiaj w mieście i zanoszą to wszystko do sąsiada — Polaka, starszego strażnika. Biedaczek nie ma przecież pojęcia, czym jest Purim.

Ojciec kładzie na talerzu pomarańczę, ozdabia ją gałązką suszonych rodzynek, odkłada na bok dwa tureckie orzechy i kawałek strudła. Przykrywa to białą serwetką, na koniec wręcza mi jedyną butelkę wina i każe mi to wszystko zanieść jako prezent purimowy wujowi Ben-Cijonowi.

Mama robi mu z tego powodu wymówkę:

— Ile butelek wina masz, że robisz z tego prezent?

— A co mam robić? Nie posyłać prezentu?

— Ben-Cijon obejdzie się bez tego wina.

— Nie martw się — odpowiada ojciec — Ben-Cijon przyśle w rewanżu butelkę wina znacznie lepszego.

⁶⁹*heman tasz* — dosł. „ucho Hamana”; trójkątne ciasto nadziewane makiem i rodzynkami, smakołyk spożywany w święto Purim. [przypis tłumacza]

Ja też się martwiłem. Cały czas czekałem na odkorkowanie butelki. Chciałem skosztować wina, a tu ojciec posyła je w prezencie purimowym temu pisarzowi gminnemu, Ben-Cijonowi. Czy jemu brakuje wina?

Ale skoro ojciec posyła mnie do niego, to przecież nie powiem, że nie chcę iść. Z bólem w sercu wziąłem prezent i udałem się do szwagra ojca.

Na ulicy spotykam wielu chłopców. Wszyscy niosą przykryte serwetką talerzyki z prezentami. Niosą je również Żydzi z brodami. Widać też komediantów, aktorów gier purimowych. Twarze czerwone i nosy spuchnięte. U nas drzwi są dla nich otwarte, ale u wujka Ben-Cijona są one zamknięte. Ja nie jestem komediantem, więc muszę głośno krzyknąć, że syn Lejzora, handlarza siana, i że przyniosłem prezent purimowy. Służąca patrzy przez szparę i jeszcze raz pyta, kim jestem. Chce też wiedzieć, co przyniosłem i do kogo przychodzę.

— Do wujka Ben-Cijona — odpowiadam. Głupia baba, przecież doskonale wie, o co chodzi. Dopiero teraz otwiera drzwi i idzie za mną, aż do drugiego pokoju. Teraz pokój u cioci Noemi jest oświetlony nie tak, jak to bywa w zwykłe dni święta Pesach i Sukkot.

Teraz stół stoi w środku pokoju. Jest duży, nakryty białym obrusem. Dwie lampy oświetlają pokój. Jedna zwisa z sufitu, druga stoi na stole. Widać na nim dwa ciężkie, srebrne, rzeźbione lichtarze. Na obrusie mienią się barwami wazy z pomarańczami, daktylami i różnego rodzaju cukierkami. Stoją na nim również butelki wina. Jest ich tyle, że nie potrafię ich zliczyć. Dlaczego potrzebna im była jeszcze nasza jedyna butelka?

Wuj Ben-Cijon siedzi na honorowym ojcowskim miejscu. Na głowie ma nową, ośmiokątną, jedwabną jarmułkę. Broda jego jest dzisiaj bielsza niż zwykle. Od przejeżdżenia jest trochę rozleniwiony. Jego synek Mendel, w nowym ubraniu, w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i czarnym krawatem, rozsiadł się tak jak jego ojciec. Wygodnie i szeroko. Twarz ma zarumienioną. Ręce białe i czyste. Tylko usta ma zaciśnięte, jakby go coś bolało. Na mnie nie patrzy. Nie będzie przecież patrzeć na wszystkich chłopców, którzy przynoszą prezenty świąteczne.

Ciotka Noemi szeleści strojem. Widzę, jak mienią się fałdy jej czerwonej, jedwabnej sukni z bufami przy rękawach. Na szyi błyszczą złota broszka, okrągła, w kształcie skręconego węża. Jej śniada, pobożna twarz, a zwłaszcza oczy, uśmiechają się.

— A więc — powiada — przyniosłeś purimowy prezent? Chwała Najwyższemu. A co porabia ojciec? Dobrze... Dzięki Bogu! A mama jak się ma? Tak, no trudno...

Stoję w środku pokoju. Nie wiem, czy wstyd mnie chwycił, czy strach ogarnął przed tymi obcymi ludźmi, którzy siedzą przy stole. Czuję, że cały płonę. Chciałbym stąd uciec. Nie jest mi tu dobrze.

Ciotka Noemi nakłada na nasz talerz dwie małe pomarańcze, kilka fig i ze dwa-trzy nadpsute daktyle. Potem, kiedy zbieram się już do wyjścia, podaje mi ze stołu dużą, pokrytą kurzem butelkę wina i wpycha do ręki monetę. Czuję, że to dwadzieścia groszy. Cieszę się, ale bardziej jeszcze zadowolony jestem z tego, że misję posłańca z prezentem purimowym mam już za sobą. Że nie muszę już oglądać tych ludzi, którzy nie spuszczaają ze mnie oka. Śpieszę więc do domu. Jeszcze mam zanieść dziś *szalech mones*⁷⁰, czyli prezenty purimowe dziadkowi i cioci Miriam. Od niej nie muszę już wracać na noc do domu.

Ciotka Miriam swoimi małymi, ciepłymi rękami zdejmuje ze mnie płaszcz, sadza mnie do stołu i nie pozwala iść do domu na noc. U niej święto Purim jest jakoś radośniejsze. Jedyne jej synek, Chaimek, tańczy w pokoju niczym niedźwiadek. Pokazuje, jak małpa nosi wodę, jak kogut pieje, jak kot czyha na mysz. Lea, najmłodsza jej córka, recytuje wiersze po polsku i śpiewa piosenkę o Wandzie, która nie chcąc wyjść za mąż za Niemca, rzuciła się w toń Wisły.

Z powodu tego wszystkiego, a także dlatego, że strudel cioci Miriam jest smaczniejszy od wszystkich strudli w mieście, chciałbym być u niej jak najprędzej.

Kiedy wracam od wujka Ben-Cijona, widzę, że wszyscy na mnie czekają. Świece wypaliły się do połowy. Gietele drzemie. Stawiam na stole *szalech mones* od cioci Noemi i cichym głosem mówię do mamy, że dostałem od niej dwadzieścia groszy.

Mama krzywi się i powiada:

⁷⁰*szalech mones* — prezenty składające się głównie ze słodkich smakołyków, które posyłają sobie nawzajem Żydzi z okazji święta Purim. [przypis tłumacza]

— Czy koniecznie trzeba było brać?

Mówiąc to, patrzy kątem oka na to, jak ojciec ostrożnie zdejmuje serwetkę z prezentu cioci Noemi. Tato, dumny, powiada:

— Zobacz, jak piękny prezent przysłała mi Noemi!

Podnosi do światła butelkę wina. Ogląda ją od góry do dołu, po czym stawia na stole powoli, jakby miał do czynienia z chorym dzieckiem.

— Drogie wino — cedzi przez wargi — musi kosztować majątek.

— A co ty myślisz — drwi mama — bogacze mają ambicję wydawać pieniądze. Nie inaczej.

— A ja ci powiadam — mówi tato i znowu bierze butelkę pod światło — że to wino jest bardzo drogie.

— Możesz je zakwasić...

Ojciec zabiera się do przygotowywania nowego talerza z prezentem. Wybiera dwie małe figi, nadpsutą pomarańczę i kawałek strudla.

Sądzę, że będę musiał to zanieść do Mordechaja Sztroja, współnika taty.

Mama owija mi szyję ciepłym szalikiem i pyta:

— Ładnie tam u cioci Noemi?

— Bardzo ładnie.

— Dużo tam gości?

— Dużo.

— Co ci powiedziała?

— Że was pozdrawia.

— A ich „brylancik”, Mendel, widziałeś go?

— Tak, paraduje w koszuli z białym kołnierzykiem i krawacikiem.

— Ubiera go tylko w białe kołnierzyki. Czy z niego dziewczynka?

Prezent dla Motla Sztroja jest już gotowy. Mama odprowadza mnie do drzwi i powiada, żebym zaraz wrócił, bo czeka mnie jeszcze wizyta u cioci Miriam.

— Jasne — mówię — czy mógłbym o tym zapomnieć?

Już mam wyjść z domu, kiedy nagle otwierają się drzwi i do kuchni wsuwa się jakaś smętna postać. W kuchni panuje mrok. Trudno rozpoznać jej twarz. Wydaje się, że to jakaś biedna kobieta. Zatrzymuje się w drzwiach, jakby przyszła po jałmużnę.

Nie mogę wyjść. Ta biedna kobieta zasłania sobą drzwi. Mama nie pyta jej, czego chce. Po chwili jednak przesuwa się ku oknu i stamtąd zdławionym głosem pyta:

— To ty, Tojbo?

Zrobiło mi się gorąco. Niewiele brakowało, a talerzyk z prezentami wypuściłbym z rąk. Dopiero teraz poznałem w smutnej kobiecie Tojbę. Kiedyś twarz jej była śniadobrazowa, piękna. Teraz szerniała i zapadła się. Zdaje mi się, jakby Tojba urosła. Jej oczy już nie są niebiesko-zielone. W ogóle nie są to oczy, ale dwa okrągłe bardzo czarne kółeczka. I stoi jakoś inaczej, nie wyprostowana jak dawniej, ale przekrzywiona, przełamana. Może źle się czuje?

Mama widocznie też poczuła się źle. Wydaje mi się, że straciła kontrolę nad swoimi rękami i nogami, bo oto chce przejść do drugiej izby i naraz zatrzymuje się. Rozgląda się po kątach, jakby czegoś szukała.

I nagle wzrok jej pada na kuchenny taboret. Nogą podsuwa go do drzwi, w których stoi Tojba, a sama opiera się rękami o stół, obraca głowę ku oknu.

Tojba nie siada. Nieruchomymi oczami patrzy na podsunięty taboret. Chce jej powiedzieć, żeby usiadła i odpoczęła, ale Tojba otwiera z powrotem drzwi i chce wyjść.

Mama się zrywa, podbiega do drzwi i woła:

— Dokąd idziesz? Wejź do środka!

Mama nie wie, co począć z rękami. Chce objąć Tojbę, ale trafia rękami futrynę. Z drugiego pokoju wychodzi powoli Gitele. Oczami krótkowidza rozgląda się po ciemnej kuchni i przeciągłym, śpiewnym głosem pyta:

— Czy to ty, Frumet?

— Co jest, Gitele? Czy pani czegoś chciała?

— Nie, kochanie, czego mogłabym chcieć? Po prostu chcę już sobie pójść. A kto tam stoi w drzwiach?

Mama nie odpowiada. Staje między Gitele a drzwiami, jakby chciała zasłonić Tojbę przed małymi, żywymi oczami staruszki.

Tato chyba coś usłyszał albo potrzebował czegoś z kuchni. Wszedł szybkim krokiem, jakby nieco wzburzony. Wyglądał na rozgniewanego. Zauważywszy mnie, zawołał:

— Jeszcześ nie poszedł?

Chciałem mu powiedzieć, że... ale w tej chwili spojrział na drzwi, w których stała Tojba. Brwi nad jego oczami podniosły się. Stał jak wryty, nie mówiąc słowa. Po chwili jednak rozległ się głos niepodobny do głosu ojca.

— Won stąd, ty... Józko!

Jeszcze brzmiał mi w uszach ten obcy głos, kiedy zauważyłem dwie podniesione pięści sunące ku drzwiom.

— Odważyłaś się przyjść do mego domu? Precz stąd!

W tej chwili mama wskoczyła między podniesione pięści ojca, a stojącą w drzwiach Tojbę.

— Lejzorze — krzyknęła — nie waż się dotknąć Tojby!

— Niech natychmiast wynosi się z mego domu!

— Lejzorze, nie pozwolę... To twoja córka!

— To suka, a nie córka! To wysoka Józka! Dostyc zmartwień mi przysporzyła.

Tojba pochylała się coraz bardziej ku ziemi, jakby ją ktoś do niej nagiął. Drzwi same się jakby otworzyły i Gitele, stawiając drobne krocзки, powoli się przez nie przemknęła. Tojba wyszła za nią. Ojciec chciał zamknąć drzwi na klucz, ale mama zabiegła mu drogę i wyrwała klucz z ręki.

— Oddaj klucz! — zawołał, szczerząc białe zęby.

— Nie oddam!

— Natychmiast daj mi go!

— Lejzorze, przestań. Mówię ci, daj spokój. Jeśli nie przestaniesz, opuszczę dom i nie będziesz nawet wiedział, gdzie spoczną moje kości.

Ojciec zacisnął wargi. Wrócił do pokoju z opuszczonymi, jakby martwymi rękami. Po drodze rzucił jeszcze brzydkie słowo pod adresem Tojby. Właściwie było to nie słowo, ale kamień. Poczulem ból w skroniach. Mama poruszyła ramieniem, jakby ją coś ukuło.

— Mendel — powiedziała do mnie — leć za nią i powiedz, żeby zaczekała.

Na dworze było zimno. Na progu sieni siedziała Tojba, skulona w kłębek.

— Tojbo — powiedziałem, przysiadając się do niej — mama kazała ci czekać.

Poczulem na twarzy rękę Tojby.

— Jesteś może głodna, co?

— Nie, nie jestem głodna — odpowiedziała suchym, słabym głosem.

— Mam tu prezent purimowy, może chcesz, Tojbo?

— Nie, Mendelku, bardzo ci dziękuję.

— Mam pomarańczę. Weź, jedz!

— Nie trzeba, Mendel, zanieś to tam gdzie trzeba.

Od ogrodu wiał wiatr. Niebo było niemal czerwone. U starego strażnika w domu zaszczekał pies. *Szalech mones* do Motl Sztroja już nie zaniósłem. Do ciotki Miriam również nie poszedłem. Siedziałem na dworze z Tojbą tak długo, aż drzwi po cichu otworzyły się i usłyszałem głos mamy:

— Mendel?

— Tak, mamusiu...

— Gdzie jesteś?

— Tutaj, z Tojbą.

Mama podeszła do nas. Pochyliła się nad Tojbą i powiedziała:

— Wejdz, Tojbo, on już śpi.

— Dziękuję, ciociu, ale ja już wolę tu poczekać.

— Nie mów głupstw. Wejdz, pościelę ci w kuchni.

— Serdecznie dziękuję.

— Później mi podziękujesz. Zapewne jesteś głodna?

— Nie jestem głodna.

— Wstań już. Jest przecież zimno.

Tojba nadal siedziała. Pies starszego strażnika znowu zaszczekał.

— Chodź, Tojbo — powiedziałem i czule pogłaskałem moją siostrę po twarzy — zjesz coś. Przecież mamy dzisiaj święto Purim.

Tojba zaczęła płakać. Poczulem jej łzy na dłoni. Kiedy znalazła się już w kuchni i mama pomagała jej zdjąć wierzchnie okrycie, Tojba przypadła do rąk mamy i zaczęła je całować.

— Przestań — zawołała mama — potem mnie będziesz całowała, a teraz zjedz coś.

Drzwi od kuchni do pokoju, w którym spał tato, były zamknięte. Mama podkręcała knot w lampie. Piękna twarz Tojby była teraz zielona. Policzki zapadłe. Z dawnej Tojby nic nie zostało. Tylko włosy się nie zmieniły. Granatowe z białym przedziałkiem pośrodku. Tak jak u pobożnych kobiet z bogatych domów.

Tojba pozostała w naszym domu. Ojciec chodził bardziej pochylony. Wychudłe ramiona stały się teraz szpiczaste. Zdaje się, że ze słuchem też było gorzej.

Z domu bogacza, u którego Tojba służyła, mama przywiozła jej kufer. Tojba nie otworzyła go. Nie chciała nawet wiedzieć, co w nim jest. Po domu chodziła milcząca.

Skoro świt, zanim jeszcze chłop zdążył zapukać w okno, zrywała się ze snu i po cichu zapalała pod kuchnią. Nikt nie słyszał, żeby rąbała drwa albo tarła zapalkę. Ogień jakby sam się zapalał. Śniadanie, które gotowała dla ojca, jakby samo się robiło.

Pewnego dnia ojciec zauważył to. Tego ranka wstał wcześniej niż zwykle. Wszedł do kuchni z tałesem na ramieniu. Tojba właśnie rozdmuchiwała ogień. Na fajerkach stał już garnek wody i miska obranych kartofli. Na jej widok zawołał:

— Nie, rozpustna dziewczko! Nie wezmę do ust twego świńskiego jedzenia.

Śniadanie ojca pozostało na stole nietknięte. Szary opar rozszedł się po szybach. Po brzegu talerza łaziła mucha. Ojciec wyszedł z domu na czczo. Tojba siedziała na łóżku i płakała.

Od powrotu ze szpitala Tojba często płakała. Mama przeważnie przebywała u ciotki Miriam albo u babci Racheli. Tojba sama sprzątała, gotowała, szykowała wszystko na sobotę i płakała.

Kiedy ojciec spożywał posiłek, Tojby nie było w domu. Siedziała na progu za drzwiami. Dopiero po tym, jak ojciec wypowiedział błogosławieństwa i położył się spać, Tojba wchodziła do pokoju, sprzątała ze stołu i sama zabierała się do jedzenia.

Soboty od chwili przyjścia do nas Tojby, stały się smutne.

Nawet pieśni poobiednie ojciec wyśpiewywał w smutnej tonacji. Mama również smutno czytała Biblię kobiecą. Tojba przy stole nie siedziała. Ona sobotę spędzała w kuchni na żelaznym łóżku.

Nawet w Pesach Tojba nie siedziała przy stole podczas sederu⁷¹. Sama jednak całe święto przygotowywała. Naharowała się jak Żydzi w Egipcie przy budowlu piramid. Do stołu zaś podawała mama. Rytualny kielich wina do wypicia mama zanosila jej do kuchni.

Przy wersecie z *Hagady*, *Boże wylej swój gniew*, który ojciec w tym roku wymówił, jakby wykrztuszając z płuc krew, mama, a nie Tojba, otworzyła drzwi.

Tojba wpatrywała się w otwarte, ciemne drzwi szeroko rozwartymi oczami. Zdaje mi się, że dopiero teraz odzyskały swój dawny, podwójny kolor niebiesko-zielony. Odnosiło się wrażenie, że spodziewa się, iż przez otwarte drzwi nadejdzie dla niej zbawienie.

Kiedy jednak drzwi znowu się zamknęły i zbawienie nie nadeszło, Tojba zaczęła płakać. Tato dalej czytał *Hagadę*. Gdybyśmy nie wiedzieli, że ojciec jest zbyt cichy z powodu głuchoty, to można by sądzić, że również jego dławią łzy.

ROZDZIAŁ XXI

Po święcie Pesach biało-czerwone kwiecie na kasztanach przybrało kształt ramion świecznika. Zza płotów i wapnem pomalowanych parkanów zwisały białe i niebieskie gałązki bzu. Wyglądały jak żywe, kolorowe ptaki.

Nasze duże, rozjeżdżone podwórze z omnibusem bałaguly Jarne i z okiennicami w oknach, kąpało się w słońcu i zieleni. Z chederu wracaliśmy, kiedy dachy żarzyły się jeszcze czystym złotem. W powietrzu roilo się od brunatnych chrabąszczy, które pachniały miodem.

⁷¹ *seder* — uroczysta wieczerza otwierająca święto Pesach. [przypis tłumacza]

Latem mnie i Jankielowi przybyło wielu nowych kolegów. Byli to chłopcy z innych podwórek, o innych obcych imionach. Przychodzili do nas wieczorem, żeby posłuchać opowieści Jankiela.

Wcale nie wiedziałem, że Jankiel z piegowatą twarzą, którego macocha nazywała nie inaczej, tylko *ganew*, czyli złodziej, posiada tak bogatą skarbnicę opowieści. Nie na próżno powierzono mu rolę biblijnego Józefa.

A słuchali opowieści Jankiela nie tylko nowi koledzy i nie tylko Janinka, córka starszego strażnika, ale nawet moja siostra, Tojba, która sama już mogła mieć dziecko, przychodziła słuchać Jankiela.

A Jankiel opowiadał o cielętach i kozach, które nie były cielętami, ale zamaskowanymi diabłami. Opowiadał o pewnym Żydzie wędrowcu, który pieszo przemierzał morza i oceany, nie umoczywszy połów swojej kapoty. Znał też bajkę o jakimś okrutnym rozbójniku, który nosił złoty pasek i złotą szablę.

Ten okrutny rozbójnik wziął siedem cesarskich córek i uczynił z nich nałożnice. Ich ojców — cesarzy zarzął i sam stał się cesarzem sprawującym władzę nad całym światem.

Te siedem nałożnic urodziło mu po siedmiu dzieci — chłopców i dziewczynki. Każde z tych dzieci miało po siedmiu kolejnych dzieci i trwało to tak długo, aż cały świat zaludnił się dziećmi rozbójnika i dziećmi jego dzieci.

— Nawet nasi ojcowie i nasze matki — powiedział Jankiel — oraz nasze babcie pochodzą od tego rozbójnika, gdyby tak nie było, świat by nie istniał.

Jankiel swoje bajki opowiadał na pół po żydowsku, na pół po polsku. A posługiwał się językiem polskim po to, żeby Janinka, córka starszego strażnika mogła zrozumieć jego opowieści.

Janinka w ciągu zimy wyrosła. Na policzkach teraz miała dwa czarujące dołeczki, a o cerze można było powiedzieć: krew i mleko.

Nikt na to nie wpadł, ale ja doszedłem do wniosku, że Jankiel opowiada te bajki nie mnie i nie tym nowym kolegom, ale wyłącznie Janince. A ona siedziała u jego nóg i patrzyła na niego oczami pełnymi zadumy. Kiedy opowiadanie dobiegało końca, Janinka szturchała Jankiela w kolano i prosiła:

— Jankiel, opowiedz jeszcze jedną bajkę... Janinka cię o to prosi.

Kilka razy widziałem, jak Jankiel siedział z Janinką na koźle omnibusu i zajadali się czymś z jednej papierowej torebki.

Jankiel opowiadał mi kiedyś, że Janinka namawiała go do tego, żeby został gojem. Nie od razu, ale później, kiedy będzie dorosły. Jej ojciec, powiedziała, zrobi z niego strażnika. Pobiorą się i będą mieszkali na ulicy Spacerowej, tam gdzie mieszkają wszyscy goje.

Jankiel opowiedział mi to w najgłębszej tajemnicy. Powiedział mi, że się nie wychrzci, że nie chce być gojem. Gojów nie lubi. Ale z Janinką się ożeni.

Słuchając jego zwierzeń, poczułem, jak krew uderza mi do skroni. Zdawało mi się, że już jutro Jankiel wychrzci się. Powiedziałem mu, że jeżeli to zrobi, straci zarówno ten, jak i tamten świat. Skazany zostanie na męki piekielne. Jest to straszna cena. Smażą i pieką, rozżarzonymi obcęgami wyrrywają włos po włosie z głowy i paznokiec po paznokciu z rąk i nóg. Najpierw wypalają jedno oko, potem drugie. Kiedy już jesteś ślepy, przywracają ci wzrok i na nowo zaczynają wypalać jedno, potem drugie oko. I wreszcie, dodałem, na tamtym świecie chodzi sobie taki diabeł, który nożycami obcina grzesznikowi codziennie jeden kawałek kutasa.

Jankiel oblewał się potem, nie mógł złapać tchu.

— Skąd wiesz? Byłeś przy tym?

— Co znaczy, skąd wiem? A kto o tym nie wie?

Jankielowi najwidoczniej moje słowa utkwiły w głowie. Zaczął unikać Janinki. Wieczorem nie przychodził już opowiadać bajek. Zdaje się, że i mnie zaczął unikać.

Kiedy nadeszły gojskie Zielone Świątki, mama wróciwszy z miasta opowiadała nam, że widziała Jankiela stojącego przy kościele podczas procesji. Stał bez czapki i patrzył na noszone przez młode siksy w białych sukniach krzyże i obrazy z Matką Boską. Janinka szła w procesji. Niosła czerwoną, aksamitną poduszczkę, a na głowie miała wianuszek z niebieskich kwiatków. Ta nowina wprawiła nas w smutek. Jeśli Jankiel stał z obnażoną głową przed procesją, to znaczy, że ma zamiar się wychrzcić. A może już się wychrzcił?

Miłość, Dzieciństwo,
Religia, Piekło, Zdrada,
Kara

Czekałem na niego co wieczór przy drzwiach naszego domu. Nikt go jednak ostatnio nie widział. Zniknął. Nie pokazywał się.

Spotkałem go dopiero podczas naszych świąt Szawuot. Siedział znowu na koźle omnibusu z Janinką. Od razu się domyśliłem, a i serce mi podpowiedziało, że się nie wychrzcził. Po pierwsze, mówił po żydowsku, a po drugie gdyby, uchwaj Bóg, się wychrzcził, to nie siedziałby tak swobodnie łuskając dyniowe pestki.

Zapytałem Jankiel, gdzie przebywał cały czas. Dlaczego nie było widać ani jego, ani Janinki?

Na to pytanie odpowiedziała mi Janinka. Wyjaśniła, że kiedy chodzi z procesją i modli się w kościele, nie wolno obcować jej ani z Jankielem, ani ze mną. To grzech, oświadczyła. A że teraz procesje się skończyły, przyszła znowu do nas.

Toteż zabraliśmy ją w przededniu święta Szawuot nad staw Zamłynie, żeby narwać tataraku. Janinka weszła do stawu w podkasaną spódnicę. Na jej brązowym ciele mieniły się złote jasne włoski. Jankiel do stawu nie wszedł, położył się na trawie i przyglądał się, jak zrywamy razem tatarak. Kiedy wyszliśmy z wody z dużymi naręczami tataraku, oczy Jankiel zaszyły mgłą. Nie patrzył nam w twarz.

Janinka z podkasaną spódnicą promieniała uśmiechem. Nagle przestała się uśmiechać. Zdaje się, że jej oczy też zaszyły mgłą.

Szybko opuściła spódnicę i zapytała Jankiel, czy się na nią gniewa. Jankiel nie odpowiedział jej. Twarz miał gniewną. Zdawało mi się, że znikają z niej piegi, a w ich miejsce tworzą się dziurki.

Wziął od nas naręcza tataraku i sam je zaniósł do domu. Po drodze nie odzywał się. Janinka miała do mnie pretensje, że kazałem jej zrywać tatarak bez Jankiel. Ja zaś wcale jej nie kazałem.

Zresztą Jankiel nie miał ochoty wchodzić do wody. Żałowałem, że poszedłem z nimi. Widocznie ja byłem przyczyną gniewu i milczenia Jankiel.

Kiedy jednak dotarliśmy do podwórza domu i poczuliśmy zapach wspaniałego maślanego ciasta, Jankiel doszedł do siebie. Natychmiast wyścieliliśmy podłogi i obwiesiliśmy ściany domu przyniesionym tatarakiem. Nie zapomnieliśmy też o mieszkaniu starego strażnika.

Zona bałagury Jarne przyszła do nas, żeby pokazać, jak pieczywo się jej udało. Mama zaś pokazała swoje serniki żonie starego strażnika. Nie tylko pokazała, ale też poczęstowała i obiecała, że jak Bóg da, to jutro opowie jej wszystko o święcie Szawuot.

Mama lubiła opowiadać. Wiedziała, że robi to dobrze. Toteż następnego dnia wypełniła obietnicę. Miało się już ku wieczorowi. Powietrze było chłodnawe. Na niebie tu i ówdzie rysowały się czerwone obłoczki. Mama i rosyjska żona strażnika siedziały na progu naszego mieszkania. Mama opowiadała jej po polsku, kim była biblijna Rut i jej mąż Boaz. Mówiła, że Rut, która była gojką, powiedziała po śmierci męża do żydowskiej teściowej Noemi: „Twój Bóg jest moim Bogiem i twój naród jest moim narodem”.

Opowiedziała też o tym, jak Rut przyszła do Boaza na pole, żeby zbierać kłosy i o tym, jak potem pojawił się król Dawid, który umiał pięknie grać na harfie i śpiewać jak ptak.

Jankiel, który sam umiał opowiadać najpiękniejsze bajki, siedział teraz i przysłuchiwał się opowiadaniu mamy. Janinka oparła się o kolana mojej mamy i szeroko otwartymi niebieskimi oczami wpatrywała się w usta mamy, chłonąc każde jej słowo.

Patrzyłem na Jankiel. Zdawało mi się, że jego oczy przybrały teraz błękitny kolor oczu Janinki. Nagle wyobraziłem sobie, że Jankiel to nie Jankiel tylko Boaz a Janinka to Rut.

Jedna tylko różnica. Nasze podwórze nie jest ornym polem, na którym rosną kłosy. Na tym podwórku Rut nie może wyjść do Boaza. Ale skoro Jankiel mógł być sprawiedliwym Józefem, to dlaczego nie może stać się Boazem?

Drugiego dnia święta Szawuot siedzieliśmy razem z Jankielem na podwórzu i patrzyliśmy na sad, gdzie słońce wisiało nad drzewem jak duże płonące koło. Jankiel pogniewał się z rodzicami. Powiedział mi, że rano spóźnił się na modlitwę do bóżnicy. Jego ojciec podszedł wtedy do niego i na oczach modlących się ludzi wymierzył mu tak siarczysty policzek, że Jankiel o mało nie załzał się krwią.

Jankiel oświadczył, że nigdy tego ojcu nie daruje. A ojciec doprowadzi do tego, że jeszcze ucieknie z Janinką. Będzie tak, jak było z Boazem i Rut.

Miłość

Poczułem, że robi mi się gorąco. Wczoraj porównałem w myślach Jankiela i Janinkę do Boaza i Rut, i oto Jankiel użył tego samego porównania.

— Dobrze, ale Boaz — zauważyłem — nie wychrzczył się.

— Skąd wiesz?

— Co znaczy, skąd wiem? Przecież jest to napisane w *Torze*.

— A czy ja mówię, że się wychrzczył?

— A co innego zrobisz?

— Janinka przejdzie na judaizm.

— A co na to powie starszy strażnik?

— Czy on musi wiedzieć?

Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili przypomniałem sobie smutną historię o oszucie Rudolfie, który w nocy wykradł z pałacu córkę księcia Karolinę. Wiedziałem, że rzemieślnicy prowadzą romanse z młodymi szwaczkami. W sobotę wieczorem spacerują pary miłosne na szosie. Słyszałem też piosenki o miłości. Ale jak właściwie miłość wygląda, nie mogłem sobie wyobrazić. Teraz kiedy Jankiel z takim zacięciem mówił o Janince, zrozumiałem, że między nimi kwitnie miłość. Co prawda nie widywałem ich w sobotnie wieczory na szosie, ale pewnego razu przyłapałem ich za parkanem w sadzie. Na mój widok zerwali się i uciekli. Jakiś pies również zerwał się i pognał za nimi. Drugi raz przyłapałem ich na tym, że Janinka trzymała w zębach ciastko, a Jankiel jadł jej z ust. Chyba to właśnie nazywa się miłością.

Z daleka nadchodziła Janinka. Na jej lniane włosy padało teraz słońce, które wychyliło się z sadu. Janinka zbliżyła się do nas, ale w pewnej chwili zatrzymała i zawróciła do domu.

Jankiel popatrzył na mnie z boku i zapytał:

— Nigdzie się nie wybierasz?

— Nie, a o co chodzi?

— O nic, tak sobie pytałem.

Ale po chwili ochrypłym głosem oświadczył:

— Bo widzisz, umówiłem się z Janinką, że dzisiaj będziemy razem zbierać kłosy.

— Jakie kłosy? Skąd tutaj kłosy?

— Powiedziałem jej — oświadczył Jankiel, dysząc — że ona będzie Rut, a ja Boazem. Będę stał w polu, a ona przyjdzie zebrać kłosy.

— Gdzie ty masz tutaj pole? Gdzie masz kłosy?

— To będzie przecież taka gra. Omnibus ojca będzie polem, a leżąca w nim słoma będzie służyła za kłosy. Kapujesz?

— Kapuję. Ale pole mi się nie podoba. Z leżącej tam słomy czuć potem. A w ogóle, co to za głupi pomysł?

— Będzie zabawa, nie martw się.

— Nie martwię się, ale chciałbym brać w niej udział.

— Kim chcesz być? Przecież Boazem nie jesteś, Rut też nie, to kim?

Pomyślałem, że ma rację, ale co mam z sobą począć?

— Wiesz co — powiedział Jankiel — schowaj się gdzieś, ale szybko. Za tymi deskami. Kiedy ja z Janinką już będziemy wewnątrz omnibusu, usiądziesz na kozle. Jeśli ktoś nadejdzie, dasz nam znak. Po prostu zakaszlesz.

W oczach Jankiela płonął zielonkawy ogienek. Taki ogienek miał w oczach, kiedy kulawy goj przyprowadził ogiera do kobyły jego ojca.

— Wiesz co — dodał chwytając mnie za rękę — dam ci szczyryk.

Nie chciałem od niego żadnego szczyryka. Czulem, że ta Rut i ten Boaz nie są dla siebie parą. To jakaś niesamowita gra.

Jankiela lubiłem. Nie miałem sił odmówić jego prośbie. Ogarnęła mnie zresztą jakaś gorączka. Gdybym sobie mógł zdawać dokładnie sprawę, to bym chyba przyznał, że sam chciałem mieć romans z Janinką.

Skończyło się na tym, że schowałem się wśród nadgniłych desek. Stąd widziałem, jak Jankiel włączył do omnibusu. Czerwone pasmo światła słonecznego polazło za nim.

Potem Jankiel gwizdnął. Gwizd długo trwał w powietrzu pustego podwórka. Trwał aż do chwili, kiedy Janinka wyszła z domu i też weszła do omnibusu. Niezgrabnie i z trudem wpakowała się do środka. Sukienka jej się przy tym zadarła obnażając zbyt białą, nieopaloną część ciała.

Kiedy oboje znaleźli się już w środku, wyszedłem spod desek i zgodnie z rozkazem Jankiela, zająłem miejsce na koźle.

Od ulicy nadbiegał pies. Zdaje się, że był to ten sam pies, który niedawno pogonił za Jankielem i Janinką. Obwąchawszy ściany domu stanął na środku podwórza i zaczął kręcić się wokół własnego ogona.

Ja strzegłem Boaza i Rut. W środku pojazdu panowała cisza. Pies przestał się kręcić. Podszedł bliżej i zaczął się we mnie wpatrywać. Widocznie nie spodobałem mu się, bo nagle zaczął szczekać. Z początku nieśmiało, a potem coraz zajadlej.

Na mnie ścierpła skóra. Z wnętrza omnibusu żaden głos nie dochodził. Zdawało mi się, że pies szczeka celowo, bo chce, żeby kto przyszedł i zobaczył, co się tam dzieje.

I faktycznie tak się stało. Oto bowiem otworzyły się drzwi mieszkania starszego strażnika i na progu pojawiła się jego żona, matka Janinki. Rozejrzała się po podwórzu, po czym spojrzała w stronę omnibusu. Pies stał się bardziej zuchwały. Chciał wskoczyć na kozioł. Ognisty pot mnie oblał. Ciarki przebiegły mi po grzbiecie.

Nie wiem, czy rzeczywiście widziałem idącą do omnibusu rosyjską gojkę, czy też tylko wydawało mi się, że idzie do mnie. Jedno tylko pamiętam, że zerwałem się z koźła z okrzykiem: „Jankiel, ktoś idzie!”. Potem zacząłem uciekać.

Gonił mnie głos przerażonej matki Janinki: „Stój! Stój! Gdzie jest Janinka?”. Ten krzyk długo miałem w uszach. Pies za to wciąż biegł za mną i tak wściekle ujadł, że głowa zaczęła mnie boleć.

W pewnej chwili poczułem w łydce wszystkie zęby psa. Upadłem twarzą w rynsztok. Musiałem widocznie niezłe wrzeszczeć. Nie wiem, kto mnie podniósł. Nikogo ani niczego nie widziałem.

Poczułem tylko oddech z czyichś ust, a w uszach zabrzmiał mi tępy, twardy głos:

— Łajdaku! Sukinsynu! Do więzienia!

Następnego dnia wezwano do mnie felczera Icze. Ten pochylił się nade mną tak, że daszek jego skórzanej czapki znalazł się tuż przy moich nogach. Pulchnymi palcami obmacywał mi pogryzioną nogę.

Przy łóżku mama z wypiekami na twarzy drżała z niepokoju. U moich nóg stała Tojba, która nie spuszczała oka ani ze mnie, ani z felczera.

Mama niespokojnym głosem zapytała felczera, czy pies nie był czasem wściekły. Dopytywała się, co ma robić dalej i dokąd pójść w razie potrzeby.

Icze wysunął do przodu daszek czapki i gniewnie zauważył:

— Nigdzie nie biegaj! Jak będziesz biegała, dostaniesz kamieni w brzuchu. Zapisuję ci taką wodę, z której zrobisz mu kompresy. Co sześć godzin nowy kompres mu przyłożysz. Jeśli stan się nie poprawi, wezwiesz mnie. Postawię mu wtedy pijawki.

— Dlaczego pijawki? Mój Berl nigdy pijawek nie kazał stawiać — skrzywiła się mama.

— Dlatego właśnie umarł, ten twój Berl — odpowiedział Icze kierując raczej słowa do Tojby, niż do mamy.

Mimo że odczuwałem żar w nodze, zdążyłem zauważyć, że brodę i oczy miał skierowane ku Tojbie.

— Jak się nazywasz? — zapytał, łapiąc Tojbę za podbródek.

— Tojba — odpowiedziała moja siostra nieco przestraszona.

— Czyjaś ty? Skąd?

— Tutejsza — odpowiedziała Tojba, odsuwając się powoli od niego.

I nagle jego palce ześlizgnęły się z podbródka na jej pełne, obfite piersi. Zatrzęsła się Tojba i mimo iż felczer Icze był osobą poważaną w mieście i uchodził za specjalistę, zdobyła się na zuchwałość. Energicznie odepchnęła jego ręce i gniewnym głosem zawołała:

— Ja nie jestem chora! Mnie nie trzeba badać!

Felczer Icze zdrętwiał. Broda mu się wykrzywiła. Szybko wyrzucił słowa:

— Nie masz szacunku dla starego Żyda.

— Niech stary Żyd nie pcha się tam, gdzie nie trzeba!

Powiedziawszy to, Tojba odwróciła się do niego tyłem i nie raczyła odpowiedzieć na jego do widzenia.

Przykładali mi kompresy. Na moim łóżku siedziała Tojba i ciepłą ręką gładziła mnie po twarzy. Ojciec nie wiedział, jak i dlaczego pies mnie pogryzł. Przyszedłszy wieczorem do domu nachylił się nade mną, przyłożył rękę do czoła i oświadczył, że dzięki Bogu

gorączki nie mam, ale przyłożyć plaster cebuli do nogi nie zaszkodziłoby. Mama się na to obruszyła:

— Na każdą chorobę on ma jedno lekarstwo: cebulę!

Felczera Icze więcej już nie wzywano. Noga goiła się bez jego pijawek.

O tym, co zaszło, w domu nie rozmawiano. Mama przestała chodzić do mieszkania starszego strażnika. Słyszałem, że do Janinki wezwano doktora Przylęckiego. Biedaczka miała gorączkę. Starszy strażnik zaś poszukuje Jankiela. Chce go wsadzić do więzienia. Jankiel gdzie zniknął. Tojba powiada, że Jankiel to wściekły pies, łobuz i złodziej. Pogryzł bowiem Janinkę. Czego chciał od tej małej siksy? Ja też nie wiem, dlaczego ją pogryzł. Rzeczywiście wściekły pies z niego. Wiedział, dlaczego uciekał.

Pewnego jednak dnia przychodzi mama i powiada, że bałagula Jarne dopadł swego gągatka. Ukrywał się podobno u jakiejś gojki nad stawem Zamłynie. Karmiła go kielbasą. Kupiła mu granatowy kaszkiet ze skórzanym daszkiem i namówiła do wychrzczenia się. Dowiedział się o tym ojciec, bałagula Jarne. Udał się na Zamłynie i wymierzył chłopcu dwa siarczyste policzki. Ściągnął z niego buty i granatowy kaszkiet, po czym związał chłopaka sznurem. Związanego zawiózł do Warszawy. Kto wie, czy kiedyś zobaczę Jankiela. Zwłaszcza, że moja mama znowu myśli o zamianie mieszkania.

ROZDZIAŁ XXII

Noga moja była już wygojona. Po raniu od ukąszenia psa pozostała tylko niebiesko-czerwona blizna, która z każdym dniem coraz bardziej bladła.

Pewnego dnia przychodzi ojciec do domu spocony, podniecony i każe sobie podać miskę wody z mydłem. Szybko zrzuca marynarkę i koszulę, staje nad miską z owłosionym, spoconym torse. Oznajmia, że jak Bóg da, to po sobocie wyjedziemy wszyscy na wieś.

Mama patrzy na niego ze zdumieniem w oczach. Nic innego, tylko się upił! Bo po pierwsze: co to nagle za mycie w zwykły, powszedni dzień, w misce zimnej wody? Po drugie: jaki sens ma wyjazd na wieś?

Tato chowa twarz w duży ręcznik. Prycha i parska, po czym obnaża w uśmiechu zęby i daje jakby do zrozumienia, że myje się dlatego, iż wrócił właśnie z dalekiej podróży. Nałykał się kurzu po drodze, upał dał mu się we znaki. Najważniejsze, że ubił w tej podróży interes. Duży interes i z powodu tego interesu wyjeżdżamy na wieś. Mama tego nie rozumie. Ja i Tojba również tego nie rozumiemy. Nie rozumiemy tego z dwóch powodów: ojciec nigdy nie prowadził wielkich interesów i nigdy nie wyjeżdżaliśmy na wieś. Wtedy ojciec wyjaśnia nam rzecz dokładnie. Oto on wraz ze swoim współnikiem Motlem Sztrojem wynajęli łąki w Leniwie, jakieś siedem mil stąd. Wynajęli na całe lato. Sami będą kosili trawę. Potem zbiorą potraw. Zejdzie im do świąt. Motl Sztroj musi pozostać w mieście, a on, czyli mój tato, musi być w Leniwie. Skoro tak, to po co ma codziennie jeździć tam i z powrotem. Dwa razy po siedem mil. Wniosek nasuwa się sam. Przeprowadzi się z rodziną na wieś i sprawa z głowy. Mama przysłuchuje się jego wywodom, mrużąc oczy. Przez otwarte drzwi kuchni zagląda Tojba. Po chwili odzywa się mama:

— A gdzie leży ta twoja Leniwa?

— Leży w takiej okolicy, że daj Boże nam wszystkim. Jest tam las, woda... A ser, masło i jajka za pół darmo.

— A gdzie się będzie mieszkało w tej twojej Leniwi?

Mama zadaje to pytanie tonem wyższości.

— Będzie się dobrze mieszkało. Nie martw się!

Mama nie jest zadowolona. Mocno się krzywi.

— Ta Leniwa to chyba jakiś odludny grajdoł...

— Żaden grajdoł. Leży przy samej szosie. Do miasteczka raptem cztery czy pięć wiorst.

— Na całe lato? — w pytaniu mamy brzmi strach.

— A coś myślała? Że na jeden dzień? Weź pod uwagę, że będziesz cały czas na świeżym powietrzu.

— Daruję ci świeże powietrze, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Wystarczy, że będziemy wśród samych chłopów.

— A co byś chciała? Żebym codziennie biegał siedem mil?

— A kto ci każe biegać? Masz przecież konia i wóz.

Tato nie odpowiada. Zjada resztkę kaszy powoli, bez apetytu. Widać, że jest zmarzwiony. Mnie też serce boli. Lato jest gorące. W mieście nie ma się gdzie podziąć. Odwalać codziennie siedem mil w takie upały, nawet jeśli się siedzi na wozie, nie jest rzeczą łatwą. A z drugiej strony, dlaczego nie mamy się przeprowadzić do Leniwy? Jest tam, jak powiada ojciec, las i woda. Będziemy kosić trawę. Będzie nowe życie.

Tak czy owak Jankiela nie ma. Na drzwi domu starszego strażnika nie wolno nawet popatrzeć. Jasnowłosa Janinka już mnie nie poznaje.

W chederze jest ciasno i mroczno. Melamed Szyme-Josef postękuje. Jest chory. Całe dnie spędza w łóżku. Nie rozumiem, dlaczego mamie nie chce się wyjechać na wieś. Tojba też chce wyjechać. Ona zna walory wsi, ale nic nie mówi. Nie wolno jej się odezwać w obecności ojca. Po wyrazie twarzy widać, że jest gotowa do wyjazdu. Już gotowa spakować rzeczy i ruszyć w drogę.

— A ty, Mendel? — zwraca się tato do mnie — dla ciebie Leniwa też jest odludnym grajdołkiem?

— Nie — odpowiadam — ja bym chciał tam pojechać.

— Znalazł kogo pytać — wtrąciła się mama. — Tam nie będzie mógł chodzić do chederu.

— Rebe i tak nie uczy nas teraz — replikuję — cały dzień leży w łóżku.

— No to jedźcie z Bogiem. Ja też mam dokąd jechać. Warszawa chyba jest tak samo piękna jak Leniwa.

— Już znowu Warszawa?

— Tak, znowu Warszawa. Zdaje się, że mam tam dziecko. Czy nie tak?

— A Mendel — wpada jej w słowa ojciec — to nie twoje dziecko?

— A dlaczego akurat do Leniwy? Gdyby to choć było do Garbatki.

— Garbatka jest dla bogaczy, dla letników. Lejzora nie stać na Garbatkę.

I na tym na razie się skończyło. Mama wyszła z pokoju zagniewana. Tojba natychmiast posłała łóżko ojca. Kolację też podała mu do stołu. Tato nie zareagował.

Do chederu przestałem chodzić. Do mego rebeego Szyme-Josefa sprowadzono doktora Fidlera. Pomóc Szymie-Josefowi mogło tylko miłosierdzie boskie. Z kilkoma chłopcami zacząłem się kręcić wśród chłopskich furmanek na rynku. Obmacywaliśmy worki pszenicy, łuskaliśmy orzechy. W domu jeszcze nie wiadano, czy jedziemy na wieś, czy zostajemy. W sobotę po obiedzie ojciec uciął sobie drzemkę i zaraz potem poszedł do swego współnika. Tojba siedziała na podwórzu. Mama też chciała gdzieś pójść, ale przyszła z wizytą babcia Rachela. Mamie niczego więcej nie trzeba było. Miała się przed kim wyżalić. Oto jej mąż chce ją wysłać na całe lato gdzieś na zadupie. Nie ma dla niej litości. To morderca, a nie mąż. Nie pozostaje jej nic innego, jak tylko z sobą skończyć.

Babcia Rachela nigdy nie żyła w zgodzie z moim ojcem. Broń Boże, żeby się kłócili, ale w sercu każde z nich żywiło do drugiego urazę. Ojciec nieraz powtarzał, że całe zło, które tkwi w mamie, pochodzi od babci. Mama zaś twierdziła, że po pierwszym mężu, przy którym miała mosiężne klamki w drzwiach, nisko upadła, wychodząc za mąż za mego ojca.

Teraz byłem pewny, że po wyżaleniu się mamy, babcia sprzeciwi się wyjazdowi na wieś.

Okazało się jednak, że grubo się pomyliłem.

— Powinnaś dziękować Bogu — oświadczyła babcia, gdy mama się wyplakała — że trafiła ci się taka okazja.

Na twarzy mamy pojawiło się zdumienie.

— Ty też, mammo?

— Co znaczy, ja też? A kto by powiedział: nie jedź?

— Ale do takiego grajdołka?

— Jaki tam latem grajdołek? A co tutaj masz? — i spojrzawszy na mnie, dodaje — patrz na niego. Jak on wygląda? Błady jak ściana! A czy ty lepiej wyglądasz?

— Ale ja nie chcę wyjeżdżać na wieś!

— Co znaczy, że nie chcesz? Czy wszystko zależy od własnego widzimisię? A z drugiej strony, co ty dokładasz do tego wyjazdu?

Mama zamilkła. Widać było, że rozsadza ją złość. Babcia zaś mówiła dalej. Wychwalała ojca. Jej mąż, czyli mój dziadek, nie zaharowywałby się tak jak mój ojciec, żeby ona mogła wyjechać na świeże powietrze. Przy pożegnaniu jeszcze raz ostrzegła mamę, żeby nie sprzeciwiała się temu pomysłowi.

Wieczorem, po przygotowaniu soboty, ojciec zapytał mamę:

— No i co, Frumet? Jak postanowiłaś?

— Jeszcze się zastanawiam. Nie pali się!

W niedzielę jeszcze nie było wiadomo, czy mama się zdecydowała. Przez cały dzień krzątała się przy pościeli. Zszywała, cerowała. Tojba stała nad balią i coś prała. Mama wyjęła z kredensu dwie zakurzone butelki z jagodowym sokiem.

— Jak myślisz — zapytała Tojby — mam je zabrać ze sobą?

— Sądzę, że tak. Jest lato, zdarzają się różne choróbka.

Dopiero w srodek zajechał przed dom chłopski wóz i młody goj, wysoki jak sosna, wszedł do mieszkania.

— Jadziem, czy nie jadziem?

— Jadziem — zawołał z radością w głosie tato i zwróciwszy się do Tojby, rozkazał — Ano zacznij wnosić rzeczy! — od powrotu Tojby ze szpitala był to pierwszy raz, kiedy ojciec zwrócił się do niej bezpośrednio.

Załadowaliśmy czerwoną pościel. Zabraliśmy ze sobą deskę do krajania makaronu. Do kubła mama wstawiła obie butelki z jagodowym sokiem. Wśród pościeli znalazły się talerze i miski. Słowem: zegnaj podwórze! I ty sadzie, i ty omnibusie bałaguly Jarme.

Tato musiał jeszcze pójść do swego współnika. Kazał poczekać na niego przy rogatce. Mama nie chciała wsiąść do wozu. Nie będzie, powiedziała, trząść się na drabiniastym wozie po całym mieście. Dojdzie na piechotę do rogatek.

Na razie więc ja i Tojba siedzimy na wozie. Tojba usiadła na miękkich betach, plecami do młodego goja, ja zaś z przodu, przy koniu.

Nad podwórzem unosiło się arcyniebieskie powietrze. Dachy błyszczwały od rosy. Wśród drzew sadu drżało niewyraźne słońce. Okno w mieszkaniu starszego strażnika zasłonięte było prześcieradłem. Widocznie Janinka jeszcze śpi. Jankiela też nie ma. Nie mam z kim się pożegnać.

Przecież jadę na wieś. Powinno mi być lekko na sercu, ale nie wiadomo dlaczego, jest mi jakoś dziwnie. Jarme z żoną wyszli na podwórze, żeby się z nami pożegnać. Garścią słomy wyciera rękę i powiada do mnie:

— Jedź z Bogiem i bądź człowiekiem, nie takim, jakim jest mój gagatek, Jankiel.

Żona Jarme całuje się z moją mamą. Życzy nam szczęśliwej podróży i wóz rusza. Ulice tchną chłodem, są na wpół puste. Na sklepach pozaciągane są jeszcze ciężkie żelazne kraty. Jakiś chłopak z chederu Szyme-Josefa wybiega z domu i woła:

— Mendel, dokąd jedziesz?

— Do Leniwy, na świeże powietrze!

Chłopak wygląda śmiesznie. Gdybym miał coś do powiedzenia i gdyby jego matka dała mu wałówkę na drogę, to przekonałbym ojca, żeby go wziął z nami na wieś. Tymczasem miasto odsuwa się powoli od nas. Ze wszystkich domów i dachów widzę już tylko gojski szpital i kępę drzew, która wygląda jak jedno wielkie drzewo. Zwarte, gęste słońce wisi już nad krzyżem kościoła bernardynów. Cienie topól przy szosie wypelzają na pola. Przestrzeń wokół nas otwiera się na oścież. Przy rogatce czeka już ojciec. Mamy jeszcze nie ma. Ojciec obmacuje bety. Ogląda wóz ze wszystkich stron. Sprawdza, czy sznury są mocne. Każe mi zdjąć chałacik, bo wkrótce będzie gorąco. Na mamę czekamy dość długo. Wreszcie zasapana i zgrzana zbliża się do nas. Przyszłaby wcześniej, ale musiała kupić parasolkę. Od parasolki pada na twarz mamy bladozielonkawe światło. W tym świetle mama wygląda jak grzyb. Na polach widać rzadko rozsiane drewniane domki ze słomianymi strzechami, które też wyglądają jak grzyby. Zboże kwitnie zielono. I oto wynurza się przed nami żydowski cmentarz. Tam, wśród drzew, leży nasz Mojsze. Mama zamyka parasolkę i w miarę jak oddalamy się od cmentarza, odwraca głowę ku niemu i długo, długo patrzy, aż otaczający go parkan coraz bardziej maleje, żeby na koniec roztopić się w upale dnia.

Przed nami drewniany mostek przerzucony nad rzeczką. Bose chłopki tłuką bieliznę kijankami. Nasz wóz zatrzymuje się. Chłop wyprzęga konia, żeby go napoić w rzece.

Zsiadamy. Mama wzięła z wozu ciepłą herbatę, chleb z masłem, jajka na twardo i nawet wódkę. Rozsiadamy się nad wodą pod jedynym rosnącym tu drzewem i zabieramy się do śniadania. Tato małymi łyżkami pije wódkę. Chłop dostaje pełną szklankę. Jednym haustem wypija ją odrzuciwszy do tyłu głowę.

Mama moczy kawałek bułki w kieliszku. Ja zaś z Tojbną wypijamy po pół kieliszka. Nakarmieni i napojeni ruszamy w dalszą drogę.

Jest południe. Po łąkach łążą zmęczone, łaciate krowy. Jakiś chłop z ręką przystawioną do czoła patrzy w słońce. Słońce, duże i białe, parzy nasze ramiona.

Szosa jest pusta. Dzisiaj jest powszedni dzień. Dzisiaj nie jeździ się do miasta. Jakaś baba z koszykiem zjawia się na drodze. Jasnowłosy spocony Żyd ciągnie za ogon uparte cielę z żółtymi łatami. Nasz koń znowu staje.

— To Janiszów — oznajmia ojciec i złazi z wozu.

Cztery obłupane kolumienki podtrzymują ganek prowadzący do karczmy. Na spotkanie wychodzi wysoki Żyd z zielono-szarą brodą.

— Szolem alejchem!

— Alejchem szolem!

— Co słyhać?

To jest Luzer, właściciel karczmy. Pomaga nam zejść z wozu i krzyczy w stronę ciemnych drzwi:

— Saro! Saro!

Wynurza się chuda wysoka dziewczyna o niebieskich, trochę przestraszonych oczach. Mruży je teraz, jakby nagle wyszła z ciemności. Poznawszy nas, klaszcze w dłonie i woła:

— Oj, rety! Kogo ja tu widzę?

Za chwilę znika za ciemnymi drzwiami. Tu, w karczmie, dobrze znają mego ojca. Tu na jego widok radują się również nami. Witają nas i honorują jak swoich. Sara, córka długiego Luzera, która na bosaka wyszła na spotkanie z nami, paraduje teraz w sznurowanych bucikach i czerwonej bluzeczce. Wysokimi obcasami stuka w podłogę. Stawia na stół wazę z barszczem podbielanym śmietaną, duży bochen chleba z kminkiem, masło przez siebie ubite, ser i pyta, czy nie napilibyśmy się mleka prosto od krowy.

— Znaczy się — powiada długi Luzer do ojca — że jedziesz do Leniwy?

— Tak, zgadłeś.

— Dużo zapłaciłeś za łąki?

— Wystarczająco.

— Jak myślisz, zarobisz na tym?

— Myślę, że nie dołożę.

— A więc tak. A poza tym, co u ciebie słyhać?

— Jak to u mnie, nic specjalnego.

Luzer skręca sobie papierosa z machorką. Po kilku chwilach milczenia znowu pyta:

— Dostajesz jakieś listy od Lejbke?

— On wiele nie pisze.

— Kiedy wraca?

— Sądzę, że na święta. Obyśmy tego dożyli.

— Czy przynajmniej dorobił się czegoś u Iwana⁷²?

— Skąd mam wiedzieć?!

— Znam twego Lejbke — powiada Luzer zapalając papierosa — słyszałem, że dobry z niego rzemieślnik.

— Tak, dziś mógłby już być majstrem, gdyby nie służba u Iwana.

— Chyba zobaczę go, jak wróci?

— Chyba tak.

Ojciec odmawia błogosławieństwo po spożyciu posiłku. Muchy obsiadły opróżnione przez nas talerze. Chłop zdjął już ze łba konia worek z sieczką. Wokół karczmy rozłożył się ogromny cień. Pierwsza wstaje od stołu mama. Otwiera parasol i wychodzi z karczmy krokiem człowieka pewnego swej zamożności. Przez cały czas trwania rozmowy między długim Luzerem i moim ojcem, mama nie odzywała się ani słowem. Od czasu do czasu

⁷²u Iwana — przen. u Rosjan, w służbie carskiej. [przypis edytorski]

tylko krzywiła się. Widocznie ich rozmowa nie przypadła jej do gustu. Dopiero po tym, jak wszyscy wsiedli do wozu i Luzer z córką pożegnali się z nami, mama odezwała się:

- Czego się Luzer tak dopytywał o Lejbke?
- A ja wiem? — odpowiedział ojciec, wzruszając ramionami.
- Ta chuda dziewczucha to jego córka?
- Tak, jego jedynaczka.
- Ale cacko!

Ojciec wpatruje się w siną dal. Konik zdążył wprawdzie odpocząć, ale szedł leniwym, zmęczonym krokiem.

- Ten Luzer nie ma żony? — zapytała mama.
- Nieborak jest wdowcem — odrzekł tato i wyciągnął rękę w kierunku kilku widniejących w oddali budynków.
- Tam leży Leniwa.
- Gdzie? — zerwałem się z miejsca.
- Tam, za tymi topolami.
- Daleko jeszcze do niej?
- Za pół godziny będziemy na miejscu.

Byłem niespokojny. Co chwila zrywałem się z miejsca i stawałem na wozie, wypatrując bliskiej już Leniwy. Koń skręcił z szosy na polną, piaszczystą drogę. Wóz trzeszczał. Nasz chłop kilka razy zdejmował czapkę przed stojącymi na drodze kapliczkami z Matką Boską. Słońce skręcało za stodołę. Im bardziej zbliżało się do drugiej strony dachu stodoły, tym bardziej niebo wypełniało się roztopioną miedzią. Psy zaczęły ujadać za płotami. Krowy szły nam naprzeciw, zostawiając za sobą „placki”. Dalekim, opuszczonym dzwonieniem odezwał się dzwon kościółka. Z małych kominów wiły się w górze pasma dymu. Uderzył nas zapach jęczmienia zmieszanego ze świeżo wydojonym mlekiem.

ROZDZIAŁ XXIII

Ojciec powiedział, że wynajął mieszkanie w Leniwie u znajomego chłopca. Duże mieszkanie z dwoma oknami i gankiem.

Kiedyśmy jednak przybyli do tego znajomego chłopca, okazało się, że nie spodziewał się nas dzisiaj. Tamten kupiec, czyli Motl Sztraj, powiedział mu, że powinniśmy przyjechać do Leniwy dopiero w przyszłym tygodniu. Ale nic się nie stało. Tę noc prześpimy w stodole, a jutro postara się opróżnić dla nas chałupę, w której będziemy mogli spędzić całe lato. Mama zamknęła się w sobie. Milczała. Nie wiadomo było, czy ze złości, czy ze zmartwienia.

Nad wsią zalegała już noc, ale mama nie zamierzała zamknąć parasolki. Ojciec miał pretensje do chłopca:

- Co to znaczy, że nie spodziewałeś się naszego przyjazdu? Przecież wyraźnie ci powiedziałem, że dzisiaj przyjedziemy.
- Ale tamten kupiec coś innego mi powiedział.

Pies wyrwał się ku nam z budy. Dwaj mali, jasnowłosi chłopcy schowali się za ścianą chałupy i stamtąd ukradkiem wystawiali zaciekawione twarzyczki. Żona chłopca, młoda, o dużych, obfitych piersiach, wyniosła z chałupy dwa krzeselka i wytarłszy je fartuchem, powiedziała:

- Proszę, niech państwo siadą...

Dla mnie krzesła nie przyniosła. Obym większego zmartwienia nie miał. Na stojąco lepiej widać niebo z gwiazdami. Nigdy takiego czarnego nieba z tak wieloma gwiazdami nie widziałem. I co z tego, że prześpimy się w stodole? Mnie się zdaje, że mama powinna być z tego zadowolona. Zawsze się spało w łóżku z pchłami i pluskwami, to choć raz spróbujemy przespąć się na świeżo skoszonym sianie. To musi być niesłychanie fajne.

Tojba powiedziała mi, że nie ma większej przyjemności od zanurzenia głowy w świeżym sianie. To jakby człowiek leżał między winogronami i jabłkami. Ale ja nie znam zapachu winogron. Kiedy u ciotki Noemi odmawiano błogosławieństwo nad winogronami, u nas zadowalano się śliwkami. Jak by nie było, przespałem tę noc w stodole kamiennym snem. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, jak przez szpary w ścianach wpadały

niebieskie pasemka dnia. Ojca już w stodole nie było. Zaspany uświadomiłem sobie, że nie obudziło mnie pukanie chłopca w okno.

I oto siedzę na zmiętym, wygrzonym sianie. W ciemnym wysokim budynku latają jaskółki. W kącie siedzi mama. Już bez parasolki. Wtulona jak kura we własne pierze. W ustach trzyma lok peruki.

Opodal wygrzebuje się z siana Tojba. Na jej głowie jest teraz więcej siana niż włosów. Ziewa, ręce rozrzuciła na boki.

— Spalaś? — pyta ją mama.

— Spałam.

— A ty Mendel?

— Bardzo dobrze.

— Pchły cię nie gryzły?

— Jakie pchły? Gdzie tam pchły?

— Wiesz, co ci powiem Mendel? Sama nie wiem, jak mi ta noc minęła.

— Widzisz ciociu, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

— Zgoda, ale co noc spać w stodole nie życzę nawet wrogom.

— Nie jest tak źle — odezwałem się.

— Dla niego wszystko dobre...

— Nie trzeba będzie co noc spać w stodole — odezwała się Tojba. — Przecież chłop dzisiaj jeszcze opróżni chałupę.

Chłop rzeczywiście dotrzymał słowa. Wyniósł swoje bety, garnki i miski. Zostawił tylko łóżka, stół, krzesła i święte obrazy na ścianach.

I stało się coś nieprawdopodobnego. Coś przeciwnego naturze. Na łóżko mamy spogląda ze ściany lampka oliwna, która w dzień i w nocy oświetlała ciemną, milczącą twarz Najświętszej Panny z Dzieciątkiem przy piersi. Nad drugim łóżkiem, w którym spałem z ojcem, wisiał drewniany krzyż otoczony czarnymi koralami.

Ten krzyż śnił mi się wiele razy. Zdawało mi się, że schodzi ze ściany i kładzie mi się na sercu. Uciska mnie. Tato miał zamiar powiedzieć chłopu, żeby zdjął obrazy ze ściany, ale mama go powstrzymała:

— Nie rób tego — na jej twarzy pojawił się strach. — Jeszcze tego brakowało!

Przeto z powodu Najświętszej Panny i krzyża ojciec zmuszony był nakładać tałes i tefilin na dworze. Dwaj mali jasnowłosi chłopcy podkradali się, by go podejrzeć i jeden drugiemu powiedział:

— Zobacz, Żyd się modli!

— A niech się modli — powiedziała ich matka. — Jeśli Żyd się modli, to znak, że można mu ufać. A wy wynoście się stąd!

Kiedy nikogo nie było w pobliżu, chłopcy zapytali mnie:

— A ty się modlisz?

— Oczywiście! Wszyscy Żydzi się modlą.

— A dlaczego ty nie nosisz cycele, jak twój tato?

Powiedziałem im, że jak dorosnę i ożenię się, też włożę takie cycele, to znaczy tałes. Chłopcy wybuchnęli wtedy śmiechem i od tej chwili wołali na mnie Cycele. Mnie to nie bolało. Rozumiałem bowiem, że to niestety biedni młodzi szajgęcy⁷³, którzy nie mają pojęcia o tym, czym jest tałes, ale z drugiej strony byli to dobrzy chłopcy. Twarze mieli opalone, a w ich niebieskich oczach przeblyskiwał od czasu do czasu nieokreślony lęk. Przyjaciółmi zostaliśmy już następnego dnia. Byłem także zadowolony, że o moim ojcu nie mówili tu „Luzer, handlarz siana”, ale pan kupiec, a moja mama podczas koszenia trawy siedzi na polu i czyta książki. Tu na wsi lepiej poznali się na mojej mamie, aniżeli w mieście. Tu wszyscy już wiedzą, że pani kupcowa jest osobą wykształconą. Wiedzą, że jej pierwszy mąż był starszym felczerelem, a jeśli się miało męża starszego felczera to samemu też się zna na chorobach.

Toteż zaczynają przychodzić chłopki. Kogoś kłuje w boku, ktoś inny kaszle, następny ma żółtą cerę. Mama stawia bańki, każe przyłożyć do łyżeczki hiszpańską muchę, nacierać boki słoniną.

⁷³szajgęc — nie-żydowski chłopiec; także: urwis, łobuz. [przypis tłumacza]

Chłopki całują „panią kupcową” w rękę. Jedne odchodzą, przychodzą następne. Autorytet mamy rośnie więc z każdym dniem i z każdą godziną. Odbija się to korzystnie na jej wyglądzie. Jest opalona na brąz. Jej podbródek jest już podwójnie pofalowany. Chodzi po wsi wyprostowana, smukła, kształtna, z otwartą parasolką nad głową i białym żabocikiem pod szyją. Mnie również jest dobrze w Leniwie. Może nawet lepiej niż mamie. Skoro świt — słońce jeszcze śpi, a koguty zaczynają dopiero piąć, zrywamy się ze snu. Ja i mój tato. Myjemy ręce, odmawiamy modlitwę *Krias Szma* i wyruszamy na łąki. Nisko nad polami unosi się biała para. Taka jak jesienią na szybach. Zielono-żółte zboże stoi z pochylonymi od ciężaru kłosami, jakby zmęczone, senne. Nad lasem wschodzi duże słońce. Wygląda jak złoty talerz. Otwierają się obory. Wypoczęte, leniwe krowy wyruszają na pastwiska.

Powoli para nad łąkami zaczyna rzędnąć. Z nisko osadzonych kominów wydobywają się niebieskie smugi dymu. Znak, że w chałupach gotują już w saganach kartofle i barszcz.

Wieś nie jest duża. Około dwudziestu chałup, zbitych jedna przy drugiej, jak mocne, wypełnione worki. Od rana do nocy chałupy są puste. Wszyscy pracują w polu. Dźwięk ostrych kos rozbrzmiewa z bliska i z oddali. Jedno cięcie, drugie cięcie i wilgotna trawa wiernopoddańczo kładzie się jak żywa istota, która nagle zachorowała.

Ojciec modli się w lesie. Ma na sobie tałes i tefilin. W tałesie jest jakby wyższy. Kiwa się i kołysze. A słowa jego modlitwy jakby wkołysały się w wysoką starą sosnę, przed którą stoi. Takiej modlitwy sosna jak długo jest sosną, nigdy jeszcze nie słyszała. Gdzieś w głębi lasu daje o sobie znać kukulka. Młode siksy⁷⁴, zaharowane, podnoszą głowy, opierają się na chwilę o grabie i liczą, ile razy zakuka kukulka. Dzięki temu wiedzą, jak długo pozostaje im jeszcze czekać na przyszłego męża oraz ile dzieci Bóg im podaruje, jako też, jak długo będą żyły.

W południe, kiedy białe, rozpalone słońce parzy niemilosierdzie, z chałupy wynosi się w glinianych naczyniach-dwojaczkach jedzenie dla pracujących na łąkach mężczyzn. W tym samym czasie Tojba również zjawia się na łące z podwójnymi garnkami. Tojba jeszcze bardziej zbrązowiała niż mama. Na głowie nosi chłopską, kwiecistą chustę. Tu, na wsi, wyrosła i stała się kształtniejsza od mamy. Chodzi nawet jak chłopka, na bosaka. Uśmiech nie schodzi z jej twarzy. Kołysze się w biodrach niczym żrebak.

Mama z nami nie jada. Powiada, że jej nie wypada jeść na łące. Musi mieć stół i obrus. Do jedzenia potrzeba jej widelca, noża i łyżki. Poza tym nie lubi, kiedy obcy zaglądają jej do garnka. Trudno, niech je sama w domu. Gdyby jednak zapytała mnie o zdanie, to powiedziałbym, że nigdy jeszcze jedzenie tak mi nie smakowało jak właśnie w polu, wśród chłopów i siksy. Odkładają na bok kosy i grabie. Rozsiadają się na trawie, w cieniu rosnącego zboża albo w lesie pod drzewem. Rozpalone słońce zagląda do garnków. Las szumi jakby zatroskany. Co chwila przelatuje inny, różny od poprzedniego ptak. Słychać coraz inny świergot. Słychać, jak ludzie gryzą i żują.

Ojciec tak samo jak chłopci chodzi boso, w rozchelstanej koszuli. Jest opalony. Czerwono-szara broda czyni go przystojniejszym. Siedzi razem z parobkami i siksam. Chłopci żegnają się znakiem krzyża, ojciec odmawia błogosławieństwo.

Mama zjawia się na polu, kiedy słońce minęło już środek nieba. Przychodzi późno, kiedy już nie ma rosy na trawie, kiedy kukulka już swoje odkukała i kiedy nie czuje się już sytego zapachu spalonego drewna w pasmach dymu ulatującego z kominów. Przychodzi z parasolką. Siada w cieniu na skraju lasu i zaczyna czytać swoje książeczki. Doprawdy nie wiem, po co mamie potrzebne są teraz książki. Dobrze jest czytać zimą, kiedy szyby pokryte są szronem, a w domu bije od pieca ciepło. Niechby lepiej popatrzyła na to, jak ja spędzam z Piotrkim i Jankiem dzień na polu. Taram się w skoszonej trawie. Włazę na stogi. Pomagam w grabieniu siana. I oto chłop daje mi do ręki kosę i uczy, jak się nią obchodzić. Kosa jest za duża dla mnie. Cięży trochę ku dołowi, ale ja staram się pracować. I oto zjeżdżam ostrzem kosy w nogę. Spada wiązka trawy zroszona moją krwią.

Na ten widok mama zrywa się z krzykiem. Nie potrzebuje wsi. Czego ojciec chciał od niej. Z zamożnej pani, która miała w drzwiach mosiężne klamki, stała się chłopką. A na dodatek musi jeszcze być świadkiem skaleczenia mojej nogi i to tej samej nogi, w którą ugryzł mnie pies.

⁷⁴siksa a. sziksa — dziewczyna (szczególnie: atrakcyjna) nie-Żydówka; gojka. [przypis edytorski]

Ojciec spokojnie wytłumaczył jej, że wieś nie jest winna mego skaleczenia. Winien jestem ja, bo łażę, gdzie nie trzeba. Niech przestanie lamentować, bo goje patrzą i zaczynają kpić. I rzeczywiście, po co ten krzyk, kiedy nic mnie nie boli. Przez jakiś czas kulałem trochę i podskakiwałem jak spętany konik, ale potem, kiedy zagoiła mi się noga, dosiadłem gniadego konia i razem z Piotrkim i Jankiem harcowałem jak doświadczeni jeźdźcy.

Nie. Moja mama nie ma racji. Tu w tym odludnym zakątku jest lepiej, niż tam w Końskiej Woli z mosiężnymi klamkami na drzwiach. Jest tylko jedno ale. Kiedy nadeszła sobota, ogarniał nas smutek i tęsknota kładła się ciężarem na sercu.

W piątek rano, zanim jeszcze tato i ja wstaliśmy, Tojba wybrała się do pobliskiego miasteczka, żeby kupić funt płotek, kawałek cielęciny i ze dwie chałki. Czulentu nie można było zrobić, a chociaż Tojba była w sprawach kulinarnych specjalistką, jedzenie sobotnie nie miało ani smaku, ani zapachu szabasowego. Brakowało stołu z białym szabasowym obrusem, dwóch posrebrzanych lichtarzy i żółtego piasku na podłodze. Brakowało nawet starej Pawłowej, która paliła nam w piecu. Tu na wsi wieczory piątkowe zapadały później niż w mieście. Nie było słychać trzasku zamykanych sklepów, nie widać było Żydów, którzy spóźniwszy się z łaźni, biegli z mokrymi pejsami i brodami do domów. Tak jak w każdy powszedni dzień, tak i w piątek rozdzwonił się dzwon w kościele. Tak jak zwykle wracają chłopcy z grabiami i kosami na ramionach do domów. Idą i śpiewają swoje pieśni. Krowy muczą wieczorem, jak co dzień. Nawet słońce, które w piątek przed wieczornym zapaleniem świec wisi zazwyczaj radośnie u nas w mieście nad synagogą, tu jest jakieś blade, jakby mu zimno było. Nam, jedynym Żydom w Leniwie też było zimno, chociaż zapach faszerowanej ryby i pieczonej cielęciny grzał nasze podniebienia. Pod płomyczkiem oliwnej lampki Najświętszej Panny pachniało szabasowym jądłem, ale uroczystość świątecznego dnia obchodziliśmy w innym miejscu. Opaleni słońcem tygodnia i spoceni od pracy myśliśmy się wodą z chłopskiej studni i nie żalowaliśmy mydła. Czyści, wymyjni, uwolnieni od powszedniości i chłopskości sześciu dni pracy, wyszliśmy na łąkę, żeby odprawić szabas. Z jednej strony spokojnie kołysało się zboże, z drugiej las zapadał w niebieską drzemkę. Naszym sobotnim stołem była polana między lasem a żytem.

Mama rozpostarła na polanie stary obrus. Wetknęła w dwa kartofle dwie cienkie świeczki i odmówiła nad nimi błogosławieństwo. Nie na stojąco, jak w domu, ale na siedząco. Tu, na pustym polu pod gwieździstym niebem błogosławieństwo mamy nad świeczkami przejmowało nas większym wzruszeniem niż w domu. Modlitwa na cześć soboty, którą ojciec odmówił, miała w sobie więcej świętości niż w domu. Wyprostowany, ubrany w czystą kapotę, opasaną plecionym sznurkiem, zwanym gartl, witał ojciec nadchodzącą wraz z pierwszą gwiazdą na niebie sobotę. Słowa modlitwy *Idź oblubińcze na spotkanie soboty i Zaspiewają Bogu* rozbrzmiewały echem w ciemnym lesie. Teraz na tym polu ojciec nie przypominał owego Luzera z drzemiącymi szarymi oczami, który nie wymagał od życia więcej, niż mu los przeznaczył. Nie był handlarzem siana, który żył z wędrownego handlu. Nie był też „panem kupcem”, który na bosaka w lnianych portkach pomagał chłopu w polu. Teraz ojciec był Żydem Pana Boga. Jednym z tych, którzy wyszli z Mojżeszem z Egiptu i stali pod górą Synaj.

Nabrałem wielkiego szacunku do ojca. Wtórowałem mu w śpiewie i w modlitwie. I chociaż Piotrek i Janek, moi wiejscy koledzy, po cichu podśmiewali się z nas, czułem, że teraz jestem większy i silniejszy od nich. Zauważyłem też, że Tojba również żywi do ojca ogromny szacunek.

Stał się na wsi zupełnie innym człowiekiem. Nie złości się i nie krzyczy na nią. Przyjmuje od niej jedzenie. Nieraz patrzy na nią długo i ciepło.

Sama Tojba też się zmieniła. Pachnie świeżym powietrzem i słońcem.

— Tatusiu — powiada do niego, kiedy spoconemu od pracy przynosi jedzenie. — Masz, posil się.

Tato zostawia wszystko i podchodzi z córką do lasu. Patrzy z zadowoleniem na jej opalone, brązowe mocne nogi, na całą postać. A w sobotę po obiedzie, kiedy zażywa odpoczynku na skraju lasu i po cichu odmawia wersety z *Pisma*, nagle przerywa i powiada do mamy:

— Co powiesz o Tojbie?

— Co mam powiedzieć?

— Dziewucha, bez uroku, jak dąb...

I po chwili dodaje:

— Gdyby mi się trafił jakiś przyzwoity kandydat do jej ręki?

— Tu, w Leniwie? I do tego jeszcze przyzwoity?

— Świat jest wszędzie taki sam.

— W Leniwie są sami goje.

Tato nie odpowiada. Odmawia z pamięci dalsze wersety i po kilku chwilach odzywa się znowu:

— Szkoda mi dziewczyny.

— Kto jej kazał? — zapytała szeptem mama.

Z lasu wychodzi Tojba. Ubrana w sobotnią suknię, wypoczęta. Na ramieniu ma kwiecistą chustę. Jest piękna. Kwitnie, ale w jej oczach czai się smutek. Nie ma tu na wsi nikogo. Wszyscy kawalerowie rzucają na nią spod daszków czapek płomienne spojrzenie, ale ona stara się ich nie zauważać. Cały tydzień pracuje ciężko w chałupie. Śpi zdrowym snem, oddychając głęboko. Czasami wierci się jednak na posłaniu i mówi przez sen. Po obiedzie błąka się po lesie albo wśród łąnów zbóż. Wygląda, jakby kogoś szukała albo na kogoś czekała. A może rzeczywiście się doczeka?

ROZDZIAŁ XXIV

Było to na początku tygodnia. Tojba gotowała jedzenie na kolację. W polu praca wrzała. I nagle powiał lekki wiaterek. Wysoko na niebie ukazał się mały obłoczek. Trzeba było podnieść głowę i dobrze wpatrywać się w niebo, żeby można było go dojrzeć. Chłopi wyteżywszy wzrok stwierdzili, że trzeba przyspieszyć pracę, albowiem zbiera się na burzę. I zaraz wzrosło tempo pracy. Z rozgrzanych ciał lał się pot. Obłoczek zaczął powoli rosnąć. Przesunął się po niebieskim łuku w kierunku jednej z chat. Można było w nim dojrzeć niebieskie błyski. Słońce kilka razy chowało się pod dużym szerokim cieniem niczym pod chłodnym prześcieradłem. Od lasu powiał wiatr. Rozległ się niespokojny pomruk. Ptaki w popłochu zaczęły krążyć nad zbożem. Gdzieś zarżał koń. Z chałupy wybiegła chłopka z zakasnymi rękawami i zaczęła szybko zdejmować z płotu bieliznę. Niebieski cień obłoku, pod którym chowało się słońce, padał teraz na stogi siana. Od suszy unosiły się kłęby pyłu wymieszane z liśćmi, które spadły z drzew. Chłopi zostawili ściętą trawę na łasce losu, a sami chwyciwszy grabie i kosy biegli do pobliskiego kościółka albo do domów. Moja mama uciekła do domu, zaraz po pierwszym dolatującym z lasu pomruku. Ja z ojcem zostaliśmy na polu. Liczyliśmy na to, że burza przejdzie bokiem i ominie nas. I nagle od jednego krańca nieba do drugiego wybuchło gorące niebieskie światło błyskawicy. W chwilę po tym las rzucił w nas pierwszym piorunem. Nie miało sensu dłużej czekać. Ja i ojciec złapaliśmy to, co było pod ręką i zaczęliśmy biec. Za nami biegł drugi piorun. W odróżnieniu od pierwszego, który był jakby okrągły i długotrwały, ten był szpiczasty i krótki. Zdawało mi się, że biegł tuż tuż przy nas. Na podniebieniu osiadł nam zapach siarki.

Biegłem i odmawiałem błogosławieństwa. I nagle niedaleko naszej chaty spadł na nasze głowy ulewny deszcz. Siekł nas z góry i z boku uplecionymi z wody biczami. Tojba wybiegła nam naprzeciw z workiem. W mig zarzuciła mi worek na głowę, schwyciła za rękę i wciągnęła do chaty. Ojciec dotarł do chaty w kilka minut później. Był przemoknięty. Z brody lała się woda. Koszula była przyklepiona do ciała.

W oknach sąsiednich chat stały krzyże. U kowala nagle zerwał się parkan. Porwany wichrem poszybował w powietrzu, żeby potem z łoskotem spaść na ziemię. Nikt nie ruszył się z domu. Cała wieś jakby wymarła. Ale oto pokazał się człowiek. Jeden na całym tym wodą zalewanym obszarze. Biegł z opuszczoną głową. Ledwo dysząc wparł na ganek naszej chaty. Skąd się wziął? Chyba razem z deszczem spadł z nieba. Był chudy jak szczapa, bosy. Miał na sobie długą, czarną kapotę, która błyszczała teraz jak czarna blacha. Z ramion zwisała mu para powiązanych ze sobą butów wypelnionych wodą. Sam zresztą wyglądał jak stary but.

— Niech będzie pochwalony... — powiedział zgodnie z chłopskim zwyczajem i chłopską polszczyzną.

— Na wieki wieków — odpowiedział tato również po chłopsku — a skąd to człowieka niesie?

Przybysz podniósł głowę. Ukazała się chuda, wymizerowana, o wystających kościach policzkowych twarz. Wszyscy spojrzeliśmy na niego z uwagą, a tato po chwili skupienia po cichu go zapytał:

— Zdaje się, że Żyd?

— Oczywiście. A jakże inaczej?

Żyd strząsnął z siebie wodę, niczym pies, który wyszedł z rzeki.

— *Szolem alejchem* — powiedział do niego ojciec, podając mu rękę.

— *Alejchem szolem* — odpowiedział przybysz. — Kto by się spodziewał, że mieszkają tu Żydzi?

— Skąd pan jest?

— Z Brzozowej.

— Gdzie leży ta Brzozowa?

— O wiorstę stąd.

— Czy pan czasem nie jest klezmerem?

— Uchowaj Bóg? Skąd ja do klezmerów?

Ojciec uśmiechnął się. Zawsze uważał klezmerów za durniów i fajtlapy.

— Proszę wejść. Proszę zdjąć kapotę. Jest pan przecież przemoknięty do suchej nitki.

— Kto by się spodziewał takiej ulewy. Kiedy wyszedłem rano, był upał.

Zrzucił z ramion buty, z których wyciekło sporo wody. Z trudem udało mu się zdjąć kapotę. Pozostał w starej, podartej, niezapiętej kamizelce.

— Czym się Żyd zajmuje?

— Naprawianiem butów.

— Znaczą szewc. Ale skąd szewc znalazł się tutaj w takim deszczu?

— Nie po raz pierwszy jestem w tej okolicy. Chodzę po wsiach i reperuję buty. A że nie jestem prorokiem, więc nie mogłem przewidzieć, że znajdę tu Żyda. Ale proszę mi wierzyć, że bardzo się cieszę.

Szewc miał rzadką bródkę i chude żylaste ręce. Mówił po żydowsku z akcentem litewskim. Uśmiechał się przy tym i pokasływał. Tojba zapaliła lampę. Na ścianach pokoju zakolysały się ciepłe cienie. Mama marszcząc twarz spoglądała z boku na przybysza. Spoglądała tak, jakby nie mogła uwierzyć w to, że ktoś mógł w taką pogodę przyjść i że to, co mówi, jest prawdą. Burza ucichła. Na dworze jakby się uciszyło. Ubranie szewca zdążyło trochę wyschnąć. Zamierzał właśnie nas opuścić, ale mama powiedziała, żeby został na kolacji. Przy stole opowiedział nam, że nie pochodzi z tych stron. Rodem jest z Brześcia nad Bugiem. Jest jeszcze kawalerem. Matki nie ma. Tu w Polsce Kongresowej nie ma nikogo. W Lipsku, w Niemczech, ma ojca, który jest przełożonym jesiwy⁷⁵.

— Jak to? Jakim sposobem syn przełożonego jesiwy jest tylko szewcem?

Przybysz odpowiada na to, że sam nie wie, jak to się stało. Fakt, że w rodzinie było, bez uroku, dużo dzieci. Dużo chłopców i dużo dziewcząt. A żyć trzeba, choć pieniędzy nie ma. Więc macocha oddała go do terminu u szewca. Mama przestała krzywić twarz. Już nie patrzy na niego z boku. Słucha go teraz z uwagą.

— Jak się nazywa pański ojciec? — pyta go ciepłym głosem.

— Jakow Icchak.

— Skoro mieszka w Niemczech, to zapewne zna niemiecki?

— Zapewne, bo jakże inaczej?

— A pan jak się nazywa?

— Wolf.

Pan Wolf! A to ci dopiero! Mój tato ma dwóch zięciów, którzy nazywają się Wolf. Jeden jest rzeźnikiem, a drugi naprawia koła i podkuwa konie. A tu szewc, mówiący z akcentem litewskim, z uśmiechem na jednym policzku, nazywa się Wolf, to rzecz zadziwiająca. Mamie widać imię Wolf nie przypadło do gustu, bo na drugi dzień mówiła o nim „szewczyk”. I tak już zostało na zawsze. Owej nocy szewczyk nie opuścił naszego domu. Pościelono mu w komórcę, w której stała beczka z kiszoną kapustą i gdzie gnieździły się kury.

⁷⁵jesiwiwa — wyższa szkoła talmudyczna. [przypis tłumacza]

Przed udaniem się na spoczynek litwak ładnie podziękował. Patrząc na nasze bosa nogi zapytał, czy czasem nie chcielibyśmy naprawić butów. Jest dobrym rzemieślnikiem. Przez jakiś czas nawet pracował w Warszawie.

W nocy Tojba wierciła się niespokojnie na posłaniu. Mama kilka razy zapytała ojca:
— Lejzorze śpisz?

Ale tato głośno chrapał. Zdaje się, że tej nocy tylko on spał dobrze. Ja też wierciłem się, myślałem, że ten szewczyk, który śpi w komórce jest jednym z owych trzydziestu sprawiedliwych, dzięki którym świat istnieje. Sprowadziły go do nas pioruny i błyskawice. Ma ojca, przełożonego talmudycznej wyższej szkoły. Jaki szewc ma takiego ojca? Poza tym to, że w domu zapanował dziwny niepokój i to, że Tojba wierci się bez przerwy na posłaniu nie może być bez przyczyny.

Rano, kiedy tato umył ręce i mama jeszcze sennym wzrokiem wyglądała spod koldry, szewczyk był już gotowy do drogi. Stał w pokoju z butami zawieszonymi na ramionach. Jeszcze raz podziękował za gościnę. Do butów dołączył parę pantofelków, które mama dała mu do naprawy.

Twarz Tojby pochylona była nad garnkami. Miała teraz na sobie nie swoją zwykłą czerwoną barchankę, ale długą suknię. Nie paradowała na bosaka, ale w sobotnich sznurowanych bucikach. Wysmukła, szczupła, wysoka sprawiała dobre wrażenie. Szewczyk, głosem dobrze wyspanego człowieka, prowadził rozmowę z mamą i ojcem, ale wzrok miał utkwiony w kuchni, gdzie Tojba szykowała śniadanie. Właściwie patrzył na pantofle Tojby, gdyż na odchodnym powoli zapytał:

— Czy pani te pantofle kupiła w sklepie, czy zamówiła u szewca?

Tojba jeszcze bardziej pochylona była nad kuchnią. Zaczęła rozdmuchiwać ogień pod fajerkami.

— Pani koniecznie potrzebne są nowe pantofelki — oświadczył ze znanstwem szewczyk.

— A kto ma pieniądze na pantofelki — odpowiedziała Tojba, jeszcze bardziej pochylając się nad fajerkami.

— Nie trzeba pieniędzy. Zrobię je pani bez pieniędzy.

Tojba nie odpowiedziała. Szewczyk pożegnał się po raz trzeci i czwarty i wyszedł. Zdawał się być mniejszy i cięższy niż wczoraj, kiedy przybył. W pokoju pozostało po nim echo litwackiego, suchego żargonu. Tojba wyprostowała się. Ojciec szykował się do wyjścia w pole.

Szewczyk był już zapewne daleko od naszej chaty, kiedy mama nagle przerwała milczenie:

— Lejzorze, a może by tak zaprosić szewczyka na sobotę?

Ojciec nie dosłyszał. Myślni był już na łące, przy stogach siana. Ale ja, jako że byłem już ubrany, powiedziałem, że pobiegnę za nim i zaproszę go na sobotę.

— Nie waż się — nagle tato dosłyszał. — Nie trzeba.

— Dlaczego nie trzeba?

— Przecież to szewczyk.

— A szewc to nie człowiek? Przecież słyszałeś, że jego ojciec to przełożony jesziwy.

— Grosza nie dam za tego przełożonego jesziwy. Jakiś tam Lipsk. A gdzie ten Lipsk leży?

— Gdzie leży, to leży. Mniejsza o to, ale na sobotę trzeba go zaprosić.

— Jak sobie życzysz. Możesz go zaprosić.

— A co ty Tojba na to?

— Co mam powiedzieć?

Na dworze pachniało żywicą. Szewczyk zdążył już dojść do dużego drewnianego krzyża na rozstajnych drogach. Zacząłem głośno krzyczeć:

— Hej tam, panie!

Buty na ramionach szewczyka odwróciły się ku krzyżowi. Szewczyk popatrzył na mnie zamyślonymi oczami.

Powiedziałem do niego:

— Mama prosi, żeby pan przyszedł do nas w gości w sobotę.

Chuda twarz szewczyka pokryła się uśmiechem wdzięczności. Dopiero teraz zauważyłem, że wcale nie jest brzydki, jak mi się przedtem wydawało.

- Jako sobotni gość?
- Tak, jako sobotni gość.
- Ile masz lat chłopczyku?
- A jakie to ma znaczenie?
- Dla mnie ma to znaczenie.
- Mam tyle lat, ile mam. Ważne jest to, że mama pana zaprasza.
- A jak się nazywasz?
- A czy to ważne?
- Dla mnie ważne.
- A więc nazywam się Mendel.
- A ta dziewczyna w kuchni, to twoja siostra?
- Tak, moja siostra. Od jednego ojca.
- A twoja matka nie jest jej matką?
- Nie. Jest dla niej ciotką.
- Czy masz jeszcze inne siostry?
- Co to pana obchodzi?

Serdecznie się uśmiechnął. Zupełnie nie tak, jak powinien śmiać się litwacki szewczyk. Powiedział, że jak Bóg da, to zjawi się w sobotę. Prosił pozdrowić moją siostrę, ojca, a szczególnie mamę.

Do soboty było jeszcze daleko. Tojba chodziła zamyślona. Codziennie wkładała sznurowane, ciężkie buciki. Wiele razy mama zabierała ją na daleki spacer w pole. Wracały późno razem z kosiarzami, którzy skończyli robotę w polu. Tojba cały czas milczała. Natychmiast po kolacji kładła się spać.

W piątek zdawało mi się, że Tojbę opanowała gorączka. Ciało jej płonęło. Piekła duże, żółte chały. W mieście kupiła dużą płaską, śniętą rybę. Przed błogosławieniem świec umyła się pachnącym mydłem przy studni na dworze. Przebrała się w sztywną, nakrochmaloną suknię. Wyglądała uroczyście. Tak jakby ona miała odmówić błogosławieństwo nad świecami, a nie mama.

Szewczyk zjawił się po zapaleniu świec. Przywiózł pięknie naprawione pantofelki mamy, które błyszczały pełnym blaskiem. Sam szewczyk też błyszczał. Na głowie miał już nową czapkę z dobrego czarnego sukna. Kapota czysta, długa aż do pięt. Kamasze z dużymi lakierowanymi noskami. Nie był to już taki sobie szewczyk, ale porządny, przyzwoity młodzieniec z dobrej rodziny.

Owego piątkowego wieczoru trzech Żydzi witali w polu sobotę. Mój ojciec, nasz gość i ja.

Mój ojciec tym razem bardziej niż zwykle rozkoszował się modlitwą. Szewczyk stał prosto. Modlitwę na cześć soboty odmawiał głośno i wyraźnie. Cyzelował każde słowo. Oddzielnie je wymawiał. Każde słowo padało jak rozłupany orzech.

Mama przysłuchiwała się ze znajomością rzeczy. Usta miała ściśnięte, jakby trzymała w nich smakołyk, którego nie chciałyby utracić.

Tojba była głęboko zasłuchana. Trudno było powiedzieć, czy słuchała szumu lasu, czy hebrajskich, po litwacku brzmiących, słów. Kidusz odmówił szewczyk także na sposób litwacki.

Następnego dnia ucztę sobotnią odprawiono w lesie. Na łące chłopci pracowali pod palącym słońcem. Zmęczone krowy, uciekając przed żarem i muchami, wlały do lasu. Szewczyk głośno śpiewał *Zmires*. Tato mruczał pod nosem. Na obrusie bzykały duże, niebieskie muchy. Wokół lażyły biedronki. Nikt ich nie odganiał. Wszyscy przecież zasłuchani byli w piękną, litwacką pieśń *Zmires*.

Po obiedzie, kiedy Tojba sprzątnęła już wszystko z obrusu na trawę, litwak znowu opowiadał o swoim ojcu, głowie jesiwy. Powiedział, że ojciec pisze do niego listy po hebrajsku i w każdym liście pyta, dlaczego się nie żeni. Jak długo ma zamiar czekać?

On sam też nie wie, jak długo ma czekać z żeniączką. Sęk w tym, że nie spotkał właściwej partnerki. Jest dobrym i solidnym rzemieślnikiem. Zdążył nawet zaoszczędzić trochę pieniędzy, ale szewstwo, powiedział, nie jest zajęciem przynoszącym zaszczyt.

— A jak z wojskiem? Z obowiązkiem służby wojskowej? — zapytała mama, nie odrywając oczu od książki.

— Wojska się nie boję — odpowiedział szewczyk — bo jestem zwolniony od służby wojskowej.

O nic więcej go nie pytano i on również nic więcej nie mówił.

Wieczorem po pożegnaniu soboty, czyli po *Hawdali*, szewczyk poprosił Tojbę, żeby mu pozwoliła wziąć miarę na pantofelki, które zamierzał dla niej zrobić.

— Zbliżają się święta — powiedział — to jak się pokażesz w mieście w swoich bucikach?

Tojba płonęła ze wstydu. Stała z opuszczonymi oczami. Ja nie rozumiałem, dlaczego się wstydzi, dlaczego nie rozmawia z szewczykiem. Dlaczego przez cały czas nie odzywa się ani słowem?

— No cóż — odezwała się mama — niech pan bierze miarę.

Tojba wystawiła prawą nogę. Szewczyk zmierzył ją ze wszystkich stron. Żaden szewc na świecie tak długo nie mierzy.

— Taką nóżkę — oświadczył — z tak pięknym wykrojem miała tylko moja matka.

Pantofelki zaś, które on dla Tojby robi, zgodziłaby się nosić sama cesarzowa.

To była prawda. Oprócz pięknego śpiewania, umiał ten litwak szyć pantofelki godne cesarzowej. Były czarne, lakierowane, na wysokich obcasach, lekkie jak piórko.

Tojba wyglądała w nich na wyższą i szczuplejszą. Cała jej figura była teraz smukła. Zaraz też w sobotę wyszła w nich na spacer razem z szewczykiem. Długo nie wracali. Niebo zdążyło już opaść na pole. Jaskółki niczym niebieskie strzały nurzały się w powietrzu. Rozbrzmiewały ostatnie dźwięki ścinających trawę kos, a Tojby z szewczykiem nadal nie było widać. Mama zamknęła książkę. Zapytała mnie, czy bym nie chciał pójść z nią na spacer. Szliśmy tymi samymi ścieżkami wśród rosnącego żyta, którymi wcześniej spacerowali Tojba i szewczyk. Słońce świeciło nam w twarz. Było duże i żółte. W oczach mamy tliło się zmartwienie. Wytarła czoło, jakby oblał ją pot. Czulem, że mama niepokoi się o Tojbę. Ale oto ujrzeliśmy ją i szewczyka. Wyłonili się nie z lasu i nie zza stogów siana, ale szli od polnej drogi, która prowadzi do szosy. Tojba nie odrywała wzroku od swoich nowych lakierowanych pantofelków. Trzymała w ustach jakiś kwiatek. Mały, niski szewczyk trzymał Tojbę pod rękę i stawiał drobne powolne kroki. Mówił do niej z uniesioną w górę głową, jakby przemawiał do wysokiego okna.

Kiedy zbliżyliśmy się do nich, szewczyk szybko wyciągnął rękę spod ramienia Tojby. Uśmiechnął się przy tym trochę głupkowato. Tojba wypluła kwiatek i odrobinę podniesionym głosem zapytała:

— Dokąd to ciocia się wybiera?

— Wybrałam się na przechadzkę — odpowiedziała mama ostrym wzrokiem patrząc na Tojbę.

— A my byliśmy w miasteczku — powiedziała Tojba niepewnym głosem, jakby nie wierzyła własnym słowom.

— Dlaczego tak daleko?

— Wcale nie jest daleko — uśmiechnął się głupkowato szewczyk — Taki spacer tam i z powrotem.

Do domu wróciliśmy już razem. Szewczyk siedł obok mnie. Jego kapota pachniała skórą i lupinami od jabłek. Wypytywał mnie, co robię, czy jestem zadowolony z pobytu w Leniwie, czy potrafiłbym już sam ustawić stóg siana i czy nie odczuwam boleśnie braku żydowskich kolegów.

Nie, raczej źle znoszę jego gadulstwo. Mama i Tojba milczą. Być może, że i on wolałby milczeć, ale nie ma pojęcia, jak przerwać gadanie.

Litwacki Żyd wydaje mi się teraz głupi. Dziwię się Tojbie, że pozwoliła mu trzymać się pod ramię. Kim dla niej jest? Narzeczoną? Krewnym?

Potem szewczyk całkiem zaniemówił. Siedział i słuchał modlitwy ojca, która ciężkim westchnieniem kładła się na wilgotne pole.

W powietrzu unosił się zapach wody zmieszany ze smakiem śledzi. Mama nie odmówiła kobiecej modlitwy *Boże Abrahama*. Od lasu zaczęło wiać. Ojciec szybko odmówił modlitwę *Hawdala*, którą pożegnał sobotę, po czym wszyscy poszliśmy do domu. To

znaczy nie wszyscy, bowiem Tojba została na dworze. Usiadła na progu i oparłszy ręce o kolana pogrążyła się w myślach.

W pokoju pachniało ciepłem, jakby szło już ku jesieni. Szewczyk zabierał się do odejścia. Nie miał dzisiaj niczego do noszenia. Ani butów, ani pantofli. Mimo to zdawało się, że czegoś szukał.

Nafty w domu nie było. Na stole paliła się jedna świeczka. Czerwony płomyczek przy Matce Boskiej powoli gasł. Wokół świeczki krążyła ćma, podlatywała i odskakiwała. Wszyscy patrzyli na głupie stworzenie, które lezie w ogień.

Przed domem rozległ się długi przeciągły gwizd. Nie wiadomo, czy było to jakieś hasło, czy tylko łobuz sobie pofolgował, fakt, że ten gwizd rozwiązał szewczykowi język. Wstydliwym głosem zapytał mamę:

— Pani Frumet, czy ma pani chwilkę czasu dla mnie?

Jasne, że mama miała sporo czasu. Nie miała przecież nic do roboty.

— O co chodzi? — zapytała.

— Chciałem z panią o czymś porozmawiać.

— Ze mną? O czym na przykład?

— Chciałbym — zająknął się szewczyk — żeby pan Lejzor również posłuchał.

— W takim razie musi pan głośniej mówić.

— Jeśli o to chodzi, to bardzo proszę.

Ojciec przez druciane okulary zaglądał do modlitewnika. Szewczyk odkaszał. Sucho i twardo.

— Czy pan czasem nie jest przeziębiony? — zapytała z troską mama.

— Broń Boże. Nic podobnego. Chciałbym tylko powiedzieć, że nie jestem taki biedny, na jakiego wyglądam. Mam jeszcze jedną kapotę, zupełnie nową. Dwie pary kamaszy, także nowe. Niedawno nabyłem nową pościel i trochę bielizny. Nie będę ukrywał, że mam też trochę grosza na książeczce w kasie oszczędnościowej. Rzemieślnik ze mnie nie najgorszy. Najlepszym dowodem są pantofelki Tojby.

— Prawda, niebrzydkie są te pantofelki — oświadczyła mama nachyliwszy twarz z takim wyrazem jakby była nie swoją mamą, ale jakąś wielką panią, jedną z największych na świecie.

— No właśnie. Sama pani przyznaje, że są ładne. Ale jak już rozmawiamy, to chciałbym powiedzieć, że Tojba mi się podoba. Sądzę, że i ja się jej podobam. Słowem, gotów jestem poślubić ją i to bez żadnego posagu.

— No — wystękał tato, odwracając głowę od modlitewnika.

— Tak, bez posagu — powtórzył szewczyk. — Gotów jestem zrezygnować z jej prawy.

— Ile masz lat? — zapytał ojciec, przechodząc na „ty”.

To się stało tak nagle, że zacząłem nerwowo mrugać oczami. Mama zdaje się też.

— Co znaczy ile mam lat? Dla mężczyzny nie ma to znaczenia.

— A jak wygląda sprawa z parnose, z zarobkiem?

— A jak ma wyglądać? Przecież, dzięki Bogu, mam fach w rękach.

— Fach w rękach rzeczywiście masz, ale żona to, jakby nie przymierzając, koń. Trzeba go bez przerwy karmić. W przeciwnym razie padnie z nóg.

— Tojba, dzięki Bogu — odpowiedział szewczyk, uśmiechając się — nie jest koniem. A co się tyczy zarobku, to mąż będzie pracował i przy bożej pomocy zdoła wykarmić żonę.

— Dobrze — ciągnął dalej ojciec — ale powiedz mi, kim właściwie jesteś? Przecież zupełnie cię nie znam.

— Co znaczy, kim jestem? Pan, panie Lejzorze, powinien mnie trochę już znać. Temu, że jestem szewcem, winna jest moja macocha. Ojciec mój, przełożony jesiwy, chciał ze mnie zrobić rzeźnika rytualnego.

Ojciec przez cały czas patrzył mu prosto w chudą kościstą twarz. Potem skierował swoje półsennie oczy ku mamie.

— Co ty na to, Frumet?

— A bo ja wiem, trzeba przecież zapytać Tojby.

— Oczywiście, że trzeba jej zapytać.

Zsunął z czoła okulary i zapytał szewczyka:

— Proszę powiedz mi, czy ty czasem nie jesteś impetykiem łatwo wpadającym w gniew?

- Uchowaj Bóg.
- Będziesz ją dobrze traktował?
- Co znaczy dobrze? Gwiazdę z nieba jej na talerzu podam.
- Żeby tylko talerz nie był pusty.
- Co też pan mówi, panie Lejzorze?
- A więc niechaj tak będzie...

Z tym zapewnieniem szewczyk opuścił nasz dom. Świczka na stole powoli się dopalała. Tojba wróciła z podwórza i nic nie mówiąc, zabrała się do ścielenia łóżek. Rodzice wnikliwie oglądali ją z boku. Z tego powodu, być może, pomyliła się przy układaniu poduszek. A może szewczyk zdążył jej coś powiedzieć na dworze? Widać było, że nie może sobie znaleźć miejsca. Ojciec powoli rozbierał się do snu. Mama zapaliła drugą świeczkę. Tojba postawiła garnki na kominku. Po chwili ojciec zaczął chrapać. Wtedy matka się odezwała:

- Tojbo!
- Co ciociu?
- On ci powiedział coś?
- A co miał mi powiedzieć?
- Bo ja wiem, przecież razem chodziliście i to długo.
- Powiedział.
- Że?
- Że chce mnie poślubić.
- A ty?
- Nic nie wiem. On jest taki mały.
- Tylko o to chodzi? Co ja mam z tego, że twój tato jest duży?
- Gdybym ja chociaż była mała...
- Wszyscy, bez uroku, jesteście wysocy, ale wydaje mi się, że to całkiem porządny młodzieniec.

- Tak. Wygląda na porządnego, ale mówi po litwacku. Nie będę mogła go zrozumieć.
- Ja twojego ojca też nie rozumiem.
- Przecież mój ojciec nie jest litwakiem.
- Za to jest kimś innym. Ale rzecz najważniejsza: czy ci się podoba?
- Jest taki chudy. Do tego szewc...

Głos Tojby dobywał się jakby nie z jej gardła. Był to obcy głos.

— Posłuchaj mnie, Tojbo! Bóg mi świadkiem, że pragnę twego szczęścia. Nie wszystko jednak tak się układa, jak sobie człowiek wyobraża. Że z niego porządny człowiek, gołym okiem widać. Potrafi też zarobić na życie. Pochodzi z dobrej rodziny. Ojciec jest przełożonym jesziwy, a on sam też prostakiem nie jest. Słowem moja rada...

Mama przerwała, nie dokończywszy zdania. Ramiona Tojby opadły.

— Kochana ciociu — westchnęła i wybuchnęła płaczem.

— No, nie płacz. Co tu można zrobić — powiedziała ciepłym głosem mama i pogłaskała Tojbę po ramionach — zdaję sobie sprawę, że w innej sytuacji...

Tojba rozplakała się na dobre. Do późna w nocy trzęsły się jej ramiona.

ROZDZIAŁ XXV

W połowie tygodnia znowu zjawił się szewczyk. Z jego kościstej twarzy lał się pot. Przybył dowiedzieć się, co słyhać. Bo oto nadarza się okazja do wynajęcia mieszkania w miasteczku. Przy domu jest nawet ogródek. Chce także kupić kozę. Trochę własnego mleka nie zaszkodzi. I gdyby miał już pewność, wynająłby już mieszkanie i wstawił do niego kilka niezbędnych gratów. Za kozę dałby właścicielowi zaliczkę.

Tojba jak zwykle stała z twarzą pochyloną nad garnkami. Nie odzywała się. Nie obróciła nawet twarzy na szewczyka. Mama wysłuchała go do końca. Potem oświadczyła, że nie ma powodu do pośpiechu. Tojba, dzięki Bogu, nie jest starą panną. Po drugie do wesela trzeba przecież mieć jakąś porządną koszulę i dobre buciki. Radzi więc, żeby przeczekał zbliżające się Straszne Dni, czyli święta Nowego Roku i Jom Kipur i przybył w powszednie dni święta Szałasów, to znaczy w Chol Hamoed. I już do nas do miasta, wtedy omówi się całą sprawę.

Szewczyk zaszępił się. Twarz mu poszarzała, jakby życie na niej zgasło.

— Aż do Chol Hamoed?

— Co jest? Czy to tak długo?

— Jeśli dobrze policzyć dni, to dosyć długo.

W zasadzie nie rozumiał, dlaczego należy odłożyć ślub. Dlaczego zwlekać, kiedy on chce Tojbę wziąć bez żadnej wyprawy. Po opłaceniu mieszkania i kozy pozostanie mu dość pieniędzy na zakup wyprawy dla Tojby.

Podczas kolacji starał się przekonać ojca. Jego argumenty bzykały w pokoju jak niespokojne muchy.

Ojciec nie powiedział ani tak, ani nie. Patrzył na mamę i w jej oczach szukał rady.

— Zapytajmy samą Tojbę — oświadczyła w końcu mama — ostatecznie ona też ma coś do powiedzenia. Ma swoje zdanie.

Ale Tojba nie miała własnego zdania. Niechętnie i ospale podała do stołu kolację. Szewczyk wodził za nią oczyma. Tojba nie odzywała się słowem. Wreszcie ojciec orzekł, że należy zaczekać do następnego tygodnia. Tymczasem dowie się dokładnie, kim jest szewczyk. A nuż się okaże, że jest żonaty.

Szewczyk uśmiechnął się dopiero teraz. Zauważono, że ma rzadkie, ciemnożółte zęby. Być może z powodu tych zębów Tojba nie mogła się zdecydować.

— Nie przypada mi do serca — oświadczyła potem mamie — ale skoro ciocia sobie życzy.

— Ja sobie życzę? — usprawiedliwiała się mama — jak ci to mogło wpaść do głowy? Ale fakt faktem, że posagu nie masz, a latka lecą.

— Zdaję sobie sprawę, ale co będzie dalej?

Mama rozejrzała się po izbie, jakby się obnosiła z jakąś tajemnicą i szybko pochyliwszy się nad Tojbą, szepnęła jej coś do ucha.

— Nie — zawołała Tojba drżącym głosem. — Nie, ciociu, co ma być, niech będzie.

No i związek doszedł do skutku. Mama pojechała do miasta. Spędziła w nim dzień i noc. Kupiła kawał płótna, materiał na dwie sukienki i kawał gazy na welon. Nie wstąpiła do nikogo. Nikomu nie powiedziała, po co przyjechała do miasta. Obcą furmanką wróciła do Leniwy i zaczęła czynić przygotowania do ślubu Tojby.

Pola już wtedy były skoszone, twarde włosy, jak szczotki. Spichlerze pełne były zboża. Z kominów chłopskich chałup dym powoli osiadał na ziemi. Wieczory przynosiły ze sobą chłód i wilgoć. Na tarczy zachodzącego słońca widniały krwawe plamy. I oto w zwykły powszedni dzień nagle zobaczyliśmy, jak bociany uniosły się w górę i poleciały do ciepłych krajów.

W ten właśnie dzień odbyło się wesele Tojby. Tego dnia rano mama odbyła z nią długą rozmowę. Tojba ubrała nową koszulę, białą halkę i nowe białe pantofelki. Te przysłał jej w ostatniej chwili narzeczony. Welon ślubny uszyła mama. Welon miał z przodu wieniec z białych kwiatów, a z tyłu długi tren.

Kiedy blada, z wyschniętymi wargami Tojba przymierzyła go, natychmiast zmieniła się nie do poznania. To już nie była córka handlarza siana, Lejzora, ale dumna jedynaczka nobliwego dajana. Mama stwierdziła, że ręce Tojby, które przez całe życie obierały kartofle i myły naczynia kuchenne, w ten dzień stały się jakoś mniejsze, bielsze i delikatniejsze.

Ojciec ubrał sobotnią kapotę i nową czapkę. Mama włożyła nowy biały zabot. Tojba w długim płaszczu, nadłożonym na ślubną suknię i ja w nowych spodniach wsiedliśmy razem z rodzicami do chłopskiego drabiniastego wozu i pojechaliśmy do miasteczka.

Chłopi wyszli z chałup i stojąc w progu pozdrawiali nas. Zdejmowali czapki i składali życzenia. Moi koledzy, Janek i Piotrek wskoczyli na wóz i przejechali z nami kawałek drogi. Na wozie, między deskami, na których siedzieliśmy, umieszczone były różne garnki. Mama trzymała na kolanach duże żółte słodkie ciasto. Jego zapach lechtał wilgotną słodyczą nasze podniebienia.

Kiedy wjeżdżamy do lasu, słońce ma się już ku zachodowi. Pojedyncze smugi rysują wzory na końskich grzbietach.

Zatrzymujemy się. Tato złazi z wozu i zaczyna odmawiać *Minche*⁷⁶. Na jego sobotnią kapotę również padają rzadkie plamy słońca. Chłop podsypuje koniowi trochę obroku. Robi się coraz ciemniej, coraz wilgotniej.

— Lejzorze — woła mama — skracaj się. Robi się ciemno. Nadchodzi noc.

I rzeczywiście zapada noc. W sposób niedostrzegalny dla oka drzewa nagle zlewają się w jedną bryłę. Ze wszystkich czterech stron ogarnia nas ciemność. Tojba zdjęła płaszcz. Jej jest gorąco. W ciemnym lesie Tojba w białej ślubnej sukni wygląda jak trup.

Po odmówieniu modlitwy przez ojca, jedziemy dalej. Koń ostrożnie przedziera się przez ciemność nocy. Mamę ogarnia strach przed napadem rozbójników. Nic podobnego jednak się nie zdarzyło. Szczęśliwie i na czas przyjechaliśmy do miasteczka.

Noc była już w pełni. Z ciemności wyłoniły się cienie. Nagle zagrała kapela.

— Narzeczona przybywa — rozległy się głosy, jakby spod kół wozu. Jakies drzwi otworzyły się z hukiem. Z wnętrza buchała para. Ze sklepu ktoś wyniósł lampę i podniósł ją nad naszymi głowami:

— Tędy, tędy! Tutaj — ktoś w ciemnościach wziął za uzdę konia. Bas z weselnej kapeli warknął:

— Tędy! Tamtędy!

Mnie zachciało się śmiać. Zdawało mi się, że trąbka na złość basowi wykrzykuje:

— Nie tędy! I nie tamtędy!

Wreszcie wprowadzono nas do dużej, wapnem wybielonej sali. Nie było w niej ani łóżek, ani szaf. Jasno świecąca lampa zwisała ze środka sufitu. Nieznajome kobiety i dziewczęta, świeże, umyte, uczesane, uwijały się jak ospałe tuczone gęsi.

Po przeciwnej stronie wybielonej izby, oddzielonej przedpokojem i schodami, wiodącymi do facjatk, widniały otwarte drzwi do jeszcze jednej izby, pomalowanej na niebiesko.

Tu zebrali się mężczyźni na czele z narzeczonym, który zjawił się nieco później.

Do szyb w izbie przylepione były z zewnątrz spłaszczony nosy ciekawskich. Tojba zmęczona i senna siedziała z przymkniętymi oczami na starym krześle dajana.

Niskiego wzrostu Żyd z okrągłym brzuszkiem i podstrzyżoną bródką rzępolił gniewnie na kontrabasie. Wtórował mu na długiej trąbce wysoki młodzieniec w podartej marynarce z krótkimi rękawami. Prym wiodła chwytająca za serce gra na skrzypcach czarnego młodego muzykanta. Kobiety i dziewczęta pływały w tańcu jak kaczki. Raz do koła i raz z koła. Schodziły i rozchodziły się jak rozszoszczone indyki.

Moja mama przejęta i trochę podniecona, z rozwichrzonym lokiem na peruce płynęła razem z innymi tańczącymi niewiastami. Nie omieszkała też częstować gości bakalią i herbatą. Różnym dziewczętom życzyła, żeby wkrótce i one wyszły za mąż, a zamężnym kobietom, żeby doznały szczęścia odprawienia uroczystości z okazji obrzezania, a potem bar micwy swoich synów. Była w tych życzeniach delikatna i subtelna. Wymawiała je w sposób znamionujący, iż ona sama miała kiedyś dom, w którym klamki były z mosiądzu.

Potem mama zanuciła melodię skrzypkowi i ten zagrał warszawskiego walca. Mama zatańczyła z Tojbą. Wtedy pozostałe kobiety i dziewczęta odsunęły się na bok. Z drugiej izby przyszli mężczyźni. Spłaszczony nosy na szybach rozmnożyły się. Ciekawi byli jak kuma, kobieta już nie najmłodsza tańczy z panną młodą. I było na co popatrzeć. Z pochyloną na bok głową, z twarzą promieniującą zadowoleniem, na której odbijała się wielkowiejskość, mama prowadziła Tojbę w tańcu. Wirowała na czubkach palców, przechodząc z jednego taktu w drugi. Robiła to z dużym kobiecym wdziękiem. Oto zawirowała w lewo. Jedwabna sukienka poruszona powietrzem wyglądała jak balon. Przechylała głowę to na jedną, to na drugą stronę. Jakby wdzięczyła się do lustra. Tojba nie pozostawała w tyle. Wyższa od mamy, trzymając tren sukni w lewej ręce pozwalała się prowadzić. Szybko kręciła się na wysokich obcasikach. Jej śniada twarz promieniała. Głowa odrzucona trochę do tyłu, usta do połowy otwarte. Ni to się śmiały, ni to płakały. Raczej kogoś wzywały. Czarnowłosy skrzypek pochylił się przed mamą w ukłonie. Powiedział, że grał już w dużych miastach, ale tak tańczącej kobiety jak ona jeszcze nigdy nie widział. Kobiety z zaciśniętymi ustami i uśmiechniętymi twarzami trochę z niedowierzaniem podziwiałał mamę:

⁷⁶*Mincha* a. *Minche* — modlitwa popołudniowa. [przypis edytorski]

— Widziałyście?... Ale tańczy...

Potem przesunięto fotel sędziowski z siedzącą na nim Tojbą na sam środek sali. Kobiety i dziewczęta ustawiły się wokół fotela. Mały Żydek z brodą większą od całej twarzy, ochrypłym głosem zawołał:

— Kapela grać!

Rozmrucał się bas, rozdeła się trąbka i rozplakały się skrzypce. A on sam zaczął opiewać pannę młodą. Ze ściśniętego wzruszeniem gardła wydobył następujące słowa:

— Dzisiejszy dzień, panno młoda, porównać można do Dnia Sądnego. Jest najpiękniejszym dniem i zarazem najbardziej przykrym. Dzisiaj bowiem stoisz przed obliczem Króla Nieba tak, jak, nie przymierzając, przed obliczem cesarza. A jak stoi żołnierz przed obliczem swego cesarza? Musi wyróżniać się cnotą, mieć za sobą dobre uczynki i żywić w sercu bojaźń. Dlatego powinnaś dzisiaj odbyć pokutę i błagać Boga, żeby obdarzył cię łaską.

W połowie następnego zdania nagle się zakrztusił. Niezdrowa krew napłynęła mu do twarzy. Po krótkiej chwili złapał oddech i wytarłszy pot z czoła, kontynuował:

— Dzisiaj, panno młoda, jesteś jak drzewo, które dopiero wyrasta z ziemi. Nie rodzi jeszcze owoców. Ale kiedy słońce zaczyna ogrzewać korzenie drzewa, rozwijają się liście, rozkwita kwiecie, a potem z tego kwiecia wyrastają owoce. Słowem, dzisiaj, panno młoda, jesteś jeszcze, jakby to powiedzieć, niczym. Prochem i pyłem. Ale kiedy Bóg obdarzy cię łaską, rozwiną się twoje liście i wyrosną twoje owoce.

Lekkie dreszcze wstrząsnęły Tojbą. Mama wycierała chustką łzy z oczu.

Do pana młodego mały Żydek miał krótszą przemowę. Szewczyk odziany w sukienką kapotę, był niższy niż zwykle. Siedział na honorowym miejscu przy stole z oczami wbitymi w obrus. Wokół niego stali brodaci Żydzi ubrani w wyświechtane kapoty dnia powszedniego.

Mały Żydek odmówił modlitwę *El male rachamim*⁷⁷ w intencji matki pana młodego. Wychwalił pod niebiosa jego ojca, przełożonego jesziwy.

— A chociaż — zwrócił się do pana młodego — ty jesteś tylko szewcem, to jednak Bóg cię szanuje tak, jak największego bogacza, albowiem tanaita⁷⁸, rabi Jochanan, również był szewcem. Weź przeto przykład z rabiego Jochanana, „*basandlara*” (szewca). Jeśli tak postąpisz, i błogo ci będzie, a do Syjonu przyjdzie zbawiciel, amen.

Kiedy młoda para miała stanąć pod ślubnym baldachimem i mój tato położył swe duże ręce na głowie Tojby, żeby ją pobłogosławić, okazało się, że nie ma osoby, która mogłaby pobłogosławić panu młodemu. Skurczony, zmizerniały, pomniejszony stał szewczyk pod baldachimem. Miał na sobie cudzy płaszcz. Wypowiedział słowa zaślubin *harejat*⁷⁹ jakby czczym, wygłodniałym głosem. Nie trafił nogą w kieliszek, który mu podłożono na szczęście. Wychudła twarz świeciła chorobliwą zielonością. Klezmerzy zagrali weselnego marsza. Z przedpokoju weszła tanecznym krokiem mama trzymając w rękach dużą, brązową, plecioną chałę. Unosząc ją nad głowami obecnych, tańczyła i kołysała chałą tak, jakby kołysała dziecko do snu. Mama wyglądała teraz zupełnie nie tak, jak gdy czasami udawała. Nie było w niej śladu pańskości. Zniknął gdzieś jej pański podbródek. Wyglądała teraz na dobrą Żydówkę, rozdzielającą jałmużnę, która przyszła zabawiać biednych nowożeńców, żeby w ten sposób wypełnić boży nakaz. W taki też sposób odtńczyła z Tojbą tak zwany micewa-taniec⁸⁰. Jeden kraniec chusteczki trzymała Tojba, drugi mama. Skłon głowy do przodu i jakby się zanurzyła w wodzie, obrót partnerki i wyprostowanie głów, jakby wynurzały się z wody. Oznaczało to, że mama czyni wszystko z głębi serca, że nie była dla Tojby macochą, tylko prawdziwą matką.

Zupełnie inaczej ojciec wykonywał swój micewa-taniec ze swoją piękną córką, Tojbą. Nie patrzył na nią, nie zarzucał głowy do tyłu. Lekko pochylony ujął chustkę za breg. Ciężkimi krokami strudzonego człowieka wykonał kilka obrotów. Widać było, że nie

⁷⁷*El male rachamim* — „Bóg pełen miłosierdzia”, tekst modlitwy za zmarłych. [przypis tłumacza]

⁷⁸*tanaita* — tytuł nauczyciela wykładowcy w pierwszym okresie tworzenia *Talmudu*. [przypis tłumacza]

⁷⁹*Harejat* — „Oto ty...”, początek zdania, które wypowiada pod ślubnym baldachimem naręczony do swojej oblubienicy. W całości zdanie to brzmi: „Tym pierścieniem jesteś mi poślubiona według wiary Mojżesza i Izraela”. [przypis tłumacza]

⁸⁰*micewa-taniec* — taniec przykazania. Każdy z gości ma prawo zatańczyć z panną młodą podczas przyjęcia weselnego. [przypis tłumacza]

czuje się pewnie na nogach, że przeżywa jakąś rozterkę. Mnie się wydaje, że gdyby ojciec się nie wstydził, to by powiedział do Tojby: córko moja, może cię kiedyś zmartwiłem, więc wybac mi. Przeciem ojciec. Pragnąłem jedynie twojego dobra. Ty sama przecież zgrzeszyłaś.

Lecz jeśli on tego nie powiedział, to przemówiły skrzypce za niego.

Niepojęta rzecz, jak ten młody klezmer wyjął te słowa z ust ojca i z głębi mego serca. Tojba płakała. Na jej białej ślubnej sukni pojawiły się duże mokre plamy. Może właściwie odczytała słowa melodii skrzypiec, a może wyczuła coś niedobrego? Na dworze już dniało. Ciężka niebieska mgielka pokryła szyby okien. Kobiety i dziewczęta ciężko opadły na krzesła, potężnie ziewały. Wezwano już gości do składania prezentów ślubnych. I nagle powstał tumult. Pan młody upadł zemdłony na podłogę. Pierwsza zerwała się z krzesła mama.

Unosząc trochę przydługą jedwabną suknię wpadła do męskiej izby. Za nią wtoczyły się jak owce kobiety i dziewczęta. Zrobiło się ciasno w drzwiach. Rozległy się krzyki:

— Wody! Może należy wezwać felczera? Kto pobiegnie po felczera?

Ale nikt się nie ruszył. Puścili tylko języki w ruch.

Mówiono, że pan młody wypalił przy stole zbyt dużo papierosów. Ci, którzy siedzieli obok niego, twierdzili, że zauważyli, jak skutek palenia stawał się coraz bardziej zielony na twarzy. Ktoś go nawet zapytał, co mu jest, ale ten nie odpowiedział i w pewnej chwili runął z krzesła na podłogę.

Ktoś zaczął krzyczeć w jego zieloną twarz. Ktoś naciskał mu na serce. Ktoś usiłował otworzyć mu zaciśnięte usta, ale wszystko na nic.

Jego upadek był nietypowy. Trząśnięcie było całe, kolana mu drżały. Ręce miał rozrzucone na boki. Głową kręcił tam i z powrotem. Na wargach pojawiła się biała piana.

— Nic innego — oświadczył Żyd, który przybiegł ze szklaneczką wody — jak tylko to, że cierpi na tę znaną wam ciężką chorobę. Podłóżcie mu pod głowę klucz.

Klucz podłożył mu tato. Stał pochylony nad zięciem, tak jakby chciał go prosić o przebaczenie. Mnie się wydawało, że od dzisiaj tato już nie będzie mógł podnieść głowy i patrzeć komukolwiek prosto w twarz.

Ramiona mamy również opadły. Wymknęła się na zewnątrz. Świtało. Z bielonej wapnem sali, gdzie tańczono całą noc, dochodził teraz żaloszny szloch Tojby. Zdarła z siebie welon, objęła rękoma piękną, czarną głowę i kołysała się na boki.

— Czegóżście ode mnie chcieli? — wołała do taty, mamy, wszystkich zebranych

Skąd na mnie taki wstyd? Epileptyka mieć za męża? Pójdę na służbę. Będę szorowała podłogi, a mieszkać z nim — nie będę...

Na służbę jednak Tojba nie poszła. A bo to mało się naszorowała cudzych podłóg? Mało to nagotowała się i napięła dla delikatnych chasydzkich panów z laszczkami z kości słoniowej? Została więc w miasteczku.

Wolf, jej mąż, miewał od czasu do czasu ataki. Tojba wkładała mu pod głowę klucze, wydała na świat chłopaka o wielkiej blond głowie i jeszcze jednego, czarnego. Następnie urodziła jeszcze dziewczynkę o oczach, które za dnia były niebieskie, a nocą zielone. To były oczy Tojby, które straciły kolory, gdy ona wkładała mężowi klucze pod głowę.

ROZDZIAŁ XXVI

Po weselu Tojby zebraliśmy drugi pokos z łąk. Słońce zachodziło już w połowie dnia. Było żółte i zimne. Z ziemi wiało wilgotnym i zgniłym zapachem. Spichlerze i stodoły pękały od zebranego zboża. Co nam teraz pozostało do robienia?

Zapakowaliśmy więc pościel, garnki oraz miski i opaleni, wypoczęci pojechaliśmy z powrotem do miasta. Po drodze widzieliśmy, jak chłopci przystąpili już do nowej orki. Za pługiem kroczyły czarne stada kruków i wron. Pachniało zleżałymi jabłkami, kiszoną kapustą i ciepłym jęczmieniem.

Długi Luzer w drodze powrotnej przy karczynie zatrzymał nasz wóz i złożył ojcu gratulacje z okazji ślubu córki. Spytał, jak trawa obrodziła i czy będzie zysk. Nie zapomniał przy tym dodać, że jeśli Lejbke wróci z wojska, ojciec ma go natychmiast zawiadomić. Córka Luzera, Sara, której twarz podczas lata zaokrągliła się i wygładziła, a biodra znacznie pogrubiały, podała nam po talerzu barszczu zaprawionego czosnkiem, a na drugie po

dużym kawałku tłustego mięsa z kartoflami. Poczęstowała nas również wiśniakiem własnego wyrobu. Po poczęstunku, kiedy wsiedliśmy do wozu, żeby ruszyć w dalszą drogę, mama stwierdziła, że dziewucha z karczmy z pewnością jest osobą gospodarną i zaradną, a Luzer posiada niewątpliwie sakwę pełną forsy. Kiedy Lejbke powróci ze służby u Iwana, trzeba będzie koniecznie pogadać z Luzerem o urządzeniu jego przyszłości. Tato się nie odzywał. Wyglądał na osobę, którą trapi smutek. Mnie też nie było wesoło. Na wozie zabrakło Tojby. W oczach nadal miałem widok leżącego w drgawkach i z pianą na ustach jej męża. Koń wlokł się ospale. W koronach topól krakały wrony. Tym razem nie napiliśmy konia przy mostku. Nawet tutaj wyczuwało się, że nadchodzą Straszne Dni z ich grozą i melancholią.

W mieście można to już było dostrzec na twarzach Żydów. Błagalne modły odprawiane o północy zostawiły na ich twarzach ślady bezsenności, niepokoju i troski, które zawsze towarzyszą dziesięciu dniom pokuty. Nie lubię tych dni. Jest to bowiem czas, kiedy tato budzi mnie w środku nocy i prowadzi do bóżnicy na błagalne modły zwane Slichu. Muszę wtedy wysłuchiwać pękniętego głosu kantora Moszki.

W domu wszyscy chodzą zatroskani i zmartwieni. Co rano muszę pędzić do bóżnicy, żeby się pomodlić i wysłuchać trąbienia w szofar⁸¹, który zawsze przywodzi mi na pamięć śmierć. Co by to komu, myślałem w duchu, szkodziło, gdyby lato trwało przez cały rok? Czy nie byłoby piękniej, gdyby błagalne modlitwy odmawiano na polach, zbożem malowanych? Czy nie byłoby milej Bogu, gdyby przy pulpicie kantorskim stał młody człowiek o pięknym głosie, a nie Moszke od garkuchni, który stęka jak tępą piłą? A w ogóle dlaczego Żydzi wybrali sobie takie smutne święta? I oto zajęliśmy już na nasze podwórze. Jarme ze swoim omnibusem zapewne był w Warszawie. Nikt bowiem nie wyszedł na spotkanie z nami. Od sadu czuć było wilgocią. Kiedy otworzyliśmy drzwi mieszkania uderzył nas w nozdrza zapach myszy i pajęczyny. Ze wszystkich zakątków wylaziły robaki. Czarne, żółte, wypasione.

Mama razem z wynajętą gojką, uzbrojone w ścierki i miotłę, robiły w domu porządek. Sprzątały i myły. Czekają nas przecież święta.

Ja objąłem się. Do chederu przed świętami już się nie chodziło. Zresztą melamed Szyme-Josef w czasie naszego pobytu na wsi, przeniósł się na tamten świat. Żona bałaguły Jarme powiedziała, że w kondukcje pogrzebowym szedł urzędowy rabin, reb Aron. Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, jakim porządnym i uczciwym człowiekiem był Szyme-Josef. Ciało zawieziono najpierw do bóżnicy. Sam rabin odprawił hesped⁸². Płacz i lament sięgały nieba. Tylko jego uczniowie, głupi i łobuzowaci, nie uronili ani jednej lezki.

Ja bym chyba też nie płakał, albowiem Szyme-Josef, ten porządny ze wszech miar Żyd, miał brzydki nawyk szczypania chłopców z chederu w miękka część ciała. Miał też ten porządny i wielbny Żyd zwyczaj wypędzania nas w połowie tygodnia, to znaczy w środę, na ulicę. Zamykał potem drzwi do chederu na łańcuch. Welwele, chłopiec zwany gojem, bo już zdążył się kiedyś najeść wieprzowiny, wyjaśnił nam, że rebe wygania nas dlatego, że podczas naszej nieobecności kładzie się z rabinową do łóżka. On, Welwele, zobaczył to kiedyś na własne oczy. I jeszcze jeden nawyk miał Szyme-Josef. Zabierał często chłopcom jedzenie, pożyczal od nich pieniądze i nigdy nie zwracał.

Ale jak by tam nie było, Szyme-Josef jest już w Świecie Prawdy. Należało mu oddać cześć. Przecież był to biedak nad biedakami.

Jeszcze nie wiem, do którego chederu mam teraz iść. Ja bym chętnie poszedł do szkoły pana Pomeranca, ale tam uczą się tylko dzieci bogaczy. Mendel, syn cici Noemi, tam właśnie się uczy. Tymczasem nie robię nic. Jankiela nie ma. W ogóle się o nim nie mówi. Żona bałaguły Jarme chodzi z dość okazałym brzuchem.

— Z pewnością jest w ciąży — powiada mama, trochę zadziwiona — w tym wieku?

Żona starszego strażnika chodzi z zadartym nosem. Twarz ma pokrytą żółtymi plamami. Mama nie patrzy na nią. Rosyjska gojka również odwraca od mamy głowę. Nie rozmawia z nikim z naszego podwórza. Jej mąż zasuwa po podwórku dużymi krokami pobrzękując szablą i nie odpowiada na żadne „dzień dobry”. A ja chętnie bym go zapytał o to, co porabiają w więzieniu morderca Szczepko i rozbójnik Szwerman. Cie-

⁸¹szofar — róg barani do trąbienia w czasie modłów w święta Rosz Haszana i Jom Kipur. [przypis tłumacza]

⁸²hesped — mowa pogrzebowa. [przypis tłumacza]

kaw jestem, czy zesłano ich już na Sybir. Chciałbym też porozmawiać z jego córeczką, z Janinką. W ciągu lata wyrosła. Jej oczy przybrały kolor ciemnobłękitny. W długich jasnych, lnianych włosach lśni jedwabna niebieska kokardka. Przystąpić teraz do Janinki nie sposób. Nosi granatową sukienkę z czarnym fartuszkim. Żona bałaguly powiada, że Janinka uczęszcza już do żeńskiego gimnazjum. Czuję, że już nigdy nie podejść do Janinki. O czym mógłbym z nią rozmawiać? Oprócz *Pięcioksięgu* i komentarzy Razinego nic jeszcze nie umiem. W Leniwie zdążyłem i to nawet zapomnieć. Szczęście, że zbliżają się święta. W świąteczne dni nie myśli się poważnie o przyszłości.

Na cześć święta zrobiło się bogato w domu. Mama kupiła winogrona, miód, dwie plecione chały. W misce pływał karp. Czuło się zapach faszzerowanej kury. Szkoda tylko, że tym razem na Rosz Haszana nikt do nas w gościnę nie przyjechał. Ani z Warszawy, ani z Łodzi.

Toteż mimo czysto sprzątniętego mieszkania, mimo zapachu smakowitych potraw, smutek unosi się w domu. Przy stole jest nas tylko troje. Posiłki zjada się na chybcika. Patrzymy w czysto umyte okna, jakbyśmy kogoś wypatrywali.

Pocieszam się tym, że w Leniwie jest teraz jeszcze bardziej smutno. Pole dawno już zżęte. Las czarny, mokry. W chałupie pali się lampa naftowa albo świeczka łożowa. A u nas, było nie było, jest jasno. Na stole pachną winogrona i miód. A jak się bardzo, bardzo chce, to nawet nie jest tak smutno. I oto drugiego dnia świąt ojciec przyprowadził z bóżnicy gości. Młodego żołnierzyka z Rosji. Chłopak ma czarne wąsiki i czerwone policzki. Gdyby nie ogolona jak u złodzieja głowa można by było pomyśleć, że to Moj-sze, mój zmarły brat. Mówił z akcentem litwackim. Litera „r” dziwnie u niego brzmiała. Kiedy zabrakło mu stosownego żydowskiego słowa, zastępował je rosyjskim. — *Da* — mówił — *tak toczno barinia*⁸³.

A *barinia*, to znaczy mama, chętnie z nim rozmawiała. Wypytywała go o to, skąd pochodzi, co robi w wojsku i jak długo jeszcze ma służyć. Jej podbródek przy tym nady-mał się i marszczył. Żołnierzek powiedział, że pochodzi z Kijowa. Jego ojciec to kupiec pierwszej gildii. Siostra to *zubnoj wracz*⁸⁴, a starszy brat to *aptekar*.

— Co to jest *aptekar*?

— To taki, co robi lekarstwa.

— Pan chyba ma na myśli aptekarza — wtrąciła się mama.

— *Da, da, barinia, aptekar*.

— Może Żyd być aptekarzem w Rosji?

— *Konieczno*⁸⁵.

— Słyszeliście — dziwi się tato — u nas w Polsce rzecz nie do pomyslenia.

— Nawet w Warszawie nie ma Żyda aptekarza.

— *Nieuzęli?* — odpowiada żołnierzek podkreślając wąsy.

— *Da, da* — odpowiada mama już po rosyjsku, przy czym oświadcza, że sama miała związki z aptekarzami, bo jej pierwszy, zmarły mąż, był felczerem. Jej starszy syn też się uczy na felczera.

Tato patrzy w usta żołnierzyka pilnie i uważnie go słucha. Ten zaś opowiada dużo o swoim mieście rodzinnym i o ulicy tamtejszej, która nazywa się Kreszczatik. Mówi, że Żydom nie wolno mieszkać w Kijowie, że muszą dostać najpierw *prawizitielstwa*, a to kosztuje majątek. Tato nagle przerywa mu:

— A Katerinosław daleko od Kijowa?

— Daleko, oczywiście, że daleko.

— Ach tak, a ja myślałem, że niedaleko.

— W jakim celu pyta pan?

— Mam tam syna w Katerinosławiu.

— W wojsku?

— Tak, u Iwana.

— Już długo?

— Już powinien był wrócić do domu.

— Kiedy?

⁸³*Da* (...) *toczno barinia* (ros.) — tak (...) dokładnie, proszę pani. [przypis edytorski]

⁸⁴*zubnoj wracz* (ros.) — dentysta. [przypis edytorski]

⁸⁵*konieczno* (ros.) — oczywiście. [przypis edytorski]

- Według moich obliczeń już powinien być.
- Z pewnością wróci po świętach. Iwan zwalnia dopiero w październiku.
- *Tak toczno*⁸⁶.
- Trzeba liczyć, że w naszym miesiącu Cheszwan.

Iwan zwolnił jednak syna ojca wcześniej. Tak chyba wyliczył, żeby Lejbke zjawił się w domu w Jom Kipur. Było to po poniedziałkowej modlitwie *Mincha*. Na stole w doniczce z piaskiem tkwiła długa cienka świeca. Na górnych szybach osiadł chłodnawy, niebieski cień. Jedliśmy rosół z makaronem, nadziewaną kurę i gotowane jabłka.

Ojciec tylko kosztował każde danie.

— Im mniej się je — powiedział — tym łatwiej znosi się post.

Mama włożyła już biały żabocik na czarną bluzkę z tafty. Ja pomagam jej sprzątać ze stołu. Długa, cienka, martwa świeca pali się żółtym płomieniem. Płomień świecy odbity w lustrze. Żółte tło poświaty. Tato szuka jomkipurowej mycki, w której srebrne nitki zdążyły na przestrzeni długich lat żółknąć. I oto niespodziewanie otwierają się drzwi, a do mieszkania wpakowuje się obcy człowiek z walizką w rękę. Ubrany jest w czarny krótki płaszcz i czarny sztywny kapelusz. Wygląda na doktora. Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że czarny, krótki płaszcz jakby nie należał do niego. Kapelusz także nie pasował. Tato wciąż jeszcze szuka mycki. Obcy człowiek powoli stawia walizkę na podłodze, patrzy na ojca, i z uśmiechem na ustach powiada:

— Wesołego święta!

Ojciec cofnął się o krok. Wyglądał jakby na przestraszonego. Przerażonym nieco głosem nagle zawołał:

— Lejbke?

— Tak, to ja, tato.

Tato chciał jeszcze coś powiedzieć, ale czy zabrakło mu oddechu, czy też stracił rozum, dość, że znowu westchnął i zapytał:

— Lejbke?

Mama widocznie też nie mogła uwierzyć, że to on. Nie ruszyła się z miejsca. Zdumionym i obcym zarazem wzrokiem patrzyła na przybysza. Usłyszawszy jednak dwukrotnie powtórzone przez ojca imię jego syna, jakby nieswoim głosem zawołała:

— Lejbke? A to ci gość!

Mimo woli i ja wykrzyknąłem:

— Lejbke!

Cały dom wypełnił się Lejbkiem. Duża broda ojca zaplątała się w wąsach Lejbke.

— Masz pojęcie — zawołał tato drżącym głosem — taka niespodzianka!

— Jak się masz? Pokaż no się, jak wyglądasz!

Mama stała z boku. Czekala, aż ojciec uwolni syna z objęć. Wtedy ona przywitała się z nim. Ja nie wiedziałem, jak się zachować. Czy mam podejść do niego, objąć i pocałować? Rozstrzygnął sprawę sam Lejbke.

— Ciociu, jak się ciocia ma?

— Dziękuję, a ty?

Pocałował mamę w rękę. Mnie objął, uściśnął i pocałował w usta. Poczułem zapach tytoniu.

— Mendel, aleś wyrósł. Cały z ciebie kawaler. Żebyś mi tylko zdrowy był.

Ciepło mi się zrobiło w ramionach Lejbke. Wyczułem w nim brata. Bliższego niż Jojne, który kiedyś przyjechał do nas w święto Pesach.

— Z pewnością jesteś głodny? — powiedziała mama. — Siadaj do stołu i zjedz coś. Przecież zaraz będzie *Kol Nidrej*⁸⁷.

— Niech się ciocia nie trudzi. Już jadłem.

— Gdzie jadłeś? Przecież dopiero co przyszedłeś.

— Jestem już w mieście od dwóch godzin. Zajechałem przedtem do gospody. Umyłem się, zjadłem i wtedy dopiero udałem się do was.

— Do gospody? Dlaczego? Czy nie masz rodzinnego domu?

⁸⁶*tochno* (ros.) — dokładnie. [przypis edytorski]

⁸⁷*Kol Nidrej* — wszystkie ślubowania. Modlitwa śpiewana w wieczór rozpoczynający Jom Kipur. Kantor w imieniu wspólnoty zwalnia wszystkich Żydów od ślubowań, które złożyli pod przymusem. Chodziło o tych, którzy w Hiszpanii i Portugalii przyjęli pod przymusem wiarę chrześcijańską. [przypis tłumacza]

— Nie ma sprawy, ciociu. Tak jest lepiej.
— Zapewne chcesz się przebrać, więc pośpiesz się — powiedział ojciec — bo robi się późno.

— Nie, ojczu. Nie muszę się przebierać.
— W tym stroju pójdiesz na *Kol Nidrej*?
— Dlaczego nie? Czy to brzydki strój?

Ojciec nie był przyzwyczajony do takiego stroju. Kiedy Lejbke zmobilizowany został do wojska nosił jeszcze długą kapotę i żydowską czapczkę. Teraz ubrany był jak prawdziwy Niemiec. Jak z takim pokazać się w bóżnicy. Mimo to szedł z synem po ulicy ramię w ramię. Ja trzymałem się blisko czarnych pół płaszcza Lejbke. Przecież przyjechał z samego Jekatierynosławia. Niech wszyscy widzą, jak mój brat wygląda.

Tato co chwila przystawał. To się witał z tym, to z tamtym znajomym Żydem. Składał życzenia zadowolenia z życia w przyszłym roku i przedstawiał Lejbke.

— To mój syn, Lejbke. Wrócił od „Foni”, czyli z wojska.
— Moje gratulacje. A co tam słyhać? Co się tam porabia?

Serdecznie pozdrawiają Lejbke. Patrzą mu w twarz. Wszyscy oglądają się za nami.

Nawet w wypełnionej już po brzegi bóżnicy dostrzegają Lejbkego. Wśród tylu białych kitli i tałesów on jeden ma na głowie czarny, twardy kapelusz.

Być może nie wypadło, żeby Lejbke przyszedł do bóżnicy ubrany po niemiecku. Powinien był raczej udać się do dużej synagogi. Tam było sporo takich dużych kapeluszy. Czy ojciec mógł jednak zrezygnować z przyjemności pokazania się z synem z pierwszego małżeństwa, który w dodatku dopiero co przyjechał z samego Jekatierynosławia? Rozległ się cichy łamiący głos rabina Arona. Wyczuwało się w nim prawdziwy strach. Wypowiedział pierwsze słowa poprzedzające modlitwę *Kol Nidrej*.

— „Z woli Bożej i woli gminy, za zezwoleniem Boskim i ludzkim pozwalamy modlić się z grzesznikami”.

Twardy czarny kapelusz Lejbke sprawił, że kantor Moszke sfalszował melodię. Lejbke uśmiechał się pod wąsem. Powiedział, że tam w Jekatierynosławiu, w synagodze coś podobnego nie może się zdarzyć.

— *Nieważność*⁸⁸ — oświadczył — tam w synagodze, to tak jak w wojsku. Nie wolno się śpieszyć i nie wolno przegapić. Trzeba słuchać starego feldfela, to znaczy kamertonu.

— Tam — dodaje Lejbke — zupełnie inna modlitwa, *sawsiem drugaja żyzn*⁸⁹.

Do późna w nocy opowiadał nam potem o tym innym życiu. Ojciec w małym tałesie siedział na brzegu łóżka i opatrywał chorą nogę. Mama w białym nocnym czepku leżała w swoim łóżku. Ja obok Lejbke. Wszyscy słuchaliśmy jego relacji o tym, że w Jekatierynosławiu jest dużo „baryniów” i „baryń”. Noszą duże kozuchy i futrzane sztrajmły. W sobotę Żydzi mają sklepy otwarte, a modlitwę odprawiają tylko w święta.

— A ty też nie modliłeś się? — zapytał ojciec, unosząc głowę znad chorej nogi.

— Jak był czas, to się modliłem.

Ojciec ciężko westchnąwszy, oświadczył:

— Dziki kraj! Świński kraj!

— Wcale nie jest taki dziki, tato. Ludzie tam są bogaci. Kupcy *pierwoj gildii* i kupcy *wtorój gildii*⁹⁰.

— A jak się tobie powodziło?

— *Charaszo*⁹¹. *Komandir polka*⁹² nie oddałby mnie nawet za worek barszczu. Lowka, mówił do mnie, pobeignij i przynieś mi butelkę spirytusu. Lubił zaglądać do kieliszka, ten mój *komandir*. Zaś starszy feldfebel, z nim byłem za pan brat. Za parę groszy można było się z nim dogadać.

— A z kotła jadłeś?

— *Kakoj tiebie kociał*⁹³? Z kotła jadł Iwan⁹⁴. Ja jadłem na mieście.

⁸⁸nieważność (ros.) — nie można, (to) niemożliwe. [przypis edytorski]

⁸⁹sawsiem drugaja żyzn (ros.) — zupełnie inne życie. [przypis edytorski]

⁹⁰pierwoj (...) wtorój gildii (ros.) — pierwszej, drugiej gildii. [przypis edytorski]

⁹¹charaszo (ros.) — dobrze. [przypis edytorski]

⁹²komandir polka (ros.) — komendant pułku. [przypis edytorski]

⁹³kakoj tiebie kociał (ros.) — jaki tobie kocioł; jaki znów kocioł. [przypis edytorski]

⁹⁴Iwan — tu: Rosjanin; Rosjanie. [przypis edytorski]

— Zarobiłeś przynajmniej trochę pieniędzy u Iwana?

— Kto potrzebuje pieniędzy? Do czego mi były pieniądze potrzebne?

Lejbke jeszcze długo perorował. Mama już zdążyła przewrócić się w łóżku na drugi bok, a tato uporać się z chorą nogą, a Lejbke, leżąc ze mną w jednym łóżku, snuł dalej swoje opowieści. Z jego ciała bił zapach dziegciu. Ten sam zapach miał żołnierz, który gościł u nas drugiego dnia Rosz Haszana. Spałem ciężkim snem. Dziegieć osiadł mi na podniebieniu. W mojej wyobraźni poplątali się dowódca kompani Lejbke, „*baryniowie*” i „*barynie*” razem z ojcem i matką. Nazajutrz chodziłem z ciężką głową. Wydawało mi się, że jest ze szkła. W bóżnicy unosił się gorący zapach wosku z dopalających się świec. Garbaty goj krążył wśród pulpitów i zbierał wosk, który kapał ze świec. Ustawiał równo pochylone świece. Na skargi, prośby i westchnienia modlących się Żydów był głuchy. Fiszel, syn rzeźnika, który przerabiał już *Gemarę* i *Toseftę*⁹⁵, pomagał kantorowi przy modlitwie *szacharit*⁹⁶. Śpiewał ładniej niż Mendel, syn ciotki Noemi. Jakoś cieplej i pobożniej. Mnie jednak tegoroczne modlitwy nie chwyciły za serce. Kantor Moszke rąbał słowa hebrajskie jak goj. Ciągnęło mnie do synagogi. Chciałem posłuchać starego litwackiego kantora, a przede wszystkim chciałem być razem z Lejbke, gdyż on właśnie dzisiaj poszedł do wielkiej synagogi. Wpadłem do niej podczas wyjmowania rozdziałów do czytania *Pięcioksięgi*. Lejbkego nie zauważyłem. Na dworze siedzieli spoceni Żydzi w białych kitlach i wzdychali. Młodzi natomiast jedli, mimo obowiązującego postu, bułki z miodem. Lejbkego nigdzie nie było.

Ojciec zapytał mnie, czy widziałem tam Lejbkego.

— Jasne — powiedziałem. — Dlaczego miałbym go nie widzieć?

Serce jednak bolało mnie, że musiałem w Jom Kipur oszukać ojca. Podczas odmawiania ostatniej świątecznej modlitwy *Neila*⁹⁷ byłem znowu w synagodze. Lejbkego jednak ciągle tam nie było. Żał mi było, że nie ma go teraz, ponieważ *Neile* odprowadzał rabin Aron. Bez chórzystów i bez śpiewów. Odmawiał ją na głos. Ale co to było za odmawianie! Lwy i jelenie oraz flety, skrzypce i bębny wyrzeźbione na wschodniej ścianie synagogi zeszły z niej i modliły się razem z wszystkimi Żydami. Lejbke nie twierdziłby już, że tam w Jekatierynosławiu, w tamtej synagodze, w której trzeba mieć starszego feldfebla, jest ładniej.

Ale spróbuj go znaleźć. Zobaczyłem go dopiero wieczorem po święcie, w domu. Kto wie, czy on modlił się i czy pościł?

Posilek zaczął od śliwek. A kto po poście zaczyna jedzenie od śliwek? I po kolacji znów sięgnął po śliwki. Martwiło mnie, że się tak zajada śliwkami. Dlaczego? Kiedy przyszli goście, też nie przestawał ich żuć. Przyszła nasza siostra Bejla ze swoim wysokim mężem Wolfem, bałaguła Jarne ze swoją ciężarną żoną. Lejbke rozcałował się ze swoim szwagrem. Objął i uściskał siostrę, która pogłaskała go po ramionach tak, jak się głaszczce zwierzę. Lejbke nie omieszkiał przy tym wziąć ze stołu śliwki.

Nasz szwagier i bałaguła Jarne rozsiedli się, szeroko rozstawiając nogi. Gapili się i pilnie przysłuchiwali opowiadaniom Lejbkego, który opowiadał o jekatierynosławskich cudach i o swoich tam sukcesach. Co chwila przerywali mu pytaniem, czy dorobił się u „Foni” pieniędzy.

Lejbke jednak nie miał czasu na to, żeby im odpowiedzieć, albo też wolał zachować tajemnicę. Co tam będzie gadał na taki temat z prostakami, kiedy do mieszkania nagle wszedł starszy strażnik z żoną Rosjanką. Goje, widać, zapomnieli o tym, że się z mamą pogniewali. Zjawili się nieproszeni, uśmiechnięci i lekko zażenowani.

— *Zdrastie*⁹⁸ — powiedzieli, przystając niepewnie na progu. Mama ucieszyła się nimi bardziej niż własnymi gośćmi. Bardziej nawet niż Lejbkem. Przywitała ich serdecznie. Z tą serdecznością, z jaką wita się kumów. Z większym od nich zażenowaniem zaczęła trochę nieskładnie mówić, adresując słowa ni to do siebie, ni to do nikogo:

— A to ci niespodzianka. Zupełnie tego nie oczekiwałam. Tacy mili goście.

⁹⁵*Tosefta* — uzupełnienie, suplement do *Talmudu*. [przypis tłumacza]

⁹⁶*Szacharit* — modlitwa poranna. [przypis tłumacza]

⁹⁷*Neile* — modlitwa kończąca Jom Kipur. [przypis tłumacza]

⁹⁸*zdrastie* — dzień dobry (formuła powitania). [przypis edytorski]

— *Niczewo*⁹⁹ — łaskawie oświadczył starszy strażnik i usiadł na krześle, także szeroko rozstawiając nogi.

Żydowski goście zamilkli. Lejbke poczuł, że ma teraz przed sobą swoich ludzi. W jednej chwili zapomniał o własnej siostrze, ojcu i mamie. Zaczął opowiadać swoje historyjki po rosyjsku. Mówił już nie do nas, ale do strażnika i jego pięknej żony. Znowu opowiedział o swoim dowódcy kompanii. Jak ten nazywał go Lowka i jakim wspaniałym był człowiekiem. Po prostu brylant. Strażnik przypomniał sobie wtedy swego dowódcę kompanii i dowódcę plutonu. Wspominał generała, którego żona uciekła z kochankiem.

Potem Rosjanka zapytała Lejbke, czy czasem nie był w jej miasteczku nad Donem.

— Jasne, że byłem tam! Odbywaliśmy tam manewry.

— Ach tak? — westchnęła z radości — co tam słychać? Czy widział pan tam popa?

— Oczywiście! Jak miałem go nie widzieć? Stary już jest.

— Powiada pan, że stary? Nie może być. Ileż to mu lat? Kiedy wyjechałam stamtąd miał czarną brodę.

— O nie, szanowna pani. On już jest stary. Brodę ma już całkiem białą.

— A może to ktoś inny?

— Nie. To ten sam, szanowna pani.

Bałagula Jarne i wysoki Wolf chcieli się wtrącić do rozmowy. Też kiedyś służyli u „Fonio”, ale żona starszego strażnika i Lejbke rozgadali się tak szeroko i prawdziwie po rosyjsku, że tamci nie potrafili dotrzymać im kroku. Nie wszystko rozumieli. Tylko ojciec miał ogromną satysfakcję z rozmowy syna z Rosjanką. Jak się jest dostawcą siana dla wojska, to się rozumie po rosyjsku.

Siedział więc uśmiechnięty i co chwila zerkał na mamę i wołał:

— I co Frumet? Co powiesz o Lejbke? Nie spodziewałaś się tego po nim.

Mama się nie odzywała. Tak jak przedtem ucieszyła się gojskimi sąsiadami, tak teraz zamilkła. Nie leżało w jej naturze, żeby inni rozmawiali, a ona milczała. Lubiła, żeby jej słuchano, żeby ją widziano. Teraz zaś mówili inni, jej nikt nie zauważał.

Toteż następnego dnia, kiedy Lejbke nie było w domu, kilka razy powtórzyła, że Lejbke opowiada o Jekatierynosławiu, jakby to było miasto leżące za morzem. A jeśli już dowódca kompanii nazywa go Lowką, to co to za powód do dumy.

— Głuptasku — odezwał się ojciec — czy to nie ciekawe?

— Za pierwszym razem może i ciekawe, ale jak się w tę i we w tę bez przerwy gada: „U nas w pułku” to ma się tego dosyć. Ciastka też się mogą przejeść.

— A ja bym go słuchał i słuchał — powiada ojciec.

— I słuchaj go na zdrowie. Nikt ci tego nie zazdrości.

Obecność Lejbke zaczęła mamę martwić. Za ciasno jej było mieszkać z nim pod jednym dachem. Nie był jej synem. Nie zwracał się do niej, jak Tojba per ciotuniu, tylko po prostu ciciu. Nie chodził po mieszkaniu, jak Tojba, na paluszkach. Miała do niego pretensje, że chrapie w nocy, że nie przychodzi na czas na posiłki. Nie ma przecież obowiązku pilnować dla niego garnków. Wszystko to jednak straciło na znaczeniu, kiedy z Warszawy nadeszła pocztówka, na której było napisane, że jedyna córka mamy z pierwszego małżeństwa, Cype, wybiera się do nas na święto Sukkot.

Z kartki nie wynikało, czy przyjeżdża sama, czy też z narzeczoną, szcnotkarzem. Mama nie miała w ogóle pojęcia o tym, co się stało z narzeczoną. Ale było nie było, przygotować się na przyjęcie gości należało. I zaczęła mama czynić przygotowania.

Sprzątanie, mycie podłóg, czyszczenie sama załatwiała. Kiedy ojciec wręczył jej pieniądze na urządzenie święta, bez przeliczania ich zaczęła utyskiwać:

— Ile mi dajesz?

— Ile mam dać?

— Zapominasz, że Lejbke też jest.

— Nie zapominam, dlatego dałem ci więcej.

Mama nie przeliczyła miedzianych monet, ale zanim tato zdążył wciągnąć na siebie kapotę, rzuciła mu na stół rulon z monetami:

— Co mi dajesz? Co mam najpierw kupić?

— Czego się rzucasz? A ile ci mam dać?

⁹⁹*niczewo* (ros.) — nic nie szkodzi. [przypis edytorski]

— Co ty? Nie wiesz, że przed świętami ceny idą w górę? Twój Lejbke lubi coś lepszego do jedzenia i moja Cypele, oby była zdrowa, przyjedzie przecież na święta.

— Twoja Cypa? Dlaczego raptem?

— A dlaczego nie? Czy nie jest moim dzieckiem?

— Nie zabieram ci jej. Uchowaj mnie Bóg od tego. Przeciwnie, rad jestem, ale gdzie ją położysz spać?

— Gdzie ją położę? Myślisz, że mama nie znajdzie dla niej miejsca?

— Nie mam wątpliwości, ale mimo wszystko trzeba się zastanowić, gdzie ją położyć.

— Już się zastanowiłam. Będzie spała w łóżku Mendele.

— A gdzie będzie spał Mendele?

— Z tobą.

Przez chwilę ojciec milczał. Patrzył na rozrzucone monety na stole i nie otwierając prawie ust, zapytał:

— A Lejbke?

— Lejbke może spać u twojej siostry Noemi.

— U Noemi? Co to ojca nie ma? A dlaczego twoja Cypele nie może pójść spać do Miriam?

— Już ją wypędzasz? Jeszcze nie zdążyła przyjechać i już ją wyganiasz?

— Nie wyganiam, ale Lejbke jest mi tak samo drogi, jak tobie Cypele.

— Lejbke to mężczyzna. Może spać, gdzie chce, zaś moja Cypele, to nie twoja Tojba.

Tato nie mógł trafić ręką do rękawa kapoty. Nie zadawał więcej pytań. Wyjął z kieszeni jeszcze jeden rulon monet. Połowę zostawił na stole i ciężkim krokiem wyszedł z domu.

Po jego wyjściu mama zaczęła szybciej sprzątać. Czyniła to z jakimś zacięciem. Co chwila pociągała nosem i wreszcie rozplakała się na dobre. I po co była ta cała awantura? Przecież sam Lejbke oświadczył, żeby mu pościelono w kuchni na ławkach, a Cypie żeby oddać łóżko.

ROZDZIAŁ XXVII

Cypa zjawiała się rano w wigilię święta. Młoda, zarumieniona, pachnąca wielkowiejskością. Do mieszkania weszła krokiem dziarskim, z hukiem i trzaskiem. Od razu wypełniła sobą cały dom. Postawiła na podłodze swoje pudła i koszyki. Zarzuciła łóżko rękawiczkami, torebkami i wałkami. Latała po mieszkaniu jak spłoszona kura, wzniesając dookoła kurz. Pierwszego już dnia pobytu zrobiła mamie zarzut, dlaczego lustro wisi zbyt wysoko i twarz w nim odbita ma kolor niebieski.

Mamie wskutek tego peruka ześlizgnęła się na bok. Nie wiedziała, gdzie się podziać.

— Cypele — zapytała zmieszana trochę — i co u ciebie słychać? Jak ci się powodzi? Jak z twoim zdrowiem? Słyszałam, że podobno kasłałaś.

— Jestem zdrowa, mamusiu. Wcale nie kasłałam.

— To dlaczego tak źle wyglądasz? Masz jakieś zmartwienie?

— Nie, mamo. Dlaczego miałabym mieć jakieś zmartwienie?

— Nie wiem. Jesteś przecież sama w tej Warszawie.

Mama skrzywiła się. Chyba chciała, żeby Cypa źle wyglądała. Twarz Cypy jaśniała jednak mlekiem i krwią. Jakby leżała na niej jasna rosa. Wdzięku nadawały jej powabne dołeczki, które stwarzały wrażenie, że Cypa zawsze jest uśmiechnięta.

Tojba miała małe zębki, białe, czysto wymyte, jak u ojca. Zęby Cypy były duże i szerokie. Gdyby nie te zęby, mężczyźni uganieliby się za nią. Chociaż i tak oglądano się za nią. Figurę miała kształtną. Wysoka, szczupła w pasie, z kołyszącymi się na długich nogach biodrami, przyciągała do siebie wszystkich mężczyzn. Zarówno starych, jak i młodych. Urodę Cypy uzupełniały piękne, gęste włosy koloru kasztanów, dopiero co wyluskanych z pękniętych skorup. Nic więc dziwnego, że Lejbke nie odrywał od niej wzroku. Jego czarne małe oczka nie przestawały się uśmiechać z zadowolenia.

Przez wzgląd na Cypę Lejbke wyciągnął i odnowił swoje lakierowane buty z płaskimi noskami. Czarny kapelusz zsunął na bok. Rano mył się pachnącym mydłem i oblewał wodą kolońską, której zapach łaskotał mnie w nosie. Zaczesał się z przedziałkiem na środku głowy i co chwila strzepywał piórka z nowego garnituru.

Z Cypą rozmawiał po rosyjsku. Ona też znała ten język. Inaczej przecież nie byłaby sprzedawczynią damskiej garderoby w największym sklepie Warszawy. Cypa powiedziała, że w tym sklepie przez cały dzień mówi się po rosyjsku albo po polsku. Czasami zachodzi też potrzeba porozmawiania po francusku. Kto mówi tam po francusku, tego Cypa nie powiedziała. Prawdopodobnie także ona, Cypa. Do tego sklepu przychodzą na zakupy tylko żony generałów, hrabiów, tancerki z Teatru Wielkiego.

Cypa opowiada, że generał-gubernator Warszawy ma kochankę, która jest najpiękniejszą kobietą w całej Polsce. Ona, Cypa, zna ją tak dobrze, jak na przykład mamę. Może nawet lepiej. Na wszystkie opery i inne przedstawienia chodzi za darmo. Już nawet jest zmęczona od tego ciągłego chodzenia do teatru. Co do pracy, musi wstawać wcześniej, dopilnować, żeby w sklepie wszystko było w porządku, albowiem, jakby nie było, jest przecież starszą sprzedawczynią.

Dlatego też u nas Cypa śpi długo. Wstaje, kiedy dzień jest już w pełni. Drzwi do pokoju, w którym śpi, są zamknięte. Wszyscy chodzimy na paluszkach. Tato zmuszony jest modlić się w kuchni. Lejbke kręci się ubrany w czarny garnitur, niczym przypadkowy gość. Mama gotuje dla Cypy kakao z mlekiem. Podaje jej do łóżka ciastko. Cypa nie myje się, tak jak my, w kuchni. Ona myje się u siebie w pokoju, w misce, którą mama wypożyczyła od żony starszego strażnika. Zanim wstanie, mija dużo czasu. Jeszcze dłużej się ubiera. Ma dużo lusterek i ogromną ilość grzebyków. Na stole i na parapecie leżą rozrzucone szpilki do włosów, broszki, fłaszeczki. Biję od nich słodkawy zapach, który czuć nawet w potrawach.

Przez cały ranek Cypa śpiewa piosenki polskie i rosyjskie. Nie tak jak Ita, która śpiewa o chłopcu, który pojechał do Wiednia, ale o jakiejś niewieście, która zwała się Piękna Helena oraz o takiej, o której sądzono, że jest córką popa, ale okazało się, że jest dzieckiem żydowskim. Cypa powiada, że jest taka opera pod tytułem *Żydówka*. Grają ją w Teatrze Wielkim w Warszawie. Cypa opowiada też, że zna śpiewaka Batistiniego. Ten, powiada Cypa, śpiewa najpiękniej ze wszystkich śpiewaków na świecie. Nawet aniołowie nie śpiewają tak pięknie jak on.

— *Da, da*¹⁰⁰ — kiwa głową Lejbke. — W Moskwie tenże Batistini też występował.

— On wszędzie występuje — powiada Cypa. — Toć przed samym carem śpiewał.

— To Żyd? — pyta mama z szacunkiem w głosie, nie tyle dla Batistiniego, ile dla swojej pięknej córki.

— Gdzie tam Żyd? Czy pozwalają Żydowi występować w Teatrze Wielkim?

Twarz mamy skurczyła się. To, że Batistini nie jest Żydem i jeszcze bardziej to, że lekceważąco traktuje się Żyda, sprawiło jej ogromną przykrość.

— Dawidowa Cypa słyszała? — wtrąca się Lejbke — Kudy¹⁰¹ Batistiniemu do Dawidowa? Właśnie, że Dawidów śpiewa przed samym carem-batiuszką¹⁰².

— Lejbke słyszał Dawidowa? — pyta zaczepnie Cypa.

— A jakże! Jasne, że słyszałem!

Lejbke robi krok do przodu, macha ręką w powietrzu, kiwa głową i intonuje:

— *Wołga, Wołga, mat' rodnaja*¹⁰³...

Tamten Dawidow chyba inaczej śpiewał, gdyż Cypa lekceważąco macha ręką i powiada:

— Lepiej, żeby Lejbke przestał...

Zawsze tak postępuje, gdy Lejbke zaczyna opowiadać o swoim Jekatierinosławiu, o swoim pułku i dowódcy kompanii. Marszczy wtedy nos i mimochodem, jakby z boku powiada:

— Już to słyszeliśmy.

Lejbke milknie. Twardy kapelusz zsuwa mu się na czoło. Opadają mu długie ręce. Widać wtedy, że są owłosione. Cype powiada, że mężczyźni o dużych rękach nie przypadają jej do gustu. Jest to zrozumiałe. Ona sama jest delikatna. Potrafi tak ścisnąć wargi, że jej usta stają się delikatne i małe jak groszek. Nie tylko ona jest delikatna i szlachetna.

¹⁰⁰*da, da* (ros.) — tak, tak. [przypis edytorski]

¹⁰¹*kudy* (ros.) — gdzie; gdzież tam. [przypis edytorski]

¹⁰²*batiuszka* (ros.) — ojczulek. [przypis edytorski]

¹⁰³*Wołga, Wołga, mat' rodnaja* (ros.) — „Wołga, Wołga, rodzona matka”; początek popularnej ros. pieśni. [przypis edytorski]

Delikatny jest również jej kapelusz, który przypomina grzyb. Delikatne są jej pofałdowane sukienki, które szeleszczą jedwabiem. Delikatne są jej lakierowane pantofle na wysokich obcasach. Wszystko czyni ją delikatną i wdzięczną. A kiedy Cypa wkłada krótki żakiecik ze stojącym kołnierzykiem, który nazywa „Maria Stuart”, Lejbke podkreca wąsy, wystawia nogę i zapytuje w swoim jekatierinosławskim rosyjskim języku:

— *Możet pogulit pojdiom*¹⁰⁴?

— *Spasibo*¹⁰⁵ — odpowiada Cypa, ścisnąwszy wargi i wychodzi sama na ulicę.

Mama wychodzi na próg, żeby popatrzeć na nią. Żona bałaguly Jarne obserwuje ją z podwórka, założywszy ręce na ciężarnym brzuchu.

Żona starszego strażnika patrzy przez okna, zaś nowa sąsiadka, która mieszka nad nami, kiwa głową z góry i powiada:

— Królewska postać, bez uroku.

Z boku nadchodzi Jarne, powolnym krokiem wypoczętego człowieka.

— Dlaczego sama? — zapytuje mamę. — Dlaczego nie razem z Lejbke?

— Gdzie jemu do Cypy — powiada mama z taką dumą w głosie, jakby była posiadaczem statku na morzu.

I mimo, że Cypa jest taka piękna i Lejbke się do niej nie umywa, w domu podczas jej pobytu daje się odczuć jakąś obcość.

Mnie Cypa w ogóle nie dostrzega. Nie przywiozła mi z Warszawy żadnego prezentu. Nikomu zresztą nic nie przywiozła. Jej pieśni o Pięknej Helenie i o Żydówce są dla mnie dalekie, zbyt obce, nie moje. Mnie bliższa jest i miłsza pieśń Ity o chłopcu, który pojechał do Wiednia, żeby zobaczyć się z rodzicami. A w ogóle w domu nikt poza Cypą się nie liczy. Mama nie przestaje o niej mówić. Gotuje i piecze dla Cypy. Mama sama myje i pucuje garnki i miski, a Cypa stroi się i wdzięczy do lustra. Mama sama zanosí jedzenie do szałasu świątecznego, a Cypa nawet nie stara się jej zastąpić. Nawet w nocy, kiedy wszyscy śpią, mama schodzi z łóżka, żeby popatrzeć na Cypę. Sprawdza, czy drzwi do kuchni, w której śpi Lejbke są zamknięte. Staje nad łóżkiem Cypy i wsłuchuje się w jej oddech.

Sama Cypa zachowuje się wyniośle. Zadziera nosa. Ona też zdaje sobie sprawę, że Lejbke się do niej nie umywa. Z ojcem w ogóle nie rozmawia. Po przyjeździe nawet z grzeczności nie zapytała:

— Co słyhać, wujku? Jak się czujesz?

Tylko raz, kiedy stała nad jedną swoją otwartą walizką, od niechcienia zapytała:

— Jak ci się powodzi, rebe Lejzorze?

Ojciec nie odpowiedział. Mama skrzyczała go.

— Lejzorze, przecież cię pytają. Dlaczego nie odpowiadasz?

Ale ojciec nie słyszał. Przez całe święta nie słyszał i nie odzywał się. Wieczorem, kiedy Święto Szalásów dobiegło końca, mama wzięła się do pakowania pudeł Cypy. Bałagula Jarne, który już z nastaniem nocy zaprzągnął konie, zażądał za jazdę do Warszawy sześć złotych. Koleją kosztowało to jednego rubla i pięćdziesiąt kopiejek.

W związku z tym Cypa wybrała kolej. Nie będzie się przecież tłukła całą dobę wozem jakiegos tam Jarne bałaguly. Co na to powiedzą w Warszawie?

Szkopuł jednak w tym, że do jazdy kolejną zabrakło jej tego rubla. Mama też nie miała pod ręką. Tato po *Hawdale* włożył świąteczną kapotę i zabierał się do wyjścia. Mama zagrodziła mu drogę do drzwi:

— Lejzorze, możesz mi dać rubla?

— Co?

— Potrzebny mi jest rubel.

Ojciec, nie mówiąc słowa, zanurzył głowę w kołnierzu i wyszedł. Cypa wodziła za nim swoimi pięknymi migdałowymi oczyma i wcale nie migdałowo burknęła:

— Lejzor jołop!

Krew uderzyła mi do głowy. Czasami w przypiływie gniewu mama rzucała w niego tym przezwiskiem. Ale ona, po pierwsze, była jego żoną, a po drugie, zawsze uważała, że wychodząc za niego za mąż uczyniła mu łaskę. Ale Cypa przebywała u niego w domu przez całe święta i zjadała owoce jego harówki. Jakim prawem zdobyła się na taką bezczelność?

¹⁰⁴*możet pogulit pojdiom* (ros.) — może pójdziemy pospacerować. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*spasibo* a. *spasiba* (ros.) — dziękuję. [przypis edytorski]

Gdybym w owej chwili mógł podejść do Cypy, która molestowała mamę o rubla i dać jej w mordę, to by przybyło mi dziesięć lat dodatkowego życia. Miałem satysfakcję z tego, że tato udawał głuchego, kiedy poszło o tego rubla. Cypa jednak tego wieczoru wyjechała i to kolejną. Rubla dał jej Lejbke. Był to nowy szeleszczący banknot. Lejbke zaniósł jej też pudła do wagonu. Cały czas stawał przed nią na baczność, stukał obcasami, niczym oficer. Kiedy pociąg ruszył, szedł za nim i machał w powietrzu kapeluszem. Żegnał się z nią po rosyjsku:

— *Do swidania*¹⁰⁶! *Do swidania!*

Mama wycierała łzy. Całowaniu z Cypą nie było końca. Mama upomniała ją, żeby nie wyglupiała się i wyszła za męża za szczotkarza. Cypa w czasie pobytu u nas zwierzyła się jej, że ma dość swego narzeczonego. Szczotkarz jest jej bowiem niemiły. To prostak nie znający słowa po polsku. Nie umie się porządnie zachować wśród ludzi. Mama była tym zmartwiona. Powiedziała jej, że teraz jest już za późno, żeby zrywać z narzeczoną. Trzeba było wcześniej rozeznaczyć się w sytuacji. Zresztą szczotkarz poślubia ją bez posagu.

Cypa na wywody mamy oświadczyła, że nie wie, jak ostatecznie postanowi, ale kroi jej się nowy, lepszy związek. Ma lepszego kandydata. Jest to buchalter.

I tak wyjechała Cypa. Bez grosza przy duszy i bez pożegnania z ojcem. Mama po jej wyjeździe nieraz wzdychała. Jej westchnienia razem z zapachem pudeł i flaszeczek Cypy wypełniały nasz dom przez całą zimę.

ROZDZIAŁ XXVIII

Po świętach sad przy naszym podwórzu szerniał i zwilgotniał. Sadownik Zajmweł odwiózł do domu zmiętą czerwoną pościel i ostatni wózek zimowych jabłek. Wieczory zapadały w południe. Mgliste i gęste. Spadające żółte liście kładły się na szybach okien. Ojciec w te wieczory siedział nad stołem i kredą rozliczał się ze współnikiem Motle z rozchodów i dochodów Leniwy.

Lejbke nie było w domu. Miał pojechać do Warszawy szukać roboty. Czekał na list od Cypy. Obiecała mu napisać i odesłać pożyczonego rubelka. Ale widocznie zapomniała. Chodził więc Lejbke zamknięty w sobie i zadumany. Już nie opowiadał o wojsku. Dziegieć wyparował z jego ciała. Pewnego dnia przyszedłszy do domu oświadczył, że przenosi się do własnego mieszkania. Dostał pracę u ślusarza Pinchasa, u którego będzie zarabiał sześć rubli tygodniowo razem z obiadem.

No i przeniósł się. W sobotę po obiedzie przyszedł z wizytą. Mówił coś pod nosem i przytupywał nogą. Zapytał też o Cypę. Ciekaw był, czy pisze, czy już wyszła za męża. Poprosił też mamę, żeby do listu dołączyła jego pozdrowienia. Lejbke z pewnością zauważył, że u nas w domu nie przelewa się, toteż pewnego dnia powiedział mamie, że jeśli potrzebuje pieniędzy, to gotów jest jej pożyczyć. Mama oczywiście potrzebowała pieniędzy. Broń Boże, nie dla siebie i nie na jakieś wymyślne rzeczy, ale dla mnie. Po święcie bowiem przestałem chodzić do chederu. Mama posłała mnie do prawdziwej szkoły, za którą trzeba płacić i w której uczą rosyjskiego i gramatyki. Tato był przeciwny. Twierdził, że w szkole wychowują dzieci na gojów. Dzieci uczą się bez nakrycia głowy. Wtedy do sporu dołączył się Lejbke. Powołał się na przykład z Jekatierinosławia. Tamtejszy kazionny rabin¹⁰⁷ też kiedyś chodził do takiej szkoły. Nie wiadomo, może kiedyś ze mnie też będzie kazionny rabin.

Możliwe, że Lejbke tylko sobie pożartował, ale w nowej szkole rzeczywiście inaczej uczono. Po ukończeniu jej można było czytać książki, można było zaglądać do hebrajskiej gazety „Macefira” i można było działać w ruchu syjonistycznym. Słowem zupełnie inaczej niż w chederze Szyme-Josefa. Nie jedna, ciemna izba z wytartymi ławkami przy ścianach, tylko dwie duże izby z czystymi oknami, z żelaznymi balkonami, wychodzącymi na ulicę.

W obu izbach stały niczym żołnierze, w szeregu jedna za drugą, ławki. Czarne, krótkie, z otworami na kałamarze i szufladkami, w którym można było trzymać jedzenie i piśmiennicze akcesoria.

Na jednej ścianie wisiała stara, duża mapa. Na jej niebieskim tle figurowały miasta i wsie, rzeki i morza. Na drugiej ścianie wisiały plansze, na których widniały zwierzęta,

¹⁰⁶*do swidania* (ros.) — do widzenia. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*kazionny rabin* — urzędowy rabin. [przypis tłumacza]

ryby, gady, płazy, rośliny i owoce. Na samej górze, obok miejsca, gdzie wisiał złoty car z niebieskim, jedwabnym pasem na piersiach, były jeszcze dwa portrety. Jeden przedstawiał tęgawego osobnika z ośmiokątną jarmulką na głowie i podstrzyżoną siwą bródką, z krótką szyją okoloną białym żabocikiem. Mówiono, że ten osobnik to wielka szycha i nazywa się Mosze Montefio. Polubiłem go za to, że nosi taki biały żabocik jak moja mama. Drugi portret przedstawiał całkiem innego człowieka. Gojska twarz bez brody. Bystre oczy i czarne, sterczące wąsy. Dziwiłem się, skąd taka gniewna twarz w naszej szkole? Chłopcy jednak wyjaśnili mi, że to żaden goj, tylko Żyd, prawdziwy magnat, niemal wicekról. Jest to baron Hirsch, który pragnie, żeby wszyscy Żydzi zostali wyzwoleni z diaspory. Nie mogłem w to uwierzyć i nie bacząc na to, że był taką szychą, czułem do niego niechęć. Za bardzo może kłuł tymi skręconymi, czarnymi wąsami. Ciągłe wpatrywał się we mnie oczami jak świdy. I to w taki sposób, jakby go wynajęto do pilnowania każdego naszego kroku, każdego ruchu, każdego zwrotu. I bez niego też skrupulatnie nas pilnowano. Mógł ten baron polegać na naszym nauczycielu rebe Dawidzie.

Rebe Dawid był swego rodzaju Szyme-Josefem na inną modłę. Był to prosty Żyd ubrany w zwykłą kapotę. Miał rzadką brodę. Oprócz uczenia w szkole pracował we własnym sklepie żywnościowym. Miał jedną dorosłą córkę i zawsze nosił ze sobą rzemyk od maszyny do szycia.

Przerabiał z nami w szkole *Pięcioksiąg* z komentarzem Raskiego. Właściwie nie on nas nauczał, ale jego rzemyk, który zawsze oplatał jego rękę niczym gibka żmija. Szerokie, nisko osadzone pośladki rebe Dawida z trudem mieściły się na skamiejsce¹⁰⁸. Trzymał wtedy nogi na podnóżku. Małymi przymrużonymi oczkami, nad którymi unosiły się szpiczaste, rabinackie brwi, patrzył wysoko ponad głowami uczniów. Mimo to wiedział, co u niego w garnku się gotuje.

A kiedy już coś u kogoś zobaczył, podnosił się z ławki, udawał, że patrzy gdzie indziej i kulejąc podchodził po cichu, jak skradający się kot, żeby nagłym ruchem zerwać delikwentowi czapkę i spuścić na obnażoną głowę skórzany, zmijowaty rzemyk.

— Żeby cię szlag trafił! — ryczał skrzywiwszy usta. — Przystaniesz mi tu grać w guziki, ty bękarcie jeden?

Na policzku „bękarta” wykwitła pręga, która utrzymywała się na długo, przybierając kształt jakby wypełnionej krwią żyły.

Opowiadano, że rebe Dawid ma już trzecią żonę i że ją także zdąży pochować. Wiedzieli w mieście, że jej nienawidzi, że wyzywa ją od najgorszych i mimo to chciałby z nią mieć dzieci, chociaż po pierwszej żonie ma już dorosłą córkę. W szkole zjawiał się rebe Dawid później od uczniów. Człapał kulejąc w starych, zniszczonych butach i w cągowych¹⁰⁹ skręconych w rury spodniach. Sam się uważał za uczonego mędrca. W dniach pokuty Selichot rwał się do pulpitu w bóżnicy, żeby przewodzić modlitwom i w soboty czytał rozdział *Pięcioksięgu* w bóżnicy syjonistów.

Opowiadano również, że rebe Dawid jest mitnagedem, czyli przeciwnikiem chasydów. Lekceważył i nienawidził rabajów chasydzkich¹¹⁰. Podobno niegdyś głośno sklął pobożnego chasyda i od tego czasu okulał. Słowem, był to prosty Żyd i do tego bijący uczniów rebe. Miał jednak rebe Dawid jedną zaletę, dla której wybaczałyśmy mu zarówno jego wrogi stosunek do chasydyzmu, jak też używanie przeklętego rzemyka. Tak jak on nauczał nas *Biblii*, nikt inny by nie potrafił. Zaśpiew, jakiego używał przy czytaniu, nie miał w sobie niczego ani z antychasydyzmu, ani ze skłonności człowieka do bicia. Wybierał słowa tak, jak się wybiera orzechy ze skorup. Jądro orzecha, czyli sedno rzeczy, wkładał nam w usta tak, byśmy poczuli prawdziwy smak.

U rebe Dawida sprawiedliwy Józef przedstawiał się jako wysoki, młody brunet o twarzy tak pięknej, że tylko wpatrywać się w nią i wpatrywać. Nie był to już pasterz, syn praojca Jakuba, ale księżę, pierwszy po faraonie rządcą w kraju, który żywił cały Egipt i mimo to odznaczał się wielką skromnością.

¹⁰⁸skamiejka (ros.) — ławka szkolna. [przypis tłumacza]

¹⁰⁹ciągowy (z niem. Zeug: tkanina) — zrobiony z cągu, tj. mocnej, taniej tkaniny bawełnianej a. wełnianej, która z powodu rodzaju skośnego splotu układała się w podłużne paseczki, używanej do wyrobu ubrań roboczych. [przypis edytorski]

¹¹⁰rebej chasydzki — duchowy przywódca chasydów. [przypis tłumacza]

Nauczyciel

Szkola, Nauczyciel, Uczeń,
Okrucieństwo, Przemoc

Mojżesz u niego nie miał siwej brody. Nie był wcale podobny do Mojżesza, którego portret wisiał na ścianie w domu ciotki Miriam. Jego Mojżesz był młodzieńcem z kędzierzawą głową jak u owcy. Wysoki i mocny jak cedrowe drzewo. Najlepszy dowód, że córka faraona, księżniczka Egiptu, chciała go poślubić. Przyjemnie było słuchać, kiedy tłumaczył nam parszę¹¹¹ (rozdział) *Beszałach* — *Wysyłając Żydów z Egiptu*¹¹². Zmieniał się wtedy nie do poznania. To już nie był tamten prosty Żyd w starej kapocie. Głos mu się już nie załamywał. Brzmiał czysto, donośnie i mile. Wydawało się, jakby nie z ust, ale z wnętrza ciała odczytywał i zarazem wyśpiewywał wersety nie do nas, ale gdzieś w siną dal.

To myśmy wychodzili z ziemi egipskiej razem z Mojżeszem. Słyszeliśmy dudnienie kroków, stukot kół rydwanów faraona. To na naszych oczach rozstąpiło się morze. Widzieliśmy, jak Egipcjanie tonęli razem ze swoimi końmi i wozami w odmętach wody. Słyszeliśmy, jak Mojżesz razem z żydowskim ludem śpiewał *Az jaszir*¹¹³. Wtedy rebe zaśpiewał i o tym, jak prorokini Miriam wtórowała mu na bębenku.

Gdyby przez cały okrągły rok nauczał nas rozdziału *Beszałach*, nie zbrzydłoby to nam. W dodatku rebe Dawid zapominał wtedy o korzystaniu ze skórzanego rzemyka i o obrzucaniu nas przekleństwami.

Trzeba było jednak jeszcze coś umieć oprócz *Pięcioksięgu*. Był tedy drugi nauczyciel. Ten już nie był zwyczajnym, prostym Żydem. Rebe Jankele nie chodził w starej kapocie. W zimowe wieczory uczył nas gramatyki. Nie mógł nas uczyć przy świetle dziennym. Jego głos, cała postura były mroczne jak zimowe wieczory. Wysoki, przygarbiony, z małą czarną bródką, rebe Jankele przybył do naszej szkoły z bardzo daleka, aż ze skaryszewskich rogatek. Nie nosił starych, sfatygowanych pantofli jak rebe Dawid, ale wypucowane, skrzypiące, świąteczne buty z cholewami, które mu pozostały z czasów, kiedy handlował lasami. Hebanowa, czarna laseczka z białą, kościaną rączką, także mu pozostała z owych czasów. Nawet powolny, rozważny chód i kołnierzyk z czarnym krawacikiem pozostały mu z czasów, kiedy był kupcem, kiedy jego tratwy płynęły Wisłą do Gdańska.

Rebe Jankele mówił wtedy donośnym głosem. Uderzał hebanową laską w podłogę, gdy biedak przychodził po jałmużnę. Nie miał tak bladej twarzy i zapadniętych oczu jak dzisiaj. Tamte czasy jednak dawno już minęły.

Z dawnych lasów i tratw pozostał mu tylko szlachetny tytuł rebe Jankele i jeszcze szlachetniejsi żydowscy prorocy Izajasz i Ezechiel. Mówiono, że reb Jankele został na starość nauczycielem nie z powodów materialnych i także nie z tej racji, że kiedyś miał kłopoty z wychowaniem swoich synów, ale z wielkiej miłości do *Tanachu*¹¹⁴, do Pisma Świętego.

Kiedy przeczytał nam pierwsze zdanie z *Księgi Izajasza*, od razu widać było, że ten był bogacz i potentat nieczuły jest na wszelkie dobra tego świata. To nie prorok Izajasz karmił grzeszny lud Izraela, tylko nasz rebe Jankele. Głos jego stawał się czarny. Czarny jak on sam.

„Synów wychowałem i wypiastrawałem, ale oni odstąpili ode mnie” — przeczytał te słowa proroka i opuściwszy głowę ciężko westchnął, jakby z kimś rozmawiał i uskarżał się na własny gorzki los.

Kiedy przerabiał z nami *Treny Jeremiasza*, stawał się i mały, i pochylony jak prorok Jeremiasz. Cichym, niekrzykliwym głosem zapowiadał zagładę. Szeptał do siebie po cichu o zagładzie Jerozolimy, podobnie jak cicho gruchają do siebie gołębie za oknem.

Rebe Jankele mieszkał w oddzielnej alkwocie u swojej najmłodszej córki Debory, która wyszła za mąż w okresie, kiedy on już zdążył zubożeć. W takich warunkach musiała się zadowolić mężem niepochoźącym z najlepszej rodziny. Debora codziennie pucowała skrzypiące buty ojca. Odkurzała też jego hebanową laskę i chociaż sama miała już dwóch dorosłych chłopców, którzy przygotowywali się do składania egzaminów do gimnazjum, do ojca zwracała się po dawnemu:

¹¹¹ *parsza* — rozdział Biblii. [przypis tłumacza]

¹¹² *Beszałach* — nazwa rozdziału w Biblii, w którym jest mowa o wypuszczeniu przez faraona Żydów z Egiptu. Dosłownie *beszałach* znaczy „kiedy wypuścił”. [przypis tłumacza]

¹¹³ *Az jaszir* — „Wtedy zaśpiewał”, pieśń dziękczynna odśpiewana przez Mojżesza po przekroczeniu Morza Czerwonego. [przypis tłumacza]

¹¹⁴ *Tanach* — *Stary Testament* zawierający: *Pięcioksiąg*, *Księgi Proroków* i *Pisma*. [przypis tłumacza]

— Tatusiu, może tatuś weźmie coś do szkoły? Może ciastko, może jabłuszka?

Moja siostra Bejle, która mieszka w sąsiedztwie z rebe Jankelem, opowiada, że on całe noce spędza na pisaniu czegoś przy świetle świecy. Mówią, że pisze książkę. Wszyscy sąsiedzi wiedzą o tym, ale każdy na swój sposób to tłumaczy. Rebe woli o tym nie mówić.

W szkole chodzi podpierając się laską. Pochylone ramiona wysuwa do przodu. Chodzi wsłuchany w wersety Pisma, pogrążony we własnych marzeniach. I chociaż wydaje się, że nie wie, co się wokół niego dzieje, to jednak dostrzega, kto gra w guziki. Dostrzegłszy, podchodzi cichuteńko, bez skórzanego rzemyka, jak to czynił rebe Dawid i bez typowych dla tamtego przekleństw. Podchodzi sobie jakby nigdy nic i oparłszy się jedną ręką na lasce, a drugą na ławce, pyta:

— Chłopcze, czyj ty jesteś?

— Krawca Itczego.

— Jak się nazywa twoja matka?

— Frajdl.

— To powiedz matce, a dobrze będzie, jeśli i tato posłucha, że szkoda ich trudu. Twój tato z pewnością ciężko haruje na kawałek chleba. Mama twoja, domyślam się, zbiera grosz do grosza, żeby opłacić twoją naukę, a ty obracasz wniwecz cały ich trud. Myślisz, że nasi prorocy tak sobie, bez celu przemawiali? Byli takimi samymi biedakami jak twój ojciec. Zarobku ze swoich przemówień nie mieli. Im chodziło tylko o to, żeby ich słuchano. A ty co robisz? Grasz w guziki. Powiedz więc, proszę, grzeszysz tym czy nie?

Co tu gadać? Miał rację. Jak można grać w guziki, kiedy on uczy nas Pisma? Czy nie lepiej i słuszniej by było, gdybyśmy wsłuchali się w jego słowa wymawiane z takim wspaniałym zaśpiewem, niż grali w głupie guziki? Ale synek krawca Itczego i kilku jemu podobnych chłopców pozostało głupcami do końca swoich dni. Nie rozumieli, że bez bicia i przeklinania można się też czegoś nauczyć. Dla nich dobry był rebe Dawid albo nauczyciel Matias. Być może, że z powodu właśnie tych chłopców zaangażowano do szkoły pana Matiasa. Inaczej trudno bowiem byłoby zrozumieć, jak mogli pod jednym dachem nauczać tak różni ludzie jak rebe Jankele i taki osobnik jak nauczyciel Matias. Ni to Żyd, ni to goj. Moskał, kacap. Nie inaczej. Uczył nas rosyjskiego, *czistopisania* i rachunków. Tego wszystkiego uczył nas ochrypłym głosem pijackim, pijackim wymachiwaniem rąk i z pijaną głową. Podczas lekcji palił papierosa za papierosem. Kaszlał i słuwał po kątach. Miał zwyczaj, zasysając powietrze, uwypuklania kości policzkowych. Jego pomarszczona od niewyspania twarz wyglądała wtedy jak skurczona płachta wełniana. Papierosa trzymał nie między wargami, ale w żółtych, przepalonych, szpiczastych jak u wilka zębach. I doprawdy chodził po szkole jak wilk. Wypatrywał chwili, aby móc kogoś z nas dopaść i pożreć. Nie sposób było pojąć jak w tak słabym, wychudzonym ciele, mieściło się tyle złości i okrucieństwa.

Opowiadano, że Matias już od lat nie sypia z żoną. W ogóle nie śpi. Gra w karty. Jego żona jest zielona na twarzy. Nosi żółte futro z czasów króla Poniatowskiego. Nie nosi peruki.

Wszyscy w mieście wiedzieli, że żona Matiasa kupuje mięso w gojskich jatkach. Nie uznaje koszerne i nie soli mięsa. Na Boże Narodzenie ustawia w domu choinkę i żegna się znakiem krzyża. O Matiasie opowiadają, że kiedy wraca nad ranem z gry w karty, bije żonę. Pluje na jej żółte futro i tłucze wszystko, co wpadnie mu w ręce.

Nic dziwnego, że wszyscy się na nich oburzali i skrzętnie omijali dom, w którym Matias mieszkał. Nie bacząc jednak na to wszystko, matki Żydówki starały się posyłać swoje dzieci do szkoły, w której wykładał pan Matias. Moja mama usprawiedliwiała się w taki sposób: po pierwsze — twierdziła — po ukończeniu tej nowej szkoły uczeń potrafi czytać i rozumieć *Księgę Księg*. Po drugie — chce, żeby jej syn opanował gramatykę i *czistopisanie*. Ona sama się tego uczyła i dlatego dzisiaj umie pisać listy pannom, które chcą korespondować ze swoimi narzeczonymi, odbywającymi służbę wojskową u cara. Pisze też listy kobietom, których dzieci są w Ameryce. Mama powiada, że nic mi się nie stanie, kiedy czasem oberwę w szkole. Król Salomon też kiedyś kazał od czasu do czasu zbić dziecko. Kiedy się bije w tyłek, rozum dochodzi do głowy.

Szkola, Nauka, Przemoc,
Obyczaje

Po pierwsze, nie jestem już dzieckiem, które należy bić po tyłku. Po drugie, pan Matias nie bije po tyłku, tylko po głowie. A po trzecie, to i bicie nic nie pomoże, gdyż tak ładnie, jak pisze moja mama, ja nigdy się nie nauczę.

Moja mama uczyła się u nauczyciela o innym usposobieniu. Był to człowiek spokojny i grzeczny. Nie miał zapewne pijackich odruchów. Inaczej bowiem nie potrafiłby nauczyć *czistopisania*. Tu trzeba każdą literkę starannie napisać. Raz grubo, a raz cienko, innym razem okrągło albo ostro. Jak mogłem to wszystko wykonać, kiedy słysząc zbliżające się kroki Matiasa myślałem, że wisi nade mną nóż rzeźnicki. Na odgłos tych kroków dreszcze trzęsły moim ciałem. Oto wyrzucił niedopałek i sięgnął po nowego papierosa. My siedzimy z pochylonymi głowami i z drżeniem w sercu kreślimy litery na błękitnym papierze. Buty nauczyciela skrzypią złowrogo. Zdaje się, że nawet jego buty są pijane.

Oblewa mnie pot, chociaż do mnie właściwie nie może mieć pretensji, zaokrągliłem i wyczelowałem wszystkie litery tak, że już lepiej się nie da. Chyba tylko mama potrafi je lepiej napisać. Wtem czuję nad sobą gorzki zapach papierosów. Słyszę nad sobą charczenie nauczyciela. Nie zdążyłem nawet podnieść głowy, kiedy poczułem, że coś w niej zaczęło nagle dzwonić. Niespodziewany cios pięści łąduje na mojej twarzy.

— *Swołocz*¹¹⁵! — krzyczy nauczyciel i zaczyna kaszleć. — Sukinsyn! Tak się pisze „szcza”? Marsz do tablicy! Napisz jeszcze raz sukinsynu!

Wyciąga mnie z ławki za ucho. Czuję ból w całej twarzy. Coś łupie mnie w skroniach. Iskry latają mi przed oczami. Głowy moich kolegów schowały się w ramionach.

Tablica, czyli, jak nauczyciel ją nazywa, *doska*, przypomina mi deskę, na której nosi się nieboszczyków do grobów. *Doska* napawa nas większym strachem niż sam nauczyciel. Jest jego rodzoną siostrą. Stoi na trzech nogach, tak jakby też była pijana. Tu nie można się nigdzie schować. Tu stoi zaczajony Matias. Czyha na ofiarę jak wilk na owcę. Nic już nie pomoże. Możesz napisać poprawnie literę „szcza”, ale ciosu w twarz i tak nie unikniesz. Zęby w gębie muszą się rozdzwonić. Małemu Joskowi skrzywił się kiedyś jeden ząb od ciosu. On go potem razem z krwią wyluskał z dziąsła. U mnie po wypełnieniu połowy tablicy literką „szcza” ze wszystkimi wykaligrafowanymi zakrętasami, lewe ucho miałem naderwane. Strużka ciepłej krwi spłynęła mi na szyję. Matias miał białe wargi. Nie przejął się strumyczkiem mojej krwi. Dołożył mi jeszcze kopniaka w tyłek i zaryczał:

— *Paszol won*¹¹⁶, *swołocz*!

I tak bywało codziennie. Raz ja padałem ofiarą, to znów ktoś inny. Tylko jeden Mojszele, syn szynkarza, nie poczuł na sobie ciężaru pijackich rąk Matiasa. Tenże Mojszele miał dziewczęcą twarz. Ciągłe objadał się słodyczami podczas lekcji, a mimo to ciągle uznawany był i przez Matiasa za prymusa. Był to żarłok nad żarłokami. Ciągłe ciamkał i coś przeżuwał. Od przejedzenia wyrósł mu duży, jakby nadmuchany brzuch, a ręce stały się tak pulchne, że palce wyglądały jak poduszcзки. To wszystko nie przeszkadzało mu dobrze opanować *czistopisania*, wiedzieć, ile jest dziewięć razy dziewięć i co to jest *imía prilagatielnoje*. Wszyscy uczniowie nienawidzili tego Mojszele. Po pierwsze dlatego, że rzeczywiście dużo wiedział, a po drugie dlatego, że nikomu nie chciał podpowiadać, i po trzecie, że donosił na nas. Miał tylko jednego kolegę. Ubogiego, chudego chłopca imieniem Jukele. Tenże Jukele nie miał ojca. Jego matka, młoda, rumiana kobieta, chodziła po domach i opowiadała, że ojcem jej syna Jukele jest drzewo. Jukele nie płacił chesnego. Do szkoły przyjęto go z litości. I z tym oto Jukelem kolegował się Mojszele, syn szynkarza. Komenderował nim jak służącym. Lubił go szczypać i laskotać. Od tego szczypania twarz Jukele była nabrzmiała. Dostawał za to od Mojszele kawałek gęsiej wątróbki albo jajko na twardo. Czasami Mojszele zabierał go do szynku i tam częstował pianą z piwa, którą furmani pozostawili w kuflach. Z powodu Mojszele znienawidzono również Jukele, mimo iż ten był biedny, zmizerowany i miał drzewo za ojca. Nikt z nimi nie rozmawiał. Oni zaś zawsze chodzili razem. Jeśli ktoś z nas ich zaczął, nigdy nie stawiali oporu. Uciekali.

Dopiero następnego dnia, kiedy nauczyciel Matias wszedł do klasy, Mojszele wstawał i donosił:

— *Gospodin ucztitel*¹¹⁷, oni obrzucali mnie wczoraj kamieniami.

¹¹⁵*swołocz* — pogard. przewisko (o osobie nieuczciwej, źle wychowanej a. odraźniającej). [przypis edytorski]

¹¹⁶*paszol won* — idź precz. [przypis edytorski]

¹¹⁷*Gospodin ucztitel* (ros.) — panie nauczycielu. [przypis edytorski]

— Kto rzucał kamieniem?

— Icyk rzucił, Mendel rzucił. Wszyscy rzucili.

Nauczyciel Matias wymierzał każdemu z nas cios w głowę, ciągnął za uszy i pijackim głosem warczał:

— *Swołocz parsziwaja! Ja тебе покажу*¹¹⁸!

Gorzkie było życie. Wszyscy modliliśmy się o to, żeby szlag trafił nauczyciela, Mojszele i czarną *doskę*. Ale jak mogły nasze modlitwy pomóc, skoro Matias nadal pił w szynku ojca Mojszele, czarna *doska* nadal stała na swoich rozstawionych pijackich nogach, a Mojszele składał jeszcze więcej niż przedtem donosów.

ROZDZIAŁ XXIX

Matiasowi nasze przekleństwa nie zaszkodziły. Stał się jeszcze zdrowszy niż był. Ale rebego Jankele, mimo naszych najlepszych życzeń, śmierć zabrała. Tego dnia padał deszcz ze śniegiem. Okiennica w naszym domu wyrwała się z łańcucha i stękała niczym chory człowiek. Ojciec nigdzie nie wyjechał. Mnie mama nie puściła do szkoły.

— Jeszcze mi się, broń Boże, przeziębisz — powiedziała. — Zostań w domu.

Mnie jednak tego dnia ciągnęło do szkoły. W nocy zbudził mnie ucisk w sercu. Wydawało mi się, że mój zmarły brat, Mojsze, kręci się w kuchni i szuka czegoś w garnkach. Słyszałem, jak myszy harczą i w żaden sposób nie mogłem stwierdzić, czy zegar stoi, czy też chodzi.

Nikom w domu nie opowiedziałem o swoich majakach, ale kiedy mama nie pozwoliła mi iść do szkoły, ogarnął mnie strach. Powiedziałem, że muszę iść. Dzisiaj rebe Dawid wywoła mnie z ławki i rozkaże przeczytać i skomentować przypadający na ten tydzień rozdział *Biblii*. Deszcz zmieszany ze śniegiem smagał mnie po twarzy. Wiatr ciągnął mnie w tył, jakby również nie chciał, abym poszedł do szkoły. Ja jednak się uparłem. Odczuwałem jeszcze ucisk pod sercem. Spieszyłem się, a mimo to się spóźniłem. W szkole jednak nikt mi nic nie powiedział. Nikt nawet mego przyjscia nie zauważył. Szkoła wyglądała teraz jakoś dziwnie. Żaden chłopiec nie siedział na swoim miejscu. Nie było nauki. Wszyscy gdzieś popędzili. Wszystkie drzwi były otwarte. Rebe Dawid szybciej niż zwykle kulał na krótszej nodze i coś tam rękami wymachiwał. Nauczyciel Matias też już był. Czerniały jakiś i bardziej pochylony. Palił papierosa za papierosem. Żadnego nie dopalał do końca. Co chwila przybiegał do rebego Dawida coraz to inny chłopak i coś mu tam mówił, po czym w napięciu czekał na odpowiedź. Chudy, zielony na twarzy Jukele cicho płakał. Czy Mojsze, syn szynkarza, za mocno go dzisiaj uszczypnął?

Ale oto nadchodzi sam Mojszele. Wygląda na to, że idzie ku mnie. Dlaczego, przecież jestem z nim skłócony? Mojszele przepycha się swoim rozdmuchanym brzuchem. Jego pulchna, dziewczęca twarz jest biała jak ciasto.

— Wiesz co — powiada do mnie ściśniętym głosem — rebe Jankele umarł.

— Oj, biada mi!

Nie wiem, czy ja to wykrzyknąłem, czy Mojszele, ale ucisk pod sercem przesunął się do gardła. Zacząłem się dusić. Nie zauważyłem, kiedy Jukele podszedł do nas. Poczułem tylko jego małą rękę na ramieniu.

— Rebe Jankele, rebe Jankele — zaszlochał Jukele. — Umarł rebe Jankele o północy. Właśnie wskutek ucisku serca. To, co uciskało jego serce, nagle przesunęło się do gardła i uduśliło go.

— Czy wszyscy już tu są? — rozległ się złamany głos rebego Dawida.

— Wszyscy!

— Ustawcie się! Ma być cicho!

Nauczyciel Matias stał z pochyloną głową, patrząc na nasze nogi.

— Czy wszyscy mają całe buty? — zapytał po żydowsku wcale nie pijanym głosem.

— Wszyscy!

— No to trzeba wyruszyć na pogrzeb.

— Ruszajmy!

Rebe Dawid podniósł rękę. Była pusta. Nie było w niej rzemyka.

— Dzieci — zawołał — wasz rebe, wasz mełamed Jankele umarł.

¹¹⁸*swołocz parsziwaja! Ja тебе покажу* (ros.) — parszywa swołocz, ja ci pokażę. [przypis edytorski]

— Zszedł z tego świata — zapłakał Jukele.

Rebe Dawid zamknął oczy, wytarł czoło i kiwnął głową:

— Tak, zszedł z tego świata.

Nauczyciel Matias kazał nam ruszyć do skaryszewskich rogatek. Tam mieliśmy ustawić się trójkami i czekać, aż on z rebe Dawidem nadejdą.

Po południu wyniesiono ciało rebe Jankele z domu jego córki. Ten wysoki Żyd leżał teraz w wąskiej, małej trumnie, która kołysała się wśród całej czeredy czarnych, poruszających się czapek. Najwyżej wznosił się atlasowy cylinder urzędowego rabina i złoty sztrajmel dajana Arona.

Był piątek. Wiatr, który rano zrywał blachy z dachów, teraz uspokoił się. Śnieg z deszczem przestał padać. Widocznie na czas pogrzebu zrobił sobie przerwę. Sklepy w mig się zamknęły. Żydzi włączyli się do konduktu pogrzebowego, żeby prosić zmarłego o przebaczenie. Jedni towarzyszyli zmarłemu do następnej ulicy, drudzy aż do „trzech drzew”. Cała szkoła na czele z nauczycielem Matiasem i rebe Dawidem szła przed trumną. Całym sercem, wszystkimi zmysłami recytowaliśmy na mokrych, zimnych ulicach:

— *Ofiarność przed nami kroczy.*

Tego dnia byłem po raz pierwszy na cmentarzu. Wydawało mi się, że nawet żywi nie mogą stąd powrócić. Rozglądałem się tylko w obawie, czy czasem nie zamkną bramy cmentarnej. Tu, obok drzewa, spoczywać będzie rebe Jankele, były kupiec leśny, znawca *Tanachu*, wielki mąż oświecenia. Prawdopodobnie przywitają go dwaj wielcy prorocy Izajasz i Ezechiel. Zapewne prorok Jeremiasz oplakiwać będzie śmierć tego wspaniałego, prawego Żyda.

Ale dlaczego kładą tego wspaniałego człowieka do takiego mokrego, wąskiego grobu? Dlaczego grabarzowi tak spieszą? Czy nie wie ten gruboskórny facet, że takiego nieboszczyka należy traktować delikatnie? Był jednak piątek. Wiatr chwilowo ucichł. Deszcz zmieszany ze śniegiem na razie ustał. Rabin z dajaniem już dawno opuścili cmentarz. Pozostali Żydzi też chcą jak najszybciej powrócić do miasta. Kobiety wsiadają do bryczek. Furmani targują się. Wiatr już się zorientował, że jest po pogrzebie. Zaświtało wśród topól. Powiało od nich deszczem ze śniegiem. Wracają już od świętego grobu córka rebe Jankele z mężem i dwaj ich chłopcy. Tylko nauczyciel Matias z chudym, małym Jukele stoją jeszcze przed okienkiem pogrzebowego domku i czekają, aż zapalą się w nim szabasowe świece.

*

W szkole jeszcze długo słychać było skrzypienie butów towarzyszące krokom rebe Jankele.

Lampa naftowa świeciła żółtym płomieniem. Nie pomogły szkła, które w nią wstawiono. Nie pomogła nafta, kupiona w innym sklepie. Jakoś wszystko stało się w naszych oczach żółte. Ściany z mapami, portret Mojżesza Mantefiore. Nawet rebe Dawid miał teraz żółtą twarz z podkrążonymi oczami. Nauczyciel Matias zaczął więcej palić i jeszcze bardziej chrypieć. Dalej bił po twarzy i nadrywał uszy, ale i Mojszele, synowi szynkarza, od czasu do czasu dawał poczuć siłę swojej ręki. Sam zaś po pewnym czasie zmizerniał, schudł i zmalął.

Zaczął nas teraz uczyć *Tanachu* zięć rebe Jankele, jasnowłosy młodzieniec, maskil i syjonista. Miał mleczną cerę i czarną, małą bródkę. Głos płaski. Tekst wyłożony przez niego był suchy i zimny. Mówiono o nim, że karmi nas postną chałą i kaszą bez omasty. I rzeczywiście tak się rzecz miała. W jego trzęźwym głosie słowa proroków brzmiały nudno. Podobne były do zmęczonych much, które ostatkiem sił trzymają się ochłodzonych szyb. Nikogo nie bił. Nikomu nie prawił morałów. Krążył tylko między ławkami z kijkiem w rękę i stukał nim po blacie stołów. Nie wiedzieliśmy, jak się nazywa. W pierwszych tygodniach nazywano go po prostu „zięciem rebe Jankele”. Potem ktoś wyraził się o nim „postna chała” i tak już zostało. Nie żywiono do niego ani miłości, ani nienawiści. Wchodził do klasy tanecznym kroczeniem, postukał kijkiem kilka godzin, odwalił kilka fragmentów *Tanachu* i tym samym tanecznym kroczeniem wymykał się bez pożegnania, bez „dobrej nocy”.

Mówiono, że Postna Chała uczy nas chwilowo. W nowym sezonie szkolnym mamy dostać nowego rebego. Takiego osobnika, który ukończył gimnazjum i któremu mój dziadek kiedyś szył granatowe mundurki ze srebrnymi guzikami.

Zaczął się nowy sezon szkolny, a Postna Chała pozostał w szkole. Mój dziadek zaś definitywnie przestał szyc granatowe mundurki.

*

Było już po święcie Pesach. Nad sadem wstawały niebieskie czyste poranki. W mieszkaniu czuć jeszcze było zapach świeżej pościeli i świeżo umytych podłóg. Kto mógł się spodziewać, że w taki poranek umrze mój dziadek? Zawsze myślałem, że Dawid Frojke ze swoimi piosenkami, ten mój radosny dziadek, umrze ostatni w naszym mieście.

Na koniec zobaczyłem, jak leżał na podłodze. Głupie, chude ciało wyglądało jak śnięty lin. Drzwi do domku dziadka były otwarte na oścież. Jacyś obcy ludzie wchodzili i wychodzili. Przy pompie na podwórzu siedział Władek, głupek z pustymi wiadrami. Targał kudłatą brodę i mruczał pod nosem:

— Ni ma pana krawca, ni ma.

Mama, która rano wybiegła z domu, nie zdążywszy zapiąć bucików, leżała teraz na łóżku babci, zanurzwszy głowę w poduszkę. Ni to spała, ni to płakała. Z jej piersi wydobywały się raz po raz ciężkie westchnienia.

Ciotka Miriam, druga córka dziadka, stała nad warsztacikiem ojca i grubym głosem, jakby przemawiała do żywej istoty, pytała:

— I kto teraz będzie przy tobie pracował? I kto będzie śpiewał?

Powtarzała te pytania wiele razy. Wyglądało na to, że słowa te wypływały z niej same bez jej udziału, przy jej nieobecności. I nagle coś sobie przypominała. Rozrzuciwszy ręce i nie ruszając się z miejsca zawołała:

— Puśćcie mnie, dopuśćcie mnie do ojca!

Ale co jej mógł pomóc ojciec, kiedy pomóc jemu nie było już w naszej mocy. Nie był już ani jej ojcem, ani moim dziadkiem. Był już tylko ciałem, był trupem. Spod czarnej narzuty wyglądały dwa grube palce u nóg. Żółte, chude, owinięte słomą.

W pokoju siedziały obce niewiasty. Opowiadały o chwalebnych zaletach dziadka. Na płycie kuchennej stały zimne, poobijane garnki. Nikt tego nie zauważał. Widziano tylko te dwa grube, martwe palce. Widać też było babcię Rachelę. Malutka, skurczona, stała nad martwym mężem i kiwała małą główką w stronę czarnej narzuty.

— Dawidzie, u kogo mnie zostawiasz? Kto będzie odprawiał kidusz? Co? Zgasłeś jak świeca. Mógłbyś przecież mi powiedzieć: Rachelo, jest mi jakoś niedobrze. A ty co? Obróciłeś twarz do ściany i... już. Po to miałam przeżyć z tobą wszystkie lata, żeby ci nie móc udzielić ratunku?

Mówi tak przez cały dzień. Mówi to coraz ciszej. Z coraz większym otępieniem. Nie bierze nic do ust. Nawet herbaty. Uspokaja się dopiero wieczorem, kiedy obie świece u wezgłowia dziadka zaczynają świecić żółtym światłem. Noc wkracza czernią. Taką samą jak narzuta pokrywająca nieboszczyka. Czarny Żyd odmawia *Psalmy*. Mama opiera głowę o wałek na łóżku babci. Na drugim wałku opiera głowę ciotka Miriam. Ja razem z dziećmi ciotki Miriam kłębimy się pośrodku tego łóżka. Babcia przysuwa swój kuferek do nieboszczyka. Przez całą noc czuwa nad dwoma żółtymi, martwymi palcami.

Następnego dnia po południu odbył się pogrzeb. Czekano na obu synów dziadka. Na wuja Abrama Ajzyka z Warszawy, który umiał robić z papieru latające w powietrzu ptaki i był biedakiem co się zowie, oraz na wuja Lejzora z Łodzi, który nie umiał robić ptaków latających w powietrzu, ale był bogaty.

Ten z Łodzi pokasływał po nowobogacku. Ciągłe wycierał nos świeżą, białą chustką. Warszawski wujek miał na głowie ośmiokątną jarmułkę. Nosił okulary. Był chudy i miał jasną, ładnie zaczesaną brodę. Złożył obie ręce i głowę na trumnie. Wuj Lejzor z Łodzi szedł za trumną powolnym krokiem i oglądał się od czasu do czasu.

Rabin z dajanem nie szli w kondukcje pogrzebowym. Sklepów nie zamknięto. Chłopcy z chederu nie śpiewali: *Ofiarność przed nim kroczy*. Miasto nie miało pojęcia o śmierci dziadka. Słońce za to wiedziało. Padało na trumnę, na ramiona, przed konie ciągnące karawan. Tak jak ów słup ognia przed Żydami, kiedy wychodzili z Egiptu.

Śmierć, Pogrzeb, Obyczaje,
Żaloba

Trup

ROZDZIAŁ XXX

Po śmierci dziadka smutek zapanował w naszej rodzinie. Bogaty wuj Lejzor jeszcze w dzień pogrzebu pojechał z powrotem do Łodzi. Biedny Abram-Ajzyk odsiadywał siedem dni żałoby u babci Racheli. Opowiadano sobie różne historie o dziadku. Wuj Abram-Ajzyk, który był krawcem, po siódmym dniu żałoby wykończył ostatni granatowy mundurek, którego dziadek nie zdążył uszyć. Wieczorem wsiadł do omnibusu Jarne i pojechał do Warszawy.

Babcia została sama w małym, biednym domku. Nikt nie prasował i nikt nie śpiewał piosenek. Jedynym jej opiekunem był głupi goj, Władek. Babcia zaczęła wyprzedawać i rozdawać schedę, pozostała po dziadku. Wuj Abram-Ajzyk zabrał do Warszawy talerz i tefilin, kilka machzorów¹¹⁹, trochę wosku i igieł. Moja mama otrzymała paschalną zastawę stołową razem z kielichem proroka Eliasza. Dla siebie babcia zostawiła tylko warsztacik dziadka i własny kuferek. Z tym majątkiem przeniosła się do ciotki Miriam.

Ciotka Miriam mieszkała już wtedy w dużej kamienicy z dużym, czworokątnym podwórzem. Jej pokój z kuchnią wisiał nad gankiem. Było ciasno, ale dla łóżka babci, dla jej kufierka i warsztaciku dziadka znalazło się miejsce.

Zdaje się, że teraz, po tym jak ciotka Miriam zmieniła mieszkanie i po tym, jak babcia na stare lata zawędrowała do swego dziecka, nie miało już żadnego sensu, żebyśmy nadal mieszkali na ulicy Więziennej. Zwłaszcza, że mama od dłuższego już czasu nabrała nie-smaku do naszego mieszkania. Zaczęła szukać nowego, suchego, ciepłego i niedrogiego. Tym razem poszukiwania trwały dłużej.

Po Świętym Janie, kiedy zaczęły się upalne dni, znowu pojawił się pod domem wóz, na który załadowaliśmy nasze skromne gospodarstwo. Pożegnaliśmy się z sąsiadami, z pięknym sadem i przenieśliśmy się na tę samą ulicę, na której zmarł dziadek Dawid Frojke.

Kiedy popatrzyłem na to nowe miejsce, do którego wstawiono naszą szafę i łóżka, zachciało mi się płakać. Ojciec, który tym razem pomagał w przeprowadzce, w pewnej chwili zagapił się. Zdawało mu się, że przez pomyłkę wszedł do obcego mieszkania i natknął się na gołą babę. Co się tu mamie spodobało? Dlaczego zmieniła sad i ogród na tę rozjechaną karcznię? Okna w niczym nie przypominały okien. Dwa gołębniki stały na dachu. Piekielny żar bił z blachy pokrywającej dach. Co z tego, że się stąd ma widok na całą ulicę Warszawską, ze wszystkimi kominami na dachach domów? Ale z dołu, z miejsca, gdzie stoją miejscowe dorożki, dolatywał zapach końskiego moczu! Może spodobało się mamie, że nasze okna były jedynymi na dachu. A może to, że na dole, na ulicy, Lejbl-Wariat przez cały dzień podpierał ścianę domu i zjadał końskie łajno? Przecież w nowym mieszkaniu nie ma nawet malowanej podłogi! Nie ma też kuchni. Całe mieszkanie składa się z jednej izby. Dużej jak dom zajezdny. Z niskim sufitem i staromodnym glinianym rozsypującym się piecem. Z dwoma komórkami umieszczonymi w ścianach. Z tych komórek uderza zapach kotów.

Być może, że mamie spodobał się kącik między piecem a ścianą, który nazywa alkierzem. Jak się chce, twierdzi, to nie jest alkierz, a cała izba. Można tu postawić dwa łóżka i komodę. Zawiesi się zasłonę i odnajmie się jako pokój sublokatorowi. Na dole, na pierwszym piętrze, powiada, mieszka naczelnik powiatu, ale schody pomalowane są na czerwono tylko do jego drzwi. Do nas trzeba było wspinać się po krętych, zakurzonych stopniach. Trzeba było przejść przez strych, na którym wisiała i straszyla bielizna. Należało ostrożnie stawiać kroki, wystawiać najpierw ręce, żeby nie natrafić na koty, które zbierały się tutaj, by użalać się nad swoją dolą.

Nawet podwórze na nowym mieszkaniu nie przypominało w niczym podwórza z ulicy Więziennej. Było ciasne, zamknięte kamienicami z gankami, które prowadziły do komórek z drzewem albo kurami. Jedyną ozdobą była tu okrągła zielona pompa.

Pomyślałem sobie, że na tym podwórku nie można opowiadać bajek lub historyjek. Tu już nie będę miał takiego koleżki jak Jankiel, syn bałagudy Jarne. O omnibusie też nie ma mowy. Gdzie więc mam się podziać?

¹¹⁹*machzor* — modlitewnik używany w czasie świąt. Zawiera modlitwy przeznaczone na określone święta. [przypis tłumacza]

Było mi smutno, tak smutno, że wiele razy wpadałem na ulicę Więzienną, żeby popatrzeć na sad, na ogród i na nasze okna, w których teraz stały gojskie wazon.

Bóg jednak nie opuszcza człowieka. Po pewnym czasie mama zawarła bliższą znajomość z sąsiadką, która była zupełnie inna od wszystkich dotychczasowych sąsiadek.

— To nie Żydówka — powiedziała mama — ale jakaś pani.

Pani ta nie nosiła peruki. Nie błogosławiła świec i nigdy nie przekroczyła progu bóżnicy. Mimo to mama i jeszcze kilka kobiet orzekło, że handlarka winem, pani Rejzele, jest świętobliwą, koszerną, żydowską istotą. Rejzele była niewiastą niskiego wzrostu, tęgawą, z pulchnym podbródkiem. Mówiąc, zaciągała po pańsku. Sama prowadziła sklep z winem, ciastkami i tortami. Pani Rejzele mówiła po niemiecku i umiała też pisać po francusku. W sklepie siedziała ubrana w czarny, alpagowy fartuch, zapięty od góry do dołu. W złotych okularach czytała książki w obcych językach. Co roku jeździła do ciepłych wód, skąd wracała smuklejsza. W domu trzymała gojską służącą i mimo iż sama była uczona i mogła rozmawiać z samym panem gubernatorem, to do służącej nie zwracała się per ty, tylko per pani. Zamożniejsze kobiety robiły jej z tego powodu wyrzuty:

— Rejzele — mówiły do niej — to niesłychane! Przecież pani psuje służące!

Rejzele na to odpowiadała, że Pan Bóg stworzył wszystkich ludzi równych sobie. To sami ludzie podzielili światek w taki sposób, żeby jednemu się dobrze powodziło, a drugiemu źle. Co winna jest ta siksa, że musiała zostać służącą u kogoś? A skoro już jest służącą, to dlaczego należy ją obrażać? Panie z bogatych domów uważały Rejzele za nieco stukniętą. Po cichu z niej pokpiwały. Twierdziły, że Rejzele tylko udaje szlachetną, żeby ludzie myśleli, że jest kimś. Jeśli zaś chodzi o stosunek ubogich kobiet do Rejzele, to bardzo ją ceniły. Takiej kobiety i żony jak Rejzele, to tylko ze świecą szukać, mówiły.

Być może, że takiego człowieka jak Menachem, jej mąż, też należało ze świecą szukać. Przede wszystkim z tego powodu, że był nieprawdopodobnie wysoki. Tak wysoki, że aż się zgiął i wyrósł mu garb. Był to jedyny wysoki człowiek z garbem w naszym mieście, a być może na całym świecie.

Był to Żyd z rodu Kohanim, kapłanów, gniewny, uczony w Piśmie i maskil¹²⁰. Na stare lata zmuszony był przyjąć posadę buchaltera u bogatego Żyda, który nosił czystą, zaczesaną brodę i skrzypiące buty, ale w głowie miał pustkę. Pan Menachem, wzorem żony, nie znosił błogosławieństwa nad świecami i modlitw w bóżnicy.

— Niech do bóżnicy chodzi mój pryncypał — powiedział. — To złodziej, a złodzieje boją się Boga.

Kiedy mu wyrzucano, że wyraża się źle o swoim chlebobdawcy, pan Menachem marszczył twarz i tak odpowiadał:

— Czy ja go prosiłem, żeby był moim chlebobdawcą? To jedno, a po drugie pan Bóg też go nie lubi. Trzech rzeczy pan Bóg nie znosi: przechrztów, świń i bogaczy.

Pan Menachem nosił twardy, czerwony, zawsze zakurzony kapelusz, kupiecki surdut z rozcięciem z tyłu oraz niepastowane sztyblety. Swego ubioru jednak nie lubił.

— Że też człowiek nie może chodzić w tym, co mu się podoba — uskarżał się.

Oczywiście bogaci Żydzi pokpiwali sobie z niego. Dlaczego taki Żyd jak rebe Menachem nie miałby nosić aksamitnej czapki i jedwabnej kapoty?

Rebe Menachem zrozumiał, że kpią z niego, więc odciął się, mówiąc, że do aksamitnej czapki dobrze jest „narobić”, a z jedwabnej kapoty należy zrobić majtki dla kobiet.

— Czy Żydzi kiedyś tak chodzili? — gorączkował się Menachem. — Pokażcie mi, jeśli łaska, gdzie jest napisane w *Torze*, że Żydzi przed wiekami chodzili w atlasowych kapotach i aksamitnych czapkach? Czy nie ładniej i zdrowiej chodzić z obnażoną głową, bez butów i bez tych wszystkich głupich strojów?

— Przecież pan już chodzi w surducie, więc czego jeszcze chcieć?

— Surdut potrzebny mi jak dziura w moście! To żona mnie tak wystroiła. Gdyby mnie zapytano, to bym wszystkim kazał chodzić w pelerynach. Jest w nich swobodnie, zwiewnie i człowiek ma gdzie ręce podziać.

¹²⁰*maskil* — zwolennik haskali; *haskala*: ruch oświeceniowy wśród Żydów propagujący emancypację poprzez wykształcenie. [przypis edytorski]

— Zupełnie jak sztukmistrz Chapello albo jak krawiec Dawid Frojke — uśmiechali się pod wąsem Żydzi i po cichu na ucho sobie szeptali, że buchalter Menachem też jest stuknięty.

— Sztukmistrz Chapello i krawiec Dawid Frojke — zaczerwienił się reb Menachem — są miłsi Bogu niż wy, ze swoimi zaszmalcowanymi kapotami i złodziejskimi sztuczka-
kami. Chapello umie przynajmniej pokazywać sztuczki, Dawid Frojke — uszyć ubranie, a wy, co umiecie? Nawet parszy¹²¹ *Pięcioksięgu* z komentarzem Rashi nie potraficie objaśnić!

Reb Menachem niewątpliwie to potrafił. Mówiono o nim, że od nadmiernej wiedzy stał się heretykiem i zaczął interesować się syjonizmem. Przed laty przyjaźnił się z niejakim nauczycielem Izraelem, twórcą i dyrektorem szkoły, z której wyszło całe pokolenie gojów. Rebe Menachem i rebe Izrael całe życie rozmawiali o ksiązkach. Nieustannie dyskutowali, klócili się i skakali sobie do oczu podczas gry w szachy.

Ale od śmierci rebe Izraela, Menachem nie zawarł z nikim znajomości. Wyjątkiem był tylko pewien litwak — melamed, który palił cybuch i bez przerwy zadawał pytania:

— Czy jest Bóg, czy nie ma Boga?

Nie ma nic dziwnego w tym, że zawarcie znajomości z Ozerem, najmłodszym synem rebe Menachema i Rejzele, było dla mnie wielkim przeżyciem.

O Ozerze słyszałem, będąc jeszcze uczniem w chederze rebeego Szyme-Josefa. Mówiono o nim, że jest tak samo zły i srogi jak jego ojciec. Że nie myje rąk przed jedzeniem i chodzi bez nakrycia głowy. Ozera uważano w mieście za nieco stukniętego, ale kiedy zawarłem z nim znajomość, przekonałem się, że wszystko, co o nim mówiono, jest wyssane z palca.

Był zupełnie innym człowiekiem. Nie był pokroju Jankiela, syna bałaguly i nie z gatunku chłopców w nowej szkole. Ozer był chłopcem chudym i, tak jak jego ojciec, miał kościstą twarz i czarne, niespokojne oczy. Nie miał tylko jego garbu.

Kiedy go poznałem, uczęszczał już do rosyjskiego gimnazjum. Nosił niebieski mundurek ze srebrnymi guzikami, który mu kiedyś uszył mój dziadek. Z czasem srebrne guziki pożółkły jak mosiądz. Mundurek stracił kolor. Z granatowego stał się zielony. Ozer się tym nie przejmował. Nie przejął się też tym, że z jego gęstej, czarnej czupryny, sypał się lupież. Nie lubił się czesać. Nie lubił też wina i ciastek ze sklepu swojej matki. Uważał, że najlepsze jedzenie, to sama bułka, świeżo wyjęta z pieca. Przynosił więc na nasze podwórko mnóstwo bułek. Rozkładał je na studni, albo na schodach, siadał przy nich i jedną po drugiej zjadał. Nie był bynajmniej żarłokiem. Głodu również nie zaznał.

— Tylko w ten sposób — mówił — łatwiej mi przychodzi myślenie i gadanie.

A gadać Ozer lubił. W letnie popołudnia, kiedy słońce wpadało na nasze podwórze, a ja wracałem ze szkoły, spotykaliśmy się obaj przy pompie albo na jednym z ganków, które prowadziły do komórek.

Ozer mówił powoli. Najpierw myślał, a potem mówił. Właściwie więcej pytał, niż opowiadał. Nigdy nie zauważyłem, żeby Ozer się śmiał albo opowiadał coś do śmiechu. Nie uznawał też bajek czy opowieści. Te wszystkie książki zawierające opowiadania to wymyślone historie.

Nie wiem, czy lubiłem Ozera. Nie zastanawiałem się nad tym. Czulem jednak, że ciągnie mnie do niego mocniej niż do Jankiela, syna Jarne. Wiele razy, czy to we śnie, czy nawet w szkole, słowa Ozera leżały mi kamieniem na sercu. Czulem, że z Ozerem jest mi ciężko, ale jeszcze ciężiej odczuwam jego brak.

— Wierzysz w Boga? — zapytał mnie pewnego parnego popołudnia, kładąc rękę na moim ramieniu.

Nie wiem, czy zrobiło mi się ciężko z powodu upału, czy raczej od pytania Ozera. Dreszcze przeszły mi po grzbiecie. Co mogłem odpowiedzieć na to pytanie? Od kiedy żyję, nikt mi tego pytania nie postawił. Czy w ogóle można takie pytanie postawić? Czy wierzysz w Boga? A kto nie wierzy?

— Boisz się powiedzieć?

— Nie boję się. Kogo mam się bać? Nie wolno jednak o tym mówić.

— A kto ci powiedział, że nie wolno?

¹²¹ *parsza* — rozdział *Tory* przypadający na dany dzień tygodnia. [przypis edytorski]

- Jest napisane w *Torze*.
- A czym, jak myślisz, jest *Tora*?
- Świętą Księgą!

Ozer odsunął się trochę ode mnie. Na podwórzu wszedł spokojnym krokiem szalony Lejbl. Ten, co stoi całymi dniami na ulicy i zjada końskie łajno.

Między mną a Ozerem zapanowało milczenie. Patrzyliśmy na szalonego Lejbla tak długo, aż zniknął w drzwiach domu swojego ojca. Potem Ozer się odezwał:

- Wiesz, dlaczego Lejbl zwariował?
- Nie wiem.
- Ponieważ czekał na Mesjasza i nie mógł się doczekać.
- Wszyscy Żydzi czekają na Mesjasza.
- To wszyscy Żydzi zwariują.

Przeraziłem się. Nic innego tylko naprawdę jest stuknięty. Mimo, iż na podwórku nie było nikogo i nikt tego nie słyszał, wydawało mi się, że lada chwila spadnie na nas grad ognistych kamieni.

Bąłem się dłużej przebywać z Ozerem. W nocy, we śnie, wciąż widziałem jego wykrzywioną gębę. Widziałem, jak biegnie po ulicach miasta z rogami na czole i z kozią bródką. Ja biegłem za nim i szczekałem. Słowem, Ozer wcielił się w diabła, a ja w psa.

Następnego dnia znowu spotkaliśmy się. O śnie nie wspominałem, ale bacznie przypatrywałem się, czy czasem nie ma rogów i koziej bródki.

Postawił mi znowu pytanie:

- Uczyleś się *Pięcioksięgu*?
- Tak, uczyłem się.

— Wiesz, jak stworzony został świat?

— Wiem, w *Księdze Genesis* jest to opisane.

— A mój ojciec mówi, że nikt nie wie. To, co jest napisane w *Księdze Genesis* jest czystą bajką.

— Bajką?

— Tak, bajką. Mój ojciec mówi, że to ładna bajka, ale z prawdą ma niewiele wspólnego.

— A ty wierzysz w to, co twój ojciec mówi?

— Mój ojciec zna cały *Pięcioksiąg* razem z Rashi. Zna cały *Tanach*, a nawet *Gemary* i *Toseftę*. Mówi, że to wszystko napisali ludzie.

— A ty, co mówisz?

— Nie wiem. Mój ojciec uczy mnie *Tanachu*. On twierdzi, że Żyd powinien wszystko znać. Nie muszę w to wierzyć, ale znać muszę.

— A tefilin będziesz kładł?

— Nie wiem, ale ojciec uczy mnie i zapoznaje ze wszystkimi przepisami prawa.

Tak czy owak, zdawałem sobie sprawę, że Ozer umie znacznie więcej ode mnie. Ale dlaczego zadaje mi takie dziwne pytania? Czyżby nikogo się nie bał?

— Dobrze — powiedziałem — jeśli twój tato jest takim mędrcom, to niech mi powie, kto stworzył świat?

— Nikt — odpowiada Ozer. — Sam się stworzył.

— Co to znaczy sam? Jak rzecz powstaje sama z siebie?

— A widzisz.

— Nic nie widzę.

— A jeśli ci powiem — złości się Ozer — to już będziesz wiedział?

— Jasne, że będę wiedział.

— A więc zgoda. Natura stworzyła świat.

— Natura? Co to jest: natura?

— Przekonałeś się, że nic nie rozumiesz.

Rzeczywiście nic nie rozumiem, ale nie chcę się tak łatwo poddać.

— A nasz nauczyciel, Mojżesz? A tablice z przykazaniami?

— Nie wiadomo, czy w ogóle istniał Mojżesz.

W tej samej chwili złapał mnie za rękę i pociągnął do siebie. Z jego ust buchnął gorący oddech. W oczach miał coś takiego, czego nie mogłem określić. Tak chyba musi

wyglądać człowiek odchodzący od zmysłów. Przypomniałem sobie, jak rebe Jankele, oby spoczywał w pokoju, uczył nas *Tanachu*. Jego prorocy Izajasz i Ezechiel z całą pewnością istnieli. A Mojżesza, rebego Dawida, wszyscyśmy widzieli. A w ogóle, jak taki Ozer może powiedzieć, że Mojżesza wcale nie było, skoro w naszym domu i w innych domach wiszą jego portrety. A przy tym, kto chodził do faraona? Kto wyprowadził Żydów z Egiptu? Kto potłukł na kawałki złotego cielca? Czyżby wszyscy Żydzi byli szaleni i tylko ojciec Ozera był przy zdrowych zmysłach? Bałem się ojca Ozera. Zdawało mi się, że jego garb to jakaś żywa istota. Że patrzy na mnie oczami i śmieje mi się w twarz.

— Jasne, że wszyscy Żydzi powariowali. A co, nieprawda?

Ozer w moich oczach stał się jak złośliwy garb. Jego słowa raziły mnie. Odbierały mi ojca i matkę, świat doczesny i pozagrobowy. Zdawało mi się, że szabas nie jest szabasem i święto nie jest świętem.

A mimo to nie potrafiłem się od niego oderwać. Przerazał mnie i zarazem pociągał. Poza tym Ozer często zapominał nauk ojca i stawał się normalnym kolegą. Takim jak wszyscy chłopcy. Przecież uczęszczał już do gimnazjum. Traktowano go jak studenta, a on mimo to zaglądał do nas w sobotę wieczorem, żeby zabawić się w chowanego, a kiedy mamy nie było, w przebierańców. Była to jedna z najlepszych i najpiękniejszych zabaw, i Ozer przynosił ze sklepu matki kolorowe kartki papieru. Moczyliśmy śliną papierki i wydobytą z nich farbą malowaliśmy twarz i nos. Wywracaliśmy ubrania na lewą stronę i wzięwszy do ręki miotły paradowaliśmy po naszym dużym pokoju. Ozer był Mojżeszem, a ja ludem Izraela. On wyprowadzał mnie z Egiptu.

— Chodź — powiedział — zostaw Pitom i Ramses¹²². Pójdziemy do kraju mlekiem i miodem płynącego. Dostyc harowania na rzecz faraona. Za długo byliśmy niewolnikami.

Brał mnie za rękę i dodawał:

— Ostrożnie, ludu Izraela! Tu jest morze, uważaj, żebyś nie wpadł. Za chwilę ono się rozstąpi. Zobacz, oto wody cofają się jedne na prawo, drugie na lewo. Śmiało, idź, nie bój się!

Wstąpiliśmy do morza, to znaczy przeskoczyliśmy deskę do krojenia makaronu, która leżała na środku pokoju. Kiedy już byliśmy po drugiej stronie morza, cali i susi, zaczęliśmy śpiewać hymn i patrzeć, jak Egipcjanie razem ze swoimi końmi i rydwanami toną w odmętach.

Zabawa była pyszna, ale wiele razy ogarniał mnie niesamowity strach. Ozer bowiem podczas tej gry miał dołki na policzkach i żółte białka w oczach. Wyrzuciłem miotłę, ściągnąłem z siebie szmaty i nieswoim głosem wykrzyknąłem:

— Ozerze, nie wolno kpić! Będą nas na tamtym świecie palić i smażyć.

Widocznie Ozer również się przestraszył. W jednej chwili porzucił miotłę, wyrzucił czapkę na prawą stronę i zmieszany, ze zsiniałymi wargami, stał na środku pokoju, ciężko dysząc.

Nie zawsze jednak przebieraliśmy się za Mojżesza i lud Izraela. Czasami Ozer udawał rabina. Naśladował jego sztywny chód, kiedy paradował po mieście z parasolem. Odstawiał też czasem pisarza gminy — Ben-Cijona, który biegał stawiając szybkie, małe krociki. Naśladował też Mendla, syna ciotki Noemi, który podczas śpiewania nadymał się, czerwieniał na twarzy i wytrzeszczał oczy. Pękałem ze śmiechu. Miałem przyjemność z tego, że Ozer nie bał się kpić z rabina, Ben-Cijona i z Mendla — śpiewaka i nawet z takiego bogacza, jakim był Ruwele Bekerman.

Najbardziej jednak podobała mi się scena, kiedy Ozer zdejmował z łóżka kołdrę i owińnawszy się nią wystawiał jedną nogę naprzód i podnosił rękę do góry. Jego rozwichrzona, czarna czupryna wyglądała wtedy, jak dopiero co kupiona, nowa miotła.

Mnie Ozer kazał stać i spokojnie patrzeć na siebie. On zaś po tym, jak szyja nabrzmiała mu krwią, zaczął twardym głosem recytować:

— *Kak ninie sbirajetsja wieszchi Oleg
Otomstit nierozumnym Cazarom
Ich siola i niwy ze bojnu nabieg*

¹²²*Pitom i Ramses* — miasta (następnie połączone w jedno: Pi-Ramzes) przy budowie których faraon zatrudnił m.in. Hebrajczyków (por. *Biblia*: Wj 1,11). [przypis edytorski]

Głos jego podnosił się coraz wyżej i wyżej. Już nie recytował, ale śpiewał. Nie był to ten sam Ozer, który zadawał dziwne pytania, na które sam nie umiał odpowiedzieć. Stał przede mną zupełnie inny Ozer. Wyższy, starszy, obcy i piękny.

— Wiesz, co to jest?

— Nie wiem.

— To wiersze. Wiersze Puszkina. Wiesz, kto to był Puszkina?

— Nie wiem.

— A kto to był Lermontow?

— Nie mam pojęcia. Nauczyciel Matias nie uczy nas ani Puszkina, ani Lermontowa. My jesteśmy na etapie *czistopisania*.

— Zaczekaj — macha Ozer ręką. — Zaraz ci wyrecytuję coś z Lermontowa.

I znowu wystawia nogę do przodu i potrząsnawszy głową zaczyna z poczuciem wielkości i zuchwale:

— *Skazi-ka diadia, wied nie darom.*

Moskwa spalona ja pożaram.

Francuzu oddana.

Wied' byliże schwatki bojowyje.

*Da gaworiat jeszcze kakije*¹²⁴.

Znowu nie rozumiem. Czuję, że Ozer z kimś rozmawia, ale nie wiem, z kim. On jest Ozerem i on jest tym obcym. On pyta i on odpowiada. On się spiera i on się godzi. Dopiero potem wyjaśnia mi Ozer, że to historia o cesarzu Napoleonie, który szedł z wojskiem na Moskwę. Rosji nie można było pokonać. Z powodu mrozów armia francuska musiała się wycofać. Opowiada mi też Ozer, że Puszkina był stałym gościem na dworze carskim. Napisał bajeczkę o złotej rybce i o takiej osobie, która się brzydko nazywała, a mianowicie Mazepa, i również o takim magnackim synu imieniem Jewgienij Oniegin. A miał Puszkina wszystkiego dwadzieścia lat, kiedy został zastrzelony z pistoletu.

Ozer powiada, że kiedy dorośnie, chciałby być taki jak Puszkina. Mnie jednak Puszkina wcale nie obchodzi. Tak czy siak nie wiem, kim on był. Ozera chętnie słucham. Teraz jest mi bliski, miły. Obiecuję nauczyć mnie wszystkich tych wierszy. Przyniesie mi książkę niejakiemu Tołstojowi, który z hrabiego stał się prostym chłopem.

Ozer wie wszystko. Mnie zaś nie sądzono było wiedzieć. Wskutek tego, że przed nami przebiegł czarny kot, na długie lata została przerwana nasza przyjaźń.

ROZDZIAŁ XXXI

Zapomniałem powiedzieć, że oprócz komórek z licznymi ganeczkami oraz zielonej pompy stała jeszcze z boku na naszym podwórzu mała kamieniczka z dwoma oknami i obdrapanymi drzwiami bez klamki.

Oba okna były ślepe, przykryte kurzem. Opowiadano, że kiedyś w tej kamieniczce mieszkał pewien Żyd — zegarmistrz. Całe życie patrzył przez lupę. I tak patrząc, co roku obdarzał żonę męskim potomkiem. Ale chłopcy niedługo sobie pożyli. Szły słuchy, że w niebie zapadł wyrok skazujący na śmierć każdą istotę narodzoną w dzień czuwania. Nie wiadomo, czy pożarł ją kot, czy matka zadusiła piersiami. Wystarczy, że pewien bogobojny, świątobliwy Żyd polecił zegarmistrzowi wyprowadzić się z tej kamieniczki, gdyż

¹²³*Kak (...) pożaram* — zniekształcony początek ballady Puszkina *Песнь о вещем Олеге* (*Pieśń o wieszczym Olegu*): „Как ныне собирается вещей Олег/ Отмстить неразумным хозарам:/ Их сёла и нивы за буйный набег/ Обрѣк он мечам и пожарам” [„Jak teraz zbiera się wieszczu Oleg, by zemścić się na nierozumnych Chazarach: na ich wioski i niwy w awanturniczym najeździe on wydał wyrok miecza i pożaru”; tłum. red. WL]. [przypis edytorski]

¹²⁴*Skazi-ka (...) kakije* — nieco zniekształcony początek wiersza Michaiła Lermontowa *Бородино* (*Borodino*): „Скажи-ка, дядя, ведь не даром/ Москва, спаленная пожаром,/ Французу отдана?/ Ведь были ж схватки боевые?/ Да, говорят, еще какие!” [„Powiedz, dziaduniu, nie na darmo Moskwę, spaloną pożarem, Francuzom oddaliśmy? Wszak były wojenne potyczki? I, powiadają, jeszcze jakie!”; tłum. red. WL]. [przypis edytorski]

ongis mieścił się w niej burdel. Zegarmistrz wyprowadził się. Od tego czasu kamieniczka opustoszała i straszy swoimi ślepyimi, zakurzonymi oknami przypominającymi dwie wypalone plamy na czystym ciełe.

Żaden goj i żaden Żyd nie chce się do niej wprowadzić. W nocy harczą w niej nietoperze. Kobiety mówią, że to dusze tamtych dzieci, które umarły, zanim zdążono je według prawa obrzezać i włączyć do żydowskiego ludu. I właśnie, kiedy myśmy tam mieszkali, przekłeta kamieniczka ożyła.

Jacyś obcy ludzie zerwali zabite na głucho drzwi. Zjawili się stolarze i murarze. Rozległ się stukot młotków i siekier, potem śpiew robotników. Ludzie z naszego podwórza zbiegli się, żeby zobaczyć śmiałka, który ryzykując życiem, chce się do kamieniczki wprowadzić. Ojciec Oзера wsunął głowę w otwarte drzwi kamieniczki, po czym oświadczył, że dobrze się stało, że ludzie się do niej wprowadzają. Sam by się do niej wprowadził na złość wszystkim prostakom i głupcom, którzy wierzą w duchy i w diabły. Robotnicy pracowali w dzień i w nocy. Całe podwórze z niecierpliwością i ciekawością czekało na nowych sąsiadów. Ludzie zadawali sobie pytanie: czy czasem nie będą to goje? Okazało się, że nie. Nową sąsiadką była wdowa Chańcza. Była to kobieta, która nie nosiła peruki. Jej czarna fryzura ukoronowana była lokiem na czole.

Ludzie z podwórza wiedzieli, kto to jest. Jej ojciec, na pół ślepy, był krawcem, łaciarzem. Reperował stare żydowskie kapoty. Matka, przygarbiona jak żebraczka pod kościołem, lubiła skupywać u chłopów okazjynie tanie rzeczy i tak długo się targowała, aż chłop gubił rachunek. Chańcza wiele lat spędziła w Warszawie. Nikt nie wiedział, czym się tam zajmowała. Kiedy życie w Warszawie jej obrzydło, wróciła do naszego miasta. Przywiozła ze sobą duży zielony kufer na kółkach, pełen obrusów, prześcieradeł, koszul, ręczników i jedwabnych sukien.

Przywiozła też z Warszawy piętnastoletnią córkę. Mówiono o niej, że to bękart. Bękart miał ładną twarz z pełnymi wdzięku dołeczkami i dużą głowę porośniętą gęstą czupryną w granatowym kolorze. To dla Chańczy i jej córki robotnicy stukali młotkami w przekłetej kamieniczce i śpiewali piosenki podczas heblowania desek. Dla nich to układali nową, białą posadzkę, kitowali szyby i malowali drzwi. W pierwszy wieczór po ich wprowadzeniu się na podwórzu roztoczyło się jaskrawe światło z dwu gazowych lamp zapalonych w odnowionym mieszkaniu. Światło było tak silne, że ludzie musieli zawiesić prześcieradła w oknach swoich mieszkań. Przy takim świetle bowiem nikt nie mógł zasnąć.

Chańcza urządziła w tej przekłetej kamieniczce herbaciarnię. Kazała robotnikom wmurować w ścianę duży kocioł z ciężkimi, mosiężnymi kranami podobnymi do gniewnych opuszczonych głów. Wstawiła długie heblowane stoły i ławki i zaczął się ruch. Przychodzili żołnierze, furmani ze swoimi pannami i w ogóle młodzi ludzie, którzy w sobotę nie mieli gdzie palić papierosów. Z białych, brzuchatych, błyszczących dzbanów czerpali herbatę z cytryną i zakąszali maślanymi ciastkami, kawałkami strucla, które piekła sama Chańcza. Zajadano się pestkami słonecznika i śpiewano piosenki z Warszawy, Rosji, Buenos Aires i Ameryki Północnej.

Przedemną i Ozerem otworzył się nowy świat. Przestaliśmy spędzać czas przy zielonej pompie. Ozer nie pytał już mnie o to, czy wierzę w Boga i czy Mojżesz rzeczywiście istniał. Po prostu nie miał czasu na zadawanie takich pytań. Wieczorem staliśmy przed oknami herbaciarni i słuchaliśmy pieśni z dalekich krajów. Nie wiem, czy Ozerowi też wydawało się, że nie ma niczego lepszego i piękniejszego na świecie od herbaciarni Chańczy. Być może dlatego, że pospołu z pieśniami i radosną atmosferą panującą w herbaciarni, lubiliśmy patrzeć na Ruchcię, piękną córkę Chańczy.

O tym oczywiście nic nie powiedziałem Ozerowi. On również nie zwierzał się mnie. Kiedy jednak obaj staliśmy za oknami herbaciarni, bez słowa szukaliśmy oczami postaci, która tkwiła w naszej wyobraźni, jeśli tylko przymknęliśmy powieki.

— Zimno ci? — zapytał Ozer.

— Nie. Nie jest mi zimno — odpowiedziałem, drżąc i chowając głowę pod kołnierzem.

— Mnie też nie jest zimno — oświadczył Ozer, tupiąc nogami po śniegu. — Widzisz ją?

— Tak, widzę — odpowiedziałem szeptem, aczkolwiek wiele razy jej nie widziałem.

— A ja jej nie widzę — powiedział Ozer, przybliżając twarz do szyby w poszukiwaniu jakiejś szerszej szczeliny w zasłonie okna.

Pomyślałem sobie, że gdyby Bóg mi pomógł rozsunąć trochę zasłonę i zobaczyć Ruchcię w całej okazałości, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

Ozer ubierał swoje myśli w słowa. Powiedział, że gdyby się nie bał, to by wybił szybę i zerwał zasłonę.

— Wewnątrz siedzą złoczyńcy — powiedziałem — co by im szkodziło, gdyby okna nie były zasłonięte?

Ozer wyjaśnił mi, że tak musi być. W przeciwnym wypadku podwórze zaroiłoby się od ludzi.

— Widzisz przecież — oświadczył — że tam siedzą kawalerowie z dziewczynami. Sam widziałem, jak żołnierz obejmował dziewczynę i całował ją. Wszyscy żołnierze mają taki nawyk. Lubią całować dziewczyny.

Nie wiem, co się ze mną w owej chwili działo. Zrobiło mi się gorąco. Z tego chyba powodu wyrwało mi się:

— A ty, Ozerze, pocałowałbyś Ruchcię?

— Zwariowałeś? Myślisz, że ona to byle kto?

— Uchowaj Bóg! Wiem, kto ona jest.

— Ty jej nie znasz — oświadczył Ozer. — Ona jest zupełnie inna. To niezwykła dziewczyna.

Powiedział to z takim przekonaniem, że odniosłem wrażenie, iż zna Ruchcię od bardzo dawna. Że z nią rozmawiał, chodził z nią na spacer i być może nawet zdążył już ją pocałować.

Tego wieczoru rozstałem się z Ozerem z ciężkim sercem. Coś mnie zaczęło gnębić i nie wiedziałem, jaka jest tego przyczyna. Dlaczego Ozer nagle zadarł nosa? Czy rzeczywiście spacerował z Ruchcią? Czy faktycznie z nią rozmawiał? Jeśli to prawda, to dlaczego zataił to przede mną? A jeśli naprawdę z nią chodził na spacer, to dlaczego nadal stoi pod jej oknami i nie wchodzi do środka? Była to dla mnie zagadka. Jeszcze bardziej wydał mi się zagadkowy fakt, że pewnego dnia Ozer poprosił mnie, żebym go w sobotę zabrał do herbaciarni. W sobotę ja byłem panem. Ja zdecydowałem. W sobotę zobaczyłem Ruchcię w całej jej okazałości.

A stało się to tak. W sobotę, po obiedzie, ojciec posłał mnie do Chańczy po czajnik wrzątku. Ozera jego matka nie posyłała do herbaciarni. Po pierwsze dlatego, że był studentem, a po drugie, Chańcza miała służącą gojkę, która w sobotę piekła i gotowała. Umówiłem się przeto z Ozerem, żeby w sobotę wcześniej wrócił z gimnazjum i wtedy zabiorę go do herbaciarni. Książki i zeszyty schował pod schodami. Czapkę uczniowską wsunął do kieszeni i obaj weszliśmy do herbaciarni. On z opuszczoną głową, z rozwińcioną czupryną. Ja w sobotniej kapocie, z czajnikiem w ręku. Ozer dumnie kiwnął głową i zatrzymał się przy drzwiach. Ja zaś z sercem bijącym jak młot skierowałem się prosto do mosiężnych kranów.

Ruchcia sama napełniła mi czajnik. Wysoka, z dołeczkami na twarzy, w białej pachnącej sobotnimi owocami i miodownikami bluzeczce, stała pochylona nad czajnikiem w oczekiwaniu, aż napełni się wrzątkiem. Przy stołach siedzieli młodzi ludzie z dziewczynami. Wszyscy mieli twarze zarumienione. Matka Ruchci, wdowa Chańcza, też siedziała przy jakimś młodzieńcu i śmiała mu się w twarz. Ja wszakże tego wszystkiego nie widziałem. Zapatrzony byłem jedynie w granatową głowę Ruchci i jej białe ręce. Zauważyłem też, że kiedy wrzątek wlewał się do czajnika, Ruchcia kilka razy obróciła twarz ku drzwiom, przy których stał Ozer. Czy wymieniała spojrzenia z Ozerem? Czy rzeczywiście się znają? Zrobiło mi się gorąco. Jak przez mgłę zauważyłem, że żołnierz z krótko ostrzyżoną głową wstał od stołu i przysunął się do Ruchci. Musiał być pijany, bo chwiał się na nogach. Gdyby nie był pijany, nie odważyłby się w bezczelny sposób położyć ręki na biodrze Ruchci i pchać swoje czarne wąsiki do jej twarzy.

— Chodź — śmiał się całą gębą — moja krasawico, daj mordeczkę, ty moja *prelest*¹²⁵...

Czajnik z wodą trzymałem już w obu rękach. Był ciężki, jakby piaskiem wypełniony. Ale jeszcze cięższe było uczucie, które zaczęło mnie dławić. Gdybym się nie bał, to bym wylał zawartość czajnika na głowę podłego żołnierza. Gorzej przedstawiała się sprawa z Ozerem. Stał przy drzwiach. Rumieńce pokryły mu twarz. Wydawał mi się wyższy niż zwykle. Tak wyglądał, kiedy recytował wiersze. Nie wiem, jak to się stało, ale w pewnej chwili zobaczyłem Ozera stojącego tuż przy kotle. Był blady. Górna warga oblana potem.

— *Swołocz* — krzyknął i wyciągnął ręce — *swołocz! Mierzawiec*¹²⁶!

Rozległ się szmer przesuwanych ławek. Ktoś przeciągłym i leniwym głosem warknął pod nosem:

— Kto? Kto?

I niedźwiedzimi krokami skierował się przeciw mnie i Ozerowi. Ozera Chańcza szybko złapała z tyłu za rękę i wypchnęła za drzwi. Ja zaś w mig wyskoczyłem. Z czajnika wylewały się gorące krople wody. Nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd idę. Jeszcze chwila i padnę. Jeszcze chwila i poparzę się na śmierć.

Na dworze Ozera już nie było. Za mną, z tyłu, słyszałem głośny, zjadliwy, obcy śmiech. Parzył mnie bardziej niż gorący czajnik. Przez całą sobotę wstydzilem się i bałem wyjść na dwór. Dopiero po *Hawdale* wykradłem się niby złodziej.

Kiedym zobaczył Ozera, wydał mi się mniejszy. Ozer powiedział mi, że mało brakowało, a zadusiłby żołnierza. Zresztą ma zamiar to później uczynić. Jakim bowiem prawem pozwala sobie taki litwak, świnia objąć Ruchcią za talię? Tego wieczoru Ozer mało mówił. Raczej milczał. Rozwiczrzona czupryna wydawała się nie jego. Powiedział mi, że szkoda mu Ruchci. Gdyby miał pieniądze, nie oglądałby się na nic i szybko ją poślubił. Pojechałby z nią do dalekiego kraju. Nie musiałyby podawać herbaty. On, Ozer, deklamowałby jej z pamięci wszystkie znane mu *stichy*¹²⁷. Byłoby dobrze. Bardzo dobrze. Rozumiałem, że byłoby im dobrze, ale co ja sam bym wtedy robił? Czy mnie też byłoby dobrze? A w ogóle co znaczy, że on się ożeni z Ruchcią? Czy on już dorósł do małżeństwa? A skąd weźmie na życie? I co będzie z gimnazjum? Mnie też szkoda Ruchci. Ja też się nad nią lituję. Gdybym ja miał pieniądze, to bym z Ruchcią się nie ożenił. To przecież nie ma sensu. Oddałbym je Ruchci i niechaj się wyprowadzi z herbaciarni. Niech zamieszka na piękniejszej ulicy i niech ma picie i jedzenie do syta. Na to powiada mi Ozer, że jestem durniem do kwadratu. Bo co Ruchcia będzie sama robiła w tym mieszkaniu na pięknej ulicy?

— Co będzie robiła? Będzie piła, jadła i cieszyła się życiem.

— Tak jak stoi w *Hagadzie* — kpi ze mnie Ozer — nie o to chodzi. Grunt, że trzeba ją kochać.

— Kto ją ma kochać?

— Ja! — powiada Ozer, przykładając rękę do serca.

Znowu odczułem ścisk w gardle. Większy niż wtedy, kiedy żołnierz schwytał Ruchcią za talię. Czuję, że w tej chwili gotów byłbym dać w pysk Ozerowi.

— W przyszłą sobotę znowu pójdziesz po herbatę? — pyta mnie Ozer.

— Jeszcze nie wiem. Może?

— To powiedz Ruchci, że chcę się z nią zobaczyć.

— Nie pójdziesz ze mną?

— Nie. Powiedz jej, że będę na nią czekał w sobotę wieczorem na ulicy Warszawskiej, obok więzienia.

Nie żegna się ze mną. Zostaję sam na ganku. On powolnym krokiem, niczym dorosły człowiek nękanym zmartwieniem i troską, schodzi na dół.

Do soboty pozostał jeszcze cały dzień. Gdybym pokusił się policzyć, ile godzin i ile minut pozostało do soboty, to bym zwariował. Tak czy owak, nie wiem, co się ze mną dzieje. Prześladowuje mnie wszędzie obraz Ruchci z Ozerem. Widzę ich w otwartym *Pięcioksięgu*, w rosyjskiej gramatyce, na czarnej *doskie*. Słowem, gdzie spojrzę.

¹²⁵*prelest* (ros.) — śliczna (pieszczotliwe określenie kogoś lub czegoś uroczonego, czarującego). [przypis edytorski]

¹²⁶*mierzawiec* (ros.) — obrzydliwiec, świntuch. [przypis edytorski]

¹²⁷*stichy* (ros.) — wiersze. [przypis edytorski]

Nauczyciel Matias nadal ciągnie nas za uszy mocniej i żelazną pięścią wali po głbie. Rebe Dawid zaczął nas uczyć gramatyki. Odmieniamy czasowniki. Łamiemy sobie przy tym język. W głowie dźwięczą mi słowa Ozera:

— Powiedz jej, że będę na nią czekał przed więzieniem na ulicy Warszawskiej.

ROZDZIAŁ XXXII

Następnej soboty znowu poszedłem po wrzątek. Podłoga w herbaciarni wysypana była mokrym piaskiem. Na obu stołach bielily się świeżo wyprane obrusy. Wyglądało na to, że szykują się na przyjęcie mechutanów¹²⁸.

Przy jednym stole siedział młodzieniec z dziewczyną. Rozmawiali prawie szeptem, zapatrzeni w siebie. Innych gości w herbaciarni nie było. Zza czerwonej kwiecistej kotary, zakrywającej wejście do alkowy, dochodził zdławiony, lekko przytłumiony, lecz radosny śmiech, przerywany słowami:

— Przestań! Co to? Nie możesz poczekać?

Po głosie poznałem, że to Chańca. Ruchcia była dzisiaj blada. Kiedy nalewała mi wrzątek do czajnika, co chwila niespokojnie zerkała w stronę alkowy. Czajnik powoli napełniał się wodą. Stałem przy Ruchci jak na rozżarzonych węglach. Miałem jej przecież coś do przekazania. Ale jak to zrobić? Od czego zacząć? A może wcale nie powiedzieć? Czy jestem posłańcem Ozera? I nagle Ruchcia popatrzyła na mnie. Przymrużyła nieco oczy i skierowała wzrok w moją stronę. Odniosłem jednak wrażenie, że nie chodzi o mnie, tylko o tego, który stoi za kotarą. Poczułem ukłucie w sercu. Chciałem jej powiedzieć, że dzisiaj Ozer nie przyjdzie. Nigdy już nie przyjdzie. Ozer umarł. Ale w tej samej chwili usłyszałem głos zza kotary:

— Co ty robisz, Falku? Przestań...

Ruchcia nagle mnie zauważyła:

— Jak się nazywasz?

— Mendel.

— Czyj jesteś?

— Frumet, córki Dawida Frojki.

— Mieszkacie na tym podwórzu?

— Tak.

— A ten z czuprynką, to twój kolega?

— Tak, mój kolega Ozer.

— Dlaczego dzisiaj nie przyszedł?

— Chodzi do gimnazjum, nie ma czasu. Uczy się.

— Czego się uczy?

— Wierszy, *stichow*.

— Czego? — od śmiechu cała twarz Ruchci pokryła się zmarszczkami. Nie mogłem pojąć, z czego tu można było się śmiać. Nie rozumiałem też, dlaczego w chwilę potem powiedziała:

— Powiedz temu swojemu koledze, że mi się podoba.

Nie wiem, co się wtedy ze mną stało. Czy to czajnik nagle stał się zbyt ciężki, czy ja sam stałem się zbyt ociężały. Po prostu nie byłem w stanie się ruszyć.

— Czy chciałeś jeszcze czegoś?

Czułem, że za chwilę stanie się coś niedobrego. Albo upadnę i zacznę płakać, albo rozwałę komuś łeb czajnikiem. Z dużych oczu Ruchci biło jakieś ciepło. Również spod jej białej bluzki parowało ciepłem. Pochyliła się nade mną i jeszcze raz tajemniczym głosem zapytała:

— Czy chciałeś jeszcze czegoś?

— Ozer — zacząłem bąkać — chce powiedzieć... — Nie mogłem dokończyć zdania. Po chwili przemogłem się jednak: — On powiedział, że dzisiaj wieczorem będzie czekał przed więzieniem.

Siedząca przy stole dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Za kwiecistą kotarą alkowy panowała cisza. Ruchci już wcale nie dostrzegałem. Poczułem tylko jej ciepło, aksamitną dłoń na twarzy.

¹²⁸ *mechutanowie* — rodzice nowożeńców, kumowie. [przypis tłumacza]

— Przyjdę. Powiedz Ozerowi, że przyjdę.

Jak wydostałem się z herbaciarni, nie wiem. Chyba ktoś podrzucił mi czajnik. Na naszych schodach spotkałem Ozera.

— Powiedziałeś jej? — napadł na mnie z impetem.

— Powiedziałem — odparłem ze złością.

— I co?

— Przyjdzie.

Twarz mu się zarumieniła, a oczy nabiegły krwią.

— Mendlu — zaczął skakać — zobaczysz, pójdziesz ze mną. Z nami. Weźmiemy cię ze sobą.

Mnie jednak wcale jego radość nie cieszyła. Nie była moją radością. Przeciwnie, we mnie się wszystko gotowało, jak woda w czajniku. Nagle zacząłem biec po schodach w górę. Kiedy już byłem blisko naszego mieszkania, ryknąłem z całych sił w kierunku stojącego na dole Ozera:

— Ty goju, heretyku! Nie pójde z wami. Mam was oboje gdzieś! Ciebie razem z Ruchcią!

Ozer biegł za mną i wołał:

— Mendel, Mendel! Co się z tobą dzieje?

Tak mocno go w tej chwili nienawidziłem, że nie przejąłbym się, gdyby tak nagle spadł ze schodów i złamał obie nogi.

Całe popołudnie spędziłem w łóżku. Postanowiłem nie wychodzić również wieczorem. Nie pokażę się więcej na podwórku. Noga moja więcej nie stanie na progu herbaciarni. Koniec! Koniec z Ozerem. Koniec z Ruchcią. Nie potrzebuję ich.

Po sobotnich „trzech ucztach” w naszym oknie dachowym ukazał się niebieski cień. Zdawało mi się, że to Ozer. W pokoju czuć było zapach śledzi. Mama z sąsiadką siedziały przy piecu i szeptały sobie coś do ucha. Popatrzyłem przez okno na niebo, żeby sprawdzić, czy już pokazały się gwiazdy. Patrzyłem bez szczególnego zainteresowania. Jeśli chodzi o mnie, to można było dzisiaj w ogóle nie zapalać światła. I tak nie wyjdę z łóżka. Ale po *hawdale*, kiedy ojciec zdjął ze stołu sobotni obrus i na goły blat położył kawałek kredy, a mama wybierała się do ciotki Miriam, nie mogłem już usiedzieć w domu. Złapałem płaszcz i podbiegłem do drzwi.

— Dokąd tak pędzisz? — pytała mama.

— Nie pędzę. Schodzę do Ozera.

— Popatrz no, jak się spieszy. Nie ucieknie ten twój Ozer.

— On czeka na dole.

— To poczeka jeszcze chwilę. Zapnij płaszcz. I nie biegnij. Słyszysz?

— A kto tu biega?

Wyszedłem z domu powolnym krokiem, ale znalazłszy się na schodach przyspieszyłem i pobiegłem w dół z takim tupotem, że usłyszałem, jak na górze otworzyły się drzwi. Księżyc widocznie świecił dzisiaj jakby umyślnie pełnym światłem. Cały w otocze dalekiego, zimnego błękitu wędrował nad dachami i ulicami, niczym biała żagiew. Błękit był na szybach, biel w rynsztokach i błękit na krzyżu rosyjskiej cerkwi. Wszystkie sklepy były otwarte. Żydzi jeździli dorożkami na dworzec. Posuwałem się wśród sklepów w kierunku więzienia. Zupełnie zapomniałem o moim dzisiejszym postanowieniu. Chciałem zobaczyć, czy Ozer spotka się z Ruchcią. Z daleka widzę, jak na chodniku przed rosyjską cerkwią pojawia się duża jasnoniebieska plama. Czasami przecinają ją czarne nogi. Ogródek przed więzieniem zasłania mnie. Mogę wszystko widzieć, za to nikt mnie nie może zauważyć. Toteż widzę, jak na tej dużej białej plamie ustawiła się para długich nóg. Takich długich nóg jak Ozer nikt w mieście nie ma. Stoi i rozgląda się na wszystkie strony. Kiedy wysuwam się trochę zza ogródka, dostrzegam nawet głowę Ozera. Zadarta ku niebu upodabnia go do dużego ptaka. Pierwszy raz od chwili poznania widzę, żeby trzymał w ręku laseczkę. Machając nią w powietrzu niespokojnie, robi kilka kroków w tę i w w tę, zadziera jeszcze wyżej głowę ku księżycowi. Ja też zadziera głowę. Przecież tylko stamtąd może spaść Ruchcia. Sam Ozer nie obchodzi mnie teraz. W tej chwili nie odczuwam nawet nienawiści do niego. Kole mnie tylko w oczy jego chwacka laseczka. Ruchcia, jak widać, nie przyszła. I nic dziwnego. Bezcelny Ozer. Nie mógł znaleźć lepszego od więzienia miejsca na randkę. Upajałem się rozkoszą zemsty na Ozerze. Niech

się bezczelnie nie chwali, że ma zamiar ożenić się z Ruchcią i niech nie opowiada, że po ślubie będzie jej deklamował wszystkie *stichy* z pamięci. Długo jednak nie rozkoszowałem się zemstą, bo oto zjawia się Ruchcia. Oto właśnie przechodzi przez ulicę Warszawską. Co ja mówię? Nie przechodzi, ale wprost przebiega. Nie widzę jej, chociaż przechodzi obok ogródka więziennego. Ozer nie stoi już na środku plamy, ale nieco z boku. Laseczką już nie wymachuje. Wydaje mi się, że im bliżej Ruchcia podchodzi do Ozera, ten się od niej oddala. Idę za plecami Ruchci. Ta zatrzymuje się na jasnoniebieskiej plamie, na której przed kilku chwilami stał Ozer. On tymczasem wszedł w ulicę Spacerową. Ruchcia też tam idzie. A tu nagle Ozer na środku ulicy odrzuca laseczkę i ze wszystkich sił zaczyna pędzić w dół do parku. Nic innego, jak tylko to, że kogoś zobaczył albo zwariował. Sam też chyba zwariowałem, bo jak wytłumaczyć fakt, że zacząłem gonić za nim i krzyczeć:

— Ozerze! Ozerze!

— Stój! Dokąd pędzisz? — krzyknęła Ruchcia i złapała mnie za kołnierz.

Ona też biegła za Ozerem. Miejsce, na którym mnie zatrzymała tonęło w ciemnościach i dlatego nie mogłem dojrzeć jej twarzy. Czulem jej gorący i gniewny oddech.

— Nie pędź! — powiedziała, ciężko oddychając. — Ten twój kolega to smarkacz. Nie musisz pędzić. Ty mnie przecież kochasz.

Nie wiedziałem, co jej na to odpowiedzieć. Zrobiło mi się gorąco w nogach. Bóg mi świadkiem, że w tej chwili też uciekłbym najchętniej.

— Chodź, przejdziemy się — oświadczyła, biorąc mnie pod rękę.

Teraz zrobiło mi się gorąco również w głowie. Szedłem obok niej i czulem, że dzisiaj do domu już nie wrócę. Czulem, że nadciąga nieszczęście.

— Dlaczego ten gówniarz uciekł? — zapytała, cedząc słowa przez zęby.

Ja też nie miałem pojęcia, dlaczego Ozer uciekł. Musiał chyba zobaczyć ojca, albo kogoś z gimnazjum.

— Czego przestraszył się ten smarkacz? — powtórzyła, nie mogąc się uspokoić, Ruchcia. Chciałem zapytać, czy Ozer rzeczywiście powiedział jej, że się z nią ożeni i razem pojedą do dalekich krajów. Pragnąłem się dowiedzieć, czy rozmawiali ze sobą. Ale nagle Ruchcia puściła moją rękę i zapytała:

— Ile ma lat ten chłopak?

— Kładzie już tefilin.

— A ty?

— Ja wkrótce też.

Zza parkanu więzienia wyłonił się księżyc. Ulica Spacerowa przybrała niebieski kolor.

— Usiądźmy na chwilę — oświadczyła Ruchcia i doprowadziła mnie do niemieckiego zboru.

Dookoła leżał niebieski śnieg. Usiedliśmy na szerokich schodach wiodących do wnętrza zboru. Nagle Ruchcia objęła mnie ramieniem i przyłożyła twarz do mojego policzka.

Opanował mnie strach. Nie wiedziałem, co robić. Mimo to chciałem, żeby Ozer to zobaczył.

— Całowałeś już kiedyś dziewczynę?

— Nie.

— A mnie chciałbyś pocałować?

Nie wiem, czy jej odpowiedziałem. Zresztą nie miałem czasu na to, bo Ruchcia w mig przytuliła swoje ciepłe usta do moich warg. A może było właśnie odwrotnie.

Nie wiem też, czy w owej chwili w ogóle o czymś myślałem. Zakręciło mi się w głowie. Słyszałem tylko cichy, gorący głos:

— Ostrożnie, nie gryź. Ty bękarcie, kto cię nauczył tak całować?

Nikt oczywiście mnie nie nauczył. Po raz pierwszy w życiu całowałem dziewczynę.

— Kochasz mnie? — zapytała Ruchcia, oplatając moją szyję rękami.

W tej chwili miała nie dwie ręce, a sto rąk. Były wszędzie.

— Tak, kocham cię.

— Ożenisz się ze mną?

— Ożenię się.

— Co będziemy robili po ślubie?

— Pojedziemy do dalekiego kraju — posłużyłem się słowami Ozera — do Ameryki pojedziemy. Tam będę ci mówił z pamięci wszystkie *stichy*.

— Co? Co będziesz robił?

— Będę pracował. Wynajmę mieszkanie. Ty nic nie będziesz robiła. Będziesz tylko jadła i piła, i używała życia.

Ruchcia niczym kotka odsunęła się ode mnie. Powoli i leniwie. Chciałem ją przyciągnąć do siebie. Jeszcze raz pocałować, ale w jednej chwili zaszła w niej gwałtowna zmiana. Zerwała się z miejsca, a kiedy chciałem się okazać mocniejszy od niej, odepchnęła mnie i obcym, złym i gniewnym głosem jak u starej chłopki ryknęła:

— *Poszoł won*, ty bękaracie!

Nie mogłem tego pojąć. Zresztą do dziś dnia nie jest to dla mnie jasne. Być może sprawiło to słowo *stichy*. Ten przeklęty wyraz rozwiął mój sen o Ruchci. Nie pożegnała się nawet. Uciekła. Tak jak Ozer przed nią uciekł.

Na całej Spacerowej byłem teraz jedynym człowiekiem. Za moimi plecami — czarny zbór. Przede mną — więzienie, nad którym przesuwiał się księżyc.

W nocy śniło mi się, że Ruchcia mnie całuje. Nad ranem mama z niepokojem przyglądała mi się i troskliwie zapytała, co mi się śniło, bo krzyczałem i przeklinałem Ozera. Przeklinałem Ozera nie tylko we śnie, ale też na jawie. Nie chciałem go więcej widzieć. O jedno mi tylko chodziło. O Ruchcię. Biegałem nieraz do zboru w nadziei, że a nuż przyjdzie. W sobotę chodziłem z czajnikiem do herbaciarni, ale Ruchcia wrzątku mi nie nalewała. Chodziła po herbaciarni z rozwichrzoną fryzurą i z obnażonymi ramionami. Przechodziła obok i nie raczyła nawet na mnie spojrzeć.

ROZDZIAŁ XXXIII

Być może jej zachowanie wpływało w pewnej mierze na zmiany, jakie zaszły latem w samej herbaciarni. Tak się jakoś złożyło, że do herbaciarni Chańczy zaczęło przychodzić coraz mniej młodych kawalerów i dziewcząt. Wdowa przestała piec ciastka i coraz mniejszą uwagę przywiązywała do czystości dzbanków i szklanek, które dawniej błyszczwały zachęcająco. Nie śpiewano już pieśni i na stołach nie bielily się już czyste obrusy. Zdawało mi się, że Chańcza pogniwała się na Ruchcię. Zauważyłem, że Falek, młodzieniec ze sterzącymi, czarnymi wąsami nie romansuje już z Chańczą za kwiecistą zasłoną w alkwie. Kręci się teraz koło Ruchci. Siedzi z nią przy stole i nie odrywa od niej wzroku. Patrzy na nią jak na drogocenny brylant.

Słowem, sprawa nie była prosta. W jednej chwili przeniosłem moją nienawiść do Ozera na tego czarnowłosego Falka. Znienawidziłem go stokrotnie więcej niż Ozera. Ten przecież nie umiał nawet recytować *stichow*. Jakim więc prawem śmiał patrzeć tak na Ruchcię? Przecież pożera ją oczami. Z pewnością nienawidziła go również wdowa Chańcza. W mojej obecności wołała na niego: „Ty pętaku! Ty zawszony żebraku! Idź do roboty! Oby cię szlag trafił!”

Młodzieniec śmiał się pełną gębą. Nie gniewał się, nie odwzajemniał się podobnymi epitetami. Oświadczył tylko stonowanym głosem, że jeśli nie przestanie, to z niej zrobi siekane kotlety. Na naszym podwórzu wszyscy wiedzieli, że Chańcza kłóci się z Falkiem. Krzyki i przekleństwa dochodziły do uszu wszystkich mieszkańców. Moja mama twierdziła jednakże mimo wszystko, że Falek ożeni się wkrótce z Chańczą.

I nie omyliła się. Pewnego pięknego poranka Chańcza kupiła u sofera¹²⁹ Ziszy tałes zdobny w niebieską jedwabną atarę¹³⁰. Sklepy na ulicy Warszawskiej zarobiły na niej sporo grosza za nabyte płótno i pościel. Na tym samym podwórzu Chańcza wynajęła pokój z kuchnią. Po ślubie nie miała zamiaru mieszkać w herbaciarni.

Kupiec meblowy, Abramek, wstawił do pokoju jesionowe łóżka i dębową szafę.

Chańcza mimo nawału pracy związanej z przygotowaniem wesela nie zapomniała o niczym. Zadbała o wszystko przed ślubem. Zamówiła u krawca ubranie, a u szewca dodatkową parę kamaszy dla swego przyszłego męża. Nie omieszkła też zamówić u Szymka kapeli klezmerów i rozesłać wszystkim żołnierzom, młodzieńcom i dziewczętom, którzy odwiedzali jej herbaciarnię, zaproszenie na wesele. I oto nagle na dwa dni przed ślubem, kiedy Chańcza zdążyła już upiec dwa torty i w balii pływały już królewskie karpie, zdarzyło się nieszczęście. Wiadomość o tym dotarła do naszego domu wczesnym rankiem.

¹²⁹*sofer* — pisarz, kopista. [przypis tłumacza]

¹³⁰*atar* — korona, wieniec; ozdobna część tałesu. [przypis tłumacza]

Dopiero co zdążyliśmy wstać z łóżek. Ojciec odmawiał modlitwę poranną na dworze. Na szybach leżał złoty pas nieba. Mama krążyła po pokoju w nocnym czepku i cicho wdychała. Nie czuła się dobrze. Wstała, żeby przygotować śniadanie i znowu położyć się do łóżka. W domu panowała cisza. Nagle przerwał ją odgłos szybkich kroków na schodach. Usłyszeliśmy słowa zaspanych, szybko mówiących osób.

— Kto to może być o tej porze?

Mama właśnie podeszła do drzwi. Te się jednak same otwały. Jakaś kobieta z chustą na głowie jednym tchem zawołała:

— Frumet, niech pani szybko zejdzie na dół. Zdarzyło się okropne nieszczęście.

Kogo trafiło to nieszczęście, kobieta nie powiedziała. Nie miała widocznie czasu. Powiedziała i szybko zbiegła na dół. Mama zaczęła biadolić. Chciała coś włożyć na siebie i nerwowo wyciągała ręce po jakieś okrycie. Do mnie i do ojca zawołała:

— Mendel, Lejzor, szybko zbiegajcie na dół, zobaczcie, co się tam stało!

Ojciec popatrzył na mamę swoimi przytępionymi oczami. Albo nie dosłyszał, albo nie rozumiał, o co mamie chodzi. Ja zaś na pół ubrany zacząłem szybko zapinać buty i wyciągać szelki. A tu, jakby na złość wszystko wypadło mi z rąk. Od podwórza dochodziły nas odgłosy krzyków i płaczu. Jakby ktoś nagle umarł. Jako tako ubrany zjechałem po poręczy na dół.

Podwórko roilo się od ludzi. Ze wszystkich ganków i schodków zbiegały się kobiety i dzieci. Wszyscy mówili naraz. Wszyscy pchali się w otwarte drzwi herbaciarni. Chańcza rozdygotana i roztrzęsiona, w krótkiej, białej halce, nocnych pantoflach z pomponikami biegała od kąta do kąta.

— Ludzie! Żydzi! Zmiłujcie się. Zostawili mnie w jednej koszuli. Ten złodziej i ta kurwa ogołocili mnie ze wszystkiego. Co ja biedna teraz pocznę?

Otworzywszy nową, niedawno nabytą, a teraz pustą szafę, a potem pusty kufer zaszczołała:

— Całe moje harowanie. Trud mojego życia poszedł na marne. Oszczędzałam i nie dojadłam, a oni wszystko mi zabrali. Ach ty bękarcie! Ty podła kurwo! Jak mogłaś własnej matce to uczynić?

Ale jak mogła coś takiego przewidzieć, skoro przygotowywała się do własnego ślubu? Skąd mogło jej wpaść do głowy, że jej córeczka prowadzi romans z tym sukinsynem? Kto mógł spodziewać się takiego nieszczęścia? Tak niesprawiedliwego wyroku nieba?

Od płaczu twarz jej opuchła. Już nie miała sił krzyczeć. Usiadła nad pustym kufrem jak nad nieboszczykiem w trumnie. Jacyś ludzie pobiegli na policję. Zanim jednak policja się zjawiała, Chańcza odskoczyła od kufra i zaczęła ciskać we wszystkie strony białe dzbany od herbaty, czajniki i szklanki. Zerwała kwiecistą zasłonę do alkowy i pokazując żelazne łóżko z rozbabraną pościelą zawołała:

— Tu spała ta bękarcina!

I zerwawszy pierzynę, podarła ją na strzępy. W mig w całej herbaciarni było biało od pierza. Pióra wyfruwały przez otwarte okna na podwórze i osiadały na studni, na gankach i na ludziach. Kiedy przybyła policja, Chańcza leżała na podłodze wśród pierza, potłuczonych garków i szklanek. Lamentowała nad nimi tak, jak nad świeżym grobem. Miała niestety nad czym lamentować. Opowiadano, że nie dosyć, że czarny Falek okradł ją i uciekł z Ruchcią, to jeszcze ją zostawił z brzuchem.

Z herbaciarni nie pozostał najmniejszy ślad. Chańcza pobiegła do naczelnika powiatu. Dotarła nawet do samego gubernatora, ale nic to nie pomogło. Falek i Ruchcia znikli jak kamfora.

Szły słuchy, że uciekli do Paryża. Moja mama dowiedziała się nawet, że Falek sprzedał Ruchcię do Buenos Aires. Chańcza nie dała jednak za wygraną. Pisała podania do Warszawy, biegała do adwokatów, aż kamieniczka na podwórzu całkiem opustoszała. Nikt już nie chciał jej wynająć. Byszczące czystością szyby powoli pokryły się kurzem. Ktoś zerwał klamki z drzwi. Na dachu rozpanoszyły się koty. Chańcza znowu pojechała do Warszawy. Na podwórzu znowu zrobiło się pusto. Dawniej lubiłem patrzeć wieczorami w okna herbaciarni. Teraz nie miało to już sensu.

Z Ozerem nie spotykałem się. Zauważyłem tylko, że bardzo wyrósł. Zdawało mi się, że jak na swoje lata zbyt jest wysoki. Lada dzień i wyrośnie mu garb jak u jego ojca. Nie

mogłem sobie znaleźć miejsca. Po nieszczęśliwej historii z Chańczę zapanowała w naszym domu atmosfera przygnębienia i smutku.

W wieczory kończące soboty wspólnik ojca Motel Sztroj nie przychodził już rozliczać się z tygodniowego dochodu. Nie było z czego się rozliczać. Siano na łąkach zgniło. Nie było co kupić i nie było komu sprzedać.

Ojciec, jak zwykle, wstawał skoro świt. Nieco dłużej zajmował się chorą nogą i nieco dłużej odmawiał psalmy i przeciągał modlitwy. Zjedliśmy przypaloną zupę z żołnierskim chlebem. Na sobotę mama kupiła kawałek wołowej głowy i zamiast ryby postawiła na stół kilka śledzi. Jesień stawała się coraz cięższa, deszczowa. Małe szyby w dzień i w nocy płakały. Z dachu ciągle kapalo. Wokół ust mamy zarysowały się zmarszczki. Ciągle wzdychała.

— Czym zgrzeszyłam, że na stare lata przyszło mi cierpieć na takim poddaszu. Lejzorze, jak długo będziemy tu sterczeli?

Nie mogłem zrozumieć żalu mamy. Przecież to ona wynajęła to poddasze. I co na to mógł poradzić ojciec, skoro siano w całej okolicy zgniło na polu, a Iwan zaczął ściągać prasowane siano bezpośrednio z Rosji. Zarobki w naszym domu skończyły się. Ojciec poszedł do Motla Sztroja po pożyczkę. Ten wzruszył ramionami i powiedział, że nie ma, bo skąd może mieć pieniądze, kiedy nie ma czym handlować.

Wieczorem ojciec wrócił przygnębiony. Z kurtki wystawały mu kawałki waty. Mama nie miała głowy do jej naprawiania. Nie mogła usiedzieć w domu. Zresztą nie było co gotować. Mnie ze szkoły odesłano do domu. Pewnego więc dnia mama napisała list do Łodzi, do swego bogatego brata. Pisała w nim, że jej najmłodszy chłopiec siedzi w domu, bo nie ma pieniędzy na opłacenie szkoły. W mieszkaniu panuje chłód i głód, a mąż Lejzor od wielu miesięcy nie zarabia grosza. W tej sytuacji prosi brata o okazanie litości i udzielenie pomocy.

Odpowiedź nie nadeszła. Cienie w mieszkaniu stały się większe i chłodniejsze. Po ulicach jeździły już sanie. Wesole, radosne dzwonki zapraszały mnie do zejścia na dół na podwórze. Wstydzilem się jednak wyjść na ulicę, bo co powiem ludziom, kiedy zapytają mnie, dlaczego nie chodzę do szkoły.

Dopiero ósmego dnia święta Chanuki¹³¹ w samo południe otworzyły się drzwi i w mieszkaniu pojawił się listonosz z siwą, żydowską brodą.

— Pani Lejzorowa, *dieńgi, gelt*, pieniądze — zawołał po rosyjsku, po żydowsku i po polsku.

Mama dostała wypieków na twarzy. Mnie coś chwyciło za serce. Nie inaczej, jak tylko to, że siwa broda należy do proroka Eliasza. Przyniósł awizo. Pieniądze do odebrania na pocztę. Mama z chorobliwymi wypiekami na twarzy szybko pobiegła na pocztę. Było jednak za późno. Kasa nie wypłacała już pieniędzy. Mimo to mama wróciła do domu podniesiona na duchu. Od razu zapaliła w kuchni. Ugotowała barszcz z kartoflami. Barszcz pachniał dzisiaj jak wino. Lampa świeciła jaśniejszym światłem. Nad dachem stał księżyc i z szyb naszych okien powoli zląził mróz.

Ja już o niczym innym nie myślałem, jak tylko o pieniądzach, które mama podejmie jutro na pocztę. Byłem pewny, że teraz jesteśmy już bogaci. Przeprowadzimy się do nowego pięknego mieszkania. Mama również napomknęła o nowym mieszkaniu i o parze nowych butów dla mnie. Tylko ojciec siedział przy kolacji oswiały i milczący jak zawsze. Jadł powoli, wpatrzony nieruchomymi oczami w okno. Raniutko mama pobiegła na pocztę. Czekalem na nią w domu. Serce waliło we mnie jak młot. Kilka razy otworzyłem z niecierpliwością drzwi i schodziłem w dół po schodach. Wiele pieniędzy bogaty brat z Łodzi nie przysłał. Ciężkie czasy — usprawiedliwił się. Na dodatek ma zamiar wydać córkę za mąż. Do tego potrzebne są pieniądze. Ale moje stare buty oddano do naprawy, chesne w szkole uiszczono i dla ojca mama kupiła nową kurtkę.

— Po co ta kurtka? Przecież mam kurtkę — zachnął się ojciec.

— Co to za kurtka? Same strzępy.

— Też mi pomysł! — wymamrotał, ale ostrożnie położył kurtkę na stole i przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej oka.

¹³¹ Chanuka — święto upamiętniające wznowienie kultu religijnego w odnowionej Świątyni Pańskiej, po zwycięstwie nad wojskami grecko-syryjskimi w 165 r. p.n.e. [przypis tłumacza]

I tak przez kilka dni kurtka leżała na stole, a ojciec jej nie dotknął. Dopiero w sobotę rano, kiedy mama sprzątnęła izbę, tato długo krążył wokół stołu, aż wziął nową kurtkę do ręki i ubrał.

Ja w owe dni też coś nowego uzyskałem. Nie mam na myśli nowych butów, ani czesnego w szkole, ani nawet wełnianych rękawiczek, ale coś takiego, czego nazwać jeszcze nie potrafię. Może to był nowy cichy głos ojca. Jak długo pamiętam, nigdy jego głos nie był taki cichy. A może to zażawione oczy mamy, kiedy w zwykły powszedni dzień ojciec pomógł mi wdziać palto i poszedł ze mną do bóżnicy, do rudego Żyda z zielonymi wąsami, u którego rozpocząłem naukę o przepisach związanych z nakładaniem na lewej ręce i na głowie tefilin.

Wkrótce mieć będę trzynaście lat i będę sam odpowiadał za swoje postępowanie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/perle-zydzi-dnia-powszedniego>

Tekst opracowany na podstawie: Jehoszua Perle, *Żydzi dnia powszedniego*, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0683-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).